

HARLEQUIN®
na życzenie

HARLEQUIN®
na życzenie

3 powieści
TYLKO 14,99

Włoski kaprys

KATE WALKER
LUCY GORDON
LEE WILKINSON

HARLEQUIN SPECIAL NR 2 8153 INKONSTANTYK CENA 14,99 ZŁ 947710103 WAT

Włoski kaprys

KATE WALKER
LUCY GORDON
LEE WILKINSON



Kate Walker

Żona Sycylijczyka

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Dziś wieczorem miał zamiar ją zapytać.

Zdawało mu się, że czekał na ten dzień od zawsze. Sześć długich lat; zbyt długo. To czekanie wyczerpało całą jego cierpliwość, czasami myślał, że dłużej tego nie wytrzyma. Lecz dziś wieczorem czas próby miał dobiec końca. Od dziś Megan należeć będzie do niego.

Nacisnął dzwonek u drzwi i aż się wzdrygnął, kiedy usłyszał jego przenikliwy dźwięk rozbrzmiewający wewnątrz domu. Zachowywał się, jakby był policjantem przybyłym z nakazem aresztowania, a nie tym, który czekał na wybrankę swego serca dłużej, niż był to w stanie znieść.

- Pan Santorino!

Gospodyni wyglądała na zaskoczoną i zmieszaną, co Cesare odnotował z pewnym zawodem. Na ogół starannie przygotowywano się tu do jego wizyt, a on z kolei zapowiadał je z dużym wyprzedzeniem. Był w tym domu honorowym gościem, przyjmowano go jako przyjaciela, lecz zarazem i partnera w interesach, więc takie najście było nie tylko zupełnie niespodziewane, lecz także nie mieściło się w dotychczasowej konwencji.

- Nie oczekiwaliśmy pana wizyty. Pan Ellis nic nie mówił...

- Nie...

Jednym gestem dłoni powstrzymał jej wyjaśnienia.

- Nie mógł nic powiedzieć, bo sam nie wiedział. Nie uprzedzałem go, że będę w Anglii ani że mogę go odwiedzić.

- Ale...

Pani Moore cofnęła się o krok, najwyraźniej czując, że powinna zaprosić go do środka, lecz zawahała się.

- Niestety, pana Ellisa nie ma. Pojechał odwiedzić krewnych w Szkocji. Jest tylko panna Megan...

- Ach, więc Megan jest w domu?

Był zadowolony, że zdołał przybrać ton wyrażający zaskoczenie i brak większego zainteresowania, a na dodatek zabrzmiało to przekonywająco. Słyszając go, nikt by się nie domyślił, że jest to efekt zamierzony. Przyjechał do Anglii, wiedząc, że Tom jest w podróży, a jego jedyna córka została w domu sama.

- Z tego wnoszę, że skończyła już studia?

- Tak, dostała dyplom i w ogóle. Wróciła w ten weekend i to na dodatek sama.

- Sama?

To pytanie wyrwało mu się trochę zbyt gwałtownie.

- Tak, myślałam, że przyjedzie z sympatią.

Uświadomiła sobie, że już zbyt długo trzyma gościa w progu i że nie jest to z jej strony grzeczne.

- Proszę, niech pan wejdzie. Jestem pewna, że panna Megan z radością pana powita.

Cesare, osobiście, miałyby co do tego wątpliwości.

Ostatnio widzieli się podczas przyjęcia noworocznego wydanego przez ojca Megan i rozstali się w taki sposób, że nie bardzo mógł teraz oczekiwać z jej strony radości na swój widok. Kiedy zdecydował się na tę wizytę, miał nadzieję, że szybko zdoła przełamać rezerwę Megan, lecz wzmianka o jej sympatii stanowiła komplikację, której zupełnie nie przewidział.

- Powiem jej, że pan tu jest...

- Nie!

Znów o mało się nie zdradził, reagując tak impulsywnie. Pośpiesznie więc starał się naprawić sytuację. Przywołał uśmiech na twarz i utkwiał w gospodyni głębokie spojrzenie piwnych oczu, świadom swego uroku i jego działania na kobiety.

- Proszę mnie nie anonsować. Chciałbym jej zrobić niespodziankę.

- Oczywiście. Panienska jest w bibliotece. - Wskazała drzwi w końcu holu. - Jestem pewna, że się ucieszy. Jak na mój gust, ona jest teraz w nie najlepszej formie - wygląda blade i mizernie. Myślę, że nie dbała o siebie i odżywiała się byle jak.

- Możliwe.

Cesare z trudem powstrzymał niecierpliwość.

Kobieta jakby to zrozumiała i miała już odejść do kuchni, kiedy coś jeszcze jej się przypomniało.

- Czy mam przynieść kawę? A może coś zimnego?
- zapytała.

- ^Zadzwoń, jeśli będziemy czegoś potrzebowali.

Cesare mimo woli przybrał ton, jakiego używał wobec szczególnie trudnych pracowników. Ton ten nie-

zawodnie narzucał im posłuszeństwo i tym razem także zadziałał. Gospodyni kiwnęła głową z szacunkiem i postukując obcasami, odeszła do swoich zajęć.

Nareszcie!

Z westchnieniem ulgi Cesare przeczesał dłońmi kruczoczarne włosy. Miał poczucie, że gospodyni instynktownie wyczuła jego zamiary i chciała strzec honoru córki tego domu.

Cicho zamknął za sobą drzwi biblioteki, a na jego ustach błąkał się lekko cyniczny uśmiezek. Chciał zaskoczyć Megan, lecz to nie honor pragnął jej skraść, lecz serce.

Megan słyszała jakiś czas temu dzwonek do drzwi, lecz postanowiła go zignorować. Nie miała teraz nastraju, żeby z kimkolwiek rozmawiać. Gdyby było to coś ważnego, pani Moore niewątpliwie by po nią przyszła.

Siedziała przy stoliku, mając przed sobą otwartą książkę, lecz nie była w stanie czytać, litery rozmazywały jej się przed oczami.

- Co ja mam teraz zrobić? - Po raz kolejny zadawała sobie to samo pytanie, wciąż jednak nie potrafiła znaleźć odpowiedzi. Nie miała pojęcia, co robić ani gdzie się zwrócić.

- Megan?

Uniosła głowę, słysząc dźwięk otwieranych drzwi, lecz na widok wysokiej, ciemnej postaci znieruchomiała ze zdumienia i nie wierzyła własnym oczom.

- Cesare?

Z trudem łapała powietrze, a serce zabiło jej w pier-

si gwałtownie. Cesare Santorino był ostatnią osobą, którą spodziewałaby się tu dzisiaj zobaczyć. I ostatnią, którą w ogóle miałaby ochotę widzieć.

Tylko że jej serce mówiło inaczej.

Był czas, że pragnęła tego wysokiego, smukłego mężczyzny. Marzyła o tym, by zatracić się w jego ramionach i zatonać w jego głębokich oczach. Obraz jego wyrazistej twarzy na tyle mocno wrył jej się w pamięć, że przez wiele nocy zasypiała, mając go w myślach.

- Co ty tu robisz?

Ze złością stwierdziła, że głos jej drży i chrypi jak źle nastawione radio i że z trudem nad nim panuje. Usiłowała sobie wmówić, że to wszystko wina jej podłego nastroju, nic poza tym.

Sprawę z Cesarem miała już przecież za sobą i to od dobrych kilku miesięcy. Dokładnie Ucząc, od tego katastrofального przyjęcia noworocznego, kiedy ją tak boleśnie upokorzył. Do tego czasu wielbiła ziemię, po której chodził, lecz tamtej nocy całe jej oddanie i dumę zdeptał swymi robionymi na zamówienie, pięknie wyglansowanymi skórzanymi butami.

- Jeśli masz jakąś sprawę do mojego ojca, to niestety go nie zastałeś.

- Wiem - przerwał jej, ściągając brwi. - Ale chciałem zobaczyć się z tobą.

Było w jego głosie coś, co postawiło Megan w stan alarmu.

- Ze mną? Dlaczego ze mną? - zapytała. - Sądziłam, że już nigdy nie zechcesz się do mnie odezwać.

Wystarczająco jasno dałeś mi do zrozumienia, że szkoda ci czasu, żeby spędzać go ze mną.

Jego leniwy uśmiech sprawiał, że coraz bardziej traciła panowanie nad sobą, a serce wyczyniało w jej piersi przedziwne harce.

- Och, Megan, *cara*, ty wtedy nie byłaś w stanie spędzać czasu z kimkolwiek.

- Wypiłam najwyżej dwa kieliszki szampana!

Za żadne skarby jednak by nie przyznała, że to nie szampan, lecz obecność Cesarego i jego zabójcza elegancja sprawiły, że czuła się jak pijana.

- Albo trzy, albo cztery - dopowiedział sucho Cesare. - A problem polegał na tym, że byłaś diabelnie pociągająca. Tak słodko uwodzicielska w tej skąpej sukience...

- Słodko uwodzicielska... - powtórzyła Megan, zupełnie oszołomiona.

Czy on rzeczywiście mówił to, co myślał? Chociaż przed chwilą była pogrążona w smętnych myślach, te słowa poruszyły w niej jakąś głęboką strunę. Obudziły w jej sercu coś, co zagłuszała od chwili, gdy Cesare publicznie ją odtrącił.

- Żartujesz!

- Wcale nie. - Potrząsnął głową. - Nie miałem innego sposobu, żeby trzymać się od ciebie z daleka.

W odpowiedzi wydała niezbyt dystyngowane parsknięcie, mające wyrażać gorzką ironię.

- Oczywiście! Moje dotknięcie mogłoby cię skalać. A potem... potem już do końca przyjęcia mnie ignorowałaś. Nie było tak?

- Nie - odrzekł głucho. - Żebym nie wiem jak się starał, nie umiałbym cię ignorować. Nigdy nie umiałem, już od chwili gdy po raz pierwszy odwiedziłem ten dom, a ty, jako urodziwa trzynastolatka, wbiegłaś w podskokach w moje życie. Już wtedy nie bytem w stanie oderwać od ciebie oczu i tak jest do tej pory.

Rzeczywiście, jeśli znajdowała się w tym samym pokoju, natychmiast podązał za nią wzrokiem. Była żywa jak iskierka, płonąca tak jasno, że jej blask niemal go oślepiła. A najtrudniejsze było to, że nie mógł ujawnić swych uczuć.

Aż do dzisiaj.

A Megan była teraz jeszcze piękniejsza. Uroda nastolatki przekształciła się w urodę młodej kobiety i zajaśniała pełną krasą. Miała lśniące włosy w kolorze miedzi i oczy jak dwa zielone jeziora. Była wysoka i szczupła, o pięknych kobiecych kształtach i cerze jak dojrziała brzoskwinia, której bezwiednie chciałoby się dotknąć.

Cesare jednak przyrzekł ojcu Megan, że nie tknie jej i utrzyma swe uczucia w tajemnicy, dopóki dziewczyna nie skończy dwudziestu dwóch lat. Dopiero dzień jej urodzin miał przynieść mu wyzwolenie.

- Żartujesz!

- Nie żartowałem na ten temat.

- Cesare...

Megan nie mogła otrząsnąć się ze zdumienia. Zawsze marzyła, żeby usłyszeć od niego takie słowa, a teraz jak na ironię nie mogła uwierzyć, że to prawda.

Kochała się w tym mężczyźnie już jako nastolatka.

On jednak był od niej o osiem lat starszy, poza tym jako biznesmen i właściciel wielkiej korporacji wydawał jej się kimś nieosiągalnym. Firma jej ojca była tylko małym znaczącym ogniwkiem w rozległej sieci interesów Cesarego Santorina. Jak mogła się spodziewać, że taki mężczyzna kiedykolwiek zwróci na nią uwagę?

- Przestań ze mnie kpić.

- Dlaczego uważasz, że kpię? Nie, *cara*. Mówię ci najszczerzą prawdę.

- To niemożliwe...

Poczuła nagle, że siły ją opuszczają, i opadła na najbliższy fotel.

- Nie wierzę ci - szepnęła.

- Uwierz!

Pochylił się nad nią tak nisko, że nie miała już żadnej możliwości manewru i pozostawało jej tylko patrzeć prosto w płonące, ciemne oczy.

I nagle przypomniał jej się wulkan Etna na jego rodzinnej Sycylii. Żar jego spojrzenia przywołał Megan na myśl stopioną lawę, spływającą po stromych zboczach i pochłaniającą wszystko, co napotka na swej drodze. Zdawało jej się, że wzrok Cesarego ma tę samą moc i pali jej twarz i szyję.

Był tak blisko, że czuła świeży zapach jego ciała, pomieszany z cytrynowym zapachem wody kolońskiej, co podniecało ją niemal do bólu. Serce biło jej w przyspieszonym tempie, oddychała chrapliwie i nierówno.

- Nie rób mi tego! - wydusiła. - Co to ma być, Cesare? Jakaś przewrotna gra? Czy sprawia ci przyjemność, że mnie dręczysz i okłamujesz? Bo...

- Czy pomoże ci to, jeśli przysięgnę, że teraz nie kłamię, ale kłamałem w przeszłości?

- Kłamałeś?

Miała wrażenie, że z każdą chwilą sytuacja staje się dziwniejsza i mniej zrozumiała. Było tak, jakby Cesare Santorino, którego znała, znikł, a zamiast niego pojawił się ktoś całkiem obcy.

- Kiedy kłamałeś?

Mówiła z trudem, w ustach jej zaschło.

- Kiedy mówiłem, że nie jestem tobą zainteresowany; kiedy zachowywałem się tak, jakby twoje towarzystwo mnie nudziło. Kiedy...

- Przestań! Nie, nie, nie!

Nie chciała tego słuchać, zakryła dłońmi uszy.

- Przestań! - szepnęła rozpaczliwie. - Tak nie można!

Gdyby usłyszała to rok temu, w swoje dwudzieste pierwsze urodziny - skakałyby z radości. Nawet jeszcze na Boże Narodzenie czy podczas tego strasznego przyjęcia noworocznego serce by w niej śpiewało. Teraz jednak było za późno.

Nie mogła usłyszeć nic gorszego. Jeżeli to, co mówił Cesare, choć w części było prawdą, to na pewno zmieni zdanie, kiedy tylko się dowie...

- Przestań! - powtórzyła, tym razem bardziej stanowczo.

- *Mi dispiace*, przepraszam.

Cesare skarcił się w duchu, że działa zbyt szybko. Niecierpliwość zawsze była jego wadą i teraz też więcej by osiągnął, gdyby się tak nie śpieszył.

Obiecywał sobie, że tak właśnie będzie, lecz z chwilą gdy wszedł do biblioteki i po raz pierwszy od sześciu miesięcy zobaczył Megan, opanowanie go opuściło. Musiał tłumić swe uczucia od ponad sześciu lat i nie był w stanie robić tego ani chwili dłużej.

- Wybacz mi, Megan...

Mówił z takim przejęciem, że Megan popatrzyła na niego ze zdumieniem i konsternacją.

On odczuł to jako reprimendę.

- Wybacz mi... - powtórzył i uniósł ręce w typowo włoskim geście poddania.

- Masz rację. Nie powinienem był się z tobą drażnić. To było podłe i okrutne.

A więc miała rację, przeszło przez myśl Megan, kiedy Cesare odsunął się od niej i przygarbiony, z rękami w kieszeniach, zaczął przechadzać się po pokoju. Od samego początku wiedziała, że to nie może być prawda i że po prostu drażnił się z nią tak jak wtedy, kiedy była jeszcze prawie dzieckiem, a on poważnym dwudziestodwuletnim mężczyzną.

Kpił sobie wtedy z uwielbienia, jakim go darzyła i którego nie potrafiła ukryć. Teraz wyglądało na to, że historia się powtarza.

To bolało, bolało dotkliwie i pomnażało jeszcze cierpienie, jakie zadał jej Gary. W głowie jej się mąciło i nie była w stanie myśleć rozsądnie.

- W porządku - wydukała sztywno. - Niczego innego nie mogłam od ciebie oczekiwać. Ale skoro już zabawiłeś się moim kosztem, to czy mógłbyś sobie pojsc?

Uczyniła wysiłek, żeby unieść głowę i dumnie spojrzeć mu prosto w oczy.

- Zabawiłem się... twoim kosztem?

- Tak!

- Ty myślisz, że to tylko *un divertimento*' Ze ja się tak bawię?

- A czy tak nie jest? - rzuciła bojowym tonem.

- *La veritai* To prawda!

- Prawda! Och, przestań już i daj mi spokój.

Megan była u granic wytrzymałości i poczuła, że głos zaczyna jej niebezpiecznie drżeć.

- Nie rób mi tego! - załkała, a cierpienie zawarte w jej głosie było dla niego jak nagły cios.

Cesare znieruchomiał. Coś złego się tu działo i musiało to być coś więcej niż tylko nieporozumienie między nimi dwojgiem.

- O co chodzi? - zapytał. - Co się stało?

Wziął ją pod brodę i uważnie spojrzał jej w twarz.

Policzki Megan mokre były od łez. Łzy spływały jej po twarzy, a w oczach wciąż zbierały nowe.

- *Carina*, dlaczego płaczesz? Powiedz mi, co się stało, Meggie.

Bezwiednie użył zdrobnienia z jej czasów dziecińczych.

I właśnie jej imię to sprawiło. Gdyby nie powiedział „Meggie” akurat w ten sposób, gdyby nie użył tego zdrobnienia, które znali tylko najbliżsi, mogłaby się opierać.

On jednak wypowiedział jej imię tak czule i ciepło, że na mgnienie oka zapomniała o swych zmartwie-

niach i powróciła duchem w sielankowy, jasny i prosty świat dzieciństwa.

Wtedy żyła jeszcze marzeniem, że kiedyś ten mężczyzna ją pokocha. Wierzyła, że rozpościera się przed nią wspaniała przyszłość, pełna miłości i szczęścia. Ta przyszłość, która jednak okazała się nieosiągalna.

I nagle pojęła, że nie ma innego wyjścia - musi mu opowiedzieć tę całą smutną historię.

ROZDZIAŁ DRUGI

Milczała tak długo, że Cesare zaczynał tracić cierpliwość, a z kolei jego ostrzejszy ton sprawił, że nie była zdolna wydusić słowa. Cesare, wielki, groźny i potężny, ze ściągniętymi surowo brwiami, stał się na powrót kimś, kogo znała - i przed kim czuła respekt w dzieciństwie. Wtedy sama jego obecność czy zdawkowe pytania, jakie zadawał jej od niechcienia, potrafiły wprawić ją w najgłębsze zakłopotanie, odebrać jej mowę.

To samo stało się teraz..

- Megan...

Tym razem w jego głosie brzmiało ostrzeżenie, lecz to tylko pogorszyło sprawę. Nie potrafiła mu odpowiedzieć, słowa po prostu nie przechodziły jej przez gardło.

- Czy to chodzi o twojego ojca? Martwisz się, że ma kłopoty z firmą?

- Mówił ci o tym? - Zaskoczona Megan wreszcie odzyskała głos.

- Oczywiście, że mi mówił; jestem przecież jego przyjacielem.

- Czy prosił cię o pomoc? O to, żebyś go wykupił? A ty się zgodziłaś?

Jeśli Cesare był gotów pomóc jej ojcu i uratować

go od nieuchronnego bankructwa, to zdjąłby z niej chociaż ten problem.

- Powiedziałaś, że pożyczysz mu tyle, ile potrzebuje?

Nagła zmiana w twarzy Cesarego stanowiła dla niej wystarczającą odpowiedź.

- Nie - powiedział cicho. - Nie powiedziałem.

- Nie? - powtórzyła. - Nie mogę w to uwierzyć...

- To uwierz! - przerwał ostro, niezadowolony z kierunku, jaki zaczęła przybierać rozmowa. - Twój ojciec opowiedział mi o swoich kłopotach. Niestety...

Cesare widział, jak wielki ból zadaje jej w tej chwili, lecz nie mógł ani temu zapobiec, ani powiedzieć nic innego.

- Przecież byłoby cię na to stać! - wybuchnęła. - Przecież suma, której potrzebował, to kropla w morzu w porównaniu z majątkiem, jaki posiadasz! Ty zarabiasz tyle w ciągu roku!

Megan wstała z fotela i zbliżała się teraz do niego z taką wściekłością w oczach, że odruchowo cofnął się o kilka kroków.

- Tak, byłoby mnie na to stać.

- Ale nie chciałeś tego zrobić! A ja sądziłam, że jesteś jego przyjacielem!

- Jestem. *Dannazione*, Megan, wiesz przecież, że jestem.

- Szczególny rodzaj przyjaciela, który w najtrudniejszym momencie odmawia pomocy! - Potrząsnęła głową w wyrazie najwyższej pogardy.

Cesare miał nadzieję, że ta sprawa wyniknie zna-

cznie, znacznie później, a nagła komplikacja mocno pomieszała mu szyki.

- Meggie - powiedział tak spokojnie, jak zdołał.

- To nic by nie załatwiło. Twój ojciec to rozumie.

- Ale ja nie! Chyba musisz to wyjaśnić, bo nie każdy jest takim geniuszem finansowym jak ty. I nie nazywaj mnie „Meggie”! To było dobre parę lat temu, ale teraz nie jestem już dzieckiem. Jestem dwudziestodwuletnią kobietą, po studiach i z dyplomem. W ostatnich czasach bardzo wydorostałam!

- Bez wątpienia.

Objął spojrzeniem jej szczupłą sylwetkę w obciśłych dzinsach i podkoszulce, świetnie podkreślających kobiece kształty.

- Mam na imię Megan, zapamiętaj to sobie.

- Oczywiście.

Miała wrażenie, że z niej kpi, on jednak stanowczo temu zaprzeczył.

Z wściekłością odnotowała, że jest zbyt przystojny, by mogła w jego obecności zachować równowagę ducha. Kiedyś uważała go za najwspanialszego, najprzystojniejszego mężczyznę na świecie, a teraz?

Pośpiesznie przywołała się do porządku. Takie myśli były niebezpieczne, osłabiały ją, kiedy powinna być szczególnie silna.

- Może mój ojciec to rozumie, ale ja nie! Czy mógłbyś mi wytłumaczyć?

Nie, odpowiedział w duchu Cesare. W żaden sposób nie mogę tego wytłumaczyć. Po raz kolejny złapał się w potrzask obietnicy danej Tomowi Ellisowi. Star-

szy pan był tak dumny, że granoczyło to niemal z głupotą. Nawet w obliczu bankructwa swej firmy nie był w stanie przyjąć pomocy finansowej od przyjaciela - natomiast od zięcia mógłby.

- Przyjmę od ciebie pieniądze tylko wtedy, gdy Meggie za ciebie wyjdzie - oświadczył. - Wtedy cała sprawa pozostanie w rodzinie. W innym wypadku nie mogę tego zrobić.

Tom zażądał, aby ta umowa pozostała ich tajemnicą, i Cesare zmuszony był przystać na jego warunki, znając upór starszego pana. Nie miał innego sposobu, aby mu pomóc. Teraz jednak uczucia dla kobiety, która stała na wprost niego, wypierały lojalność wobec Toma.

Megan nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo rani mu serce, kiedy najpierw patrzyła na niego z niemym błaganiem w oczach, a potem z wyrzutem. A co jeszcze gorsze, sama jej obecność stawiała go niejako w stan pogotowia. Puls miał przyspieszony i nieustannie walczył z pokusą, by chwycić ją w ramiona, przytulić i całować.

Jednak takie zachowanie na pewno spłoszyłoby Megan i byłoby najgłupszym, co mógł w tej chwili zrobić. Na razie musiał stłumić swe uczucia.

- Cesare... wytłumacz mi to. - W głosie Megan zabrzmiało ostrzeżenie.

- Twój ojciec jest w dość skomplikowanej sytuacji - zaczął ostrożnie. - Sytuacja na rynku sprawiła, że jego inwestycje niemal zupełnie straciły wartość, a sama firma też ma poważne problemy.

- No więc, dlaczego mu nie pomożesz?

- Moje interesy nie polegają na wykupywaniu podpadających przedsiębiorstw. Gdyby rozniosło się, że to robię, natychmiast miałbym tysiące petentów szukających u mnie ratunku - i pieniędzy!

Pożałował tych słów, ledwie je wypowiedział, Megan bowiem aż wzdrygnęła się ze wstrętem. Związany obietnicą, którą dał Tomowi Ellisowi, czuł się teraz jak mucha bezskutecznie szarpiąca się w pajęczynie.

- To nie byłoby zdrowe podejście do interesów - dodał. Lecz zrobiłby to dla Toma, gdyby tylko ten mu na to pozwolił.

- No tak, a „zdrowe podejście do interesów jest najważniejsze”! - warknęła Megan.

- Gdybym je lekceważył, nie osiągnąłbym tego, co mam.

- Z pewnością. Coś osiągnąłeś, ale coś też straciłeś. Nie masz w sobie za grosz współczucia dla drugiego człowieka. I to człowieka, który uważał cię za przyjaciela.

- To nic by nie pomogło!

Dotknięty ponad wszelką wytrzymałość, Cesare nie mógł już się dłużej powstrzymać i wybuchnął:

- Twój ojciec jest pogrążony po szyję - i zdaje sobie z tego sprawę! Nie mógłby sobie pozwolić na kolejną pożyczkę, bo i tak ma już masę długów u rozmaitych ludzi.

Milczenie dziewczyny wskazywało, że jest zaskoczona, a Cesare znów pożałował tego, co powiedział. Nie tak wyobrażał sobie tę rozmowę, ale ich spotkanie

już od pierwszej chwili przebiegało całkiem inaczej, niż oczekiwał.

- Czy jest... aż-tak źle? Cesare, czy to ma znaczyć, że jest zrujnowany?

Nie musiał nic mówić, aby to potwierdzić. Odpowiedź wyczytała w jego twarzy.

Nogi się pod nią ugięły i gdyby Cesare jej nie podtrzymał, pewnie by upadła.

Trzymał ją w uścisku mocnych ramion i szeptał do ucha:

- Już dobrze, *carina*. Jesteś bezpieczna, nie pozwolę ci upaść.

Bezpieczna - to jedno słowo przedarło się do jej świadomości przez gąszcz splątanych, niejasnych myśli. Tak, teraz rzeczywiście czuła się bezpieczna. Pierwszy raz od sześciu długich, ciężkich tygodni nie czuła się samotna i zagubiona. Miała wrażenie, że Cesare przekazuje jej część swej siły. Chłonęła jego ciepło i zapach i było jej tak dobrze, że poddała się nastrojowi chwili i ufnie oparła głowę na jego ramieniu.

- Cesare...

- Megan...

Było jej dobrze, gdy wtulała głowę w zagłębienie jego ramienia.

- Megan... - powtórzył Cesare i tym razem zabrzmiało to ostrzegawczo.

- Cesare... - wyszeptała raz jeszcze.

Oczy miała przymknięte, ale i tak czuła na sobie gorące spojrzenie jego ciemnych oczu. Zdawało jej się, że na ten moment czekała całe życie.

- Megan... - Cesare mówił szorstkim, nieswoim głosem i zupełnie zatracił pozę opanowanego światowca. - Wydaje mi się, że będę musiał cię pocałować.

- Wiem...

- Wiesz?

Uśmiechnęła się po łobuzersku.

- Chyba będę musiała pozwolić...

Był to najdzikszy, najbardziej namiętny pocałunek - straciła oddech, kręciło jej się w głowie, a ziemia uciekała spod nóg. Płonęła z rozkoszy i pożądania, wtulała się w niego coraz mocniej, nie mogąc nacieszyć się ani nasycić tą nagłą, upragnioną bliskością.

- *Madre di Dio* - wymamrotał, z trudem łapiąc powietrze. - Och, Megan, Megan...

- Czy wiedziałeś o tym, że uwielbiam, jak wymawiasz moje imię? Meigan... - powtórzyła jak echo.

- To brzmi o wiele bardziej zmysłowo i egzotycznie niż takie dwa zwykłe, nieciekawe słowa: Megan Ellis.

- Nie! Nawet tak nie mów. - Cesare położył jej palec na ustach. - Nigdy nie używaj takich słów jak „zwykłe” czy „nieciekawe” w odniesieniu do swojego imienia, pamiętaj. Nie jesteś kimś zwykłym ani tym bardziej nieciekawym!

- Nie?

Megan podniosła wzrok, szukając w jego oczach kpiny, lecz nic takiego nie znalazła. Dojrzała natomiast ogień.

- Jesteś piękną - *squisita* - zadziwiająco, cudowną kobietą.

Megan nie wierzyła własnym uszom. Czuła się jak

dziecko, które przykleja nos do szyby sklepu ze słodyczami, a potem, złapane przez właściciela, nagle znajduje się w środku i może spróbować wszystkiego, czego tylko zapragnie.

- Ty... na pewno żartujesz, prawda? - zapytała, lecz potrząsnął głową przecząco.

- Jak mógłbym w ten sposób żartować?

Jedną dłonią łagodnie gładził jej kasztanowe włosy, a potem, ku jej zdumieniu, pocałował czule lśniąca pasmo. Powtórzył pieszczotę, całując przymknięte powieki Megan, aż serce znów zaczęło galopować jej w piersi.

Koniuszkami palców bładził po jej twarzy i szyi, z delikatnością, która przyprawiała ją o dreszcze rozkoszy.

A potem znów spotkały się ich usta i połączyły w pocałunku, od którego jej dusza chciała ulecieć, serce śpiewało, a krew Wrzała.

Megan przylgnęła do Cesarego tak blisko, że czuła jego wzrastające podniecenie, którego nie mógł ukryć. To już nie były słowa, lecz prawdziwa, fizyczna rzeczywistość, na którą odpowiadała. On jej pragnął, a ona pragnęła jego.

- Chyba wygodniej by nam było, gdybyśmy... - Dalsze słowa Cesarego utonęły w kolejnym płomiennym pocałunku, lecz Megan nie potrzebowała słów. Poszłaby za nim na ślepo, dokądkolwiek by ją prowadził. Pociągnął ją w stronę dużej, wygodnej kanapy, stojącej pośrodku biblioteki, na wprost kominka.

Zapadli się oboje w miękkie poduszki, nie przestając się całować.

- Meggie...

Tym razem nie miała nic przeciwko temu dziecinnemu zdrobnieniu swego imienia. Zabrzmiało zarazem czule i uwodzicielsko, było słowem - pieszczotą, lecz najbardziej podniecający był dla niej wyraz całkowitego poddania z jego strony.

Myśl o tym, że teraz ona może robić z tym potężnym mężczyzną, co tylko zechce, napełniła ją szczególnym poczuciem siły. Wiedzioną nieokiełznanym pożądaniem rozwiązała mu krawat i zaczęła rozpinać guziki koszuli, odsłaniając mocne, opalone ciało, które w zetknięciu z jej głodnymi wargami wydawało się delikatne jak aksamit.

- Meggie!

Był pokonany. Jednym zręcznym gestem obrócił się na plecy i leżał teraz na kanapie, a Megan u jego boku. Nie mógł już i nie chciał powstrzymywać swego pragnienia i niecierpliwie szarpał na niej biały T-shirt, chcąc wreszcie dotknąć, pieścić i całować jej piersi.

- *Bellissima, magnifica, squisita...* - mimo woli znów przeszedł na swój język, wypowiadając każde słowo czule, melodyjnie. - Megan, już jako dziecko byłaś zachwycająca, ale jako kobieta... - Nie dokończył, lecz ich spojrzenia spotkały się na dłuższą chwilę i zdawało jej się, że wie, co Cesare chciał powiedzieć.

Wciąż pamiętał ją jako dziecko, denerwującą smarkulę, która chodziła za nim krok w krok i przeszkadzała. Te wspomnienia pewnie sprawiały, że się wahał, nie był pewien, czy może posunąć się dalej, czy jest już wystarczająco dorosła.

Czyżby nie wystarczała mu odpowiedź, którą widział w jej oczach?

Na wszelki wypadek pocałowała go po raz kolejny z całą, namiętną zmysłowością; na jaką ją było stać.

- Tak, Cesare - szepnęła. - Jeśli tylko mnie chcesz, to tak, tak, tak! Jestem twoja, tutaj i teraz... i zawsze, gdziekolwiek i kiedykolwiek mnie zapragniesz!

W odpowiedzi zamruczał po włosku coś, czego nie zrozumiała. A potem już tylko jęczała z rozkoszy, czując na swoich piersiach jego gorące dłonie, które wdarły się pod jej stanik, gładziły i pieściły, aż wiała się pod ich dotykiem.

- *Mądre de Dios!*

Cesare znów mówił po włosku, co najwyraźniej miało miejsce w chwilach wielkiego napięcia emocjonalnego. Zdołał wreszcie na dobre zdjąć i odrzucić na bok T-shirt Megan i pieścił dalej jej piersi z niesłabnącą, zachłanną gorliwością.

- Megan, *mia amante*, ostatnio bardzo wydorostałaś. A mnie wciąż wydawałaś się małą dziewczynką... Zmieniłaś się... stałaś się prawdziwą kobietą.

Te słowa dudniły w głowie Megan jak echo, dziwnie groźne i złowróżbne. Sam ich dźwięk był kosztownym przypomnieniem i zarazem śmiercią jej oczekiwań i nadziei.

- Nie!

To był krzyk zawodu i zagubienia, który przejmująco rozległ się w pokoju. I sprawił, że Cesare zamarł.

- Nie?

Poczuł się, jakby nagle dostał mocny policzek. Jeszcze przed chwilą była w jego ramionach, wolna i bez żadnych zahamowań. A teraz...

- Nie mówisz tego poważnie!

- Właśnie, że tak. Nie chcę!

Czuł się dotknięty do żywego i nie był w stanie myśleć rozsądnie.

- Ty sobie tylko żartujesz...

- Nie! To wcale nie tak!

Z nieoczekiwaną siłą wyrwała się z jego objęć, przebiegła pokój i zatrzymała się przy marmurowym kominku, zasłaniając ramionami obnażone piersi.

- Musisz mi uwierzyć! - zawołała. - Ja naprawdę nie żartuję! Po prostu nie chcę!

Tego już było za dużo.

- Przestań, *cara*, skończ z tym udawaniem! Chciałaś tego tak samo jak ja, nawet nie próbuj zaprzeczać. Przecież nie jestem ślepy ani głuchy! W twoich oczach widziałem namiętność, słyszałem ją w twoim głosie...

- Tak... Tylko że... - Megan zakryła dłońmi pobladałą nagle twarz.

- Tylko że co?

- Nie wiedziałam, co mówię.

Przez parę szalonych, złudnych chwil pozwoliła sobie udawać, że jest tą młodziutką i niewinną Megan, która szaleje z miłości do Cesarego. Uznała, że oto spełnia się marzenie, które hołubiła w sercu od tylu lat.

Tylko że ona nie była już tamtą Megan i nie mogła sobie pozwolić na takie szalone i nieodpowiedzialne zachowanie. Nie powinna myśleć tylko o sobie... co uświadomiły jej dopiero słowa Cesarego. I myśl o tym, jak wiele mogłaby mieć i jak wiele traci, była równie bolesna, jak gdyby ktoś wrywał jej serce.

- Nie ma już znaczenia, co powiedziałam, ponieważ nie mogę...

- Czego nie możesz? - Cesare wreszcie zdołał trochę nad sobą zapanować, lecz napięta twarz wskazywała, że kosztowało go to wiele.

- Nie mogę spać z tobą... ani z nikim innym. To znaczy, nie mogę mieć romansu ani z tobą, ani z kimkolwiek.

- Ale dlaczego?

Tego już było za wiele. Nie mogła odpowiedzieć mu na to pytanie, bo z góry wiedziała, jak by zareagował. Potrząsnęła więc tylko głową w milczeniu i patrzyła w okno, chcąc uniknąć jego wzroku.

- Megan, dlaczego nie?

Zrozumiała, że on nie ustąpi, dopóki nie dowie się prawdy.

- Powiesz mi, czy mam podejść i... - Postąpił krok w jej kierunku.

- No dobrze! Chcesz znać prawdę, to ci powiem! - rzuciła w porywie rozpacz, lecz nadal nie mogła wydusić z siebie, o co chodzi.

- No więc... - Cesare nie miał w tej chwili litości - prawda jest taka, że...

- Że jestem w ciąży! - wypaliła Megan z taką determinacją, jakby rzucała się w przepaść. - Na studiach miałam romans... Popełniłam błąd... i jestem w ciąży. Za siedem miesięcy urodzę dziecko.

ROZDZIAŁ TRZECI

- Co?

Cesare poczuł się, jakby nagle dostał w twarz. Ugodzony został znacznie dotkliwiej, chociaż ból trudniej byłoby umiejscowić. Szaleńcze pożądanie znikło w mgnieniu oka, a on trwał w osłupieniu.

- Co powiedziałaś? - To pytanie było całkiem zbyt-
teczne, lecz musiał coś mówić, żeby nie wyrzucić z siebie tego, co dudniło mu teraz w głowie: dlaczego, do diabła, to zrobiłaś?

Powstrzymał się jednak i zmilczał. Nie zapytał, jak mogła oddać się innemu, skoro należała do niego! Czy nie zdawała sobie z tego sprawy? Czy nie wiedziała, że nie ma prawa być z nikim innym? Tylko że on przez tyle czasu nie był wobec niej szczery i grał. Trwało to strasznie długo, teraz miał wrażenie, że przez całe życie. Musiał więc przyznać w duchu, że sam też nie był w porządku.

Jednak najgorsza ze wszystkiego stała się zazdrość, która rozszalała się w nim z siłą nawałnicy. Na myśl, że Megan mogło na kimsz zależeć do tego stopnia, że poszła z nim do łóżka, kochała się z nim - ogarniała go ślepa furia.

Megan milczała. Była blada, oczy zrobiły jej się wielkie jak spodki, broda drżała.

- Co powiedziałaś? - zapytał po raz trzeci.
- Wiesz, co powiedziałam! Jestem w ciąży.
- Jak, na litość boską, to się stało?

Jej uśmiech, jakkolwiek blado wypadł, był ostatnią rzeczą, której Cesare w tym momencie oczekiwał. W wyrazie twarzy Megan widoczna była lekka kpina.

- Och, Cesare, ty chyba nie musisz o to pytać! Nie uczyłeś się o ptaszkach i pszczołkach?

- No, tak... - odburknął z widocznym zakłopotaniem. - Wiesz, o co mi chodzi...

- Ja... Przepraszam, czy mógłbyś mi podać ubranie? Wołałabym się najpierw ubrać, jeżeli nie masz nic przeciwko temu. - Wskazała swoją koszulkę leżącą na podłodze.

Kontrast między Megan sprzed paru minut - wyzwoloną i nieokiełznaną w namiętności młodą kobietą - a tą, która teraz wstydliwie osłaniała nagie piersi - był piorunujący.

Zdołała pochwycić T-shirt, który Cesare jej rzucił, odwróciła się do niego tyłem i dopiero wtedy się ubrała.

Może to i lepiej, pomyślał, drżącymi rękami przeczesując włosy i zapinając koszulę. Musiał za wszelką cenę odzyskać panowanie nad sobą, a w obecności półnagiej Megan byłoby to niemożliwe.

Kiedy w końcu doprowadziła się do porządku i znów na niego popatrzyła, z uporem wrócił do sprawy.

- A więc? Powiesz mi w końcu, co się stało?

- Wiesz, co się stało! Wcale nie muszę ci tego opowiadać!

Megan czuła się jak uczennica wezwana do dyrektora na dywanik i oczekująca reprimendy za szkolne przewinienie. A może jeszcze gorzej? Cesare był dla niej teraz prokuratorem, sędzią i ławą przysięgłych w jednej osobie. Patrząc na wyraz dezaprobaty na jego twarzy, czuła, jak zimny pot spływa jej po plecach.

- Poznałam go na przyjęciu - zaczęła. - Nazywał się Gary. Zrobił na mnie duże wrażenie i nie ukrywał, że ja też przypadłam mu do gustu. Zaczęliśmy się spotykać. Któregoś wieczoru nasze pocałunki przerodziły się w coś więcej... Tak to bywa...

- Tak to bywa - powtórzył Cesare tonem, który zmroził jej krew w żyłach. - No i wylądowaliście razem w łóżku.

- Musisz to spłycać?

- A nie było tak?

- Nie! Wcale tak nie było!

- Aaa, rozumiem...

Cesare, rozparty na kanapie, bezlitośnie świdrował Megan lodowatym wzrokiem, jakby chciał przewiercić jej duszę na wylot.

- Byłaś w nim szaleńczo zakochana?

- Tak! Tak, byłam!

Protestowała zbyt gwałtownie, aby to było szczere. Cesare znał ją wystarczająco dobrze, by nie dać się zwieść.

Megan zdawało się początkowo, że jest zakochana w Garym. Przez jakiś czas nawet w to wierzyła, potem

jednak sytuacja się zmieniała i nie była już tego taka pewna. Teraz Cesare zmuszał ją, żeby spojrzała prawdzie w oczy.

- Ale on nie kochał ciebie? - podsunął.

- Dlaczego to mówisz? Skąd możesz wiedzieć?

Wzruszył tylko ramionami.

- Gdyby mu na tobie zależało, byłby tu teraz. Nie pozwoliłby, żebyś wróciła do domu i sama borykała się z tym problemem. Pewnie właśnie dlatego płakałaś. On nie przyjechał tu z tobą?

- Nie - szepnęła i było to jak ledwo dosłyszalne tchnienie. - Nie przyjechał. Jeśli idzie o ścisłość, wcale nie przyjedzie. Nigdy.

- Nawet kiedy dziecko...?

- Nie.

Potrząsnęła głową z miną małej, porzuconej dziewczynki.

- Nie przyjedzie ani ze względu na mnie, ani na dziecko. On nas nie chce. Nie traktował mnie poważnie, zabawił się - to wszystko. Prawdę mówiąc... - Megan zaczerpnęła tchu, a Cesare ścierpł na myśl, co jeszcze ma w zanadrzu. - Jest żonaty.

- Żonaty? Och, Meggie...!

- Ja o tym nie wiedziałam! Czy myślisz, że bym się z nim spotykała, gdybym miała chociaż cień podejrzenia na ten temat? Nie jestem aż taką idiotką!

- Nie? - Cesare uniósł brwi. - A mnie się wydaje...

- No tak, ty jesteś ten nieomylny, wielki i wszechwiedzący Cesare Santorino! - z goryczą wybuchnęła

Megan. - Wiadomo, że tobie żadna pomyłka nie mogłaby się przytrafić!

A jednak. Cesare nie był tego taki pewien. Wzruszył ramionami. Wiedział już, że przyście tu dziś wieczorem było piramidalnym błędem. Zrobił z siebie durnia.

Rzeczywiście, zgodnie z obietnicą daną jej ojcu, skrywał swe uczucia do Megan i czekał, aż z dziecka zmieni się w młodą kobietę. Tylko dlaczego zakładał, że ona czuje podobnie? Że będzie czekała na niego z taką samą wytrwałością? Nie poczekała! Nawet o nim nie myślała! Zamiast tego wskoczyła do łóżka z kim innym - i to w dodatku żonatym!

A może ten Gary nie był jej pierwszym?

Serce bolało go jak nigdy dotąd i miał wrażenie, że stężony kwas wyżera mu duszę, siejąc spustoszenie w uczuciach, robiąc z niego ruinę.

Tymczasem Megan domagała się od niego odpowiedzi, czy kiedykolwiek dopuścił się w życiu pomyłki. Przyznał, że zakochał się kiedyś w niewłaściwej osobie. No cóż, to miało wszelkie znamiona prawdy.

- No i jakoś to przetrwałem - podsumował. - Tak to bywa. Jak mówią, czas leczy rany.

- Tylko że w moim wypadku czas może tylko pogorszyć sprawę. - Megan bezwiednie dotknęła dłonią brzucha, a spojrzenie Cesarego też pobiegło w tę stronę.

- Czy jesteś pewna?

- Najzupełniej.

- Byłaś u lekarza?

- Cesare, nie muszę chodzić do lekarza, przecież

widzę, co się ze mną dzieje! Od dwóch miesięcy nie miałam okresu. Poza tym rano miewam mdłości, no i zrobiłam sobie test ciąży, który kupuje się w aptece. Wynik był pozytywny.

- O ile wiem, te testy nie zawsze są miarodajne.

- Nie pocieszaj mnie! Jestem w ciąży. Nie mam co do tego wątpliwości.

- No i co zamierzasz zrobić?

- Nie wiem - przyznała szczerze.

- Nie myślałaś o aborcji?

Przyszło jej do głowy, że gdyby Cesare nie był tak wybitnym biznesmenem, to z pewnością mógłby zrobić karierę jako śledczy, przesłuchujący podejrzanych. Miotał pytaniami, jakby to były pociski.

Nie mogła już znieść dezaprobaty, która dosłownie biła z jego twarzy.

- Nie, nie myślałam o aborcji! Nie zrobiłabym tego! Poza tym, to nie twój interes!

- Chciałem ci tylko pomóc!

- W ten sposób? No cóż, to moje dziecko! I nie ma z tobą nic wspólnego!

- I z tego, panno Ellis - odparł zjadliwie - nadzwyczaj się cieszę.

- No, to świetnie, że się rozumiemy!

- O, tak - stwierdził Cesare ponuro. - Widzę, że moje towarzystwo nie jest tu pożądane, dlatego najlepiej zrobię, jeśli się pożegnám.

- Nareszcie! Myślałam już, że nigdy nie wyjdiesz.

Odwrócił się gwałtownie i zmierzał do wyjścia, a ona stała jak oniemiała. Odegrała swą rolę aż nazbyt

przekonująco, podczas gdy prawda była zupełnie inna. Bała się otworzyć usta, aby nie wybuchnąć płaczem, lecz czuła, że serce jej pęknie, jeśli Cesare rzeczywiście odejdzie.

Dopiero kiedy był przy drzwiach i chwycił za klamkę, zdołała wydusić z siebie:

- Cesare, proszę cię...!

Myślał, że to już koniec, że teraz odejdzie i już nigdy jej nie zobaczy. Szalone marzenia o miłości i małżeństwie, którymi się karmił, przychodząc tutaj, rozpadły się. Wyobrażał sobie niemal, jak idąc, wdeptuje je w ziemię.

Odchodził i nie wiedział jeszcze dokąd, lecz czuł, że musi zahaczyć o najbliższy bar. Naprawdę potrzebował drinka!

I wtedy usłyszał swoje imię, wymówione tak cichym szeptem, że nie był pewien, czy mu się nie zdało. Zamarł z ręką na klamce.

- Proszę, nie odchodź!

W jej głosie było błaganie, któremu nie potrafił się przeciwstawić. Chciał wzbudzić w sobie niedawną wściekłość i nienawiść, lecz nie zdołał. Zwyciężyło uczucie. Odwrócił się i spojrzał na nią.

- Czego chcesz, Megan?

Stała dokładnie tam, gdzie przedtem, i wyglądała, jakby cała krew odpłynęła jej z twarzy. Nie mógł jej tak zostawić.

- Powiedz mi, czego ode mnie chcesz, i zrobię to.

- Proszę, nie zostawiaj mnie samej... Nie wiem, co robić.

To był krzyk przerażonego dziecka. Gdyby jej teraz dotknął, byłby zgubiony. Jeszcze czuł miękkość jej skóry i smak warg, delikatną woń perfum. Na myśl o tym znów wzbierało w nim pożądanie, wiedział jednak, że nie może mu się poddać.

Z goryczą przeklinał chwilę, w której zadzwonił dziś do drzwi tego domu. Był taki diabelnie pewny siebie, wydawało mu się, że Megan będzie jego, bo inaczej być nie może.

Jego złudzenia rozwiały się dokumentnie.

A jednak wyglądała tak żałośnie... Gdyby ją zostawił, byłaby jak mała sarenka porzucona w środku lasu na pastwę drapieżnych wilków.

- Musisz myśleć praktycznie - rzekł. - Rozumiem, że chcesz urodzić to dziecko?

- Tak! - odparła Megan, odzyskując dawnego ducha. - Nie mam zamiaru...

- Wcale tego nie sugeruję - szybko wtrącił Cesare, widząc, że łzy zalsniły w jej oczach. - To była tylko jedna z możliwości. Czy jesteś pewna, że ojciec dziecka ci nie pomoże?

- Gary? - Wymownie wzruszyła ramionami. - Nie robił mi żadnych nadziei. Byłam dla niego tylko przelotną przygodą, wypełniałam mu czas podczas pobytu w Anglii. Wygłaszał serię gościnnych wykładów u nas na uniwersytecie i jakoś nie uważał za stosowne nikogo poinformować, że w Ameryce ma żonę i dwoje dzieci. Myślisz, że zależałoby mu na trzecim małym Garym Rowellu?

- Musiał być z niego niezły czaruś!

- O to chodzi, że rzeczywiście był... czarujący. On...

- Nie chcę o nim słyszeć ani słowa więcej!

Cesare bał się, że kolejny przypływ zazdrości znów wytrąci go z równowagi. Postanowił więc nie dawać do siebie przystępu niebezpiecznym myślom.

Wziął Megan za rękę i podprowadził ją do fotela.

- Usiądź tu - rzekł. - Lepiej nam będzie rozmawiać, kiedy usiądziesz sobie wygodnie. Wyglądasz, jakbyś padała z nóg.

- Jestem zmęczona - przyznała. - Ostatnio kiepsko sypiam.

- Wyobrażam sobie.

Megan z ulgą opadła na fotel przy kominku, skąd niestety był znakomity widok na sofę, jeszcze niedawno miejsce ich czułych i namiętnych pieszczot. Pośpiesznie odwróciła wzrok od skłębionych poduszek, lecz na jej twarzy odmalował się wyraz takiego wstrętu, jak gdyby ujrzała tam ohydneho węża.

Cesare uświadomił sobie w tym momencie, że nie ma co liczyć na jej wzajemność, skoro nawet ta chwila zbliżenia wyzwalała w Megan negatywne odczucia. Dawało mu to nikłe nadzieje na przyszłość i na spełnienie marzeń, które hodował w sercu przez tyle lat. A jednak wiedział, że nie potrafi tak łatwo pogodzić się z klęską.

- Chyba że...

Nagle zaświtał mu w głowie pewien pomysł; sposób, aby mimo wszystko zdobyć to, czego pragnął. Nie było to wprawdzie rozwiązanie idealne i nie takie speł-

nienie marzeń, jak sobie to zwykł wyobrażać, lecz czy cokolwiek w życiu jest idealne? Zdażył się już nauczyć, że czasami lepiej jest wybrać rozwiązanie połowiczne niż nic.

- Czy powiedziałaś już ojcu? - zapytał.

Megan na samą myśl o tym wzdrygnęła się z przerażenia.

- Nie byłam w stanie! On ma teraz i tak dość kłopotów.

- Ty też nie masz najłatwiej.

- Ale tata i tak zamartwia się na śmierć. A jeśli to, co mówisz, jest prawdą, to znaczy, że po prostu ma nóż na gardle... Jak mogłabym jeszcze dodawać mu zmartwień? On walczy teraz o przetrwanie, a ostatnio kiepsko się czuje. Ma wysokie ciśnienie, problemy z sercem...

- A więc, co chcesz zrobić? Potrafisz się sama utrzymać?

- Nie wiem. Będę musiała spróbować, na pewno znajdę jakąś pracę. Dyplom z historii sztuki nie jest może najbardziej poszukiwany przez ewentualnych pracodawców...

- Istnieje pewna alternatywa.

- Jaka?

Megan pojaśniała na twarzy, lecz poważne spojrzenie Cesarego zwiastowało, że to, co powie, niekoniecznie przypadnie jej do gustu.

- Wyjść za męża.

Spojrzała na niego z niechęcią.

- Przecież mówiłam ci już, że Gary...

- Nie chodzi o tego drania!
- No to o kogo?' Jakoś nie widzę tłumu konkurentów, którzy czekają, żeby móc mi się oświadczyć. A już tym bardziej teraz!
- Nie dociera do ciebie to, co najbardziej oczywiste. Oszołomiona, w jego ciemnej, nieodgadnionej twarzy usiłowała szukać odpowiedzi.
- Nie wiem, powiedz mi.
- Chodzi o mnie. Mogłabyś wyjść za mnie.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Megan wpatrywała się w niego z niemą rozpaczą, nie rozumiejąc, jak mógł pozwolić sobie na tak okrutny żart - bo przecież to musiał być żart!

A jednak nie znalazła w nim ani śladu kpiny; Cesare sprawiał wrażenie zupełnie poważnego. Czyżby powiedział to na serio? Poczowała, że jej serce wpada w jakiś szaleńczy, paniczny rytm.

- Żartujesz!

- *Al contrario*, chyba nigdy w życiu nie byłem równie poważny. To rozwiązałyby oba nasze problemy za jednym zamachem.

- Oba problemy?

Cesare stał tak blisko, że z trudem zbierała myśli, a musiała teraz myśleć rozsądnie, bo jakkolwiek wydawało jej się to absurdalne, on jednak nie żartował.

- Jaki ty masz problem, który rozwiązałyby nasze małżeństwo? - zapytała.

- Kłopoty z rodziną.

Wszystkie zmysły Megan były teraz jak pod napięciem, bo Cesare stał obok. Blisko. Za blisko. Widziała cień zarostu na jego twarzy, czuła zapach wody kołońskiej i jedyny, niepowtarzalny zapach jego skóry.

Chciała odwrócić wzrok, lecz nie mogła.

- Co z twoją rodziną? - wydusiła. - Co ich to może obchodzić?

- Chcą, żebym się ożenił. Zależy im na tym, żebym miał dzieci, które w przyszłości odziedziczą firmę i przejmą interesy. Wszyscy się spodziewali, że Gio będzie miał więcej dzieci, ale ponieważ Lucia umarła, nie zanosi się na to.

Megan kiwnęła głową ze współczuciem. Starszy od Cesarego Gio, jego brat przyrodni, przeżył wielką tragedię. Stracił ukochaną, piękną żonę Lucię, która zmarła nagle. Lekarze stwierdzili wylew krwi do mózgu - coś, czego nie można było przewidzieć ani temu zapobiec.

- A nie wolałbyś mieć normalnego małżeństwa?

- Nasze małżeństwo może być zupełnie normalne. Przecież zawsze się lubiliśmy, prawda? A to, co się stało dzisiaj...

Spojrzał wymownie na sofę i skłębione poduszki, których żadne z nich dotąd nie poprawiło. Megan natomiast oblała się rumieńcem. Nikt nie musiał jej przypominać, jak zachowywała się w tych szalonych, pełnych namiętności chwilach; to zupełnie nie było w jej stylu. Jeszcze żaden mężczyzna nie wywołał w niej takich reakcji, nawet Gary, chociaż zdawało jej się, że go kocha.

- A wtedy na Nowy Rok...

- Wtedy wypiął o jeden kieliszek szampana za dużo - pośpiesznie przerwała Megan, nie chcąc, żeby jej dalej przypominał, jak głupio się wtedy zachowy-

wała. - Byłam samotna i niepewna siebie, a ty... byłeś akurat pod ręką.

- Więc te wszystkie deklaracje miłości to były puste słowa?

- Mniej więcej tak samo, jak twoje dzisiejsze oświadczyły, jeśli to były oświadczyły.

- Tak, to były oświadczyły i wypowiedziałem je całkiem szczerze. No więc, jaka jest twoja odpowiedź?

- Jest tylko jedna możliwa odpowiedź i brzmi ona: nie. Oczywiście, że za ciebie nie wyjdę i doskonale o tym wiedziałeś.

Zdawało jej się, że na moment w jego oczach pojawił się wyraz rozczarowania, ale uznała to za złudzenie.

Czy rzeczywiście uważał ją za taką idiotkę, że oczekiwał, iż padnie mu w ramiona na pierwsze skinienie? A może był aż tak zarozumiały, że nie dopuszczał możliwości, aby odmówiła mu jakakolwiek kobieta?

- Odmawiam! - Specjalnie przybrała ton sztywnej, typowo angielskiej uprzejmości. - Dziękuję za pańską propozycję małżeństwa, signor Santorino, ale obawiam się, że będę musiała odmówić zaszczytu.

Kamienny, nieprzenikniony wyraz jego twarzy zdecydowanie odbierał jej pewność siebie.

Dała mi kosza, pomyślał z żalem Cesare. Było to głupie, ale nagle poczuł, że brakuje mu słów i nie wie, co powiedzieć. Potrafił negocjować z dyrektorami i prezesami zarządów rozmaitych spółek, a wobec tej drobnej, szczupłej dziewczyny nagle okazał się bezbronny.

Ale, u licha, nie zamierzał się poddawać. Postanowił, że nie wyjdzie; dopóki Megan nie zgodzi się zostać jego żoną. Zamierzał użyć wszelkich środków i sposobów, aby usłyszeć w końcu: tak. Gdyby teraz dał za wygraną i odszedł, znaczyłoby to, że odchodzi na zawsze. A takiej ewentualności nie dopuszczał.

- A więc może mi powiesz, co w takim razie masz zamiar zrobić? - zapytał.

- Zrobić?

Chwilowa brawura Megan znikła i odsłoniła głębie jej niepewności i braku bezpieczeństwa.

- Dam... sobie radę. Jakoś. Coś pewnie znajdę...

- Podaj mi przykład. - Cesare znów przeszedł do ataku. - Nie rozumiem, dlaczego tak stanowczo odrzucasz moją propozycję. Czy myśl o tym, że mogłabyś wyjść za mnie, wydaje ci się aż tak odstręczająca?

- Ależ nie! - Próbowwała się roześmiać, lecz wypadło to żałośnie. - Czy naprawdę mógłbyś uznać dziecko innego mężczyzny za swoje? - zapytała z wahaniem.

- To nie byłoby dziecko innego mężczyzny. Dałaś już Rowellowi szansę, żeby je uznał za swoje, ale on z tego nie skorzystał. Nie zasługuje więc nawet na miano ojca. To dziecko urodziłoby się w naszym małżeństwie, jego ojcem byłbym więc ja. Opiekowałbym się nim tam samo, jak opiekowałbym się tobą.

- Sama potrafisz się sobą opiekować!

- Och, z pewnością!

- Inni ludzie jakoś sobie radzą!

- Inni ludzie muszą - stwierdził Cesare głucho. -

Nie mają wyjścia. Ja daję ci wybór. Nie musisz sobie radzić. Będziesz mogła zadbać o swoje dziecko właściwie i dać mu wszystko, czego będzie potrzebowało.

Czuł, że uderzył we właściwą strunę, i widział, że Megan zaczyna się wahać. Postanowił użyć jeszcze jednego argumentu, żeby ją zachęcić.

- Jeśli chcesz, mogę dołożyć do tej transakcji pakiet ratunkowy dla twojego ojca.

- To brzmi zupełnie jak kontrakt handlowy!

Cesare wzruszeniem ramion skwitował tę uwagę.

- Ale jak wszystkie najlepsze kontrakty handlowe, daje obu kontrahentom to, na czym im zależy.

Podszedł, nachylił się nad nią i głęboko zajrzał jej w oczy.

- O co chodzi, Meggie? - zapytał cicho. - Czy moje oświadczenia wypadły zbyt obcesowo? Nie dość romantycznie? Może wolałabyś, żebym padł przed tobą na kolana?

I nie czekając na odpowiedź, natychmiast to zrobił. Wyciągnął rękę i mocno ujął jej dłoń.

- Megan... - zaczął głosem donośnym i uroczystym. - Czy zrobisz mi ten wielki zaszczyt i zostaniesz moją żoną?

- Och, przestań! - Megan próbowała wyrwać dłoń, lecz bezskutecznie. - Proszę cię, mów poważnie!

- Mówię poważnie. Bardziej niż kiedykolwiek w życiu.

Dopiero kiedy jego postać zaczęła rozmywać jej się przed oczami, Megan uświadomiła sobie, że za moment wybuchnie płaczem. Za wszelką cenę musiała po-

wstrzymać łzy, nie chciała, żeby Cesare je widział. Łzy mogły ją zdradzić, nawet przed samą sobą.

Miała wrażenie, że nagle cofnęła się w czasie i wróciła do punktu, gdy Cesare Santorino był dla niej jedynym mężczyzną na świecie. Marzyła o nim we dnie i śniła w nocy, a obrazem, który powracał najczęściej, był właśnie ten, kiedy wysoki, przystojny i czarujący Włoch klęczy przed nią i prosi, żeby została jego żoną.

I teraz działo się właśnie to, o czym marzyła - z tą tylko różnicą, że oświadczał jej się, bo małżeństwo miało rozwiązać problemy ich obojga, było rozwiązaniem czysto praktycznym, całkowicie pozbawionym uczucia. I to właśnie brak uczucia ranił ją najbardziej i ostrzegał, że brnie w sytuację niebezpieczną.

- Cesare, przecież wiesz, że nie mogę cię poślubić!

- Wiem, że nie możesz zrobić nic innego. Na pewno nic, co dałoby ci swobodę i środki wystarczające, żebyś mogła być pełnoetatową matką dla swego dziecka, a co jednocześnie rozwiązałoby problemy twojego ojca. Musisz zdać sobie sprawę, że Tom nie będzie w stanie cię utrzymywać, musi walczyć o przetrwanie, jeśli firma stanie w obliczu bankructwa.

Megan miała poczucie, że przyszłość, którą Cesare tak szczerze dla niej zaplanował, wysysają w siebie nieodwołalnie, bez względu na to, jak mocno by się opierała.

- Cesare, proszę cię, wstań już z klęczek! - powiedziała, lecz on wcale nie miał zamiaru jej posłuchać.

- Nie wstanę, dopóki nie otrzymam odpowiedzi.

- Już ci odpowiedziałam!

Sama czuła, że w jej głosie więcej jest niepewności niż mocnego przekonania.

- To nie była odpowiedź, na którą czekam. Myśl rozsądnie, Megan!

Rozsądek niewiele mógł tu pomóc. Czuła, że los gorzko z niej zakpił, ofiarowując jej młodzieńcze marzenie, tak zupełnie wyprane z najistotniejszej treści, że stało się własną karykaturą. Dawniej marzyła, żeby Cesare zakochał się w niej do szaleństwa. Teraz zdawało jej się to równie nierealne, jak wtedy.

A może gdyby byli przez jakiś czas razem? Gdyby żyli jako małżeństwo, dzieląc ze sobą obowiązki, dom i łóżko? Przeszedł ją dreszcz.

Zdała sobie sprawę, że nie jest to dreszcz lęku, lecz wręcz przeciwnie - drażniącego podniecenia na myśl, że to, co zaczęli dziś wieczorem, mogłoby się dopełnić.

- *Dannazione*, Megan, przecież chyba wiesz, że mogłoby nam się udać! Zawsze się lubiliśmy - a to już więcej niż może powiedzieć o sobie wiele małżeństw. I musisz przyznać, że seks pewnie też byłby mocną stroną naszego związku, dzisiaj mieliśmy już tego przedsmak.

- W małżeństwie nie chodzi tylko o seks.

Właściwie dlaczego cały czas z nim walczyła? Czy może w ten sposób walczyła ze sobą? Czy nie prościej byłoby się poddać, wyrazić zgodę, na którą tak czekał? Przecież w głębi duszy właśnie tego zawsze pragnęła.

I nagle, nieoczekiwanie, przypomniało jej się coś,

co raczej wolałaby zapomnieć - moment, kiedy poznała Gary'ego Rowella. Wysoki, przystojny i ciemnowłosy wykładowca od razu nasuwał porównanie z Cesarem. Byli tak podobni, że można by ich wziąć za braci, różnił ich tylko kolor oczu; Amerykanin miał oczy niebieskie, a Cesare ciemne, najciemniejsze, jakie Megan kiedykolwiek widziała. Od czasu pechowego przyjęcia noworocznego, kiedy Cesare ją odepchnął i pogardził jej wyznaniem miłości, nosiła w sercu głęboki żal i urazę. Chciała się na nim odegrać. To sprawiło, że stała się dla Amerykanina łatwym łupem, padła mu w ramiona jak dojrzała gruszka spadająca z drzewa. Naiwna i łatwowierna, wierzyła każdemu kłamliwemu słowu miłości i wszystkim obietnicom, bo tak bardzo było jej tego potrzeba.

- Wiem, że małżeństwa to więcej niż seks, ale do diabła, Megan, mielibyśmy od czego zaczynać i na czym dalej budować.

Czy chwyciła się ostatniej deski ratunku, czy rzeczywiście w jego głosie dosłyszała coś, co dawało pewną nadzieję? Chciał z nią „dalej budować”, więc może jednak traktował ją poważnie?

- Megan... - Coraz bardziej niecierpliwie domagał się odpowiedzi. - Musisz się zdecydować, bo wstanę z tej diabelnie twardej podłogi i odejdę. I ostrzegam cię, że wtedy już odejdę na dobre. Wyjdę stąd i nigdy nie wrócę. Nie pomogą już twoje prośby i błagania o pomoc. Możesz się wtedy pożegnać z perspektywą, że spłacę długi twojego ojca i zapewnię byt dziecku, bo ja po raz drugi już z tą propozycją nie wystąpię.

Wiedziała, że Cesare mówi serio, i zaczęła wpadać w panikę na myśl o tym, że mógłby odejść naprawdę. Nie mogła na to pozwolić. Bez względu na wszelkie obietnice, nie wyobrażała sobie życia bez niego.

- A więc... - nalegał.

Czuła gorycz, wiedząc, że praktycznie nie ma wyboru.

- Dobrze, zaraz poznasz moją odpowiedź - wyrzuciła z siebie. - Zresztą doskonale wiesz, jak ona brzmi. Zapędziłeś mnie w ślepą uliczkę, wyjście jest tylko jedno.

- A więc: tak - stwierdził Cesare z ponurą satysfakcją. - *Buonol* Zaraz nadam sprawom bieg. Będzie nam potrzebna specjalna dyspensa i...

Megan nie mogła uwierzyć w zmianę, która w nim zaszła. Z konkurenta, który oświadczał jej się na kłęczkach, w jednej chwili przeistoczył się w chłodnego, znakomicie zorganizowanego biznesmena, planującego, przewidującego, przejmującego kontrolę nad jej życiem. Coś się w niej buntowało przeciw takiemu obrotowi spraw.

- Czy nie sądzisz, że... - zaczęła.

Jedno niecierpliwe spojrzenie Cesarego natychmiast ją uciszyło.

- Megan, nie ma czasu do stracenia. Przecież jesteś *incinta*. Jeśli mamy się pobrać, zanim coś będzie widać, to musimy działać szybko. Dlatego potrzebna będzie dyspensa...

- Co za różnica, co ludzie pomyślą? Wystarczy, że ty i ja...

Rzucił jej spojrzenie pełne dezaprobaty.

- Dla mnie to ma znaczenie! Nie chcę, żeby ktokolwiek znał prawdę o naszym małżeństwie. Nie chcę żadnych podejrzeń, że mogłoby nie być wynikiem płomiennego romansu. Jestem pewien, że mnie w tym poprzesz.

Jego konkretne, rzeczowe podejście do tych spraw raniło ją boleśnie. Czego jednak oczekiwała? Wdzięczności za to, że przyjęła jego oświadczyzny? Zapewnień o dozgonnej miłości? Obietnic, że uczyni ją bezgranicznie szczęśliwą?

Byłaby niepoprawną marzycielką, gdyby rzeczywiście na to liczyła. Cesare zaproponował jej pewien układ, małżeństwo z konieczności, ni mniej, ni więcej. A jednak chciała chociaż odrobiny uczucia. Chyba jej się to należało? Jakiś pocałunek, uśmiech...

- O co chodzi? - zapytał ostro. - Wyglądasz, jakby właśnie odczytano ci wyrok śmierci.

W pewnym sensie tak jest, pomyślała mimo woli. Możliwe, że przystając na chłodną i konkretną propozycję Cesarego, tym samym podpisała wyrok na własne nadzieje i marzenia o miłości.

- Zastanawiałam się tylko, co tobie przyjdzie z tego układu.

- Mówiłem ci już: dostanę właśnie to, czego mi trzeba.

- Czyli?

- Żonę i dziecko.

- Dziecko, które nie będzie twoje.

- Kto o tym wie? I kogo to będzie obchodzić? Ro-

dzice wreszcie dadzą mi spokój, a poza tym możemy mieć więcej dzieci. Zawsze chciałem mieć dużą rodzinę.

- I to ci wystarczy, tak?

- O nie, *mia cara*, to mi w żaden sposób nie wystarczy. Gdyby tak było, mógłbym do tej pory oświadczyć się już dziesiątkom kobiet, ale tego nie zrobiłem.

Wbił w nią płomienne spojrzenie ciemnych oczu, które były teraz niczym oczy hipnotyzera, nie mogła przed nimi uciec.

Znów stał przy niej bardzo blisko. Serce zatrzepotało jej w piersi jak spłoszony ptak. Czuła siłę tego mężczyzny, twardość jego mięśni, ciepło jego ciała. I natychmiast instynkt stary jak świat przypomniawszy Megan o jej kobiecości i o odwiecznym pragnieniu.

- Dlaczego... - Słowa z trudem wydobywały się z zaschniętego gardła, jakby w przeczuciu, że zdarzy się coś ważnego. - Dlaczego im się nie oświadczyłeś?

Cesare uśmiechał się niemal łagodnie, lecz w jego oczach dostrzegła groźny błysk.

- One nie dawały mi tego, czego pragnąłem.

- To znaczy...?

Jego uśmiech zmienił się teraz w zły, demoniczny grymas.

- To znaczy tego...

Ledwie zdążyła zaczerpnąć tchu, gdy poczuła jego usta na swoich. Całował ją z niespodziewaną czułością i delikatnością, aż serce w niej rosło, a dusza ulatywała i Megan zrozumiała, że jest zgubiona. Wiedziała,

że bez względu na wszystko nigdy nie przestanie kochać Cesarego Santorina.

Nie przestała go kochać na przyjęciu noworocznym, kiedy pogardził jej miłością, odrzucił pocałunki i pieśszoty i poradził, żeby raczej zajęła się chłopakiem w swoim wieku. Nie przestała go kochać nawet wtedy, kiedy samotna i zropaczona padła w ramiona Gary'ego. Szukała wtedy miłości kogokolwiek, żeby choć na chwilę uśmierzyć swój ból.

Teraz więc już nie mogła i nie chciała powstrzymać się dłużej. Wtuliła się w niego i odwzajemniła pocałunek. Z każdą chwilą narastało w niej pożądanie i namiętność.

Cesare zawahał się przez moment, jakby nie oczekiwał po niej takiej reakcji, lecz zaraz zaczął całować ją ze zdwojoną siłą.

Przytulił ją mocno, a jego palce zwinnie wślizgnęły się pod biały T-shirt Megan i bezbłędnie odnajdywały miejsca, które najbardziej domagały się pieśszoty. Dotykał jej piersi, głaskał je i muskał, aż jęczała z rozkoszy i objęła go za szyję w obawie, że może upaść.

I właśnie wtedy, kiedy czuła, że już dłużej tego nie wytrzyma, że zemdleje albo wybuchnie płaczem pod naporem kipiących w niej uczuć, kiedy już, już miała mu powiedzieć, co czuje, jak bardzo go pragnie i że chce się z nim kochać tu i teraz - on dumnie uniósł głowę i zajrzał w jej zamglone oczy.

- Tego właśnie pragnąłem - rzekł, -a Megan odczuła jakąś pierwotną satysfakcję, rozumiejąc, że pomimo zewnętrznej pozy Cesare przeżywa to równie inten-

sywnie jak ona. - Tego zawsze chciałem - ciągnął - i wiedziałem, że tak może być. Dlatego nigdy nie oświadczyłem się żadnej innej kobiecie; nawet o tym nie pomyślałem. Zawsze wiedziałem, że z tobą będzie najlepiej i najpiękniej, i że warto na ciebie poczekać. Pytałaś, co mi przyjdzie z tego układu, z naszego małżeństwa. Będę miał ciebie. A ciebie pragnę ponad życie. Zawsze tak było i będzie.

ROZDZIAŁ PIĄTY

- A więc ogłaszam was mężem i żoną.

Za nimi pod sklepienie kościoła wznosił się dźwięk organów. Kościół wypełniali przyjaciele i rodzina - wszyscy, których udało się zgromadzić, mimo że ślub ogłoszony został niedługo przed samą ceremonią.

Teraz prawie słychać było, jak wydali zbiorowe westchnienie satysfakcji, że wyczekiwany, najbardziej uroczysty moment wreszcie nadszedł.

Cesare jednak interesował się przede wszystkim swoją nowo poślubioną małżonką.

Megan Ellis, teraz już Megan Santorino, wysoka i szczupła, stała u jego boku. Wyglądała bardzo elegancko w prostej, jedwabnej sukni z kremowego jedwabiu. Włosy upięte miała do góry i ozdobione rozwijającymi się pączkami kremowych róż, które zaczynały roztaczać wokół subtelny zapach.

I właśnie zapach róż miał mu się odtąd zawsze kojarzyć z dniem ślubu i początkiem nowej drogi życiowej. Ale jaka przyszłość czekała ich małżeństwo? Rzucał się w nie z całym impetem, zdecydował się w sekundę, w sposób, jakiego nie zaaprobowałby nikt z jego przyjaciół i znajomych.

Cesare Santorino nigdy nie postępował pochopnie.

Znany był z tego, że nie śpieszył się, zawsze rozważał wszystkie za i przeciw, zbierał fakty i dopiero kiedy był pewien słuszności swej decyzji, podpisywał odpowiedni dokument.

A teraz oto poślubił Megan nieomal pod wpływem impulsu, nie do końca nawet znając sytuację.

- Możesz pocałować małżonkę.

Jego małżonkę.

Tak, należała do niego w obliczu prawa, lecz czy rzeczywiście tak było? Czy rzeczywiście uważała się za jego żonę, czy też był dla niej tylko kimś, kto wyciągnął ją z trudnej sytuacji? Mężem z konieczności i jedynie z nazwy.

Kimś, kto nigdy nie będzie wybrankiem jej serca.

Czyżby właśnie popełnił największy błąd swego życia?

Wszyscy patrzyli teraz na niego i czekali, żeby pocałował żonę. Czekał nawet pastor.

I Megan.

Uśmiechała się do niego niepewnie i porozumiewawczo, jakby byli parą konspiratorów zjednoczonych w spisku przeciwko światu. Wiedział jednak, że ten uśmiech to tylko maska, pod którą krył się lęk.

- Meggie...

W nagłym przypływie czułości przyciągnął ją do siebie i przytulił. Zajrzał głęboko w jej zielone oczy i szepnął cicho:

- *Buon giomo, signora Santorino. Buon giorno, mia moglie.*

A potem pochylił się i złożył na jej ustach pierwszy

małżeński pocałunek. Oddała pieśczoć z całą gotowością i oddaniem, wzbudzając w nim natychmiast pożądanie, co było jednak zupełnie nie na miejscu, jako że znajdowali się przecież w kościele.

Choć jeszcze przed chwilą żywił w tej kwestii rozmaite wątpliwości, teraz wiedział już, że Megan należy do niego, i miał nadzieję, że tak pozostanie na zawsze. Wiedział też, że potrafi ją przy sobie utrzymać, aż minie jej ból i rozczarowanie po romansie z Garym, a wtedy może odnajdzie i dla niego cieplejsze uczucia.

Diavolo \ Poprzysiągł sobie w skrytości ducha, że już on zadba, żeby tak się stało! Może więc po tych niezbyt szczęśliwych początkach uda im się zbudować coś wartościowego.

Buon giorno, signora Santorino. Buon giorno, mia moglie. Słowa Cesarego rozbrzmiewały echem w głowie Megan.

Czy to możliwe, że odtąd miała nazywać się Megan Santorino?

Sama myśl o tym sprawiała, że serce biło jej szybciej i ogarniała ją panika. Oto zrobiła krok, który związał ją z Cesarem na zawsze, a nie miała najmniejszego pojęcia, co on naprawdę w głębi serca czuje i co myśli o całej tej sytuacji.

Kiedy zgodnie z tradycją pastor wezwał ich do pierwszego małżeńskiego pocałunku, uśmiechnęła się do Cesarego, lecz w jego ciemnych oczach napotkała opór, przed którym musiała się cofnąć, i wtedy zrozumiała, że jego serce jest przed nią zamknięte.

Najwyraźniej nie oczekiwał od niej uczuć, nie potrzebował miłości.

Natomiast jej namiętność, ciało i seks - to zupełnie co innego. Całkiem jasno i bez żadnych dwuznaczności dał jej do zrozumienia, że to jest coś, na czym mu zależy. Nawet tu, w kościele, potwierdził to pocałunkiem - gorącym i zaborczym, od którego i w niej zawrzała krew. W chwili gdy ich usta się spotkały, wszystkie zmysły Megan rozśpiewały się nagle w pieśni upojenia i wiedziała, że jest zgubiona, bo najłżejszy dotyk Cesarego doprowadza ją niemal do szaleństwa, a żaden inny mężczyzna nigdy nie działał na nią w ten sposób. Jeżeli więc seks był wszystkim, co Cesare miał jej teraz do zaoferowania, gotowa była to przyjąć.

A jednak gdzieś w głębi serca, cichutki, ledwie do słyszalny głos domagał się dla niej czegoś więcej. Zasługiwała przecież na prawdziwe uczucie i bez niego nie mogła być szczęśliwa.

Tymczasem ceremonia ślubna powoli zbliżała się do końca. Cesare mocno ujął ją za rękę i poprowadził do zakrystii, gdzie mieli dopełnić formalności.

Oboje złożyli podpisy pod aktem ślubu. On zdecydowanym i zamaszystym ruchem napisał: Cesare Santorino, ona drżącą ręką po raz ostatni podpisała się jako Megan Ellis.

- Moje gratulacje, pani Santorino - usłyszała tuż obok i rozejrzała się niespokojnie, poszukując osoby, do której te słowa były adresowane. Czyżby jednak pojawiła się tu jej teściowa, która z powodu operacji wyrostka nie mogła przyjechać na ślub?

Dopiero po chwili uświadomiła sobie, że pani Santorino to właśnie ona.

Pobladła gwałtownie, nogi się pod nią ugięły i pewnie by upadła, gdyby Cesare tego nie dostrzegł i w porę jej nie podtrzymał.

On nie spuszczał z niej wzroku i nic nie mogło ująć jego uwagi. Teraz też przejął pełną kontrolę nad sytuacją.

- Moja żona jest trochę przemęczona - wyjaśnił kościelnemu kanceliście, który odbierał od nich podpisy, po czym uścisnął mu dłoń. - Miała zbyt wiele wrażeń, a ostatnio nie czuje się najlepiej.

- Oczywiście - urzędnik uśmiechnął się ze zrozumieniem. - Wiem z doświadczenia, że panie na ogół znacznie bardziej przejmują się ceremonią niż ich mężowie. Poza tym przed ślubem jest zawsze tyle przygotowań, zwłaszcza jeśli ślub ma się odbyć w tak krótkim terminie jak to było u państwa. To musiał być błyskawiczny romans.

- Wręcz przeciwnie - zareplikował Cesare z uprzejmym uśmiechem. - Znamy się z Megan od dawna. Tylko że kiedy zdecydowała się za mnie wyjść, nie chciała już z tym zwlekać. A ponieważ ja latami czekałem, żeby dostrzegła, co do niej czuję, szybki termin ślubu mógł mnie tylko ucieszyć.

A ponieważ ja latami czekałem, żeby dostrzegła co do niej czuję...

Megan sama już nie wiedziała, co ją bardziej rani: to kłamstwo, czy łatwość, z jaką Cesare je wypowiedział.

- Myślisz, że on się nie domyśla, o co naprawdę chodzi? - rzuciła z goryczą, kiedy tylko odeszli na tyle daleko, że urzędnik nie mógł ich już usłyszeć. - Nie rozumiem, dlaczego nie powiedziałaś mu po prostu, że jestem w ciąży i stąd ten cały pośpiech.

Spojrzenie, jakie rzucił jej Cesare, miało w sobie lodowaty chłód.

- No cóż, Megan, prawda i tak prędzej czy później wyjdzie na jaw. Pewnie nie na długo uda ci się zachować tę szczupłą sylwetkę. Niebawem twój stan zacznie być widoczny i wtedy ludzie zaczną Uczyć na palcach i dojdą do oczywistych wniosków.

Megan jednak potrzebowała trochę czasu, żeby oswoić się z sytuacją. Wszystko stało się tak szybko. Jeszcze dziesięć tygodni temu była na uniwersytecie i za wszelką cenę usiłowała uczyć się do egzaminu po tym, kiedy jak grom z jasnego nieba spadła na nią wiadomość, że Gary z nią zrywa. Cztery tygodnie później zaczęła podejrzewać, że coś z nią jest nie w porządku. Potem nastąpiły tygodnie niepokoju, oczekiwania, liczenia dni.

W pewnym momencie nie mogła już dłużej chować głowy w piasek i musiała zmierzyć się z bolesną prawdą, że jest w-ciąży. Ze wszystkich sił odpychała teraz od siebie wspomnienie dnia, kiedy powiedziała o tym Gary'emu, tylko po to, by jeszcze raz usłyszeć, że między nimi wszystko skończone i że najlepiej by zrobiła, gdyby jak najszybciej „pozbyła się swego problemu”.

I w efekcie była teraz żoną człowieka, który jej nie kochał; który dał jej do zrozumienia, że pragnie od

niej tylko miłości fizycznej, i z zimną krwią zaproponował jej małżeństwo z rozsądku, aby móc dó woli folgować požądaniu.

To było dla niej najgorsze i sprawiało, że czuła się chora i obolała. W ustach jej zasychało i zbierało się na mdłości, a jednocześnie narastał w niej gniew.

Chciała wykrzyzczyć swój żal i gorycz, lecz Cesare ją powstrzymał. Wciąż jeszcze byli w zakrystii. Nieopodal stał kancelista, pastor, ojciec Megan, świadkowie i wszyscy patrzyli na nich z oczekiwaniem, bo uroczystość nie dobiegła jeszcze końca.

- Pora wracać do kościoła - ogłosił pastor. Uśmiechał się i nawet jeśli wyczuł między nimi jakąś różnicę zdań, to nie dał tego po sobie poznać.

Cesare podał ramię swej małżonce, a ona dała mu się poprowadzić. Doznawała przy tym rozdarcia, jakby walczyły w niej dwie Megan - ta, która mogła pójść za nim wszędzie, przytulona do jego ramienia, marząca o jego uściskach i pieszczotach - i druga, słabsza, która najchętniej wyrwałaby mu się i uciekła gdzieś na koniec świata, byle dalej od mężczyzny, którego kochała bez wzajemności.

Zdołała jakoś przetrwać do końca uroczystości. Przeszła z Cesarem przez środek kościoła i gdy stanęli przed wejściem, w blasku lipcowego słońca, by odbierać gratulacje i życzenia, przywołała na twarz uśmiech szczęśliwej panny młodej, modląc się przy tym w duchu, żeby nikt z gości nie dostrzegł, że to tylko maska.

Zegnani zgodnym chórem serdecznych życzeń,

w deszczu confetti szli do samochodu, który miał ich zawieźć na przyjęcie. I wtedy w krótkiej chwili ciszy dobiegł ją głos, w którym rozpoznała sekretarkę swojego ojca, starszą panią o romantycznej naturze.

- Było cudownie, naprawdę cudownie! - zawołała.
- To ślub marzeń, gdyby mnie kto pytał.

Ślub marzeń. Te słowa towarzyszyły Megan, kiedy samochód ruszał z miejsca, pozostawiając za sobą tłum gości weselnych, zgromadzonych przed kościołem. Ann Patrick, sekretarka ojca, ocierała kwiecistą chusteczką łzy wzruszenia. Jednak u Megan pogłębiało to tylko poczucie osamotnienia, straty i pustki.

W pewnym sensie była to prawda. Rzeczywiście przeżyła właśnie ślub swych marzeń. O takiej ceremonii marzyła jako nastolatka. Usypiając w wąskim łóżku, tworzyła w wyobraźni wizję tego dnia. Sceneria była ta sama, mężczyzna u jej boku to ten, o którym śniła i marzyła przez te wszystkie lata, a jednak szczegóły i okoliczności ich ślubu, powody, które do niego doprowadziły, przekreślały całkowicie piękno i urok tego dnia, zamieniły go w mroczny koszmar.

- Jeśli przez cały czas będziesz miała taką ponurą minę, to nikt nie uwierzy w nasze szczęśliwe małżeństwo z miłości - ostro przywołał ją do porządku Cesare, rozpierając się na skórzanym fotelu stylowego rolls royce'a. - Wyglądasz nie jak radosna panna młoda u progu nowego życia, lecz jak skazaniec idący na stracenie.

- Może to dlatego, że rzeczywiście dokładnie tak się czuję - odpaliła Megan bez ogródek, jednak nie

patrzyła na niego, lecz na swój ślubny bukiet i rozpaczliwie walczyła ze łzami, które nieoczekiwanie napływały jej do oczu. - Oboje wiemy, że ten ślub to farsa, a małżeństwo jest na pokaz i w dodatku w złym guście!

- Jeśli tak sądzisz, to chyba lepiej będzie, jeśli zachowasz to dla siebie! Jeśli będziesz się obnosić z taką miną przy gościach, wszyscy natychmiast zgadną...

- A może ja chcę, żeby zgadli...

Tym razem popatrzyła mu prosto w twarz, a jej oczy ciskały płomień, była w bojowym nastroju.

- A nie pomyślałaś przypadkiem, jak w tym wszystkim będzie się czuł twój ojciec? - Cesare zaskoczył ją tym pytaniem, w jego głosie pobrzmiwała niebezpieczna nuta.

Gdyby Tom nabrał wątpliwości co do autentyczności tego małżeństwa, nie wiadomo, jak by zareagował. Bardzo możliwe, że gotów byłby się wycofać i odmówić przyjęcia jakiegokolwiek pomocy. A gdyby wycofał się ojciec, Megan mogłaby pójść w jego ślady.

- Tata? A co on ma z tym wspólnego?

- O ile dobrze pamiętam, pakiet ratunkowy dla twojego ojca był częścią umowy, jaką zawarliśmy, planując ten ślub.

- Powiedziałaś, że mu pomożesz, kiedy tylko się pobierzemy! - przypomniała Megan z wyrzutem. Chyba Cesare nie zamierzał się teraz wycofać?

- Jedynie pod warunkiem, że ludzie uwierzą w prawdziwość naszego małżeństwa. Jeśli tylko ktoś nabie-

rze podejrzeń, że nie jest to małżeństwo z miłości, nadsza umowa traci ważność.

Czy naprawdę jej groził? Czy byłby teraz zdolny odmówić pomocy jej i ojcu? Nie wierzyła, że mógłby być tak okrutny.

Kiedy jednak spojrzała w pociemniałą i stężoną nagle twarz Cesarego Santorina, zrozumiała, że ma do czynienia z twardym człowiekiem interesu, który potrafi być bezwzględny, jeśli sytuacja tego wymaga.

- To nie fair! - zaprotestowała. - W naszej pierwotnej umowie takich warunków nie było!

- Więc wprowadzam je teraz. - Cesare nie dopuszczał sprzeciwu. - Jeśli chcesz, dostaniesz to na piśmie.

Megan była pokonana.

- Nie ma potrzeby. To ty dyktujesz warunki i doskonale o tym wiesz. Masz to, czego chciałeś, a ja muszę spełniać twoje polecenia, bo nie mam innego wyjścia.

Czy rzeczywiście tak myślała? Chcąc nie chcąc, Cesare zaczął się nad tym zastanawiać. Czy uważała, że jest to tylko próba sił? Bitwa, w której nieuchronnie jedno z nich musi przegrać, aby to drugie mogło wygrać? Czy nie widziała, że zwycięzcami mogli być oboje?

Gdyby tylko przestała mu wciąż wyrzucać, że została do tego małżeństwa zmuszona, i gdyby uwierzyła w ich wspólną, szczęśliwą przyszłość, wszystko byłoby inaczej.

Jednak patrząc teraz na Megan, małe mógł mieć na

to nadzieje. Uparcie odwracała od niego wzrok i nerwowo skubała płatki i listki róż ze ślubnego bukietu, co zdradzało jej niepokój.

- Megan...

Położył dłoń na jej dłoni, chcąc ją trochę uspokoić, lecz poczuł, jak zeszywniała. Czyżby jego dotyk był dla niej aż tak przykry? A może wciąż żałowała, że to nie ten cholerny Gary wraca z nią teraz od ślubu? Może to jego obrączkę wolałaby teraz mieć na palcu i zmienić nazwisko wcale nie na Santorino, tylko Rowell?

Nagle ogarnął go fatalny nastrój. Zagotowało się w nim z wściekłości na myśl o tym, jak Rowell potraktował Megan. Zły był też na nią, że wciąż żywi jakieś złudne nadzieje, które nie mają szans się spełnić, i na siebie, że się tym przejmuje. Tak chciałby, żeby sprawy potoczyły się inaczej.

W jego życiu Uczyła się tylko Megan. Miała odtąd dzielić z nim życie i łóżko. A jednak czuł, że brakuje tu czegoś bardzo istotnego, najważniejszego - jej serce wciąż było przed nim zamknięte. Pragnąc od niej wszystkiego, był równie szalony jak ona. Każde z nich goniło za własnym marzeniem. Dlaczego ich marzenia nie mogły stać się jednym?

On jednak nie zamierzał się poddać, gotów był walczyć o jej miłość.

Zastukał w szybę oddzielającą ich od szofera i kazał mu się na chwilę zatrzymać.

- Może pan iść trochę się przewietrzyć i rozprostować nogi - zaproponował i było to polecenie,

z którym nie należało dyskutować. Chciał na chwilę zostać sam z Megan, co ją jednak wprowadziło w panikę.

- Cesare! - zaprotestowała, kiedy tylko kierowca wysiadł z auta. - Nie możemy tak się zachowywać! Będą na nas czekać z przyjęciem...

- To poczekają, u licha! Czy ktoś kiedyś widział, żeby przyjęcie weselne odbyło się bez państwa młodych?

- Ale... - Megan chciała jeszcze coś powiedzieć, lecz uciszył ją jednym gestem.

- Nic nie mów - teraz masz słuchać! Uważam, że najwyższy czas, abyś zdecydowała, czy chcesz, żeby ta gra była wiarygodna. Jeśli tak, to musisz naprawdę zrobić wysiłek i zachowywać się jak szczęśliwa panna młoda. Na razie masz minę jak... Jak wy to mówicie? Jak chmura deszczowa?

- Gradowa - odpowiedziała z bladym uśmiechem. Drobne potknięcia językowe Cesarego zawsze ją wzruszały, a nie zdarzały się wcale często. Teraz też poczuła, że nagle robi jej się cieplej na sercu, a Cesare, tak zawsze pewny siebie, nieoczekiwanie wydał jej się trochę bezbronny, bardziej ludzki. - Mówi się: chmura gradowa.

- Okej. - Wzruszył ramionami. - Wszystko jedno, jak się mówi, ale tak właśnie wyglądasz. I każdy wie, że nie tak powinna wyglądać panna młoda w dniu ślubu. Powinnaś sprawiać wrażenie, że spełniły się twoje marzenia, że niczego więcej nie pragniesz.

Megan rzuciła mu wiele mówiące spojrzenie.

- No cóż, wiem, że w naszym związku nie ma miejsca na takie uczucia - zauważył z goryczą - ale mogłabyś się chociaż uśmiechnąć.

Uśmiech, który w odpowiedzi posłała mu Megan, wypadł-sztucznie.

- Nie potrafię! - poskarżyła się. - Chyba że mi pomożesz.

- Pomóc ci? Jak?

- Gdybyś ty zachowywał się jak pan młody, wtedy może byłoby mi łatwiej.

Megan sama nie wiedziała, skąd nagle wzięło się w niej tyle tupetu i brawury. Nachyliła się do Cesarego i głęboko zajrzała mu w oczy.

- A jak, *adorata*, powinien zachowywać się pan młody? - W jego oczach dojrzała niepewność.

- No... mógłbyś na przykład spróbować mnie pocałować.

Natychmiast pożałowała swoich słów i opuściła głowę w obawie, że ją wyśmiejie albo odepchnie.

- Megan... - Jego cichy, ciepły głos niczego takiego nie zwiastował. A zaraz potem Cesare zdecydowanym gestem uniósł jej twarz.

Pocałunek, którym ją obdarzył, był najśłodszym i najczulszym w jej życiu. Serce w niej zaśpiewało, dusza ocknęła się z letargu, zmysły domagały się swoich praw.

Całowali się długo i namiętnie, lecz nie dość długo, aby mogło jej to wystarczyć. Kiedy ją wreszcie uwolnił, nie mogła złapać tchu ani zebrać myśli, trwała w stanie błogiego zawieszenia między snem a jawą.

Cesare jednak wezwał kierowcę z powrotem, a ona musiała szybko wrócić do rzeczywistości. Mieli przed sobą jeszcze kawałek drogi do hotelu, w którym odbywało się przyjęcie.

- A więc powiedz mi, *moglie mia*... - zaczął, kiedy ruszyli z miejsca. - Czy tego ci było potrzeba, żebyś poczuła się naprawdę panną młodą?

Blask w jej oczach wystarczyłby mi, lecz Megan powiedziała:

- O, tak! Tak, Cesare. Właśnie tego tak bardzo mi brakowało!

ROZDZIAŁ SZÓSTY

- Nareszcie sami!

Cesare westchnął i przeciągnął się. Pod gładkim materiałem szarego garnituru wyraźnie rysowały się jego muskuły.

- Myślałem, że nigdy nas nie wypuszczą.

Megan kiwnęła tylko głową, nie wiedząc, co ma powiedzieć.

Nareszcie sami. Wiedziała, że ta chwila nieuchronnie nadejdzie, że pod koniec dnia wszyscy krewni i znajomi pożegnają się i odjadą, a ona pozostanie sama z tym mężczyzną, który był teraz jej mężem. Nie była jednak na to przygotowana i teraz nie miała pojęcia, co z tym fantem zrobić.

Przez cały dzień przeżywała gwałtowną huśtawkę nastrojów. Jej stan ducha oscylował pomiędzy lękiem i poczuciem, że zrobiła coś strasznego i nieodwołalnego, a euforią wynikającą z faktu, że ona i Cesare zostali małżeństwem.

Cóż, sytuacja bynajmniej nie była idealna. Zdawała sobie sprawę, że upłynie wiele czasu, zanim będą mogli powiedzieć, że osiągnęli prawdziwe porozumienie. Nie tak wyobrażała sobie swoje szczęśliwe życie z Cesarem. A jednak byli razem i jeśli włożą w to dostate-

cznie dużo wysiłku i pracy, to może uda im się osiągnąć kiedyś upragniony cel.

Gotowa była podjąć ten wysiłek i zdawało jej się, że Cesare także.

- Zmęczona?

W jego pytaniu tyle było prawdziwej troski, że Megan zakręciły się łzy w oczach.

Była to kolejna gwałtowna zmiana nastroju, która ją zdumiała. Uznała, że to hormony. Przed miesiączką zawsze czuła się pobudzona i niespokojna, w ciąży równowaga emocjonalna także ulega zachwianiu.

- To był ciężki dzień - przyznała, kiwając głową.

- Ciężki, ale wydaje mi się, że wszystko poszło dobrze. Nikt chyba nie nabrał podejrzeń, że sprawy miały się inaczej, niż utrzymywaliśmy.

Bardzo starannie zaplanowali tę wersję wydarzeń, którą przedstawili swym rodzinom. Musieli przecież wytłumaczyć nagłą decyzję o ślubie i pośpiechu, z jakim miał się on odbyć.

- Powiemy im, że zawsze coś między nami było, tylko nie byliśmy nawzajem świadomi swoich uczuć - zdecydował wtedy Cesare. - Dopiero podczas przyjęcia noworocznego wyznaliśmy sobie miłość, bo już dłużej nie umieliśmy tego skrywać. Od tego czasu spotykaliśmy się, kiedy jeszcze byłaś na uniwersytecie. To by tłumaczyło fakt, że dziecko urodzi się jako „wczesniak”. Zresztą i tak by coś takiego podejrzewali.

- Trudno tego uniknąć - wtrąciła Megan. - Nawet przy tak przyspieszonym ślubie mniej więcej za siedem miesięcy powinnam urodzić.

- No i doskonale damy sobie z tym radę. Powiemy wszystkim, że zdaliśmy sobie sprawę, ile czasu zmarnowaliśmy, i dlatego nie chcemy zwlekać ani chwili dłużej - ze ślubem ani z niczym innym.

Cesare pomyślał, że jest to bardzo bliskie prawdy, przynajmniej w jego przypadku. Z Megan było inaczej, ale miał nadzieję, że przy odrobinie szczęścia czas to zmieni.

- Nie bardzo chciałam oszukiwać ojca, ale w sumie wyglądał na zadowolonego.

Prawdę mówiąc, zdumiało ją, z jakim spokojem ojciec przyjął wiadomość o ich nagłym ślubie. Może Cesare zdażył mu już wspomnieć, że zamierza mu pomóc?

W każdym razie Tom Ellis podczas przyjęcia weselnego wyglądał jak inny człowiek. Sprawiał wrażenie, że spadł mu z serca ogromny ciężar, bo nagle jakby odmłodził i wyprostował się. W jego oczach pojawił się niemal młodzieńczy blask, a na twarzy gościł uśmiech. Kilka razy nawet roześmiał się głośno, co w ostatnich czasach nigdy mu się nie zdarzało.

- Przyzwyczaj się; tak jak moi rodzice przyzwyczajają się, że zostali teściami i wkrótce dziadkami.

- Mam nadzieję...

Megan chciała mieć tyle pewności i wiary w przyszłość, co on. Cesare obiecał, że uzna jej dziecko za własne i że wszystko będzie tak, jakby Gary nigdy się w jej życiu nie pojawił, ale czy to było realne? Czy będzie potrafił całkowicie zapomnieć, kto to dziecko spłodził, i kochać je jak swoje?

Przez cały dzień męczyły ją mdłości, ale teraz poczuła się jeszcze gorzej. Bolała ją głowa i plecy, a Cesare od razu zwrócił uwagę, że coś jest z nią nie w porządku.

Przyznała, że jest zmęczona, ale przecież każdy odczuwałby zmęczenie po dniu tak bogatym w wydarzenia.

A może gdyby ten ślub był skutkiem szczerzej, wzajemnej miłości, czułaby się zupełnie inaczej? Przeżycia tego dnia nie przytłaczałyby jej, lecz uskrzydlały i z podnieceniem oczekiwałyby chwili, kiedy zostanie sama z Cesarem i wreszcie znajdą się w łóżku.

Teraz jednak przyglądali się sobie nawzajem w napięciu, nie będąc pewni, co to drugie czuje i jak będzie wyglądał ich pierwszy małżeński wieczór.

Megan podejrzewała, że Cesare nie troszczy się o jej samopoczucie bezinteresownie. Wiedziała, że chodzi mu o to, czy nie jest zbyt zmęczona i czy jest w stanie spędzić z nim noc poślubną. Niemal słyszała pytanie, które musiało mu teraz chodzić po głowie:

Czy jesteś gotowa pójść ze mną do łóżka?

I z góry wiedziała, że jej odpowiedź brzmiałaby: tak.

Nie mogło być innej odpowiedzi. Oczywiście, że była gotowa kochać się z nim do utraty sił. W tej kwestii nie dopuszczała wątpliwości ani wahania, tego przecież zawsze pragnęła. Kochała Cesarego i seks z nim nie stanowił problemu.

Gdyby tylko potrafiła mu o tym powiedzieć...

Spróbowała to zrobić w Nowy Rok i do tej pory wzdygała się na samo wspomnienie. Wtedy wyznała

mu, co czuje, a Cesare wyśmiał ją i odszedł. Nie mogła dopuścić, żeby taka sytuacja się powtórzyła, tym bardziej w dniu ślubu. Zaczęli niezbyt szczęśliwie, a jej naprawdę zależało, żeby ułożyło się między nimi lepiej.

- To był wspaniały dzień - powiedziała. - I właściwie wcale nie jestem taka zmęczona.

Widać było, że jest przyjemnie zaskoczony, chociaż udawał obojętność.

Tego dnia już kilkakrotnie Megan zdążyła odkryć, że Cesare wcale nie jest tak chłodny i opanowany, jak mogłoby się wydawać. To właśnie te chwile były dla niej najcenniejsze, chwytala je i smakowała jak okruszki ślubnego tortu.

Na przykład kiedy po ich przyjeździe na przyjęcie ktoś wręczył jej kieliszek z szampanem i nie bardzo wiedziała, co z nim zrobić, Cesare natychmiast to zauważył i niepostrzeżenie podmienił jej kieliszek, tak że mogła spełnić toast napojem, który na oko przypominał szampana, a w rzeczywistości był sokiem jabłkowym z wodą.

Czuwał nad nią przez całe przyjęcie i był na każde skinienie, gdyby tylko poczuła się słaba czy zmęczona. Wtedy pojawiał się u jej boku i prowadził ją w jakieś spokojniejsze miejsce, żeby mogła trochę odpocząć.

No i tańczyli przecież ze sobą. Kiedy tylko zapowiedziano pierwszego walca i mistrz ceremonii ogłosił: - Panie i panowie, oto przed wami państwo Santorino! - Cesare wziął ją za rękę i powiodł na parkiet. Prowadził ją lekko i pewnie, tak że płynęła w walcu,

stopami ledwie dotykając podłogi, wpatrzona w niego jak zahipnotyzowana. Dźwięki, kolory, twarze innych ludzi - wszystko to znikło poza obrębem jej świadomości, jakby na całym świecie istniał tylko Cesare-

A wieczorem, już po przyjęciu, kiedy przyjechali do jego domu pod Londynem, gdzie mieli spędzić tę pierwszą noc, zadziwił ją jeszcze bardziej.

Najpierw podziękował szoferowi i odprawił go, zopatrzywszy uprzednio w sowity napiwek, a następnie zwrócił się do niej:

- Tutaj dziś przenocujemy - wyjaśnił - za to jutro zacznie się nasz prawdziwy miodowy miesiąc. - Widząc zdumienie w jej oczach, dodał z sarkazmem: - Chyba nie sądziłaś, że zapomnę o tak istotnym szczególe?

- Nie... nie myślałam, że zapomnisz. Tylko... miodowy miesiąc chyba nie jest stosowny dla takiego małżeństwa jak nasze?

- Wszystko, co jest stosowne dla każdego innego małżeństwa, jest też stosowne dla naszego, pamiętaj o tym, Megan - pouczył ją.

- Chodziło mi tylko o...

- Świetnie wiem, o co ci chodziło - przerwał jej ostro. - Ale lepiej będzie, jeśli od razu zrewidujesz swoje poglądy. Ja uważam nasze małżeństwo za prawdziwe, jak każde inne. Nie ma już odwrotu, *cara*. Pobraliśmy się i należymy do siebie nawzajem.

- Wiem... - zaczęła Megan, ale Cesare nie dopuścił jej do słowa.

- Dla mnie to nie był ślub na pokaz, wszystko, co ci ślubowałem, traktuję jak najbardziej na serio. Jesteś

moją żoną, a ja twoim mężem i jeśli ktokolwiek miałby jakieś zastrzeżenia, to pożałuje.

Megan była zaskoczona tak emocjonalnym wybuchem i tylko kiwnęła głową.

- I będziemy przestrzegać wszystkich tradycji, nawet tej...

W tejże chwili Gesare otworzył kluczem drzwi frontowe, po czym złapał ją w ramiona i uniósł wysoko do góry.

- Cesare!

Kurczowo złapała go za szyję, lecz on lekko przeniósł ją przez próg i dalej, do wyłożonego terakotą holu.

Jeszcze teraz czuła dreszcz, kiedy o tym myślała. To były niezwykle chwile, kiedy jej serce galopowało jak szalone i w głowie kręciło jej się z radości i zachwytu. Wtedy czuła się prawdziwą panną młodą, bez żadnego udawania.

A kiedy już byli w środku, powoli, bardzo powoli opuścił ją na ziemię, tak że otarła się o niego całym ciałem i nie mogła nie poczuć jego wyraźnie manifestującego się pożądaniam.

A potem pocałował ją tak płomiennie i z taką siłą, że w pocałunku tym była zapowiedz wszystkich rozkoszy nadchodzącej nocy i Megan odpowiedziała na to z równą namiętnością.

- Pragnę cię - powiedział Cesare. - Pragnę cię ponad życie. Zawsze tak było i tak będzie.

Wypowiedział to żarliwie jak modlitwę, co wprawiło ją w stan nerwowego drżenia i jeszcze dotąd na samo wspomnienie przechodził ją dreszcz.

- Jeszcze nie wszystko za nami... To znaczy, ten dzień jeszcze się nie skończył.

Megan doskonale wiedziała, co to znaczy, i na myśl o tym, co jeszcze miało się zdarzyć, narastało w niej gorączkowe podniecenie.

- Wiesz, chciałabym się trochę odświeżyć - odezwała się. - Poczuję się lepiej, jak wezmę prysznic i chwilę odetchnę.

- Oczywiście. Twoje rzeczy już tu są i wszystko, czego ci będzie trzeba, znajdziesz na górze.

Szerokimi, krętymi schodami zaprowadził ją na piętra. Weszli do wielkiego pokoju, urządzonego w różnych odcieniach zieleni. Przez wysokie balkonowe okno roztaczał się widok na ogród na tyłach domu.

Widok ogromnego małżeńskiego łóżka zaparł jej dech. A więc to tu ich małżeństwo miało się spełnić, to tu ona i Cesare mieli kochać się po raz pierwszy. Teraz naprawdę zaczęła odczuwać tremę i niepokój.

Myślała o tym, czy namiętność, jaką odczuwali oboje przy pocałunkach, wystarczy im, aby współzycie było udane i satysfakcjonujące. Instynktownie czuła jednak, że z Cesarem będzie jej wspaniale. Bo prawdę mówiąc, z Garym wcale tak nie było.

Seks, jakiego z nim zaznała, nie był ani piękny, ani inspirujący. Zastanawiała się nawet, czy fakt, że nie wywołuje to w niej żadnego odzewu, nie oznacza, że jest z nią coś nie w porządku. Potem przyszło jej jednak do głowy, że Gary nie zadawał sobie najmniejszego trudu, żeby ją pieścić czy pobudzić.

I nie była już pewna, czy po tych nieudanych po-

czątkach zdoła być dobrą partnerką dla mężczyzny, którego kocha.

Cesare wskazał jej łazienkę, gdzie mogła doprowadzić się do porządku, a potem dodał, jakby właśnie coś sobie przypomniął:

- Czy mówiłem ci już, że pięknie dziś wyglądałaś? Nawet więcej, wyglądałaś olśniewająco. Byłem szczęśliwy i dumny, kiedy w kościele szłaś mi na spotkanie.

- Ja też byłam dumna i szczęśliwa - wydusiła Megan, choć głos załamywał jej się niebezpiecznie.

Stali naprzeciw siebie rozdzieleni szerokością dywanu, który zdawał jej się tak wielki i nie do przekroczenia jak Wielki Kanion. Marzyła, żeby Cesare objął ją i przytulił, lecz chociaż próbowała przekazać mu swe pragnienia telepatycznie, on wydawał się bardziej zaabsorbowany sprawami, praktycznymi.

- Może jeszcze czegoś ci potrzeba? - zapytał.

- N-nie, nie. Chyba mam wszystko.

Było to jednak dalekie od prawdy.

W rzeczywistości potrzebowała jedynie, żeby wziął ją w ramiona, a potem pieścił i całował do utraty tchu. Tylko to mogło odegnać od niej lęk i niepewność i rozniecić w niej ten sam ogień, który ją trawił tamtego pamiętnego wieczoru w bibliotece. Wtedy nie była w stanie myśleć, czuła za to całą swą istotą, teraz pragnęła doświadczyć tego na nowo.

Cesare natomiast starał się być troskliwy, okazywał jej cierpliwość i nie rozumiał, że czego innego od niego oczekiwała. Nie miała dość śmiałości, żeby mu to wyjaśnić.

Kiedy zostawił ją, żeby wzięła prysznic i w spokoju doszła do siebie, poczuła się zawiedziona. Jak bumerang powróciło do niej wspomnienie przyjęcia noworocznego, gdy tak bezwzględnie ją odrzucił.

To miała być jej noc poślubna, lecz Megan nie tak to sobie wyobrażała. Oczekiwała dzikich wybuchów namiętności, podczas gdy Cesare zachowywał się w sposób opanowany i chłodny. Może naprawdę nie miał dla niej ani trochę uczucia, a swe pożądanie potrafił po mistrzowsku kontrolować?

Mąż i kochanek moich marzeń, pomyślała z goryczą.

Tymczasem Cesare schodził na dół, lecz też nie był w najlepszym nastroju. Chciał postępować z nią delikatnie i ostrożnie, dać jej czas, żeby się przyzwyczaiła. Miał jednak wrażenie, że Megan wciąż traktowała go jak wroga, nie ufała mu i bała się go. Co miał zrobić, żeby w jej pamięci zatarło się wspomnienie nieszczęsnych wydarzeń noworocznego przyjęcia?

Wszedł do salonu i skierował się prosto do barku z alkoholami. Już trzymał w ręce butelkę czerwonego wina, kiedy się opamiętał.

- Nie tędy droga, durniu! - warknął sam do siebie.

To właśnie ten błąd popełnił w Nowy Rok. Był zdecydowany ściśle dotrzymać obietnicy danej jej ojcu, ale wypił o jeden, no, może o dwa kieliszki za dużo. Miał nadzieję, że mu to pomoże nie zwracać uwagi na Megan, uodporni go na jej zniewalający urok. Nie dość, że nie pomogło, lecz jeszcze pogorszyło sprawę. Alkohol tylko wyostrzył mu zmysły i świadomość jej urody, lśniących, miękkich włosów, delikatnego zapa-

chu jej skóry i szczupłej, lecz kształtnej, kobiecej sylwetki raniła go boleśnie. Pożądał Megan, pragnął ją posiadać, kochał ją przecież od lat, lecz nie miał swobody manewru niczym schwytyany w pułapkę.

- *Dio* - mruknął wściekły na siebie i na okoliczności, które tak go osaczyły.

Gdyby jej urodziny przypadły trochę wcześniej albo gdyby jej ojciec nie kazał mu czekać aż do dwudziestych drugich urodzin Megan, lecz o rok krócej...

Tylko że Tom poślubił Barbarę w dniu, kiedy skończyła lat dwadzieścia, i właśnie z tym faktem wiązał rozpad swego małżeństwa. Twierdził, że jego żona była zbyt młoda, aby wiedzieć, czego naprawdę chce. Przed ślubem nie zdążyła jeszcze zaznać życia ani prawdziwej wolności. Po sześciu miesiącach była już w ciąży. Wkrótce pochłonęły ją obowiązki macierzyńskie i domowe. Zanim jej córka zdążyła skończyć dziesięć lat, dość miała życia rodzinnego i wszystkiego, co się z nim wiązało. Porzuciła męża i dziecko i odeszła w poszukiwaniu wolności, łamiąc serce Toma Ełlisa na zawsze.

- Byłem dla Barbary zbyt stary albo ona była dla mnie zbyt młoda - stwierdził Tom, kiedy Cesare, nie mogąc już tego dłużej skrywać, wyznał mu swe uczucia do jego córki. - Tak czy owak, zniszczyliśmy nasz związek i unieszczęśliwiliśmy się nawzajem. Chciałbym lepszego losu dla mojej Meggie.

On też chciał dla niej lepszego losu. Cesare chodził po salonie w tę i z powrotem, żeby jakoś wypełnić sobie czas, zanim Megan będzie gotowa. Przede wszyst-

kim nie chciał, żeby w ich związku powtórzyła się historia jej rodziców.

Dlatego też rozumiał, kiedy Tom prosił go o cierpliwość - żeby poczekał i pozwolił Megan przynajmniej skończyć studia i zaznać nieco swobody studenckiego życia, czego nigdy nie zaznała jej matka.

Znosił to nieźle, jak długo Megan była na tyle młoda, że on sam wydawał jej się stary i nudny i trzymała się od niego z daleka. Lecz od ostatnich świąt Bożego Narodzenia obietnica dana Tomowi stała się ciężkim brzemieniem. Już od początku świątecznej przerwy uniwersyteckiej, kiedy Megan wróciła do domu, było jasne, że się zmieniła. Dorosła i z ładnej dziewczyny zmieniła się w piękną młodą kobietę. Nie mógł odebrać od niej oczu, a ona o tym wiedziała. Przy każdej możliwej okazji flirtowała z nim zapamiętale. A wtedy, podczas przyjęcia, posunęła się jeszcze dalej.

Powiedziała mu, że od lat za nim szaleje i nikt poza nim się dla niej nie liczy. Wyznała mu, że go kocha. A potem zaciągnęła go w jakiś zaciszny, ciemny kąt, gdzie rzuciła mu się na szyję i całowała go do upadłego, aż kręciło mu się w głowie, a nogi ugięły się pod nim z pożądania. Szeptła mu przy tym do ucha, żeby poszedł z nią do jej pokoju, że nikt nie zauważy...

Nie! Doprowadzi się do szaleństwa, jeśli będzie przypominał sobie walkę, jaką stoczył z samym sobą, żeby jej się oprzeć. To było heroiczne zmaganie z własnym sumieniem i z obietnicą, którą dał jej ojcu. Tego wieczora sięgnął po butelkę i odepchnął Megan. Przez zaciśnięte zęby zaserwował jej kłamstwo, mówiąc, że

wcale jej nie chce, bo dzieci go nie interesują, że potrzebuje prawdziwej kobiety, a nie podlotka. To nie było z jego strony uprzejme. Prawdę mówiąc, zachował się wręcz okrutnie i był tego świadom, lecz nie wiedział, jak inaczej trzymać ją na dystans.

Wrócił wtedy do domu bardzo pijany. I nic to nie pomogło.

Teraz też nie pomoże. Dziś musiał pozostać absolutnie trzeźwy, żeby być w jak najlepszej formie i w pełni panować nad sytuacją. To dziś wieczorem, już niedługo miał rozpocząć swą kampanię odbijania Megan temu draniowi, Rowellowi.

Dziś wieczorem chciał kochać się z Megan z całą maestrią i delikatnością, na jaką go było stać. Chciał ją uwieść, zaprowadzić do łóżka, powoli zdjąć z niej ubranie, a potem całować i całować od stóp do głów. Chciał ją pieścić, aż będzie jęczeć z rozkoszy. A kiedy wreszcie będzie się z nią kochał, musi wprowadzić ją w stan takiej ekstazy, że całkowicie i bez reszty wyprze z jej pamięci wspomnienie o Garym Rowellu - na zawsze.

Dannazione. Przysiągł sobie, że będzie cierpliwy, ale już nie mógł czekać ani chwili dłużej. Musiał z nią być, musiał ją znów zobaczyć. Przecież do tej pory zdążyła już chyba wziąć prysznic.

Pobiegł na górę, przeskakując po dwa stopnie, lecz w sypialni Megan nie zastał. Drzwi od łazienki wciąż były zamknięte. Wewnątrz jednak panowała cisza, woda była zakręcona.

Bene Więc na pewno zaraz wyjdzie. Pozostawało mu tylko poczekać. Ale najpierw...

Pudełeczko od jubilera znajdowało się w górnej szufladzie komody. Cesare sprawdził jego zawartość i rozejrzał się po pokoju. Szukał odpowiedniego miejsca, w którym miałyby pudełeczko pod ręką, a Megan nie znalazłaby go od razu.

Z zadowoleniem wygładził miękkie, puchowe poduszki po tej stronie łóżka, gdzie miała spać, i położył na nich pudełeczko. Potem przysiadł na brzegu łóżka i czekał.

I czekał.

Kiedy mijały kolejne minuty, a ona wciąż się nie pojawiała, zaczął być niespokojny.

- Megan! - zawołał. - Czy wszystko w porządku?

- Mmm... - mruknęła niewyraźnie zza drzwi łazienki. - Poczekaj chwileczkę.

Cesare usiadł znowu i uśmiechnął się do siebie. To nerwy, pomyślał; może to dobry znak. Bardzo prawdopodobne, że ten łajdak nie był wcale dobrym kochankiem, a jeśli tak, to tym łatwiej wszystko się między nimi ułoży. Pokaże Megan, jak naprawdę można się kochać, i wtedy ją zdobędzie.

Żeby tylko wyszła wreszcie z tej cholernej łazienki!

- Megan!

Zerwał się z miejsca, podbiegł do drzwi łazienki i szarpnął za klamkę.

- Megan! Co ty tam robisz, do licha!

Natychmiast jednak zamilkł. Niecierpliwością nic tu nie zdziała, może najwyżej jeszcze bardziej ją onieśmielić i wystraszyć, a to zupełnie nie było jego celem.

Jeszcze raz spojrzął na pudełeczko od jubilera, po czym schował prezent pod poduszkę.

Niechcący trafił na schowany tam seksowny, koronkowy nocny strój, który Megan przygotowała na dzisiejszą okazję.

Jeśli sprawiła sobie coś tak seksownego, to najwyraźniej też chciała go uwieść, pomyślał z zadowoleniem. To odkrycie było tak podniecające, że kiedy usłyszał skrzypnięcie drzwi, odwrócił się gwałtownie, przejęty jak sztubak.

Jednak kiedy tylko na nią spojrzął, od razu wiedział, że stało się coś okropnego. O ile przedtem wydawała mu się zmęczona i blada, to teraz była biała jak kreda, nieomal przezroczysta.

Przerażony i zaskoczony rzucił się w jej stronę, wyciągając ręce, żeby ją podtrzymać, bo słaniała się na nogach.

- Meggie, co się stało? - zapytał. - Powiedz mi...

- Cesare! Ratuj mnie! Sprowadź doktora... proszę... szybko! Dzieje się coś bardzo złego. Ja... krwawię!

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Od momentu, w którym dokonała straszego odkrycia, Megan była tak przerażona, że zupełnie przestała nad sobą panować. Na wpół świdomie pokuśtykała do drzwi łazienki i otworzyła je na oścież, wiedząc, że przede wszystkim musi znaleźć Cesarego. Tylko on mógł jej teraz pomóc i na pewno wiedziałby, co robić.

I rzeczywiście. Nie tracił nawet sekundy i przez telefon komórkowy natychmiast wezwał szofera. W tym samym czasie opatulał ją w swój czarny, puchaty szlafrok, który jednym ruchem ściągnął z wieszaka na drzwiach sypialni. Owinął ją jak lalkę albo jak niemowlę i nie przestawał jej uspokajać i pocieszać najczulej jak umiał.

- Bądź dzielna, *cara* - mówił. - Nie panikuj. Już jedziemy. Wszystko będzie dobrze. Tylko mi zaufaj. Chwyć mnie teraz za szyję i trzymaj mocno. Zrobię wszystko, żebyś się dobrze czuła.

Megan wiele by dała, żeby móc mu uwierzyć. Tak chciała mieć nadzieję, że rzeczywiście wszystko będzie dobrze. Niestety, szarpiący ból w dole brzucha i silne mdłości mówiły same za siebie. Nie było szansy na uratowanie ciąży, miała już niemal pewność, że poroniła.

A jednak bliskość Cesarego, który trzymał ją w ramionach, dawała jej poczucie bezpieczeństwa. Pozwoliła mu zanieść się do samochodu i zadbać o wszystko.

Drogę do szpitala pokonali z karkołomną szybkością. Megan przez cały czas przygryzała usta, żeby stłumić łkanie, a łzy niepowstrzymanie spływały jej po policzkach. Gdyby nie kojąca bliskość Cesarego, który nie wypuszczał jej z objęć, krzyczałyby z rozpacz i przerażenia.

Wbrew jej obawom, w szpitalu na szczęście nie musieli czekać. Po raz kolejny Cesare stanął na wysokości zadania i komenderował w sposób nieznośny sprzeciwu.

Nie czekał i nie prosił, lecz głośno domagał się tego, co jego zdaniem potrzebne było Megan. Zażądał najlepszego i najwygodniejszego pokoju, zaprowadzono ich tam natychmiast. Zażądał najwyższej wykwalifikowanego lekarza, ordynatora oddziału ginekologicznego, który pojawił się w mgnieniu oka. Na koniec zażądał najlepszego i najnowocześniejszego leczenia i obiecano mu, że Megan otrzyma pomoc z użyciem wszelkich dostępnych środków.

A jednak ani nowoczesny sprzęt, ani najwyższej klasy sztuka lekarska nie mogły tu nic pomóc. Nic nie było w stanie powstrzymać krwawienia. Nie można było zapobiec temu, co już się działo. Podano jej więc tylko środki przeciwbólowe, a dalej trzeba było pozwolić działać naturze. Proces, który zachodził w organizmie Megan, musiał się dopełnić.

Późnym rankiem następnego dnia, kiedy obudziła

się z gorączkowego, męczącego snu, od lekarza dowiedziała się, że los miał dla niej jeszcze jedną wstrząsającą niespodziankę. Był to grom z jasnego nieba, coś, co nigdy nie przyszyłoby jej do głowy.

Nie poroniła, ponieważ wcale nie była w ciąży. Wszystko to był figiel jej wyobraźni, rzecz umysłu, a nie ciała. Przeżyła ciążę urojoną, fikcyjną, iluzoryczną.

- Przecież zrobiłam test ciążowy - jęknęła, jeszcze nie w pełni pojmując cały koszmar tej sytuacji. - Wynik był dodatni!

Całe szczęście, że nie było przy tym Cesarego, który po nocy spędzonej przy jej łóżku pojechał do domu wypocząć.

Odpowiedziano jej, że testy kupowane w aptece nie są w stu procentach niezawodne. Zawsze jest jakieś niewielkie prawdopodobieństwo błędu i wygląda na to, że w jej przypadku właśnie tak się stało.

- Ale przecież było mi niedobrze i dwa razy nie miałam okresu!

- Pewnie właśnie dlatego tym razem przebiega to tak gwałtownie i boleśnie. Przyczyny mogły być przeróżne; jakieś zmartwienie, napięcie nerwowe, nieregularne odżywianie - to wszystko mogło zakłócić normalny rytm. Czy przeżywała pani ostatnio jakiś stres?

- Można tak powiedzieć - mruknęła Megan z gorącością. - Zdawałam końcowe egzaminy na studiach.

Zbiegło się to w czasie z odkryciem, że jej kochanek jest żonaty. Zabawiał się z nią podczas swego pobytu w Anglii, przez cały czas wiedząc, że po zakończeniu semestru wraca do rodziny.

Jeśli chodzi o ścisłość, to właśnie jej niewinność stanowiła dla niego atrakcję i wyzwanie.

Megan wciąż nie mogła pogodzić się z faktem, że jej ciąża okazała się fałszywym alarmem. Lekarz starał się ją pocieszyć, tłumacząc, że ludzki umysł potrafi płatać zdumiewające figle. Czasami są to niemal cuda - czasami wręcz przeciwnie.

- Może w sumie wyjdzie to na dobre - ciągnął, sądząc, że ją w ten sposób uspokoi. - Pani mąż mówił mi, że jesteście świeżo po ślubie, więc może lepiej będzie rozpoczynać wspólne życie bez perspektywy, że już za kilka miesięcy pojawi się dziecko. Będziecie mogli wyjechać w podróż poślubną, nacieszyć się sobą nawzajem bez żadnych dodatkowych obciążeń i zobowiązań. A potem będzie można spokojnie pomyśleć o dziecku. Jestem pewien, że mąż pani to zrozumie.

Tylko że to było właśnie najgorsze.

Może gdyby Cesare poślubił ją z miłości, bo chciałby spędzić z nią życie i razem się zestarzeć, wówczas ta idiotyczna pomyłka nie miałaby dla niego znaczenia.

Ale jej mąż w rzeczywistości był mężem tylko z nazwy. Nie ożenił się z nią z miłości, lecz dlatego, że był przekonany o jej ciąży. Tymczasem ciąża i dziecko, które Megan miała urodzić, okazały się tylko tworam i jej wyobraźni.

- Czy życzy sobie pani, żebym to ja powiedział o tym panu Santorino?

- On jeszcze nie wie? N-nie... nie, ja mu powiem.

Lepiej przyjmie tę wiadomość, kiedy usłyszy ją z moich ust.

Boże, jak on zareaguje?

Nie miała żadnych złudzeń co do tego, jak Cesare to przyjmie. Bez względu na to, co ona zrobi i jakich słów użyje, wiedziała, że wywoła wybuch, jakby obudził się wulkan Etna, i nic nie może temu zapobiec. Będzie musiała przygotować się na wszelkie tego konsekwencje, nawet jeśli już na samą myśl drżała ze strachu.

Kiedy jednak Cesare wszedł do pokoju, przestraszyła się jeszcze bardziej. Po raz pierwszy widziała go w stanie takiego wyczerpania. Głębokie cienie pod oczami świadczyły, że nie zdołał usnąć, a drobne skaleczenia na twarzy wskazywały, że był zupełnie roztrzęsiony przy goleniu.

- Jak się czujesz? - zapytał już od progu.

- Do-dobrze.

- A dziecko?

- Obawiam się, że... nie będzie dziecka.

- Och, Megan... - Przysiadł na brzegu łóżka i z najwyższym współczuciem wziął ją za rękę. - Tak strasznie mi przykro...

- Nie!

Nie mogła utrzymywać go w błędzie. Sumienie jej na to nie pozwalało.

- Nie było tak, jak myślisz. Było zupełnie inaczej.

- W takim razie jak?

Wpatrywał się w nią z takim napięciem, że nie mogła tego znieść i wbiła wzrok w kołdrę.

- Nie będzie dziecka, ponieważ... ponieważ... - Musiała wreszcie to z siebie wydusić. - Ponieważ go wcale nie było.

Cesare zmartwił i tylko po tym, jak kurczowo zacisnął palce na jej dłoni, poznała, ile go musiało kosztować to, żeby zachował spokój.

- Co to znaczy, że wcale go nie było? Wyłumacz mi to!

Głos odmówił jej posłuszeństwa i dopiero po chwili udało jej się wyartykułować odpowiedź.

- Wygląda na to, że wcale nie byłam w ciąży, tylko sama się oszukiwałam.

- Przecież robili ci test.

Do licha, czy on sądził, że to był oficjalny test, potwierdzony przez lekarza? Najwyraźniej tak. Przecież to był Cesare Santoririo, skrupulatny biznesmen, u którego w dokumentach wszystko musiało się zgadzać, zanim podjął jakąkolwiek decyzję.

- Nie, to ja sama zrobiłam sobie ten test. To jest istotna różnica. Nawet na opakowaniu uprzedzają, że wynik nie jest stuprocentowo pewny i że lepiej jest jak najszybciej sprawdzić swój stan u lekarza.

- Czy mam rozumieć, że nie uważałaś za stosowne „sprawdzić swojego stanu”?

Megan kiwnęła tylko głową w milczeniu. Wolałaby, żeby Cesare krzyczał i szalał, mogłaby to zrozumieć. On jednak przybrał ton lodowatej, mrożącej krew w żyłach goryczy, która była dla niej o wiele bardziej niszcząca.

- Nie sądziłaś, że to byłoby rozsądne?

- Na pewno byłoby rozsądne, gdybym tylko mogła wtedy rozsądnie myśleć! - rzuciła gwałtownie. - Ale nie mogłam, do diabła! Byłam przerażona, samotna i zdradzona. Pojawiłeś się ty i...

- I przyszło ci do głowy, że znalazłaś durnia, który się na to złapie i zaopiekuje się tobą?

- Nie! Ani przez chwilę w ten sposób nie myślałam! Nie mogłabym! Po pierwsze, nikt nigdy nie wziąłby cię za durnia, a po drugie...

Nagle uświadomiła sobie, że o mało nie powiedziała czegoś, czego potem mogłaby żałować. Czy była na tyle głupia, żeby zaryzykować wyznanie, że go kocha?

- A po drugie...? - podjął.

- A po drugie, niespecjalnie cię to wtedy interesowało! Sprawiałaś wrażenie, że chcesz ożenić się ze mną jak najszybciej, żeby tylko mnie zaciągnąć do łóżka!

Cesare czuł, jak wzbiera w nim wściekłość, lecz temu ostatniemu stwierdzeniu nie mógł zaprzeczyć. Megan niechcący trafiła w sedno sprawy. Gdyby on sam rozumował wtedy trzeźwo, zażądałby od niej kontroli lekarskiej. Sam powinien był zabrać ją do lekarza i dowiedzieć się o jej stan.

Tylko że wtedy zależało mu na pośpiechu. Zadowolił się tym, co powiedziała mu Megan.

I oto oboje znaleźli się w potrzasku swego pozornego małżeństwa.

Zacisnął pięści z gniewu. Pozwolił, żeby uczucia zapanowały w nim nad rozsądkiem i już miał tego skutki.

Kiedy Megan cisnęła mu w twarz oskarżenie, że

chciał tylko „zaciągnąć ją do łóżka”, zrobiła to z taką pasją, że bez trudu mógł odgadnąć jej stan ducha.

W jej przekonaniu nie był lepszy od Rowella; widział w niej tylko ciało, obiekt swych seksualnych zakusów. Ona zaś nie pozostawiała mu wątpliwości, że gdyby nie była w sytuacji bez wyjścia, za nic nie zgodziłaby się na to małżeństwo.

- Naprawdę tak myślisz?

- No jasne! Nawet nie myślę - ja to wiem! Nawet gdybyś próbował zaprzeczyć, tobym ci nie uwierzyła.

To wykrzyczała na głos, lecz w duchu mówiła coś zupełnie innego.

Zaprzecz temu, prosiła. Cesare, proszę cię, zaprzecz! Powiedz, że wcale tak nie było! Powiedz, że ożeniłeś się ze mną z miłości, że jestem dla ciebie ważna. Powiedz mi cokolwiek, a ja jestem tak słaba i naiwna, że uwierzę w każde twoje słowo.

Wystarczyło jednak na niego spojrzeć, aby zrozumieć, że jej prośba nie zostanie spełniona. Cesare miał zaciśnięte usta i surowy wyraz twarzy, nie dopuszczający nawet śladu uczucia.

- Nie - zadrwił. - Nie mam zamiaru zaprzeczać. Rzeczywiście chciałem mieć cię w swoim łóżku i małżeństwo wydawało mi się najlepszą drogą do celu.

Taką odpowiedź przewidywała, więc dlaczego czuła się zraniona? Przecież wiedziała, że chodziło mu tylko o seks; więc dlaczego wciąż nie potrafiła uzbroić swego wrażliwego serca i uchronić go przed nowym bólem?

A jednak odczuła to, jakby Cesare po raz drugi wyrwał jej serce, i cierpiała nie mniej dotkliwie.

- To dobrze, że powiedziałaś mi to wprost - odparła.

- Ja zawsze mówię prawdę - warknął. - Nie tak, jak niektórzy.

- Przecież naprawdę myślałam, że jestem w ciąży!

- Samo „myślałam” to nie dość! - Wstał i patrzył na nią tak groźnie, że aż skurczyła się w pościeli. - Gdybyś rzeczywiście myślała, *mia cara*, to postępowałabyś rozsądniej i nie doprowadziłabyś do tego, że oboje wpadliśmy w potrzask tego małżeństwa, czego do końca życia będziemy żałować.

- Ja... - Już otworzyła usta, chcąc powiedzieć, że ona nigdy nie będzie tego żałować, lecz spojrzawszy w nieprzeniknione oczy Cesarego, powstrzymała się. Bała się wyznać mu prawdę, żeby nie narazić się znowu na zranienie. - W pełni się z tobą zgadzam - rzekła zamiast tego.

- *Bene*. Wiemy więc oboje, na czym stoimy. W tym się przynajmniej zgadzamy.

Skierował się do drzwi. Koniecznie chciał już stąd wyjść, żeby w spokoju dojść do ładu ze swoimi skłębionymi myślami. Poza tym bał się, że nieopatrznie powie coś, czego potem będzie żałował.

Okazał się durniem do kwadratu! Nawet nie pomyślał, żeby sprawdzić, czy Megan naprawdę jest w ciąży. Pragnął jej tak bardzo, że chciał tylko jak najszybciej się z nią ożenić; żeby wreszcie należała do niego. Nie dbał nawet o to, czy odwzajemnia jego uczucie, łudził

się nadzieją, że uczucie z jej strony przyjdzie później i że uda mu się przekształcić ich małżeństwo na niby w prawdziwy związek, który służyłby nie tylko dziecku, ale i im obojgu.

Teraz jednak wyszło na jaw, że żadnego dziecka nie będzie. Całkowicie zmieniało to sytuację, a Megan wyraźnie dawała do zrozumienia, że nie mając przyszłowiowego noża na gardle, zaczyna żałować swej pochopnej decyzji.

- Jaka szkoda, że okres nie zaczął ci się dwadzieścia cztery godziny wcześniej! W ten sposób mogliśmy uniknąć tego całego ambarasu!

- Dokładnie to samo myślałam! A więc i w tym się zgadzamy!

Powiedziała to z tak ponurą ironią, że Cesare mimo woli wybuchnął śmiechem.

- A może jednak, *cara*, całkiem nieźle do siebie pasujemy i spróbujemy być nadal małżeństwem?

- Nigdy! - Megan straciła już panowanie nad sobą. - Wolałabym spędzić resztę życia w piekle! Jeśli idzie o ścisłość, to wolałabym cię więcej nie widzieć.

- Twoje życzenie jest dla mnie rozkazem...

Zgiął się w kpiarskim ukłonie i z przerażeniem stwierdziła, że rzeczywiście zamierzał odejść. Przecież nie mogła do tego dopuścić! Nie mógł zostawić jej w ten sposób!

- Ale Cesare... - zaczęła.

- Co? - Zatrzymał się już w drzwiach. Nawet się nie odwrócił, żeby na nią spojrzeć.

- Lekarz powiedział, że mogę dziś wyjść ze szpitala. Jak mam się dostać do domu?

- Przyślę po ciebie samochód - rzucił. - Będzie gotów, kiedy tylko zechcesz. Wybacz, że nie przyjadę po ciebie osobiście, lecz naprawdę uważam, że im mniej będziemy się teraz widywać, tym lepiej.

ROZDZIAŁ ÓSMY

I najwyraźniej mówił serio. Gdyby Megan miała na ten temat jakiegokolwiek wątpliwości, to rozwiałyby się one w ciągu kilku dni, które nastąpiły po jej powrocie ze szpitala.

Zgodnie z obietnicą czekał na nią samochód z szoferem, natomiast Cesare już się tego dnia nie pokazał. Sobie tylko wiadomym sposobem w błyskawicznym tempie wynajął do domu gospodynię, która miała za zadanie spełniać wszelkie życzenia Megan, przygotowywać posiłki i dbać o gospodarstwo, sam jednak się nie pojawiał.

Przebywał poza domem do późna w nocy i wracał dopiero wtedy, gdy Megan, znużona zdarzeniami całego dnia, zdążyła już zasnąć.

Zdarzało się, że warkot nadjeżdżającego samochodu wyrывał ją z najgłębszego snu, lecz wtedy unosiła tylko głowę znad poduszki, po czym zasypiała z powrotem.

Kiedy budziła się rano, już go nie było. Sypiał też oddzielnie, w jakimś innym pokoju. Druga część małżeńskiego łóżka pozostawała nietknięta, nie było tam nawet śladu obecności mężczyzny, który wobec prawa był jej mężem.

Każdego dnia Megan próbowała spotkać Cesarego, lecz nic z tego nie wychodziło. Czuwała do późna, lecz on wracał jeszcze później. Któregoś dnia obudziła się o świcie tylko po to, by odkryć, że tej nocy, jakby wiedziony szóstym zmysłem, wcale nie nocował w domu. Potem okazało się, że wynajął sobie wtedy pokój w hotelu.

Zobaczyła go dopiero po dziesięciu dniach, a i wtedy tylko dlatego, że zaparła się i postanowiła czekać aż do skutku. Zgasiła na dole wszystkie światła, stwarzając pozory, że nikogo nie ma w domu, po czym usadowiła się na najbardziej niewygodnym krześle w salonie, bo to dawało jej gwarancję, że nie uśnie. Otworzyła drzwi do holu, żeby móc obserwować drzwi wejściowe - i czekała.

W końcu o mało go nie przegapiła. Mimo że krzesło było diabelnie niewygodne, po kilku godzinach oczy zaczęły jej się kleić. Jednak ocknęła się na dźwięk kłucza przekręcanego w zamku i widziała, jak ciężkie, dębowe drzwi wejściowe powoli się otwierają.

Miał na sobie jeden ze swych eleganckich garniturów, jakie zawsze nosił do biura. Jego stroju dopełniała mocno wymięta biała koszula, a krawat luźno zwisał mu z szyi, co robiło wrażenie, jakby wracał z mocno zakrapianego bankietu.

Serce w niej podskoczyło na jego widok. Stwierdziła, że po kilkudniowym niewidzeniu pragnie go jeszcze bardziej, tak mocno jak nigdy przedtem.

W tym momencie Cesare ją zauważył. Na parę sekund zastygł w bezruchu, po czym zerknął za siebie,

jakby rozważał możliwość ucieczki, lecz w końcu zdecydował się zostać. Powoli, z zupełnie zbyteczną dokładnością zamknął drzwi, a potem zrzucił marynarkę i z pozorną nonszalancją podszedł do Megan.

- Dobry wieczór, Megan - powitał ją. - Czemu zawdzięczam to dzisiejsze miłe spotkanie?

Szczerze wątpiła, czy rzeczywiście okaże się ono miłe. Podejrzewała zresztą, że Cesare całkiem świadomie chce wytrącić ją z równowagi i już na wstępie prawie mu się to udało. Patrzył na nią z nieukrywaną wrogością i musiała się przemóc, żeby po prostu nie uciec.

- Znasz to powiedzenie na temat Mahometa i góry? - zapytała niepewnie.

- Chyba słyszałem. Jeżeli Mahomet nie przyjdzie do góry, to...

- To góra musi przyjść do Mahometa.

- I w tej sytuacji, rozumiem, że ty przyjęłaś rolę góry? Doprawdy, Megan, robisz sobie wątpliwą przysługę. Nikt rozsądny nigdy nie porównałby cię do góry. A jeśli idzie o ścisłość, to odnoszę wrażenie, że sporo schudłaś od czasu, kiedy cię ostatni raz widziałem.

Megan wiedziała, że to prawda. Przez cały poprzedni tydzień zupełnie nie miała apetytu, a gospodyni nie kryła swego niezadowolenia na widok posiłków, jakie przygotowywała, a które wracały do kuchni prawie nietknięte. Zresztą nawet po ubraniach widać było, że schudła.

- No cóż, to tylko wskazuje, jak długo się nie widzieliśmy - odpowiedziała.

- Byłem zajęty.

- W czasie miodowego miesiąca? Nie przypuszczam, żeby tak zachowywali się świeżo upieczeni mężowie.

- No, ale ja nie jestem typowym młodym małżonkiem, prawda? - zauważył cynicznie. - I podejrzewam, że mało kto uznałby nasze małżeństwo za konwencjonalny związek, taki jak wszystkie inne.

- A jednak to tobie zależało na zachowaniu wszelkich pozorów - upierała się. - Wątpię, czy ktokolwiek w nie uwierzy, jeśli ja nadal będę całymi dniami sama, a ty nawet się tu nie pojawisz.

- A więc teraz masz mi za złe, że cię zaniedbuję? - zakpił. - *Perdone me, cara*, myślałem, że nie chcesz mnie więcej widzieć. Nie wiedziałem, że zmieniłaś zdanie.

- Doskonale wiesz, że przesadzałam! I tak dalej trwać nie może. Cesare, musimy wreszcie porozmawiać!

Cesare wcale nie wydawał się o tym przekonany, lecz wzruszył ramionami i rozłożył ręce w charakterystycznie włoskim geście rezygnacji.

- *D'accordo, innamorata*. Jeśli zyczysz sobie rozmowy, to porozmawiamy.

Podszedł do barku, nalał sobie kieliszek czerwonego wina i pił je chciwie. Dopiero po chwili zreflektował się, że Megan także należałoby zaproponować coś do picia.

Ona jednak zdecydowanie odmówiła. Czekwała ją trudna rozmowa i chciała zachować jasność umysłu.

- Przez cały tydzień myślałam o naszej sytuacji - właściwie nie myślałam o niczym innym. I wreszcie wpadłam na pomysł.

- Tak? No więc do jakiego wniosku doszłaś?

- To jest pomysł, który powinien ci przypaść do gustu - odpowiedziała. Podczas długich godzin samotności rozważyła problem z każdego punktu widzenia i stwierdziła, że wyjście jest tylko jedno. Wiedziała, że będzie to bardzo trudne i złamie jej serce, lecz tylko to mogła jeszcze zrobić dla Cesarego. Skoro jej nie kochał, mogła przynajmniej zwrócić mu wolność. - Och, Cesare, nie rób takiej przejętej miny. Po prostu chcę, żebyś był wolny. To jest właściwie całkiem proste rozwiązanie, które samo się narzuca.

- Samo się narzuca?

- Tak myślę.

- W takim razie oświeć mnie, bo nie rozumiem.

- To małżeństwo od początku było błędem, a teraz tym bardziej. No, a przecież wcale nie musimy być razem. Całkiem łatwo nam będzie się rozejść. Ponieważ nasze małżeństwo nawet...

- Nie zostało skonsumowane - wpadł jej w słowo.

- Nooo... no tak, więc nawet nie będzie nam potrzebny rozwód. Możemy otrzymać unieważnienie małżeństwa.

- Nie!

- Nie?

Megan nie mogła zrozumieć. Czy nie o to mu właśnie chodziło? Była pewna, że z entuzjazmem powita szansę uwolnienia się od niej.

- Nie!

Cesare zerwał się z krzesła. Wrzał z oburzenia. W każdym calu był teraz Sycylijczykiem.

- Myślisz, że bym do czegoś takiego dopuścił?! Że pozwoliłbym ci, ot tak, po prostu odejść w niecałe dwa tygodnie po ślubie? Za nic!

Brzmiało to jak ryk zranionego lwa i Cesare o tym wiedział. W głębi serca zdawał sobie sprawę, że jeśli Megan naprawdę postanowi odejść, to on nie będzie w stanie jej zatrzymać. A z przerażeniem odkrył, że mimo wszystko chciałby, żeby została.

Kiedy ciąża Megan okazała się fałszywym alarmem, początkowo płonał z wściekłości. Wtedy to on zastanawiał się, czy nie skończyć z tym- małżeństwem jak najszybciej. Przemógł się i zaczął chodzić do pracy, gdzie musiał stawić czoło najrozmaitszym komentarzom ze strony współpracowników nie mogących zrozumieć, dlaczego jest teraz w biurze, a nie ze swoją młodą żoną. On jednak potrzebował czasu, żeby wszystko przemyśleć, uspokoić się i spojrzeć z dystansu na to, co się zdarzyło. Chciał świadomie zdecydować, czego oczekuje jeszcze po tym związku.

I raz po raz dochodził do konkluzji, że nadał pragnie Megan. Było mu nawet wszystko jedno, czy ona chce odejść. Zdecydował, że jeśli trzeba, będzie walczył - z nią i o nią - o uratowanie związku, który teraz znajdował się w opłakanej kondycji. Cesare wierzył, że jeśli tylko zyska nieco czasu, to zdoła na nowo wskrzesić swoje małżeństwo. Wszystko jedno, jakim sposobem.

- Nie możesz mnie zostawić. Wyobrażasz sobie, co ludzie sobie o tym pomyślą?

- Nic mnie to nie obchodzi.

- A mnie tak! Zniszczyłabyś mnie w oczach mojej rodziny i znajomych. Uznaliby mnie za człowieka, który nie potrafi utrzymać przy sobie żony nawet przez miesiąc! Jeśli wystąpisz o unieważnienie, to pomyślą, że nie potrafiłem nawet kochać się z własną żoną.

- Och... nie patrzyłam na to z tej strony. Ale co innego nam pozostaje? Nie mamy wyjścia.

- Owszem, mamy. Możemy pozostać małżeństwem.

- Nie... - Przebiegł ją dreszcz, co wskazywało, że myśl o tym napełnia ją przerażeniem.

On jednak był innego zdania.

- Możemy pozostać małżeństwem - stwierdził głucho. - Megan, *cara*, nie bądź taka przerażona. Przyrzekam ci, że nie będzie tak źle, jak myślisz. Ale coś będzie musiało się zmienić.

Megan знаła go i miała świadomość, że wszystko, co Cesare mówi, jest głęboko przemyślane. Teraz najwyraźniej zmierzał do celu, na którym mu zależało.

- Nasze małżeństwo nie jest żadnym małżeństwem. Żaden Sycylijczyk nie zgodziłby się na taki pozorny związek. Żaden Sycylijczyk nie dopuściłby nawet do sytuacji, w której ktokolwiek mógłby podejrzewać, że nie kochał się ze swoją żoną.

- Nie... - wtrąciła Megan niepewnie, widząc już, dokąd to prowadzi.

- Nie? - powtórzył, wbijając w nią gorące spoj-

rzenie ciemnych oczu i rozsnuwając swój hipnotyczny czar.

- Nie tak mówiłaś wtedy w bibliotece, mniej niż miesiąc temu. Ani też podczas ceremonii ślubnej, kiedy ślubowałaś mi...

- To były tylko słowa! - zaprotestowała gwałtownie, zrywając się na nogi.

- Słowa, które wypowiedziałaś w kościele - przypomniał. - Słowa, których przysięgałaś dotrzymać aż do śmierci.

- Ja... - głos uwiązał jej w gardle.

Patrzyła mu prosto w twarz i to obezwładniało ją jeszcze bardziej. Przeniosła wzrok na jego mocne, opalone dłonie, lecz tak było jeszcze gorzej. Myślała teraz wyłącznie o pieszczotach, których zaznała i jeszcze mogłaby zaznać.

- Bądź moim gościem...

Zamrugała oczami ze zdumienia i nie wiedziała, co odpowiedzieć. On jednak nagle podszedł i stanowczym gestem wyciągnął do niej rękę, tak że musiała podać mu swoją.

- Co?

- Proszę, nie cofaj się przede mną. Nie miałbym nic przeciwko, gdybyś...

Cesare był teraz tak blisko, że czuła zapach jego skóry, a jego uśmiech ją zniewalał.

Chciał, żeby go dotknęła, zdawało mu się, że zna jej pragnienia.

- Dotknij mnie - kusił ją zmysłowym szeptem. - Wiem, że tego chcesz, widziałem to w twoich oczach.

- Nic takiego nie widziałeś!

Zdradził ją mimowolny gest, kiedy konwulsyjnie zacisnęła dłonie, żeby tylko się powstrzymać i go nie dotknąć.

- Wiesz, Megan, bardzo źle kłamiesz - zauważył z ironią.

- Nie kłamię!

- I wcale cię to nie kusi, prawda? W porządku, *amante*, zaraz się przekonamy, jak silne są twoje postanowienia.

I ku zakłopotaniu Megan zaczął się rozbierać. Najpierw zdjął krawat i nie spuszczać z niej wzroku, cisnął go za siebie. Potem zajął się rozpinaniem koszuli, guziczek po guziczku.

Stała jak zaklęta i patrzyła, jak spod koszuli wyłaniają się jego mocne, muskularne ramiona i pokryty kręconymi czarnymi włosami tors.

Jak daleko zamierzał się posunąć? Mimo woli pobiegła wzrokiem niżej, do ściągniętego na biodrach skórzanego paska. Czy powinna go powstrzymać, w razie gdyby zamierzał dokonać przed nią striptizu? Na myśl o tym oblała ją fala gorąca.

- Dotknij mnie... - powtórzył Cesare, obniżając głos.

Megan potrząsnęła głową przecząco i w odpowiedzi usłyszała jego drwiący śmiech.

- Nie tylko kłamczucha, ale i tchórz. No dobrze...

Nie była pewna, czy teraz on zakończy tę próbę, czy nie. Nie chciała, nie mogła już czekać na to, co zdarzy się dalej. Jej gorący temperament i siły, które

nie poddają się zdrowemu rozsądkowi, wzięły ją we władanie.

- Poczekaj! - krzyknęła, zupełnie już nad tym nie panując, i wyciągnęła rękę, by dotknąć jego opalonego ciała.

Cesare znieruchomiał i czekał w milczeniu.

A ona nie mogła się już zatrzymać. Było to równie automatyczne jak bicie serca czy oddychanie.

Kiedy z drżeniem dotknęła jego piersi, już wiedziała, że jest zgubiona.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Gdy dotknęła jego posagowego torsu, Cesare znie-
ruchomiał. Ledwie oddychał, podczas gdy palce Megan
coraz śmieiej błądziły po jego gładkiej skórze, wyczu-
wając pod nią stalowe mięśnie.

Zupełna bierność Cesarego i panujące między nimi
milczenie jeszcze bardziej ośmieliły Megan, pozwoliły
jej badać dotykiem i oswajać fascynujące, męskie
kształty.

Najmniejszy ruch z jego strony czy nieopatrzne sło-
wo na pewno by ją spłoszyły, lecz on wyczuwał to
instynktownie i trwał w niemym oczekiwaniu, nie spu-
szczając wzroku z jej wędrujących dłoni i skupionej
twarzy.

Ona tymczasem była jak w transie, poznawała twar-
dą szorstkość czarnych włosów na jego piersi i małe,
męskie sutki, które natychmiast odpowiadały na jej pie-
szczotę.

- Megan... - zaczął Cesare i przerwał, nie chcąc
zniszczyć tej chwili. Właśnie powstawało między nimi
nowe, intymne porozumienie.

Ona jednak uśmiechnęła się, co napełniło go szczę-
ściem i zachwytem. Była w tym uśmiechu nieśmiałość

i niepewność, ale i pewna prowokacyjna, uwodzicielska figlarność, która rozgrzała mu krew.

- Megan... - zaczął znowu i chciał ją pocałować, lecz ona się uchyliła, więc ucałował jej palce.

Serce zabiło mu jak oszalałe, gdy uchwyciła poły jego koszuli, zsunęła mu ją z ramion i niedbale rzuciła na podłogę. Pragnął jej aż do bólu, o niczym innym nie potrafił już myśleć.

- *Cara* - jęknął, wiedząc, że już dłużej tego nie wytrzyma. - *Amante*. Czy ty wiesz, co ze mną robisz? - wydusił z trudem.

Za odpowiedź wystarczyło mu jej szybkie spojrzenie, w którym nie było już uśmiechu, lecz znajome, płomienne pożądanie.

- Chyba wiem - mruknęła.

- No, to może sprawdzimy...

Dopiero teraz pozwolił sobie na bardziej zdecydowany ruch. Wyciągnął ramiona, objął ją i mocno przytulił. Megan odchyliła głowę do tyłu, jakby zapraszała go do pocałunku.

A on przyjął zaproszenie. Całował ją z całą siłą swego szaleńczego, tłumionego dotąd pragnienia. Myślał, że ten pocałunek przyniesie mu ulgę i uciszy burzę w sercu, lecz skutek był wręcz odwrotny.

Był zgubiony już w chwili, kiedy spotkały się ich usta. Zalewały go gorące fale pożądania i czuł, że tonie. Musiał poddać się zmysłom i popłynąć z prądem.

- To właśnie ze mną robisz.... - jęknął wśród pocałunków, które stawały się coraz dziksze, coraz bardziej namiętne i porywały jak lawina.

Megan pomyślała, że słowa nie są teraz wcale potrzebne. Mowa ciała dużo lepiej wyrażała siłę jego namiętności. Słowa były zbyt chłodne, racjonalne i wyważone, ona zaś pragnęła teraz szaleństwa i niczym nie skrępowanej swobody.

- Pokaż mi to... pokaż... - dyszała między pocałunkami, które spadały na nią jak deszcz.

Odpowiedział jej zmysłowym śmiechem.

- Och, pokażę ci, *cara*. Pokażę ci, co ze mną robisz i jak bardzo cię pragnę. Pokażę ci, jak kocham się ze swoją żoną. Będiesz szaleć z rozkoszy. Nigdy nie będziesz chciała nawet spojrzeć na innego mężczyznę.

- Nie chcę żadnego innego mężczyzny... Nie chcę nikogo... prócz ciebie.

To były ostatnie sensowne słowa, które udało jej się wypowiedzieć, bo w następnej chwili Cesare znów obsypał ją pocałunkami, a potem w nerwowym pośpiechu rozpinął guziki jej sukienki. Nie dbali o nic, bez reszty zajęci sobą nawzajem, dotykając się, pieszcząc i całując.

Jęknęła z rozkoszy, kiedy uwolnił ze stanika jej piersi i kołysał je w ciepłych dłoniach, jakby sprawdzał ich ciężar. Pieścił je, całował i słodko drażnił, aż rozpalona podnieceniem wczepiła się w niego kurczowo i poruszała rytmicznie, przez ubranie wyczuwając jego erekcję.

- Megan!

Tym razem jej imię zabrzmiało w ustach Cesarego jak obcy dźwięk, który z trudem rozpoznawała. Z trudem też rozpoznawała siebie w tej dzikiej, lubieżnej,

na w pół rozebranej kobiecie, która zachłannie przeczesywała palcami włosy na jego torsie i której wargi nabrzmiały od pocałunków.

Nie przeszkadzało jej, że Cesare nie tracił czasu na rozpinanie reszty guzików i jednym śmiałym ruchem zerwał z niej sukienkę. Poczowała, jak unosił ją do góry, i odruchowo oplotła go nogami.

Niosł ją gdzieś i nie wiedziała dokąd, dopóki nie ułożył jej na kanapie i nie wgniótł jej w aksamitne poduszki ciężarem własnego ciała.

Znikła już ostatnia, drobna część garderoby, którą miała na sobie. Niebieskie koronkowe figi popfrunęły na podłogę, a ona została naga i bezbronna, całkowicie wydana na łaskę jego dłoni.

Cesare zaś nie zamierzał tracić czasu. Umiał podniecić ją tak, że stało się to trudną do zniesienia, najśłodszą torturą. Dopiero kiedy doprowadził Megan do granic wytrzymałości, gdy wiała się i błagała go o litość - ofiarował jej wyzwolenie i spełnienie.

Kiedy wreszcie wszedł w nią, jęknęła ze zdumienia i rozkoszy, a potem zatraciła się w ekstazie, która wybuchła w niej racami tysięcznych złocistych fajerwerków i nic już nie było prócz tego najcudowniejszego doznania, które owładnęło nią bez reszty.

Cesare nie pozostał za nią w tyle. Spazm, który nim wstrząsnął, miał moc eksplozji i wyrwał mu z gardła dziki, prymitywny krzyk szczęścia i zaspokojenia.

Tak zaczęła się ta najbardziej niezwykła noc w życiu Megan. To tej nocy poznała nowe rejony rzeczywistości, których istnienia nawet nie podejrzewała. Po-

znała też lepiej samą siebie; nauczyła się przyjmować i dawać rozkosz.'

Cesare odkrył w niej kobietę, jakiej nie odkrył przed nim nikt inny.

Straciła rachubę, ile razy tej nocy się kochali. Musieli też chyba trochę spać, choćby dla odzyskania sił, lecz nie była tego pewna.

Wiele z tego, co działo się tej nocy, umknęło jej uwagi. Później odkryła, że w którymś momencie Cesare przeniósł ją do sypialni, lecz zupełnie tego nie pamiętała.

Po raz pierwszy oprzytomniała na chwilę z miłosego szału, kiedy zaniósł ją pod prysznic i delikatnie, czule i nieomal z nabożeństwem zmywał z niej pot.

Jednak i tutaj namiętność wkrótce dała o sobie znać i Megan, opatulona w biały, puchaty ręcznik, w ramionach Cesarego pozęglowała do łóżka.

- Tego właśnie od ciebie chciałem - wyszeptał, kładąc się przy niej i przyciągając ją blisko. - Dlatego się z tobą ożeniłem i dlatego możesz być tylko moja.

Kochali się jeszcze, kiedy pierwsze różowe blaski świtu przez okna wkradły się do pokoju i odezwały się pierwsze ptaki.

Wszystko ją bolało, a oczy same zamykały się ze zmęczenia, jednak jeszcze nigdy dotąd nie czuła się równie szczęśliwa i tak spełniona jak teraz. Każda cząstka jej ciała była syta i pełna rozkoszy, co stało się doświadczeniem cudownym i nowym.

Wzdychając ze szczęścia, wtuliła się w Cesarego,

który poruszył się we śnie i miłośnie ogarnął ją ramieniem.

Megan powiedziała sobie w duchu, że właśnie teraz - o brzasku dnia - ona i Cesare zaczynają wszystko na nowo. Bez względu na to, jak źle układało im się do tej pory, odtąd wszystko miało się zmienić. Wierzyła, że po tak niezwyklej nocy ich życie małżeńskie potoczy się szczęśliwie.

Bo tej nocy Cesare nauczył ją jednej ważnej rzeczy - tego, że właśnie on i tylko on jest mężczyzną jej życia.

Przeczuwała to już jako nastolatka, kiedy pokochała go swoją pierwszą, niedojrzałą, młodzieńczą miłością i w efekcie zagubiła drogę w zawiłym labiryncie uczuć. W poczuciu zranionej dumy rzuciła się w ramiona Gary'ego, kiedy Cesare ją odrzucił, myśląc, że to ukoji jej ból, i naiwnie wierząc, że znalazła sposób na nieszczęśliwą miłość.

Tylko że z Garym nigdy czegoś takiego nie przeżywała. Dopiero teraz uświadomiła sobie, w jak egoistyczny sposób posługiwał się jej ciałem, w gonitwie za własną rozkoszą zupełnie nie dbając o jej doznania. To, co robił z nią Gary, o lata świetlne odległe było od miłosnego uniesienia i czułości Cesarego. Tej nocy jak prawdziwy mistrz wprowadzał ją w tajniki magicznej sztuki miłości.

Wiedziała intuicyjnie, że z nikim innym nie czułaby się nawet odrobinę podobnie, i w głębi serca wierzyła, że i Cesare nie kochałby się z nią w ten sposób, gdyby nie darzył jej głębszym uczuciem. Może jeszcze nie

potrafił nazwać tego miłością, może sam jeszcze o tym nie wiedział - lecz z pewnością nosił w sobie ten żar, który w sprzyjających okolicznościach mógł stać się jasnym, czystym i mocnym płomieniem, ogarniającym jego duszę na zawsze.

Wiedziała, że przyjdzie moment, kiedy Cesare to dostrzeże, a wtedy wreszcie wyzna jej miłość.

Mając przed sobą perspektywę następnych wspólnych nocy, równie ekscytujących jak ta pierwsza, Megan uznała, że może na to poczekać.

Zadowolona, uspokojona i szczęśliwa przytuliła się jeszcze mocniej do ukochanego mężczyzny i usnęła.

Dopiero po wielu, wielu godzinach, kiedy wpadająca do pokoju promienie słońca zaczęły lizać jej twarz, powoli zaczęła przytomnieć i z trudem otworzyła oczy.

- Nareszcie się obudziłaś.

Cesare zdążył już wstać. Mówił cichym, zmysłowym głosem - najpiękniejszym głosem na świecie.

- Myślałem, że prześpisz cały dzień.

- A jeśli nawet, to czyja to wina?

- A teraz jak się czujesz?

- Cudownie - zapewniła go, przeciągając się rozkosznie. - Naprawdę tak cudownie, że najchętniej wcale nie wstawałabym z łóżka. Nie mógłbyś przyjść tu do mnie z powrotem?

Zaskoczyło ją, że milczał." Popatrzyła z niepokojem.

- Cesare?

- Nic z tego.

Megan poczuła się nieswojo, po plecach przebiegł jej dreszcz.

- Musisz wstać i ubrać się - rzekł. - Na lotnisku czeka na nas samolot.

- Samolot? Dokąd mamy lecieć?

- Na Sycylię. Pamiętasz, że mieliśmy jechać w podróż poślubną? Właśnie ją zaczynamy. Moi rodzice chcą cię poznać, a ja chcę ci pokazać swój kraj. W końcu jesteś teraz żoną Sycylijczyka, a to do czegoś zobowiązuje; powinnaś poznać moją wyspę.

- Jestem żoną Sycylijczyka - powtórzyła Megan, nie bardzo wiedząc, jak ma to rozumieć.

Wolałaby, żeby powiedział: Jesteś moją żoną. To zrozumiałaby bez kłopotu, lecz pojęcie „żona Sycylijczyka” brzmiało dość zaborczo, bezosobowo i groźnie. W pewien sposób szło jednak w parze z deklaracją, którą Cesare wygłosił poprzedniego wieczora, twierdząc, że żaden Sycylijczyk nie zgodziłby się na pozorne małżeństwo.

Był ciepły, słoneczny dzień, lecz Megan poczuła, że robi jej się zimno. Może ubiegłej nocy uległa tylko upragnionemu złudzeniu? Może jej wyobrażenie, że łączy ich coś więcej niż seks, nie miało żadnych podstaw?

- A więc... pozostajemy małżeństwem? - zaryzykowała.

- Oczywiście - oświadczył Cesare tonem nie dopuszczającym jakichkolwiek wątpliwości. - Mam nadzieję, że po ostatniej nocy zarzuciłaś już te bzdurne myśli o separacji. I jedno jest pewne, *cara*, nie masz już żadnych podstaw, żeby wystąpić o unieważnienie małżeństwa.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

- Zakochałam się w Sycylii - powiedziała Megan do Cesarego. - I w twojej rodzinie.

Leżeli w piasku na rozgrzanej plaży i mrużyli oczy od słońca.

- A oni zakochali się w tobie - odpowiedział leniwie. - Do tego stopnia, że wybaczyli nam ten pośpieszny, angielski ślub zamiast wielkiej rodzinnej ceremonii u nas na wyspie. Mama zawsze miała nadzieję, że na mój ślub zaprosi wszystkich przyjaciół i znajomych.

- Właściwie i tak postawiła na swoim.

Megan uśmiechnęła się na wspomnienie gigantycznego przyjęcia, które Isabella Santorino wydała na ich cześć w pierwszym tygodniu ich pobytu na wyspie. To było niezwykle wydarzenie. Na świeżym powietrzu, w cieniu figowców, stały długie stoły na kozłach, przykryte pięknie wykrochmalonymi obrusami i zastawione stosami jedzenia. Miało się wrażenie, że wszyscy mieszkańcy Sycylii, od Palermo do Syrakuz, przybyli na farmę rodziców Cesarego, żeby uczcić nowożeńców.

- Były naprawdę tłumy ludzi; kiedy myślałam, że to już wszyscy, zaraz pojawiał się jakiś kolejny wuj czy kuzyn.

- No cóż, nie mogliśmy nikogo pominąć - uśmiechnął się Cesare. - Nigdy by nam tego nie darowali. A w ten sposób zdołali jakoś przełknąć fakt, że odstąpiliśmy od tradycji.

- Czyli?

- Powinniśmy mieć wielki, uroczysty ślub, poprzedzony zaręczynami. Zaręczyny zaś mogłyby się odbyć dopiero potem, kiedy spotkaliby się nasi rodzice i całą sprawę między sobą omówili. W przekonaniu mojej matki to, co zrobiliśmy, jest tylko odrobinę mniej żenujące niż *fuitina*.

- *Fuitina*... - powtórzyła z ciekawością Megan, - Co to znaczy?

- To oznacza ucieczkę kochanków - odparł Cesare, przesypując piasek przez palce. - To taki stary sycylijski zwyczaj, jeszcze do dziś praktykowany w niektórych częściach wyspy. Jeśli dwoje młodych zakochało się w sobie, lecz nie mogli ze sobą sypiać, wtedy uciekali z domu. Ta ucieczka miała przekonać rodziny o ich poważnych zamiarach, a oni zatrzymywali się u kogoś z krewnych, gdzie udostępniano im pokój, żeby mogli skonsumować swój związek. Kiedy dorośli i stali się samodzielni, mogli ten związek zalegalizować.

- To zaskakujące - stwierdziła Megan. Podczas swego krótkiego jeszcze pobytu na wyspie zdołała zauważyć, że kobiety są tu pod taką kontrolą rodziców, jaką ona i jej koleżanki uważałyby za coś anachronicznego.

- To ma sens praktyczny - zaproponował Cesare. -

I był to sposób, żeby strzec honoru dziewczyny. Gdyby sypiała ze swym chłopakiem w tajemnicy przed rodziną, wtedy nie byłaby wiele lepsza niż *puttana*, czyli prostytutka.

- Czy zdarzyło się to kiedykolwiek w twojej rodzinie?

- Nie, chociaż pamiętam, jak Gio groził, że ucieknie z Lucią, jeżeli rodziny nie zgodzą się na ich ślub. Poznali się, kiedy oboje mieli po szesnaście lat i od tamtej pory świata poza sobą nawzajem nie widzieli.

- Musiał ją bardzo kochać.

- Była całym jego życiem. Dlatego jej śmierć tak strasznie nim wstrząsnęła.

- Wcale się nie dziwię. To musi być straszne - stracić kogoś ukochanego i to w tak młodym wieku.

Lucia Cardella zmarła w wieku trzydziestu lat, czyli miała tyle lat co Cesare teraz. Megan nie mogła sobie wyobrazić, co by było, gdyby nagle owdowiała.

- Dobrze, że Gio zaczął jakoś wracać do życia, odkąd ty się tu pojawiłaś. Potrafiłaś mu pokazać, że życie jednak toczy się dalej.

- To czas to zrobił - Megan starannie dobierała słowa. - Nie można bez końca trwać w żałobie, nawet po stracie ukochanej żony.

- W każdym razie wy dwoje jakoś dobrze się rozumiecie. Widać wyraźnie, że z tobą Gio może swobodnie rozmawiać o Lucii i o swojej tęsknocie.

Czyżby był o nią zazdrosny? Megan z radością powitałaby u niego to uczucie, świadczące, że nie jest

mężowi obojętna. Tak bardzo chciałyby zajrzeć do jego serca i znaleźć w nim miejsce dla siebie.

Mijał właśnie czwarty tydzień ich pobytu na Sycylii. Przez te cztery tygodnie z powodzeniem odgrywali swe role. Udawali prawdziwych nowożeńców, sielankowo spędzających miodowy miesiąc pod rozprazonym włoskim niebem. Widziała, że rodzice Cesarego dali się na to nabrać. Także wszyscy ich przyjaciele i krewni wierzyli, że Megan jest autentyczną signorą Santorino, w najpełniejszym tych słów znaczeniu. Nikt nawet nie przypuszczał, że ich małżeństwo jest tylko grą, a za fasadą pozorów kryje się pustka.

Za to Gio był inny. Może dlatego, że zdążył poznać prawdziwą i głęboką miłość, od razu dostrzegł to samo uczucie w oczach Megan. Od samego początku rozumiał, co czuje ona wobec jego przyrodniego brata, lecz odgadł także, jak nikt inny, że ich związkowi brakuje czegoś bardzo istotnego i niszczy go pustka.

Dlatego Megan potrafiła rozmawiać z Giem, tak jak nigdy nie rozmawiała z Cesarem, chociaż bardzo by chciała.

- Lubię Gia - powiedziała. - Chciałabym, żeby znalazł sobie kogoś, kto pomoże mu odnaleźć w życiu sens.

- Nie sądzę, żeby to było możliwe. Lucia była jego jedyną miłością i wątpię, żeby ktokolwiek mu ją kiedyś zastąpił.

- Ale Paolo potrzebuje matki.

- Paolo ma ojca. - Cesare podniósł się i otrząpywał teraz piasek ze spodni. - A Gio nie ożeni się tylko

dlatego, żeby zapewnić synowi kobiecą opiekę. W naszej rodzinie mężczyźni, kiedy się zakochają, to głęboko i naprawdę. Tak jest od pokoleń. Mój ojciec od pierwszej chwili wiedział, że mama jest mu przeznaczona, mimo że kiedy ją poznał, była żoną ojca Gia. I tak samo było z moim dziadkiem.

- Ale Gio nazywa się Cardella...

- Do jego gałęzi rodzinnej też się to odnosi. Tak jest z nami wszystkimi - dodał dumnie.

„Tak jest z nami wszystkimi”. A więc miał też na myśli siebie.

Przypomniał jej się ów wieczór w bibliotece, dzień, w którym Cesare jej się oświadczył. Powiedział wtedy, że podobnie jak ona, zakochał się w niewłaściwej osobie, wiele lat temu, kiedy był całkiem młody.

Najwyraźniej tamta kobieta, kimkolwiek była, nie odwzajemniała jego uczuć. Może odrzuciła jego miłość i wyszła za innego?

Pociemniało jej w oczach, jakby nagle wielka, ciemna chmura przesłoniła słońce; znikła cała radość i beztroska spokojnego popołudnia.

Nic dziwnego, że Cesare nie był o nią zazdrosny i nie dbał o to, jak długo rozmawiała z Giem. On po prostu jej nie kochał, bo serce już dawno oddał innej kobiecie, tej jedynej, której nikt mu nie mógł zastąpić.

To dlatego w tak zimny, niemal urzędowy sposób mógł zaproponować jej małżeństwo, kiedy trwał w przekonaniu, że jest w ciąży. Nie mógł zdobyć kobiety, której pragnął, więc ona miała być namiastką. Namiastką drugiej kategorii, powiedziała sobie i po-

czuła się przy tym, jakby ktoś obracał jej nóż w sercu. Cesare jej pożądał, o tym zdążyła się już przekonać, lecz jego miłość na zawsze miała pozostać dla niej w sferze marzeń...

- Już pora wracać - rzekł, wyciągając do niej rękę, żeby pomóc jej wstać.

Właściwie chętnie zostałaaby tu jeszcze długo, wcale nie chciała wracać do domu. W zatoczce było pięknie, zacisznie i pusto, w odróżnieniu od zatłoczonych plaż Mondello. Cesare jednak lubił, żeby wszystko działało się po jego myśli, posłusznie więc przystała na propozycję.

- Chodźmy więc.

Mocno ujął ją za rękę i postawił Megan na nogi, lecz ten moment wystarczył, by przebiegła między nimi iskra. Tak było zawsze, kiedy się dotykali. Megan traciła wtedy nad sobą kontrolę i stawała się niemal inną osobą.

Najwyraźniej Cesare odczuwał to samo. Poznała to po palącym spojrzeniu jego ciemnych oczu i po przyspieszonym oddechu.

- Cesare...!

Zachwiała się, złapała go kurczowo i zamknęła oczy.

- Megan! Co ci jest?

- Już nic - odpowiedziała. - Wszystko w porządku.

Chwilowy zawrót głowy minął i minął bezpowrotnie tamten szczególny moment. Znow wszystko wróciło do normy.

Nie wiedziała, czy jej się zdaje, czy Cesare rzeczywiście się o nią martwi. Uspokajała go, że nic jej nie

jest, lecz on czuł się winny, że pozwolił jej zbyt długo przebywać na słońcu.

Prawdę mówiąc, nawet nie zauważył upływu czasu; godziny mijały jak zaczarowane w tym magicznym miejscu jego dzieciństwa. Przywoływał wspomnienia i widział, że Megan przeżywa je wraz z nim. Pływali w zatoczce i zapuszczali się w tajemnicze zakamarki nadmorskich jaskiń, gdzie dawniej szukał samotności, kiedy sprawy zaczynały go przerastać.

Przyszedł tu także wtedy, gdy ojciec Megan musiał tę brzemienneą w skutki obietnicę. Tom zakazał mu nawet wspomnieć o miłości, dopóki Megan nie dorośnie. Cesare nie chciał czekać, nie wyobrażał sobie, jak przeżyje następne pięć czy sześć lat, nie mogąc jej nawet pocałować, rozumiał jednak racje Toma.

Ojciec chciał zapewnić córce swobodę i czas, żeby dojrzała i nauczyła się dokonywać własnych wyborów, zanim zdecyduje się związać z kimś na całe życie. Nie przewidział, że jego misterna intryga, choć podyktowana najszczerzszymi intencjami, będzie miała opłakany skutek. Megan wplątała się w fatalny romans z Rowellem, po którym pozostało jej tylko przekonanie, że jest w ciąży, co z kolei popchnęło ją i Cesarego do pośpiesznego ślubu, którego w innych okolicznościach na pewno by nie chciała.

A on stracił okazję, by starać się o nią tak, jak sobie to wymarzył.

Jak zawsze kiedy myślał o Rowełlu, ogarnęła go wściekła zazdrość.

- Jak Rowell wygląda? - zapytał niespodziewanie.

Było to ostatnie pytanie, którego Megan by się teraz spodziewała, więc przystanęła i spojrzała na niego ze zdumieniem.

- Dlaczego pytasz?

- Po prostu jestem ciekaw.

Starał się powiedzieć to całkiem obojętnie, lecz zdradził go ton głosu.

- Dlaczego?

- Zastanawiałem się, co w nim widziałaś.

To pytanie spadło na Megan jak grom z jasnego nieba. Gdyby wiedziała, że Cesare je zada, jakoś by się na to przygotowała. Teraz jednak nie miała pojęcia, co mu odpowiedzieć.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Miała nadzieję, że może uda jej się jakoś to zbagatelizować.

- Nic specjalnego - mruknęła.

Cesare jednak nie dał się zbyć byle czym. Natychmiast ją dogonił, przytrzymał i domagał się konkretnej odpowiedzi.

- Co, u diabła, znaczy „nic specjalnego“?

Szli ścieżką na skraju klifu; w dole rozciągała się plaża, a fale rozbijały się na piasku i na ten widok Megan znów poczuła się niepewnie. Wyrwała się Cesaremu i szybkim krokiem ruszyła w stronę samochodu.

- Zdaje mi się, że to nie twoja sprawa! - rzuciła za siebie.

- A ja myślę, że moja! Megan...!

Dogonił ją po raz drugi i tym razem przytrzymał mocniej.

- Chcesz mi wmówić, że poszłaś do łóżka i straciłaś dziewictwo z kimś, kogo uważałaś za „nic specjalnego“?

Ta rozmowa wprawiała Megan w coraz większe zakłopotanie i zaczynała jej coraz bardziej ciążyć. Najlepiej byłoby odwrócić jego uwagę, lecz jak miała to zrobić?

Uznała, że atak będzie najlepszą formą obrony.

- O co właściwie ci chodzi, Cesare? - napadła na niego. - Co cię trapi? Czy rzecz tkwi w tym, że to Gary pozbawił mnie dziewictwa... a nie ty?

- Przestań wygadywać bzdury! Po pierwsze, żyjemy w dwudziestym pierwszym wieku. Pomimo że jestem Sycylijczykiem, nie mogę być aż takim hipokrytą, żeby wymagać od kobiet absolutnej czystości przedmałżeńskiej, akceptując jednocześnie swobodę seksualną mężczyzn.

- A więc...?

- A po drugie... - Cesare nie pozwolił sobie prze-rwać. - Nie mam żadnych powodów, żeby bać się porównania z Rowellem, jeżeli chodzi o seks. Gdybym był gorszym kochankiem niż on, to nie reagowałabyś tak namiętnie na moje pieszczoty.

- Ja...

- Znam kobiety, *carina*. Wiem, kiedy są rozpalone i ożywają w moich ramionach. Wiem, kiedy odczuwają przyjemność i szaleją z rozkoszy. I wiem, że tobie potrafiłem dać taką rozkosz. Dlatego jestem pewien, że gdybyś dokonywała tego typu porównań, to nie ja odpadłbym w przedbiegach, ale on!

Była zupełnie oszołomiona jego oświadczeniem i bijącą z niego pewnością siebie. A fakt, że każde słowo tej wypowiedzi było szczerą prawdą, tylko pogarszał sprawę.

- Ty zarozumiała świni! - wybuchnęła, lecz jej obelga nie wywarła na nim większego wrażenia.

- Może i jestem zarozumiała, ale przy tym uczciwy. Spróbujesz temu zaprzeczyć?

- Nie będę niczego potwierdzać ani niczemu zaprzeczać!

Gdyby twierdziła, że seks z nim wcale jej nie podnieca i że tylko udawała - Cesare po pierwsze by jej nie uwierzył, a po drugie znienawidziłby ją za te nieudolne kłamstwa. Nie mogła jednak podbudowywać jego i tak wybujałego ego, przyznając, że od chwili, gdy pierwszy raz ją pocałował, inni mężczyźni zupełnie przestali ją obchodzić.

- Nie zamierzam dalej komentować twojej bezczelnej wypowiedzi - rzekła wreszcie. - Uważam, że i tak pycha wystarczająco cię zaślepia!

- Co, z grubsza rzecz biorąc, oznacza, że boisz się przyznać, że to prawda.

- Niczego się nie boję!

Wbrew temu, co powiedziała, Cesare znów trafił w dziesiątkę, a ją jeszcze bardziej wytrąciło to z równowagi.

- W porządku! A więc chcesz, żebym ci powiedziała prawdę?! - wykrzyknęła, zupełnie się już nie kontrolując. - Chcesz wiedzieć, jak Gary wygląda? Dobrze, najszczerza prawda jest taka, że jesteście do złudzenia podobni! Mógłby być twoim bliźniakiem.

- On...

Cesare był tak zaskoczony, że nie mógł wydusić nic więcej. Wyglądał, jakby ktoś nagle z całej siły dał mu w twarz. Nie był na to przygotowany i nie wiedział, jak ma zareagować.

Od chwili gdy Megan po raz pierwszy wymieniła to nazwisko, Gary Rowell był tylko niewyraźną syl-

wetką mającą gdzieś na skraju jego świadomości. Jak ciemna chmura zawisł nad ich małżeństwem, niewidocznie stał pomiędzy nim a Megan, odbierając im szansę na stworzenie prawdziwego związku. Wciąż jednak był tylko tym, czym był - cieniem. Cesare nie czuł się przygotowany na ewentualność, że ten drań nagle stanie się kimś konkretnym, kogo można sobie łatwo wyobrazić.

A jakie znaczenie miał fakt, że Rowell był do niego podobny? Czy to tylko zbieg okoliczności, bo obaj byli w typie Megan? A może Megan widziała w nim tylko replikę swego pierwszego kochanka, mężczyzny, który złamał jej serce? Może będąc w łóżku z Cesarem przez cały czas myślała o tamtym?

Za wszelką cenę starał się nie zdradzać swojego wzburzenia, kiedy zapytał:

- Co to właściwie znaczy?

- To znaczy, że ty i Gary Rowell moglibyście być braćmi. Wysocy, o ciemnych włosach, wystających kościach policzkowych, obaj opaleni. Jest bardziej do ciebie podobny niż Gio, jeśli to ci coś mówi.

Już teraz nie mogła się zatrzymać, musiała to wszystko z siebie wyrzucić, choć język plątał jej się z przejęciem.

- Jak myślisz, dlaczego od pierwszej chwili się w nim zakochałam?

- Dlaczego?

Zabrzmiało to, jakby rzeczywiście nie wiedział, choć nie mogła w to uwierzyć. Cesare był przecież wystarczająco inteligentny, żeby się domyślić.

- Przecież chyba wiesz, o czym mówię - podjęła.
- Gary Rowell do złudzenia przypominał cię. Niemal był twoim sobowtórem. To dlatego natychmiast zrobił na mnie piorunujące wrażenie. To było...

W tym momencie uświadomiła sobie, że wkracza na niebezpieczną ścieżkę. Opowiadanie o tym, że była w nim szaleńczo zakochana, a on podczas przyjęcia noworocznego złamał jej serce i dlatego padła w ramiona Gary'ego, wydawało jej się co najmniej nierozsądne.

- Podkochiwałam się w tobie przez parę lat - rzekła - i w rezultacie dość głupio zachowywałam się wtedy... w Nowy Rok. Rzuciłam ci się w objęcia i byłam bliska powiedzenia: „Weź mnie, jestem twoja”.

- O ile pamiętam, tak właśnie powiedziałaś - mruknął Cesare, lecz Megan spiorunowała go wzrokiem.

- Ty dość jasno wyraziłeś swoje uczucia w tej kwestii - i bardzo mnie to zabolowało! Więc kiedy Gary okazał mi zainteresowanie, a nawet więcej niż zainteresowanie, uznałam, że znajdę w nim pocieszenie...

- Więc ja jestem winien temu, że wylądowałaś z Rowellem w łóżku? I że zaszłaś w ciążę?

- Jednak nie zaszłam w ciążę, to już nie jest problem.

Megan usiłowała mówić lekkim, drwiącym tonem, lecz zupełnie jej to nie wyszło.

- To była tylko głupia pomyłka - rzekł.

- Ale mogło jej nie być.

Cesare dopiero teraz zaczął się zastanawiać, czy rze-

czy wiście tak głęboko ją zranił. Jej niewinne zaloty podczas owego pechowego przyjęcia doprowadzały go, co prawda, do granic wytrzymałości, lecz przecież nie zamierzał wywołać w niej aż takiej reakcji. Czyżby do tego stopnia sponiewierał u Megan dumę i poczucie własnej wartości, że musiała paść w ramiona pierwszego mężczyzny, który się trafił?

Megan nie sądziła, że wciąż jeszcze będzie cierpieć, nawet tutaj, w tym pięknym słonecznym kraju, a jednak wyglądało na to, że przeznaczona jej czara goryczy nie ma dna.

Znów powrócił drażliwy temat - dlaczego Cesare ożenił się z nią. Błagała go w myślach, żeby powiedział coś, co rozświetliłoby wewnętrzny mrok.

Przyznaj, że nie chodziło ci tylko o seks, prosiła go w duchu. Nie musisz mówić, że mnie kochasz - nie oczekuję aż tak wiele, ale proszę, powiedz mi, że to nie był tylko seks!

Cesare jednak milczał, a jej nieme prośby nie zostały wysłuchane.

Przybrała więc na powrót chłodną maskę obojętności, choć nie przyszło jej to łatwo.

- A więc oboje wiemy, na czym stoimy, prawda? - podsumowała z goryczą. - Ja wyszłam za ciebie, ponieważ byłam w sytuacji bez wyjścia, w ciąży, która okazałaby się fałszywym alarmem, gdybym tylko poczekała tydzień dłużej. A ty ożeniłeś się ze mną, bo inaczej nie udałooby ci się zwabić mnie do łóżka. Można powiedzieć, że jesteśmy siebie warci.

- Taaak - mruknął Cesare ponuro. - Z tym mógł-

bym się zgodzić. Rzekłbym nawet, że znakomicie do siebie pasujemy.

- No i co teraz będzie?

Wzruszył ramionami i nawet już go nie obchodziło, jak Megan to odbierze. Zapędzili się oboje w jakąś ślepa uliczkę, z której nie było widać wyjścia, i jedyne, co potrafili, to ranić się nawzajem.

Co miał teraz zrobić? Powiedzieć tej kobiecie, która uważała małżeństwo z nim za pułapkę, że kocha ją do szaleństwa? Ze jest jego jedyną prawdziwą miłością, tak jak Lucia była jedyną miłością Gia? Pewnie roześmiałaby mu się prosto w twarz, gdyby zdobył się na takie wyznanie.

- Nie sądzę, żeby akurat teraz coś miało się zmienić - odpowiedział. - Po prostu trochę lepiej wiemy, na czym stoimy. Myślę, że możemy po prostu wrócić do domu i żyć dalej tak jak dotąd.

- Do domu.

Megan była tak rozszalona, że wystarczyło to jedno słowo, aby przeważyć szalę.

Szarpały nią gwałtowne i całkowicie sprzeczne uczucia, jednocześnie nienawidziła Cesarego i kochała, wciąż pragnąc jego miłości. Teraz więc potoki żalu i pretensji popłynęły z niej pod pierwszym lepszym pretekstem.

- Do domu! Chcesz powiedzieć, że mamy wrócić do willi?

- Oczywiście. A dokąd mielibyśmy wrócić?

- Ach, to nie o to chodzi - warknęła Megan. - Ta willa nie jest dla mnie żadnym domem! Może dla cie-

bie to dom, ale dla mnie to tylko miejsce, gdzie chwilowo mieszkam; gdzie jem, śpiam i uprawiam seks z moim mężem, który za cenę tej obrączki nabył prawa do mojego ciała...

Z szaleństwem w oczach machnęła lewą dłonią z obrączką na palcu.

Cesare miał twarz mroczną i nieprzeniknioną.

- Więc nie nazywaj tego miejsca moim domem!
- krzyczała dalej. - Ta willa to jest moje więzienie, na pewno nie dom!

Zdawała sobie sprawę, że posunęła się za daleko. Na swoje usprawiedliwienie miała tylko to, że bardzo cierpiała i podświadomie chciała, żeby Cesare też miał udział w jej cierpieniu.

Po nim jednak wcale nie było widać oznak cierpienia, raczej wściekłość. W oczach zapaliły mu się gniewne ogniki, a minę miał tak groźną, że Megan na wszelki wypadek cofnęła się o krok.

Jednak kiedy przemówił, wydawał się całkowicie chłodny i opanowany.

- W takim razie, *amante...* - Starannie dobierał słowa, każde z nich nasączając jadowitą ironią. - Jeśli będziesz tak miła i wsiądziesz do samochodu, to zaraz odwiezę cię do twojego więzienia.

Z pełną drwiny galanterią otworzył przed nią drzwi samochodu i pomógł Megan wsiąść.

- Jeszcze tylko jedno pytanie - warknął przez zacisnięte zęby. - Powiedziałaś, że kiedyś „podkochiwałaś się” we mnie. Czy mam rozumieć, że zupełnie ci to przeszło?

Czyżby rzeczywiście miało to dla niego znaczenie? Megan nie chciała się teraz w to wgłębiać.

- O, tak - odparła - przeszło mi dawno temu. To były, ot, takie fantazje nastolatki. Od tamtej pory zdążyłam wy dorosnąć.

Odpowiedziało jej długie, długie milczenie i wtedy zrozumiała, że cios nie chybił celu.

- Tak - powiedział w końcu Cesare. - Rzeczywiście zdążyłaś wy dorosnąć. I muszę przyznać, że wolałem tę drugą, młodszą Megan.

- Cóż, bardzo mi przykro, tamta Megan już nie istnieje.

- Widzę. Rzeczywiście, bardzo się zmieniłaś. Długo na to czekałem, tylko szkoda, że osoba, którą się stałaś, nie przypada mi do gustu.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Minęły trzy tygodnie od pikniku na plaży w zatoczce. Trzy tygodnie, podczas których pewne dręczące Megan podejrzenie zaczęło zamieniać się w pewność. Przez cały ten czas czekała, obserwowała, zamartwiała się i modliła - niestety bez skutku.

Tym razem jednak nie było szansy, że to pomyłka. Nie miała też zamiaru zawierzyć testowi z apteki; po poprzednich doświadczeniach i tak nie potrafiłaby uwierzyć w jego wynik, bez względu na to, jaki by był. Tym razem musiała mieć absolutną pewność.

I miała tę pewność.

Zwierzyła się Gio i on zawiózł ją do lekarza w Palermo. Lekarz wykonał wszelkie wymagane próby i przedstawił jej wynik, który nie pozostawiał cienia wątpliwości - ani nadziei.

Była w ciąży, miała urodzić dziecko.

Nosiła w sobie to dziecko już prawie osiem tygodni i był to fakt niezaprzeczony, nie złudzenie, któremu uległa poprzednio. -

Wydawało się to niemożliwe, ponieważ tym razem nie odczuwała żadnych przykrych objawów, które na

ogół kojarzą się z ciążą. Może tylko ten chwilowy zawrót głowy na plaży i opóźniający się okres mogły dać jej w tej kwestii do myślenia.

Przyszły dzidzius pojawił się więc w jej życiu dyskretnie i po cichutku, zupełnie niespodziewanie.

- Kiedy masz zamiar powiedzieć Cesaremu, że zostanie ojcem? - zapytał Gio. Sam nie miał wątpliwości co do wyniku testu; Megan miała to wypisane na twarzy, kiedy tylko wyszła z gabinetu. Musiał jednak przyrzec, że zachowa tajemnicę, dopóki ona nie postanowi, co robić dalej.

Ten problem męczył ją od rana do nocy, nie potrafiła myśleć o niczym innym.

Zastanawiała się, kiedy i jak powiedzieć o tym Cesaremu, wyobrażała sobie, jak on na tę wiadomość zareaguje.

Od czasu pikniku na plaży spodziewała się, że nastaną między nimi „ciche dni”, lecz nie mogła się bardziej mylić.

Cesare dwoił się i troił. Był przy niej, zabierał ją w rozmaite ciekawe miejsca, pokazywał jej wyspę, razem z Megan odwiedzał swą rodzinę. Spędzali nawet długie weekendy na kontynencie, zwiedzając Rzym i Neapol i wystarczyło, aby wyraziła jakieś życzenie, a on natychmiast je spełniał.

Tylko noce były teraz inne, lecz Megan nie potrafiłaby powiedzieć, co właściwie się zmieniło. Ich długie, zmysłowe noce z pierwszych tygodni małżeństwa nadal pozostały długie i zmysłowe, a jednak jakby czegoś w nich zabrakło.

- Co ty tu robisz, sama, po ciemku?

Pytanie Cesarego nagle wyrwało ją z zamyślenia.

- To... to tak miło posiedzieć sobie w chłodzie... i w ciszy - wyjąkała, ciesząc się, że gęstniejący mrok skrywa przed nią jej twarz. Nie zdążyła jeszcze ochłoniąć po szoku, jakim była wiadomość o ciąży, i bała się, że Cesare mógłby coś wyczytać z jej oczu. A ona nie była jeszcze gotowa, żeby podzielić się z nim radosną nowiną.

- Poczułam się, jakbym była z powrotem w domu - rzekła z tęsknotą - u ojca w ogrodzie.

- A chciałybyś być w domu?

Rzucił to pytanie ostro, zbyt ostro i jednocześnie zapalił światło, aż zamrugała oczami, jakby nagle wyrwał ją ze snu.

- Chciałybyś, powiedz?

- Chciałabym zobaczyć się z ojcem - odpowiedziała ostrożnie, nie wiedząc do czego Cesare zmierza.
- W końcu jesteśmy tu już prawie dwa miesiące i mam prawo wiedzieć, co się z nim dzieje.

Chciałaby mu też powiedzieć, że zostanie dziadkiem. Wiedziała, że jej ojciec byłby tym zachwycony. Najpierw jednak musiała znaleźć sposób, by przekazać tę wiadomość ojcu swojego dziecka.

- Dopiero wczoraj z nim rozmawiałaś.

- Ale tylko przez telefon. To nie to samo, co porozmawiać osobiście. Głos może mylić.

- Twój ojciec ma się dobrze; lepiej niż kiedykolwiek, od wielu lat.

- Tak, ale chciałabym to zobaczyć na własne oczy.

- Czy myślisz, że gdyby były powody do zmartwienia, tobym je przed tobą ukrywał? A może nie wierzysz, że jego problemy już są rozwiązane?

- Wierzę, że pospłacałeś jego długi. Obiecałeś, że to zrobisz, i nie mam powodu sądzić, że nie dotrzymałeś słowa. To nie to mnie martwi.

- A w takim razie co?

Tego na razie nie potrafiła mu jeszcze powiedzieć. Nie była gotowa, żeby wyjawić tajemnicę, obawiała się jego reakcji.

- Chcę po prostu zobaczyć mojego ojca. Czy jest w tym coś złego?

- Nic. Jeżeli rzeczywiście tylko o to ci chodzi.

- Cesare! Czy coś ci dzisiaj ugryzło?

Przez chwilę wpatrywał się w jej twarz tak przenikliwie, że poczuła się jeszcze bardziej nieswojo.

- Po prostu zastanawiałem się, kiedy to wyniknie.

- Kiedy co wyniknie?

- Ta sprawa, że „ja chcę do domu”.

- Chcę zobaczyć ojca - to chyba naturalne?

Cesare otworzył butelkę czerwonego wina i teraz nalewał je do pięknych, kryształowych kieliszków.

- Twój dom jest tutaj, ze mną - stwierdził chłodno, nie patrząc na nią. - Napijesz się wina?

- Tak... to znaczy nie, dziękuję - poprawiła się szybko, przypominając sobie swój stan. - Cesare, co to ma znaczyć? Chcesz mi powiedzieć, że nie mogę pojechać do domu?

Miała już dość tej jego pantomimy z winem. Niecierpliwie tupała nogą, podczas gdy on delektował się

bukietem trunku, powoli próbował, a wreszcie z aprobatą wypił cały kieliszek.

- A gdyby tak było? - rzekł w końcu.

- Chyba oszalałeś! Mam prawo zobaczyć się z ojcem. Nie możesz mnie od niego izolować.

- Nie mogę? Niby dlaczego? Przecież on zrobił mi to samo.

Dannazione \ To wysnęło mu się zupełnie mimo woli, nie miał zamiaru tego powiedzieć, ale słów nie dało się już cofnąć.

A Megan nie zamierzała puścić tej uwagi mimo uszu.

- Co ci zrobił?

- Nic. To nie ma znaczenia, Megan. Nie chcę o tym rozmawiać.

- Ale ja chcę! Co on ci zrobił? Przecież mówisz o moim ojcu, prawda?

- Tak, mówię o twoim ojcu!

Myślał jednak o Garym Rowellu.

I na tym polegał problem. Od chwili kiedy dowiedział się, że Gary znów jest w Anglii i że poszukuje Megan, nie potrafił skupić się na niczym innym. Tom Ellis wspomniał mu o tym mimochodem podczas wczorajszej rozmowy telefonicznej.

Ojciec Megan oczywiście nie miał pojęcia o niedawnych doświadczeniach córki z tym draniem Rowellem, nie widział więc nic szczególnego w fakcie, że jej przyjaciel ze studiów chciałby się z nią zobaczyć i „powspominać dawne czasy”. Nawet nie podejrzewał, że rzekomy „przyjaciel” cynicznie ją uwiódł, a potem bez skrpułów porzucił.

Skoro wspomniał zięciowi o pojawieniu się Rowella, to z pewnością powiedział o tym i Megan.

- No więc, co takiego niby ci zrobił? - nie ustępowała Megan.

Cesare gwałtownie odwrócił się w jej stronę, wciąż trzymając w ręce kieliszek, jakby była to symboliczna, dzieląca ich bariera.

Już otworzył usta, żeby opowiedzieć o bezwzględnej obietnicy, którą Tom Ellis wymusił, lecz powstrzymał się i potrząsnął głową.

- Nie.

- Cesare, musisz mi powiedzieć!

- Muszę?

Jego ciemne oczy zapłonęły oburzeniem. Przeszedł parę kroków i z impetem rzucił się na obity skórą fotel. Nawet Megan nie miała prawa dyktować mu, co musi robić. Przypominał wulkan, który zaraz może wybuchnąć.

Zmieniła więc ton na proszący, lecz nie dawała za wygraną. Przysiadła na oparciu jego fotela i patrzyła z wyczekiwaniem.

Z tak bliska działała na Cesarego obezwładniająco i doskonale o tym wiedziała. Widok jej długich, szczupłych nóg w obcisłych dżinsach, piersi prześwitujących przez ciasną, bawełnianą koszulkę, zapach jej perfum - wszystko to wprawiało go w stan zbliżony do gorączki.

I Megan zamierzała to wykorzystać, żeby wyciągnąć z niego tajemniczą informację.

- Cesare... Powiedziałaś, że mój ojciec cię ode mnie... izolował?

- Nie darujesz mi, prawda? - Westchnął z rezygnacją.

- Nie. A poza tym, mam prawo wiedzieć, skoro mnie to dotyczy. Jeśli mi nie powiesz, zaraz dzwonię do ojca.

Uśmiechała się przewrotnie, jak mały kotek, który za wszelką cenę chce się dostać do śmietanki.

- Potrafię być bardzo uparta, więc lepiej już się poddaj.

- Okej!

Cesare postanowił ustąpić. Miał już dość ciągłych sekretów i udawania. Uznał, że lepiej będzie, jeżeli Megan pozna prawdę.

- Dobrze, pewnie prędzej czy później i tak byś się dowiedziała, więc niewielka różnica, jeśli powiem ci to teraz.

Megan nie miała pojęcia, czego się spodziewać, lecz wiadomość, którą usłyszała, była dla niej jak grom z jasnego nieba. Kiedy Cesare opowiedział jej o swojej męskiej rozmowie z jej ojcem, szeroko otworzyła oczy ze zdumienia.

- Już... wtedy ci się podobałam? - wyjąkała, lecz wciąż nie mogła ochłonać, _

Przypomniała sobie coś, co powiedział jej dawno temu, zdawałoby się, w innej epoce. Kiedyś, gdy przyszedł do ich domu i zastał ją samą i przestraszoną.

- Nigdy nie potrafiłem cię ignorować - rzekł. - Miałaś wtedy trzynaście lat, a ja po raz pierwszy się u was pojawiłem. Już wtedy nie mogłem oderwać od ciebie wzroku i tak jest do tej pory. A kiedy byłaś szesnastolatką, zakochałem się w tobie po uszy.

- I mój ojciec wymógł na tobie przyrzeczenie, że zachowasz to dla siebie i poczekasz?

- Dałem mu słowo. Zrozumiałem jego motywację. Wiedziałem, co przeszedł ze swą żoną, jak za wszelką cenę starał się ją zatrzymać, spełniał wszystkie jej zachcianki - bezskutecznie. A kiedy odeszła i rozwiodła się z nim...

W tym momencie dostrzegł smutek w oczach Megan i urwał. Uświadomił sobie, że przecież mówi o jej matce.

- Przepraszam... - zaczął, lecz Megan go powstrzymała. Ona też zdawała sobie sprawę, jaką krzywdę zrobiła ojcu jej matka, a ją samą porzuciła jako małe dziecko.

- Bardzo źle potraktowała ojca - powiedział Cesare. - Procesowała się z nim o majątek i tak zaczęły się jego kłopoty finansowe. Koszta rozwodu stanowiły w jego budżecie wyrwę, której nigdy nie zdołał załatać. Strata żony to był cios, po którym Tom w dużym stopniu stracił zainteresowanie do interesów, przestał o nie dbać i skutki nie dały na siebie długo czekać. Firma zaczęła podupadać, aż w końcu zagroziła jej ruina. Jedyne, co mogłem zrobić, to ją wykupić za cenę znacznie przewyższającą jej rzeczywistą wartość i odpisać to na straty.

- Musiało kosztować cię to majątek. Mam nadzieję, że było tego warte.

Cesare z trudem ukrywał zaskoczenie.

- Zrobiłeś to dla mnie - wyjaśniła. - Żeby się ze mną ożenić. Mam nadzieję, że byłam warta tego wydatku.

- Warta wydatku? Megan, ty jesteś warta całego

mojego majątku, wszystkiego, czym jestem i co posiadam i jeszcze wiele, wiele więcej!

Z rozmachem postawił kieliszek na pobliski stolik i w mgnieniu oka chwycił ją, przyciągnął i posadził sobie na kolanach, a ich usta połączyły się w gorącym, zmysłowym pocałunku.

- Wydaje mi się, że pragnąłem cię przez całe życie - ciągnął dalej po chwili. - Próbowałem o tym zapomnieć w towarzystwie innych kobiet, ale nic z tego nie wychodziło. Zawsze byłaś przy mnie obecna, miałem cię we krwi i dręczył mnie głód, którego nie mogłem zaspokoić.

To były słowa pożądania i namiętności, które wobec niej odczuwał. Lecz gdzie były słowa, na które czekała najbardziej? Gdzie była miłość? To głębokie uczucie, które wiodłoby ich razem przez życie? Ich i dziecko; bo o nim też należało myśleć.

Pozbawiona głębszych uczuć z jego strony była niewiele więcej niż niewolnicą. Kupioną za cenę spłaty długów swojego ojca.

- A więc, kiedy usłyszałaś, że jestem w ciąży, był to dla ciebie korzystny splot okoliczności. Nadarzyła się znakomita okazja, żeby namówić mnie na małżeństwo i dostać to, na czym ci zależało. Na osłodę dodałaś mi obietnicę, że pomożesz ojcu, wiedząc, że wtedy nie będę mogła odmówić.

Czy jej się wydawało, czy w oczach Cesarego odbił się wyraz winy, a może zakłopotania?

- Nic dziwnego, że zrozumiałaś błędy mojego ojca - powiedziała.

Z bólem serca wyrwała się z jego objęć i zeskończyła mu z kolan. Odeszła kilka kroków, potrzebowała dystansu, żeby móc sensownie myśleć.

- Ty robisz dokładnie takie same błędy, jakbyś był jego wiernym uczniem. Usiłujesz kupić mnie i moje uczucia. Więc mówię ci wprost, *mio manto*. Nic z tego nie będzie! Ludzi nie da się kupić! W miłości nie pomogą żadne łapówki!

A teraz walcz ze mną, proszę! Całą siłą swej woli i ducha pragnęła, żeby zaprzeczył, żeby się jej przeciwstawił. To, czego potrzebowała - to świadomość, że w ich związku liczyło się coś więcej niż tylko seks. Nie musiał nawet używać słowa „miłość”, mogła na to poczekać. Chciała jedynie, żeby dał jej nadzieję, coś, w co mogła wierzyć.

On tego nie zrobił. Milczał i swym milczeniem coraz bardziej szarpał jej nerwy. Czekwała, a każde uderzenie serca boleśnie rozciągało się w nieskończoność.

Milczał i ani na chwilę nie spuszczał z niej wzroku.

Aż w końcu gwałtownie wstał z fotela i zaczął chodzić tam i z powrotem po pokoju, jak wtedy w bibliotece. Przypominał polującego kota.

I kiedy zaczynało to przekraczać granice jej wytrzymałości, zatrzymał się nagle i spojrzał jej prosto w oczy. Przeraził ją chłód bijący z jego twarzy.

- Powiedz mi... - zaczął tonem towarzyskiej konwersacji, tak jakby mówił o pogodzie czy cenie ryb, a nie o sprawach decydujących o przyszłości ich małżeństwa, związku, bez którego ona nie mogłaby żyć.

-Pamiętasz, mówiłaś mi o życiu tutaj... tego dnia, kiedy byliśmy na plaży w zatoce...

- Kiedy powiedziałam, że życie tutaj jest dla mnie jak więzienie?

Cesare kiwnął głową.

- Czy rzeczywiście tak uważasz?

Zaszła już tak daleko, że teraz nie mogła się wycofać. Chciała mieć wszystko albo nic. Cała przyszłość jej i jej dziecka właśnie się ważyła. Miała więc tylko jedną odpowiedź.

- Tak.

Życ z nim, wiedząc, że jej nie kocha, było czymś gorszym niż najstraszliwsze więzienie. Kochać go, tak jak go kochała, ze świadomością, że Cesare chce od niej tylko seksu - było najbardziej wyrafinowaną torturą.

A na domiar złego bezgranicznie uwielbiała swego prześladowcę.

- Tak uważam - powtórzyła.

I właśnie tej odpowiedzi Cesare się obawiał, bo oznaczała ona, że poniósł absolutną klęskę. Imał się wszystkich znanych sobie sposobów, żeby obudzić w niej uczucie, i teraz nie wiedział już, co robić dalej.

Megan bowiem miała rację, jej oskarżenia były w pełni uzasadnione. Rzeczywiście popełnił te same błędy, co jej ojciec. Usiłował kupić jej uczucie; zdawało mu się, że jeśli tylko zdoła namówić ją do małżeństwa, to wszystko inne przyjdzie już samo; że jeśli tylko da jej trochę czasu, to Megan wreszcie się w nim zakocha i...

I co? I odtąd będą żyć długo i szczęśliwie?

Omal nie roześmiał się w głos ze swojej naiwności, lecz spojrzął na Megan i zamarł, widząc w jej oczach bezgraniczny smutek.

Zrozumiał, że przyszedł moment, kiedy będzie musiał podjąć dramatyczną decyzję.

Nawet jeżeli dotąd powtarzał błędy Toma Ellisa, to mógł przecież przerwać to fatalne pasmo wydarzeń, bo rozumiał coś, czego nigdy nie rozumiał jego teść. Mógł nie dopuścić, by działo się coraz gorzej, i pogodzić się z nieodwracalnym. A za nieodwracalną uznał prawdę, że Megan nigdy go nie pokocha.

Musiał to przyjąć - i pozwolić jej odejść. Gdyby tak nie zrobił, prawdopodobnie w końcu zniechęciłaby go tak samo, jak jej matka zniechęciła Toma, a tego by nie zniósł.

Zdecydował więc, że z tym skończy. Nawet gdyby miało go to zabić.

Wziął głęboki oddech i zmusił się, żeby ubrać swą decyzję w słowa.

- A więc, w porządku. Nie będziesz musiała dłużej cierpieć. Możesz wyjechać.

- Co?

To była ostatnia rzecz, jakiej Megan by się spodziewała. Nie wierzyła własnym uszom.

- Co powiedziałeś? Nie rozumiem - wykrztusiła.

- To całkiem proste. Powiedziałaś, że życie tutaj przypomina ci więzienie. A więc staram się to naprawić. Zdejmuję ci kajdanki, otwieram drzwi...

Ku przerażeniu Megan rzeczywiście ruszył do ho-

lu i otworzył na oścież drzwi wejściowe, wpuszczając do pokoju łagodny morski powiew i daleki szum morza.

- Możesz stąd odejść - wyjechać - w każdej chwili. Nasze małżeństwo od samego początku było pomyłką. Nie potrafię dać ci tego, czego byś chciała, a przyznam się, że i dla mnie ten związek powoli przestaje być atrakcyjny.

Nie chodziło o to, że wygasa w nim namiętność; nadal pragnął Megan i wiedział, że tak pozostanie, lecz seks pozbawiony miłości nie był tym, co by go zadowalało. Prawdę mówiąc, z każdym dniem taki stan pogłębiał jego cierpienie.

A przy tym wciąż, także teraz, nie mógł opanować podniecenia, kiedy była przy nim blisko. Niepotrzebnie podszedł tuż do niej i niechcący lekko się o nią otarł. Natychmiast stracił dystans i nie mógł już zebrać myśli, a co dopiero zamknąć je w odpowiednio wyważone słowa. To, co miał do powiedzenia, musiał wyrazić łagodnie, lecz jasno; przychodziło mu to z wielkim trudem.

- Tu nie ma nic więcej do rozumienia - rzekł. - Chcę to zakończyć: tu i teraz. Jutro od rana podejmę odpowiednie kroki rozwodowe. Nie patrz na mnie w ten sposób! Przecież daję ci to, czego chciałaś! Zwracam ci wolność. Możesz odejść.

Tylko odejdz! Wyjedź stąd jak najszybciej, zanim jakimś nieopatrzonym słowem okażę swoją słabość.

Megan jednak zwlekała, ociągała się, a cierpienie Cesarego stawało się trudne do wytrzymania.

- Ale... ja nie mogę odejść... - wyjąkała. - Jestem w ciąży.

Tego jednak już było za wiele.

- O, nie! W żadnym razie! - wybuchnął. - Już raz mnie w ten sposób nabrałaś i po raz drugi nie dam się robić w konia! Nawet tobie.

I zanim Megan zdążyła zrobić jakiś gest, już go nie było.

Nie miała najmniejszego pojęcia, czy kiedykolwiek zdoła go odzyskać.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

- Och, Cesare, *fratello mio*. Jesteś chyba największym durniem na świecie - ja przynajmniej większych nie znam.

Słowa Gia jeszcze brzmiały w głowie Cesarego, kiedy dojeżdżał do willi i parkował samochód.

- Zdawało mi się, że mówiłeś, że kochasz tę kobietę!

- Kocham ją! - odpowiedział. - Uwielbiam! Kocham ją ponad życie, ale żyć z nią nie mogę!

- A dlaczego nie?

- Bo nie potrafiłbym żyć z nią, wiedząc, że nigdy mnie nie pokocha.

- Kto ci to powiedział? Megan? Czy kiedykolwiek ją o to pytałeś? Czy sam powiedziałeś jej, co do niej czujesz?

Nie musiał czekać na odpowiedź, bo wyczytał ją z oczu swego brata i rozłożył ręce w geście dezaprobaty.

- *Mądre de Dio*, Cesare! Co się stało z twoją głową? Spodziewałeś się, że ta nieszczęsna dziewczyna będzie czytać w twoich myślach? Coś ci powiem...

I to coś, co mu powiedział, sprawiło, że Cesare popędził do samochodu i ruszył do willi tak szybko, jak tylko pozwalały na to tutejsze wąskie i kręte drogi.

Teraz, gdy był na miejscu, serce waliło mu w piersi jak młotem. Wiele by oddał, żeby mieć już za sobą ten decydujący moment i wiedzieć wreszcie, na czym stoi. Póki co, wciąż były dwie możliwości, lecz jeśli Megan odpowie mu wprost, że go nie kocha - wtedy wszystko przepadnie i nie będzie już miał żadnej nadziei.

Poza tym była sprawa taksówki.

Minęła go w drodze, najwyraźniej wracając z willi. Jej pasażer musiał pozostać u nich w domu, ponieważ droga nie prowadziła nigdzie indziej, a taksówka wracała pusta. Kogo Megan знаła tu na tyle dobrze, żeby go do siebie zaprosić pod nieobecność męża?

Wiedziony instynktem, wolał zachować ostrożność; cicho skradał się w stronę domu, nie chcąc nikogo spłoszyć. Najpierw musiał wy badać sytuację.

I już niebawem miał się przekonać, że plan ten był 'słuszny. Oczom jego bowiem ukazał się widok, który sprawił, że Cesare zazgrzytał zębami z wściekłości.

Stali oboje koło basenu na tyłach domu, dlatego nie słyszeli podjeżdżającego samochodu. Megan wyglądała pięknie, ubrana w długą, białą sukienkę. Wiatr lekko potargał jej wspaniałe włosy. Towarzyszył jej mężczyzna, którego Cesare nigdy w życiu nie widział, lecz nie potrzebował żadnych wyjaśnień i prezentacji, aby wiedzieć, kto to jest.

- Ty i Gary Rowell moglibyście być braćmi - powiedziała Megan i patrząc teraz przez uchylone drzwi na patio, Cesare mógł w pełni przyznać jej rację. Gdyby nie to, że właśnie wracał od Gia, u którego spędził

noc po ostatniej burzliwej rozmowie z Megan, mógłby sądzić, że to jego przyrodni brat, lecz teraz pozostawała tylko jedna ewentualność.

- Rowell!

Wysyczał to nazwisko przez zęby i pośpiesznie cofnął się, aby pozostać poza polem widzenia tych dwojga. Wolał zostać niezauważony, dopóki nie będzie wiedział, co się tu dzieje.

A obawiał się najgorszego.

Niemożliwe, aby Gary Rowell trafił tu bez pomocy Megan. A w takim razie musiała wiedzieć, że jest w Londynie i że jej poszukuje. Po ich wczorajszej kłótni miała zaledwie dość czasu, żeby do niego zatelefonować i prosić, aby przyleciał do niej najbliższym samolotem lecącym na Sycylię... A jeśli tak właśnie zrobiła, to musiała go nadal kochać.

Na moment ogarnęła go pokusa, żeby zostawić ich razem i odjechać. Wciąż jednak miał w pamięci słowa Gia i wiedział, że nie może się teraz wycofać. Westchnął i zawrócił.

Megan nie zdążyła jeszcze otrząsnąć się z szoku po niespodziewanym przybyciu Gary'ego. Słyszac podjeżdżający samochód, była przekonana, że to Cesare wraca wreszcie do domu. Podbiegła więc do drzwi i otworzyła je na oścież. Przez chwilę myślała nawet, że stojący w progu wysoki, ciemnowłosy mężczyzna to jej mąż.

Zaraz jednak zauważyła jego niebieskie oczy, usłyszała znany głos.

- Cześć, kiciu.

Tylko jeden mężczyzna mówił do niej „kiciu”, tym właśnie drwiącym tonem. Tylko jeden mężczyzna mógł się tak uśmiechać, pytając:

- Nie cieszysz się, że mnie widzisz, malutka?

I był to ktoś, kogo nie chciała już nigdy więcej zobaczyć.

Był tu jednak i stał w progu jej domu. A najgorsze, że nie mogła od razu się go pozbyć, ponieważ zdążył już odprawić taksówkę, która go tu przywiozła.

Nie mogła też w nieskończoność trzymać go za drzwiami. Czuła się w obowiązku zaprosić go do środka i zaproponować coś do picia. Miała tylko nadzieję, że następna taksówka zdąży zabrać nieproszonego gościa, zanim wróci Cesare.

Bo przecież musiał wrócić, chociażby pó to, żeby zabrać jakieś ubrania. Czekała na niego przez całą noc, aż w końcu zupełnie wyczerpana usnęła na sofie i ocknęła się tuż przed przybyciem taksówki.

- Ładnie tu masz - Gary najwyraźniej usiłował nawiązać rozmowę.

- To dom mojego męża. Jest Sycylijczykiem.

- Słyszałem o tym. Przyznam się, że nie wierzyłem własnym uszom, kiedy twój ojciec powiedział mi, że wyszłaś za mąż i tu mieszkasz. Dopiero kiedy dowiedziałem się, za kogo wyszłaś, wszystko stało się jasne.

Megan lekko zmarszczyła brwi, nie wiedząc, do czego zmierza.

- No, kiciu, przecież dobrze wiesz, o co mi chodzi.

Cesare Santorino - przyjaciel rodziny - podobno nadziany facet. Niezłe to wymyśliłaś, a poza tym zawsze miałaś do niego słabość.

Megan gorzko pożałowała teraz chwili szczerości, kiedy opowiedziała Gary'emu o Cesare. Zaufała temu człowiekowi, a on cynicznie ją wykorzystał.

- Widzę też, że zmieniłaś zdanie w sprawie aborcji - ciągnął z tym samym drwiącym uśmieszkiem. - Mimo wszystkich swoich oporów musiałaś pozbyć się ciąży, bo inaczej byłoby już widać. Spryciara z ciebie! Nie przypuszczam, żeby twój Sycylijczyk zechciał cię z cudzym bachorem w brzuchu. A przy okazji, gdzie jest aktualnie twój pan i władca?

- Będzie tu... lada chwila. - Modliła się w duchu, żeby to była prawda. - Gary, po co tu właściwie przyjechałeś?

- A co, nie wierzysz, że wpadłem tylko po to, żeby cię zobaczyć?

- Szczerze mówiąc, nie.

To, co jej potem powiedział, wprawiło Megan w absolutne osłupienie. Dotąd sądziła tylko, że Gary Rowell jest osobnikiem płytkim, samolubnym i całkowicie bezmyślnym. Teraz odkryła, że jest także chciwy, wyrachowany i pozbawiony jakichkolwiek skrupułów.

Przypisując jej własne niemoralne pobudki, zakładał, że nie przyznała się Cesaremu, że była w ciąży z eks- -kochankiem. Ponieważ dotąd nic nie było po niej widać, uznał, że zdecydowała się na aborcję i będzie chciała ukryć ten fakt przed mężem - za wszelką cenę. On miał zadecydować, jaka to będzie cena.

- Twojego męża z pewnością stać będzie na taką sumę - rzekł, wymownym gestem wskazując luksusową willę. - A już twoja w tym głowa, jak tę forszę od niego wyciągnąć. Bądź dla niego milutka w łóżku, to na wszystko się zgodzi. No i wtedy nie dowie się o naszym romansie...

Tego było już dla Megan za dużo, nie chciała słyszeć ani słowa więcej.

- On wie - powiedziała bez ogródek. - Cesare wie wszystko. Chyba nie myślisz, że mogłam go poślubić, nie będąc wobec niego zupełnie szczerą? O mnie i o tobie wie wszystko, bo mu to powiedziałam. A to, co zdarzyło się między nami, to nie był żaden romans, tylko żałosna pomyłka. Teraz to widzę, bo łuski spadły mi z oczu...

Przerwała nagle, widząc, że gwałtownie zmienił się na twarzy.

- Chcesz powiedzieć... - warknął - że przejechałam taki kawał na darmo?

Przerażona cofnęła się o krok.

- Właśnie to chcę powiedzieć. I proszę, żebyś stąd poszedł.

- O ty...!

Widziała, co się dzieje, lecz nie była w stanie temu zapobiec. Gary rzucił się na nią. Nastąpiło gwałtowne zamieszanie. Wysoka, ciemna postać w czarnym ubraniu wypadła z domu i odepchnęła Gary'ego od Megan. Jego atak szybko zamienił się w rozpaczliwą obronę, a po krótkiej walce rozległ się głośny plusk i Gary wylądował w basenie.

Cesare odczekał, aż jego przeciwnik, krztusząc się i plując wodą, wypłynął na powierzchnię i przemówił:

- Słyszałeś, co mówiła dama - masz stąd pójść. A na przyszłość lepiej zrobisz, jeśli zostawisz moją żonę w spokoju - albo ze mną będziesz miał do czynienia.

Odwróciwszy się na pięcie, wziął Megan pod rękę i zdecydowanym krokiem poprowadził ją do domu. Tam starannie zamknął drzwi od patio, zaciągnął zasłony i dopiero wtedy zwrócił się do niej.

- Jak się czujesz? Nic ci nie zrobił? Bo jeśli tylko...

- Nic mi nie jest - uspokoila go.

Naprawdę był o nią zatroskany.

Megan tymczasem zastanawiała się, co Cesare czuje. Nie potrafiła odgadnąć jego nastroju, a wyraz twarzy miał nieprzenikniony.

- Dziękuję ci, że mi pomogłeś. Martwiłam się...

- Nie pozwoliłbym, żeby cię skrzywdził. Gdyby tylko cię dotknął, połamałbym mu kości, ale tacy jak on. to tchórze. Potrafią grozić słabszym od siebie, lecz nie potrafią zmierzyć się z prawdziwym przeciwnikiem.

- Szybko go przejrzałeś.

- Tak, ale gdyby mnie tu nie było...

- Na szczęście byłeś.

W tym momencie Megan przypomniała sobie, co zaszło między nimi poprzedniego wieczora, i w jednej chwili powrócił jej niepokój i lęk.

- Cesare, dlaczego tu jesteś? - zapytała.

- Czy to nieoczywiste? Powiedziałaś mi przecież, że jesteś w ciąży.

A więc wrócił tu z powodu dziecka, ale czy to znaczyło, że i dla niej? Czy miał miejsce w sercu dla nich dwojga?

- Przecież powiedziałeś, że drugi raz nie dasz się na to złapać...

- Powiedziałem różne głupie rzeczy i to była jedna z nich. - Cesare ciężko westchnął. - Jesteś w ciąży, więc oczywiście chcę być przy tobie.

- Gdzie byłeś tak długo? Czekałam na ciebie przez całą noc.

- Pojechałem do Gia. Musiałem trochę ochłoniąć i wszystko sobie w głowie poukładać. Rozmawiałem z nim i dało mi to sporo do myślenia.

- Do myślenia o czym? - nie wytrzymała Megan.

- O tobie i o mnie.

- Czy jest tu w ogóle o czym myśleć, Cesare? - zapytała Megan z wahaniem; z wrażenia zaschło jej w gardle.

- Muszę ci coś powiedzieć - odezwał się dość ponuro.

- Co? - Czuła, że ogarniają coraz większy lęk.

- Meggie, nie mogę odkładać tego już ani trochę dłużej. Powiedz, co byś zrobiła, gdybym powiedział ci, że cię kocham?

W jednej chwili jej oczy napełniły się łzami wzruszenia. Już tak dawno nie nazywał jej tym czułym, dzieciennym zdrobnieniem. Zamrugowała, żeby się nie rozpłakać, lecz w tym momencie dotarła do niej druga część tego, co powiedział, i wtedy dopiero rozpłakała się naprawdę.

- Meggie, *caral* - Cesare był wstrząśnięty i zaskoczony. - Co ja zrobiłem? Tak mi przykro. Przecież nie chciałem cię zmartwić! Ja po prostu...

- Po prostu powiedziałeś to, co najbardziej na świecie pragnęłam od ciebie usłyszeć - dokończyła pośpiesznie Megan i chwyciła go za rękę. - Och, Cesare, czy to prawda?

- Czy możesz w to wątpić? Tak, tak, kocham cię...

Reszta jego słów utonęła w powodzi pocałunków, bo Megan padła mu w objęcia, a on zaniknął ją w silnym uścisku swych ramion i na dłuższą chwilę cały świat dookoła przestał dla nich istnieć.

Kiedy się wreszcie rozłączyli, oboje z trudem łapali oddech, a serca waliły im z siłą dzwonów.

W Megan wszystko rozśpiewało się z radości, aż pomyślała, że jej serce nie pomieści takiego ogromu szczęścia.

- Czy ty wiesz, jak długo czekałam, żebyś mi to powiedział? Jak marzyłam i modliłam się o to...

- A mówiłaś, że mieszkając tu ze mną, czujesz się jak więzień.

- Będąc tu z tobą, ale bez twojej miłości, czułam się jak więzień - poprawiła łagodnie Megan. - Mając twą miłość, nie chcę być nigdzie indziej, tylko z tobą tutaj. W głębi serca zawsze wiedziałam, że ty i tylko ty jesteś mężczyzną mojego życia i że nikogo innego nie pokocham. Tylko niestety... na początku tego roku zdarzyło mi się trochę pobłądzić.

- Po tym przyjęciu noworocznym. Meggie, strasznie cię za to przepraszam. Nie chciałem tak cię zranić.

- Ciiii...

Położyła mu palec na ustach.

- Wiem, dlaczego to zrobiłeś. Dałeś słowo mojemu ojcu. I jeśli równie rzetelnie dotrzymywać będziesz obietnic, które złożyłeś mi podczas ślubu, to czeka nas cudowne, trwałe i szczęśliwe małżeństwo.

- Och, mam nadzieję! - wykrzyknął Cesare żywo.

I znów padli sobie w ramiona i całowali się, całowali, całowali.

- Cesare - zwróciła się do niego Megan, kiedy znów odzyskała zdolność mówienia - co takiego powiedział ci Gio?

Ujął jej dłoń, na której pobłyskiwała ślubna obrączka, i ucałował nie tylko serdeczny palec, ale i obrączkę.

- Powiedział mi, że odkąd Lucia umarła, nie było dnia, by nie żałował, że nie może choć raz jeszcze powiedzieć jej, że ją kocha. To mi uświadomiło, jak wiele czasu ja już zdążyłem zmarnować. Pędziłem tu do ciebie jak szalony, a wciąż nie dość szybko.

- Zjawiłeś się akurat na czas - odparła Megan i oboje wiedzieli, że miała na myśli nie tylko Gary'ego Rowella.

- Wiem.

Wciąż trzymając ją za rękę, zajął jej głęboko w oczy.

- Megan, *amante*, czy naprawdę zostaniesz ze mną? Czy możemy zacząć całkiem od nowa i żyć odtąd jak prawdziwe małżeństwo?

- Nie wiem, czego mogłabym chcieć więcej.

Jego twarz zalała fala ulgi i powrócił uśmiech, który tak u niego kochała.

- W takim razie chyba jesteśmy gotowi, żeby...

- Żeby co? - Megan nie kryła ciekawości, lecz on chciał zrobić jej niespodziankę.

Poprowadził ją po schodach na górę i min4wszy pokój, w którym mieszkali od swego przyjazdu na Sycylię, doszli aż do pokoju na samym końcu korytarza. Cesare wyjął klucz i otworzył drzwi, lecz przytrzymał Megan, gdy chciała wejść do środka.

- Nie, poczekaj!

- Cesare! - wykrzyknęła w zdumieniu, kiedy nagle wziął ją na ręce i wniósł do pokoju.

Jeśli przedtem Megan była zdumiona, to teraz wręcz oniemiała. Rozglądała się dookoła, rozpoznając każdy przedmiot: łóżko, meble, zasłony. Na żółto-zielonej puchowej kołdrze leżała nawet nocna koszula.

- To... to twój pokój... ten z Anglii... - wyjąkała, a on kiwnął głową.

- To pokój, w którym mieliśmy spędzić naszą noc poślubną, gdyby wydarzenia nam w tym nie przeszkodziły. Sprowadziłem wszystko tutaj w nadziei, że ten dzień jednak kiedyś nadejdzie.

Delikatnie opuścił ją na łóżko, a sam położył się przy niej.

- Widzisz, *adorata*. Nigdy nie mieliśmy takiej nocy poślubnej, o jakiej marzyłem. Chciałem ci powiedzieć, co do ciebie czuję.

- Powiedz mi to teraz.

- Kocham cię i będę cię kochał, póki żyję. Ty nadajesz mojemu życiu sens i jesteś światłem każdego budzącego się dnia. I jeśli w każdy z tych dni zacznę mówiąc ci, jak bardzo cię kocham, to będę szczęśliwy bez względu na to, co się potem wydarzy.

- Och, Cesare...

- Ale to jeszcze nie wszystko. Potem wezmę cię w ramiona i będę całował twoje oczy, usta, włosy... Będę cię kochał, jak tylko umiem najpiękniej, aż do utraty sił.

I tak też było. Połączyli się w doskonałym akcie miłości i kiedy oboje jednocześnie zdołali wspiąć się na szczyt ekstazy - był to najprawdziwszy i najlepszy początek ich nowego, małżeńskiego życia.

- Najukochańsza... - szepnął Cesare długo, długo potem, kiedy wreszcie zdołali trochę ochłonać. - Czy rzeczywiście jesteś w ciąży?

- Tak, jestem. I tym razem to już nie jest pomyłka.

Ujęła jego dłoń i położyła ją sobie na brzuchu.

- Tym razem potwierdził to lekarz. Tu właśnie jest nasz dzidzius, kochany. Leży tam sobie bezpiecznie i spokojnie rośnie.

Cesare westchnął ze szczęścia.

- A więc chyba przyszedł już czas na...

Nie skończył, lecz sięgnął pod poduszkę, skąd wydobyl malutkie pudełeczko od jubilera. Kiedy je otworzył, oczom Megan ukazał się niezwyklej urody pierścionek: ciemnoczerwony rubin w kształcie serca otoczony maleńkimi, błyszczącymi brylancikami.

- Cesare! - wykrzyknęła. - Jest cudowny, ale co to...?

- To miał być ostatni akcent naszej nocy poślubnej - wyjaśnił. - Pierścionek zaręczynowy, którego nigdy nie miałem okazji ci dać. Więc daję ci go teraz i tym razem, tak jak należy, pytam, czy zrobisz mi ten wielki zaszczyt i zostaniesz moją żoną? Proszę cię, nie każ mi zbyt długo czekać na odpowiedź.

Zajrzał głęboko w jej zielone oczy i zobaczył, jak rodzi się w nich uśmiech.

- Nie każę ci czekać ani chwili - szepnęła. - I oczywiście, najdroższy, moja odpowiedź brzmi: tak.

Lucy Gordon

Małżeństwo po włosku 02

W sercu Rzymu

PROLOG

- Zrozum, ja naprawdę nie muszę wychodzić za mąż! I wcale nie chcę. Na diabła mi mąż? Przeżyłam dwadzieścia siedem lat w panińskim stanie i nie narzekam. Po co mi taki kłopot. - Sprzeciw Harriet był tak gwałtowny, że aż zaskoczył Olympię.

- Ależ uspokój się, zechciej mnie wysłuchać...

- I nagle własna siostra próbuje mnie swatać! - piekliła się dalej Harriet. - Wielkie nieba! Naprawdę, Olympio, ty to masz tupet.

- Nie swatam cię, tylko... Po prostu wydaje mi się, że Marco mógłby ci się przydać.

- A do czego może być przydatny mężczyzna! - prychnęła Harriet. - Poza tym ludzie nie wiążą się ze sobą w taki sposób.

- W porządku - łagodziła Olympia. - Nie będę się spierać.

Olympia i Harriet były przyrodnimi siostrami. W dodatku jedna była Angielką, a druga Włoszką. Po wspólnym ojcu odziedziczyły jedynie nazwisko i gęste, złotawe włosy, tyle że młodsza, Olympia, czesała się pięknie i modnie, podczas gdy Harriet nie przywiązywała do fryzury żadnej wagi. Nie kręciła włosów. Proste, zwisały byle jak, zdobiąc surową twarz.

Diametralnie odmienne charaktery sióstr ujawniały się również w sposobie ubierania. Olympia nosiła eleganckie i wykwintne stroje, we włoskim stylu, natomiast Harriet wyglądała tak, jakby zależało jej wyłącznie na wygodzie. Wystarczał jej byle ciuch.

Olympia rozejrzała się wokół. Znajdowała się w sklepie należącym do siostry. Był to nieduży, elegancki lokal w samym sercu londyńskiego West Endu, wypełniony dziełami sztuki i starociami. Kilka eksponatów wzbudziło zainteresowanie dziewczyny.

- Wspaniały! - zachwyciła się popiersiem z brązu.

- To Cezar August. - Harriet podniosła wzrok. - Pierwszy wiek naszej ery.

- Cudo, nie mężczyzna - rozmarzyła się Olympia, wpatrując się w rzeźbę. - Co za arystokratyczny nos, piękna głowa, mocna szyja... a jakie usta! Za tą surowością kryje się niesłychana zmysłowość. Miał na pewno mnóstwo kochanek.

- Za dużo myślisz o seksie - Harriet surowo podsumowała siostrę.

- A ty za mało. To odbiera wdzięk. Harriet wzruszyła ramionami.

- Są w życiu ciekawsze sprawy.

- Bzdura! - zaprzeczyła z całym przekonaniem Olympia. -

Chciałabym, żeby żywi faceci interesowali cię w równym stopniu co martwi.

- Nie gadaj głupstw - odparła ostro Harriet. - Przed chwilą sama piałas z zachwytu nad urodą jednego, który nie żyje od dwóch tysięcy lat. A w ogóle martwi są lepsi. Nie kłamią, nie oczerniają. I nie przerywają, gdy mówisz.

- Jesteś cyniczna. Tak samo jak Marco. Inaczej już dawno by się ożenił.

- A więc to staruch?!

- Ależ skąd! - zaprzeczyła z emfazą Olympia. - Marco Calvani ma trzydzieści pięć lat, jest dziany, że hej, i obłudnie przystojny.

- No to czemu sama nie wydasz się za niego? Mówiłaś, że ci się oświadczył.

- Tak, ale zrobił to tylko dlatego, że jego matka przyjaźniła się z naszą babką. No i przyszedł jej do głowy sentymentalny pomysł, by połączyć obie rodziny.

- On zawsze robi, co mu każe mama? Taki potulny syneczek?

- O, nie! - Olympia zachichotała. - Marco to typek, który nie da sobą rządzić. Chce się żenić, ale nie ze względu na matkę. Ta decyzja wynika z jego własnych planów.

- Czarus!

- Raczej pracoholik. Jest bankierem. Teraz uznał, że nadeszła pora, żeby założyć rodzinę, ale nie ma głowy do romansów.

- Gej?!

- Zdaniem moich znajomych - nie. Przeciwnie, ma opinię psa na

dziewczyny. Ale nie angażuje się uczuciowo. Raz, dwa, i po wszystkim, nim dojdzie do czegoś wiążącego.

- Taki szybki? Mówisz o nim tak, jakby żadna nie potrafiła mu się oprzeć.

- Chcę być wobec ciebie fair. Powinnaś znać jego zalety i wady. Zapomnij o bukietach róż i romantycznych spacerach przy księżycu. Byłby to raczej pewien układ, a nie zwykłe małżeństwo, pomyślałam więc, że skoro tobie też nie zależy na niczym poważnym...

- Wielkie dzięki, Olympio. Miło mi, że tak się o mnie troszczysz.

- Musisz być uszczypliwa? Podjęłam się tego kłopotliwego zadania tylko dlatego, by cię ostrzec, że Marco może tu przyjechać już w przyszłym tygodniu.

- Wielkie dzięki. Właśnie planuję urlop na drugiej półkuli. Przyszły tydzień bardzo mi odpowiada.

- Boże drogi! - Olympia zamachała rękami w akcie skrajnej desperacji. - Pewnym ludziom nie można pomóc. Skończysz jako stara panna!

Surową twarz Harriet rozświetlił uśmiech.

- Przy odrobinie szczęścia!

ROZDZIAŁ PIERWSZY

- Syneczku, czy ty aby dobrze to przemyślałeś? Pani Lucia Calvani patrzyła na zamykającego neseser syna z prawdziwym niepokojem. Uśmiechnął się do niej ciepło.
- A nad czym tu się zastanawiać? Tak czy owak, robię to, czego ode mnie wymagasz.
- Nonsens! Nigdy nie zrobiłbyś nic, co by ci osobiście nie odpowiadało - rzuciła z matczynym sceptycyzmem.
- To prawda, ale lubię sprawiać ci przyjemność - wywinął się gładko. - Życzyłaś sobie, żebym się ożenił z wnuczką twojej przyjaciółki. Rozważyłem to i uznałem, że takie rozwiązanie mi odpowiada.
- Jeśli chcesz powiedzieć, że spodobał ci się ten pomysł, to w porządku, ale nie zwracaj się do własnej matki tak, jakbyś był na posiedzeniu zarządu - zgała go Lucia.
- Przepraszam. - Pocałował ją serdecznie w policzek. - Skoro więc postępuję zgodnie z twoją wolą, nie rozumiem, czym się martwisz.
- Mówiąc o wnuczce Etty, miałam na myśli Olympię. Dobrze o tym wiesz. Olympia jest niegłupia, elegancka, zna całą rzymską elitę. Byłaby odpowiednią żoną dla ciebie.
- Nie zgadzam się. To trzpiotka. Jej siostra jest starsza, dojrzała i poważniej myśli o życiu.
- Ale wychowała się w Anglii. Nie wiem nawet, czy mówi po włosku.
- Olympia zapewnia, że świetnie. Harriet ma ponoć intelektualne zacięcie. Mogłaby odpowiadać moim wymaganiom.
- Odpowiadać wymaganiom? - powtórzyła nieco spłoszona matka. - Ależ synu, mówisz o kobiecie, a nie o akcjach giełdowych.

- Ojej, tak mi się tylko powiedziało. - Marco wzruszył ramionami. - Nie zapomniałem czegoś spakować?

Rozejrzał się po pokoju, po czym wyszedł na chwilę na balkon, żeby odetchnąć świeżym powietrzem i nacieszyć oczy widokiem Via Veneto. Z mieszkania na czwartym piętrze eleganckiego apartamentowca widać było Bazylikę św. Piotra i Tybr. W czystym powietrzu niosło się bicie dzwonów. Marco stał przez moment, patrząc na rozświetloną słońcem rzekę. Robił to codziennie rano, choćby nie wiem jak się spieszył. Wielu zapewne zdziwiłoby takie zachowanie. Marco uchodził bowiem za bezduszny automat do robienia pieniędzy

Jeszcze bardziej zdziwiliby się, widząc wystrój jego pokoju. Wnętrze było wprawdzie luksusowe, ale urządzone po spartańsku, pozbawione jakichkolwiek miłych akcentów. Ot, mieszkanie mężczyzny, któremu wystarczało własne towarzystwo - lśniąca marmurowa posadzka, nowoczesne meble, kilka starych wazonów i obrazów.

Marco mieszkał w centrum Rzymu i w stu procentach - sercem i duszą - czuł się rzymianinem. Już jego wygląd - postura, dumnie uniesiona głowa, sposób poruszania się - świadczył o tym, że jest potomkiem imperatorów. Łatwo było go sobie wyobrazić w wieńcu laurowym na skroniach jako jednego z nich. Bo czyż ludzie należący do międzynarodowej finansjery nie są współczesnymi imperatorami? A Marco Calvani czuł się na giełdzie jak ryba w wodzie. Indeksy, transakcje kupna i sprzedaży, spadki i wzrosty akcji to było powietrze, którym oddychał na co dzień. Jak widać nie przez przypadek mówił o swoim przyszłym małżeństwie jak biznesmen o kolejnych interesach.

- Dziwię się, mamó - uśmiechnął się najserdeczniej, jak potrafił - że mnie napominasz, skoro sama zaproponowałaś taki układ.

- W końcu ktoś w naszej rodzinie musi zająć się aranżacją odpowiednich związków - odparła z irytacją. - Kiedy pomyślę o tym starym durniu z Wenecji, który zaręczył się z własną gospodynią...

- Rozumiem, że masz na myśli wuja Francesca, hrabiego Calvani, głowę naszego rodu - przerwał Marco oschłym tonem.

- I co z tego, że jest hrabią? Stary osioł! A Guido, dziedzic tytułu, to też dureń, tyle że młody. Umyślił sobie żenić się z Angielką.

- Dulcie pochodzi z arystokratycznej rodziny - wymruczał Marco,

wyraźnie drocząc się z matką.

- Też mi arystokracja! Spłukali się doszczętnie w kasynach. Wiele się nasłuchałam na temat lorda Maddoksa i przypuszczam, że jego córuchna to też niezłe ziółko. Niedaleko pada jabłko od jabłoni.

- Lepiej, żeby wuj i Guido nie dowiedzieli się, że krytykujesz ich kobiety - przestrzegł Marco: - Obu padło na rozum. Szaleją ze szczęścia.

- Nie chcę być niegrzeczna, ale taka jest prawda. Ktoś musi się ożenić jak należy, a nie wiadomo, co wymyśli ten prostak z Toskanii.

„Prostak z Toskanii” był drugim kuzynem Marca.

- Leo pewnie w ogóle się nie ożeni. Tam, gdzie mieszka, nie brakuje chętnych kobietek. Domyślam się, że ochoczo przelatuje jedną po drugiej, ale małżeństwo...

- Czy musisz być taki ordynarny? - przerwała surowo Lucia. - Jeśli Leo nie wywiąże się z obowiązku względem rodziny, to ty masz dodatkowy powód, by zrobić to jak najszybciej. Któryś z was musi...

- Właśnie po to jadę do Anglii. Ożenię się z Harriet, jeśli będzie mi odpowiadała.

- I jeśli ty będziesz odpowiadał jej. Pamiętaj, nie musi od razu paść do twoich stóp.

- Wrócę i zdam ci relację. Jak się nie uda, to trudno. Marco nie wydawał się zbyt przejęty ostatnią uwagą matki. Spotkał w życiu niewiele kobiet, na których nie zrobił wrażenia. Olympia, owszem, dała mu kosza, ale to się nie liczy. Znali się od dzieciństwa i traktowali się wzajemnie trochę jak rodzeństwo.

- Niepokoję się o ciebie - powiedziała pani Calvani, patrząc synowi w oczy i na próżno usiłując odgadnąć jego myśli. - Chciałabym, żebyś założył rodzinę i był szczęśliwy, a nie tracił czas na nic nie znaczące flirty. Gdybyście się pobrali z Alessandrą... Do tej pory mógłbyś mieć już trójkę dzieci.

- Nie pasowaliśmy do siebie. I dajmy temu spokój, dobrze? - powiedział na pozór obojętnie, ale matka bezbłędnie wyczuła w jego głosie ton ostrzeżenia.

- Naturalnie, synku. - Wiedziała, że nawet jej nie wolno przekraczać pewnych granic.

- No, na mnie pora - westchnął Marco. - Nie martw się, mamo.

Spotkam się z panną d'Estino i spróbuję wyrobić sobie opinię. Jeśli Harriet mi się nie spodoba, nawet słowem nie pisnę o moich zamiarach. O niczym się nie dowie.

Dopiero w samolocie zdał sobie sprawę, że zachowuje się, jakby nie był sobą. Zawsze uważał, że każdą sprawę należy najpierw przemyśleć, a tym razem działał spontanicznie. Był człowiekiem wewnątrznie uporządkowanym i żył w sposób zorganizowany, wierny zasadzie, że sukces rodzi się z porządku. Właściwe działania należało podejmować we właściwym czasie. Zaplanował, że ożeni się po trzydziestce, i zrobiłby to, gdyby Alessandra nie zmieniła decyzji. Odpędził tę myśl. Wszystko, co wiązało się z zerwanymi zaręczynami i świadomość, że pozwolił z siebie zrobić głupca, należało do przeszłości. Koniec. Człowiek mądry uczy się na błędach. Nigdy już nie pozwoli sobie na miłość.

Małżeństwo z rozsądku. Matka miała świetny pomysł. W końcu założąby rodzinę, nie angażując się uczuciowo.

Późnym popołudniem był już w Londynie. Wynajął pokój w hotelu i aż do wieczora telefonował, załatwiając sprawy wymagające jego osobistej uwagi. Różnica czasu między Europą i Ameryką mogła okazać się korzystna dla interesów, nie wolno więc jej zbagatelizować. Kiedy w Londynie biła północ, w Tokio ruszała giełda. Marco śledził rynek akcji aż do trzeciej nad ranem. Potem położył się i spał jak zawsze pięć godzin. Tak spędził noc przed spotkaniem z kobietą, którą zamierzał poprosić o rękę.

Na śniadanie zjadł jakieś owoce, wypił kawę i zaraz potem ruszył spacerkiem do znajdującej się niedaleko hotelu galerii d'Estino. Obliczył czas precyzyjnie. Na miejscu znalazł się tuż przed otwarciem, za kwadrans dziewiąta, co pozwoliło mu wyrobić sobie opinię o sklepie jeszcze przed spotkaniem z właścicielką. To, co zobaczył, wzbudziło jego aprobatę. Z zewnątrz lokal prezentował się elegancko i chociaż przez zakratowaną witrynę nie dało się wiele dostrzec, wydało mu się, że wewnątrz jest również gustowne. W ten sposób miał już jakiś pogląd na temat Harriet d'Estino. Dobry smak, elegancja - całkiem niezłe. Wrażenie to trochę zbladło, gdy wybiła dziewiąta, a nic nie wskazywało na to, by sklep miał zostać zaraz otwarty. Spóźniałstwo... Niewybaczalny

grzech. Marco odwrócił się od witryny i zderzył się z jakąś kobietą. Podtrzymał ją, by nie upadła.

- Przepraszam.
- Nic, nic... Dziękuję. Pan do nas?
- Owszem. Jest już po dziewiątej.
- Prawda. A niech to... Sekundeczkę, zaraz znajdę klucz.

Wyciągnęła cały pęk kluczy i długo szukała właściwego. Marco przyglądał się jej bez przyjemności. Miała na sobie dzinsy i sweter nadające się do wyrzucenia, a na głowie niebieski wełniany kapelusik całkowicie zakrywający włosy. Mogła być młoda i może nawet atrakcyjna, jednak trudno to było stwierdzić, bo wyglądała jak robotnik budowlany. Harriet d'Estino miała chyba kłopoty ze znalezieniem personelu, skoro zatrudniła kogoś tak niechlujnego i gapowatego.

- Proszę chwileczkę poczekać - powiedziała dziewczyna, podnosząc kraty. - Zaraz będę do usług.

- Prawdę mówiąc, miałem nadzieję zobaczyć się z właścicielką...
- Ja nie wystarczę?
- Niestety, nie.

Dziewczyna znieruchomiała, zerknęła nerwowo na Marca i raptem zmieniła sposób zachowania.

- Powinam się była domyślić. Naturalnie... Ależ głupio wyszło. To dlatego, że miałam nadzieję... to znaczy... panna d'Estino miała nadzieję, że to się odwlecze... Przy-, kro mi, ale panny d'Estino nie ma.

- A kiedy będzie? - zapytał cierpliwie Marco.
- Za jakiś czas. Ale mogłabym przekazać jej wiadomość. Co

powtórzyć?

- Proszę jej zatem powiedzieć, że chciał się z nią zobaczyć Marco Calvani.

- Kto? - Oczy dziewczyny wyrażały kompletną pustkę.
- Marco Calvani. Panna d'Estino nie zna mnie osobiście, ale...
- Mam rozumieć, że nie jest pan jego przedstawicielem? Och...
- Nie, to znaczy tak - odburknął, bezwiednie zerkając na swój

garnitur od Armaniego. - Nie jestem niczym pośrednikiem.

- Na pewno?
- Sądzę, że wiem. Mm jestem.

- Oczywiście - odpowiedziała nerwowo. - Jest pan Włochem, prawda? Dopiero teraz dotarł do mnie akcent. Jest ledwo zauważalny, więc uszedł mojej uwadze.

- Posługuję się obcymi językami zupełnie nieźle. Szczerze mówiąc, uważam to za powód do chluby - zaakcentował dobitnie. - Czy mógłbym wiedzieć, z kim mam przyjemność?

- Och... przepraszam najmocniej. Harriet d'Estino - przedstawiła się.

- Pani?!

- Owszem, to ja. Wydaje się to panu niemożliwe. Dlaczego?

- Przed chwilą usłyszałem, że jej tu nie ma. - Ależ jestem. Musiałam coś źle zrozumieć.

Marco patrzył na nią, zastanawiając się, czy jest pomyłona, rozgniewana, czy tylko niezupełnie przytomna. Ściągnęła kapelusik. Długie włosy opadły na ramiona i dopiero ich widok przekonał go, że mówiła prawdę. Jej włosy miały ten sam ciemnozłoty odcień, co włosy Olym-pii. To właśnie była kobieta, z którą ewentualnie miałby się ożenić. Zaczerpnął powietrza.

Harriet przyglądała mu się, marszcząc leciutko brwi.

- Czy my się już kiedyś spotkaliśmy?

- Nie sędzę.

- Pytam, bo pańska twarz wydaje mi się znajoma.

- Nie spotkaliśmy się nigdy - zapewnił, czując, że na pewno by to zapamiętał.

- Zrobię kawę.

Wyszła na zaplecze, zirytowana na siebie za cały ten zamęt, do którego dopuściła mimo ostrzeżenia siostry. Okropność! Była jednak prawie w stu procentach przekonana, że Calvaniemu nie będzie zależało na spotkaniu z nią, a jej umysł do tego stopnia zaprzętały kłopoty związane z zadłużeniem sklepu, że na myślenie o innych sprawach nie starczało czasu.

Jako ekspert w dziedzinie sztuki antycznej Harriet była bezkonkurencyjna. Miała niesamowitą intuicję, smak i rozległą wiedzę. Wiele poważnych instytucji uznawało jej opinię za ostateczną. Jednak nie wiadomo dlaczego talent ten nie przekładał się na handlowy zysk. Piętrzyły się niezapłacone rachunki, rosły długi.

Głośny syk pary sprowadził Harriet na ziemię. Dałaby wszystko, żeby nie zdradzić przed Calvanim problemów finansowych, ale może o niczym nie wiedział.

Raptem pojawił się przy niej. Wciąż dręczyła ją myśl, że już gdzieś go widziała. Obiecała Olympii, że nie dopuści do tego, by Marco zorientował się, że została ostrzeżona, więc na razie najbezpieczniej było udawać tępą. Smutne to, ale prawdziwe, że gdy udajesz głupiego, inni zawsze w to uwierzą.

- Dlaczego chciał pan się ze mną widzieć, panie... Calvani? Czy dobrze zapamiętałam nazwisko?

- Nic ono pani nie mówi?

- Niestety. A powinno?

- Przyjaźnię się z pani siostrą. Olympia mogła o mnie napomknąć. Sądziłem, że tak było.

- Jesteśmy tylko siostrami przyrodnymi... Wychowywałyśmy się oddzielnie i nie widzimy się zbyt często. Co u niej?

- Jest jak zawsze piękna, kocha błyszczeć w towarzystwie. Kiedy byłem w Londynie, mówiłem jej, że chciałbym się z panią zobaczyć. Jeśli by to pani odpowiadało, moglibyśmy spędzić dzisiejszy wieczór razem. Wybralibyśmy się do teatru, a potem na kolację...

- Z przyjemnością.

- Na jaki spektakl miałaby pani ochotę?

- Chciałam obejrzeć „Taniec na linie”, ale miejsca są na wagę złota, a dziś przedstawienie idzie ostatni raz.

- Chyba mógłbym mimo wszystko coś w tym względzie zrobić.

Ogarnęły ją wyrzuty sumienia.

- Jeśli myśli pan o czarnym rynku, to bilety kosztują krocie.

Przepraszam, nie powinnam była nic sugerować.

- Nie muszę korzystać z usług koników - odparł z uśmiechem.

- Jest pan w stanie dostać bilety na to przedstawienie tak od ręki?

- Nie mógłbym zawieść pani oczekiwań. Po takim wstępie... -

Uśmiechnął się cierpko. - Proszę zdać się na mnie. Będę tu o siódmej.

- Świetnie. Ale gdyby się nie udało, możemy się wybrać na inny spektakl. Naprawdę się nie obrażę.

- Obejrzymy ten, a nie inny - oświadczył stanowczo. - A zatem do

zobaczenia wieczorem.

Odwrócił się, ale przystanął, jakby nagle coś przyszło mu na myśl.

- A tak przy okazji... Połączmy biznes z przyjemnością. Zechciałaby pani zerknąć na to i ocenić wartość?

Wyjął z teczki paczuszkę i odwinął papier. Oczom Harriet ukazał się przepiękny złoty naszyjnik. Delikatnie położyła go na biurku i włączyła silne światło.

- Mam w Rzymie przyjaciela, który specjalizuje się w takich precjozach - powiedział Marco. - Mówi, że to jedno z najpiękniejszych greckich arcydzieł, jakie zdarzyło mu się widzieć.

- Greckich? - Harriet podniosła wzrok. - O, nie. Naszyjnik jest etruski.

Przeszła pomyślnie test, ale ukrył zadowolenie i pytał dalej:

- Jest pani pewna? Mój przyjaciel zna się na tym niezłe.

- Odróżnienie biżuterii greckiej od etruskiej może sprawiać trudność. Złota biżuteria z czasów antycznych...

Zorientował się, że Harriet zatraciła się w swoim świecie i nic nie mogło powstrzymać jej przed naukowym wywodem.

- Wyroby etruskie z okresu między trzecim a pierwszym wiekiem przed naszą erą często przypominają greckie, ale...

Słuchał jej z coraz większą satysfakcją. Może i była dziwaczna, ale z całą pewnością miał przed sobą osobę wykształconą, taką, jaką spodziewał się spotkać. Oryginalny naszyjnik znajdował się w posiadaniu jego rodziny od dwóch wieków. Był rzeczywiście etruski. Panna Harriet d'Estino rozpoznała to od razu. Satysfakcja Marca trwała jednak krótko.

- Gdybyż tylko był to autentyk... - powiedziała z żalem Harriet.

- To jest autentyk. - Marco podniósł głowę.

- Niestety, nie. To znakomita podróbka, jedna z najlepszych, jakie widziałam. Nic dziwnego, że pański przyjaciel dał się wywieść w pole.

- A pani nie. - Odczuł niezrozumiałe zdenerwowanie z powodu jej wyrozumiałości dla nieistniejącego „przyjaciela”. Dziwne...

- Biżuteria pochodząca z Etrurii zawsze mnie interesowała - wyjaśniła Harriet. - Parę lat temu spędziłam trochę czasu na wykopaliskach na terenach Kampanii i Niziny Padańskiej. Fascynujące...

- I pozwala to pani wydać absolutnie jednoznaczny werdykt na temat autentyczności tego naszyjnika? - przerwał ostro, dając upust złości.

- Wiem, co mówię, naprawdę, i powiem szczerze: ten pański ekspert nie zna się na rzeczy, skoro nie potrafi odróżnić biżuterii etruskiej od greckiej.

- Ale pani zdaniem naszyjnik jest podróbką, więc nie jest ani grecki, ani etruski - zaakcentował zirytowany.

- To falsyfikat, owszem. Ktoś, kto go wykonał, kopiował jednak biżuterię etruską, a nie grecką - odparła stanowczo.

Zmiana, jaka nastąpiła w Harriet, była dla Marca wprost zdumiewająca. Nie wiadomo, gdzie podziała się wystraszona kobietka, z którą zderzył się przy drzwiach. Jej miejsce zajęła kobieta pewna swojej wiedzy, nieugięta w ocenach. To pewnie by mu się spodobało, gdyby nie fakt, że taką opinią o naszyjniku - jeśli okazałaby się prawdziwa - umniejszała jego fortunę o - bagatelka! - milion dolarów.

- Twierdzisz stanowczo, że to bezwartościowa podróbka? - spytał, bezwiednie przechodząc na ty.

- No... niezupełnie. Samo złoto ma swoją wartość - powiedziała jak dorosły uspokajający zawiedzione dziecko. Marco zacisnął zęby.

- Czy zechciałabyś wyjaśnić mi, na czym oparłaś swój sąd? - spytał lodowato.

- Wszystko mi mówi, że to nie jest oryginał. - Wszystko, to znaczy co? Kobieca intuicja?

- Nie ma czegoś takiego jak kobieca intuicja - odparła cierpko. - Śmieszne, wydawało mi się, że mężczyzna powinien o tym wiedzieć. Moje przeczucia opierają się na doświadczeniu i wiedzy.

- Przeczucia. Dla mnie to to samo co kobieca intuicja. Czy nie lepiej się do tego przyznać?

Hurriet zablęsnęły oczy.

- No cóż... jeśli przyszedł pan tutaj, żeby się ze mną wyklócać, to szkoda czasu. Ten naszyjnik ma niewłaściwą wagę. Oryginał ważyłby nieco więcej. Czyżby pan nie wiedział? Badania naukowe dowiodły, że złoto etruskie miało zawsze dokładnie tę samą wagę i...

Znowu znalazła się w swoim żywiole. Z jej ust sypały się nazwy, fakty, liczby. Mówiła z absolutną pewnością, podyktowaną znajomością

przedmiotu. Tyle że, pomyślał ponuro Marco, myliła się. Jeśli taki był poziom jej wiedzy, to nic dziwnego, że nie radziła sobie w interesach.

- Dobrze już, zgoda - powiedział, starając się ją pohamować. - Na pewno masz rację.

- Proszę mnie nie uspokajać!

Chciał coś odpowiedzieć, ale raptem zabrakło mu riposty. Kiedy myślał o tym spotkaniu, do głowy by mu nie przyszło, że straci wątek. Nie przypuszczał, że Harriet d'Estino wyprowadzi go z równowagi. Nastawiał się na chłodną rozmowę, nic poza tym. Bo tak właśnie - na zimno - zawiera się transakcje, odnosi zwycięstwa, planuje korzystnie życie. I w ciągu pięciu minut cały ten wykalkulowany porządek legł w gruzach.

- Wybacz - powiedział niechętnie. - Nie chciałem być niegrzeczny.

- Cóż, rozumiem. Zbiedniałeś przeze mnie, i to sporo.

- Nie zbiedniałem. Nie biorę serio twojej opinii.

- To też rozumiem - odpowiedziała uprzejmym tonem, który doprowadzał go do szału, i wręczyła mu naszyjnik. - Po powrocie do Rzymu poproś swego przyjaciela, żeby jeszcze raz się temu przyjrzał. Radziłabym ci jednak nie ufać jego zdaniu.

- Będę o siódmej! - rzucił z zaciętą miną i wyszedł.

ROZDZIAŁ DRUGI

Wieczór zastał Harriet przy oknie wystawowym. Na dworze trwała ulewa. Harriet raz po raz próbowała zobaczyć coś przez zalaną wodą szybę.

Zdażyła przedtem pojechać do domu. Przebrała się i wróciła prędko, nie chcąc narażać Marca na czekanie. Wyglądało jednak na to, że on sam nie miał wobec niej aż takich skrupułów. Minęła siódma, było już pięć po, dziesięć, a Marco się nie zjawiał. Kwadrans po siódmej Harriet wymruczała pod nosem coś nieparlamentarnego i zamie-rzała wyjść. Zamknęła galerię na klucz, spuściła kraty i stanęła przez chwilę, patrząc ze złością na strugi deszczu, gdy nagle podjechała taksówka. Z otwartych drzwi wy-ciągnęła się do niej ręka. Harriet chwyciła ją, poczuła

mocny uścisk i w jednej sekundzie znalazła się na tylnym siedzeniu.

- Przepraszam za spóźnienie - powiedział Marco. - Z powodu deszczu zamówiłem taksówkę, no i ugrzęźliśmy w korku. Na szczęście przedstawienie zaczyna się o ósmej, więc powinniśmy zdażyć.

- Nie powiesz chyba, że udało ci się zdobyć bilety...
- Oczywiście. Wątpiłaś we mnie? Dlaczego?
- Kogo zaszantażowałeś? Marco uśmiechnął się szeroko.
- To było troszkę subtelniejsze niż szantaż. Niewiele, ale jednak.
- Jestem pod wrażeniem.

Zdumiała się jeszcze bardziej, gdy zobaczyła, że zarezerwował najlepsze miejsca w teatrze. Bez wątpienia miał cenne znajomości.

Obserwował ją dyskretnie przez całe przedstawienie. Niezbyt ładna, myślał. Trochę za szczupła. Nie, nie chuda, skorygował pospiesznie. Smukła jak modelka. Elegancka. A raczej - byłaby elegancka, gdyby popracowała nad swoim wyglądem, czego najwyraźniej nie zrobiła.

Jej wieczorowa sukienka nie była specjalnie szykowna. Czerwony szyfon miał piękny głęboki odcień, tyle że nie pasował najlepiej do rudawych i w dodatku rozpuszczonych włosów. Powinna je upiąć wysoko, co odsłoniłoby twarz i długą szyję. Czy nie ma nikogo, kto by jej to doradził?

Skąpą biżuterię również źle dobrała. Powinna nosić złoto, i to nie delikatne, a wyraziste, ciężkie. Cieszyłby się, gdyby mógł ubrać ją w złoto. Nagle przypominał sobie o naszyjniku, ale był w dobrym nastroju i nie oskarżał Harriet o złą wolę. Tak czy owak, sprzeczka coś w nich poruszyła, pozwoliła przełamać lody.

Musical był nowoczesną, ostrą i dowcipną satyrą na Internet, z dobrą muzyką i wyśmienitą choreografią. Obojgu bardzo się podobał. Wyszli z teatru zadowoleni. Deszcz przestał padać, a przed gmachem czekała już zamówiona przez Marca taksówka.

- Znam pewną knajpkę, gdzie serwują najlepsze jedzenie w Londynie - powiedział i podał szoferowi adres lokalu, o którym Harriet nigdy nawet nie słyszała, choć spędziła w tym mieście całe życie. Zaskoczyło ją trochę, że restauracja specjalizowała się w daniach francuskich, a nie włoskich, ale uznała to za celowy manewr Marca.

Jeśli rzeczywiście zamierzał wystąpić z niezwykłą propozycją, to może na początek postanowił leciutko ją zdezorientować.

- Powiniennem najpierw zapytać, czy lubisz francuską kuchnię - przeprosił, gdy usiedli przy stoliku.

- Lubię. Włoską zresztą też - odpowiedziała po francusku. Wypadło to może demonstracyjnie, czuła jednak, że ujawnienie atutów może jej się teraz przydać.

- Jak widzę, jesteś kosmopolitką. Ale rozumiem w twoim fachu to konieczne. Znasz hiszpański?

- Owszem. Grekę i łacinę również.

- Grekę współczesną czy klasyczną?

- Jedną i drugą, oczywiście.

- Oczywiście. - Z szacunkiem skłonił głowę.

Jedzenie okazało się naprawdę przepyszne. Marco zdobył kolejny punkt. Był przemiłym gospodarzem wieczora. Pytał, na co miałyby ochotę i proponował bez nacisku. Pozostawiła mu wybór wina.

Dwa małe kinkiety i świece ustawione na stole w szklanych lichtarzykach dawały przyćmione światło. Na ścianach tańczyły cienie. Mimo to Harriet dobrze widziała twarz Marca. Za prezencję gotowa była przyznać mu dziesięć punktów na dziesięć. Świetnie skrojona marynarka, elegancka koszula, której biel podkreślała lekką opaleniznę. .. Był przystojnym mężczyzną. Usta miał może odrobinę za wąskie, ale ten kształt nadawał jego uśmiechowi wyraz sympatycznej ironii, co jej się nawet podobało. A oczy... ciemnobrązowe, prawie czarne, osadzone głęboko pod grubymi brwiami i wysokim czołem. Powiedziałyby, że są piękne jak u kobiety, gdyby reszta twarzy nie była tak zdecydowanie męska. Podejrzewała, że nie zawsze wyrażały to samo co usta.

Intrygował ją. Całe szczęście, że Olympia powiedziała jej, co się święci. W przeciwnym razie mogłaby się oszukać i ulec prawdziwemu oczarowaniu. Jednak uprzedzona o wszystkim, miała pewną przewagę i postanowiła się zabawić.

- Co cię sprowadza do Londynu? - spytała niewinnie. - Interesy?

Jeśli nawet to pytanie poruszyło go odrobinę, nie dał tego po sobie poznać.

- Między innymi. Muszę też złożyć uszanowanie lady Maddox.

Przed paroma tygodniami zaręczyła się z moim kuzynem.

- Mówisz o córce lorda Maddoksa?

- Tak. Znacie się?

- Kilka razy była u mnie w galerii.

- Kupowała czy sprzedawała?

- Sprzedawała. - Harriet umilkła, wyczuwając, że wkracza na niebezpieczny teren.

- Pewnie rodzinne pamiątki, by spłacić długi ojca. Słyszałem, że to zagorzały hazardzista.

- Owszem. Nie chciałam ujawniać spraw, o których mogłeś nie wiedzieć.

- Wszyscy o tym wiedzą. Dulcie musi sama zarabiać na życie.

Pracowała jako prywatny detektyw. Właśnie przy tej okazji poznała w Wenecji naszego Guida. Co o niej sądzisz?

- Śliczna dziewczyna - powiedziała z zazdrością Harriet. - Zapamiętałam jej piękne długie włosy. Nadal ma takie?

- Miała, gdy zegnałem się z nią nie tak dawno. Tak jak mówisz, jest piękna, no i trzyma Guida w ryzach.

Harriet roześmiała się.

- Trzeba go pilnować?

- Zdecydowanie. To szalała, bez poczucia odpowiedzialności. Tak przynajmniej twierdzi wuj Francesco. Hrabia Calvani. Bardzo zależy mu na tym, żeby Guido ożenił się i spłodził dziedzica.

- A sam... sam nie mógł?

- Nie. Arystokratyczny tytuł przejdzie na jednego z moich kuzynów. Powinien to być Leo, starszy przyrodni brat Guida. Ich ojciec był dwukrotnie żonaty. To cała historia... Jego pierwsza żona, matka Leo, twierdziła, że jest wdową, lecz okazało się, że jej mąż żyje. Małżeństwo zostało więc unieważnione, a Leo jako nieślubne dziecko nie może dziedziczyć tytułu.

- Okropność!

- Leo wcale tak nie uważa. Nie chce być hrabią. Problem w tym, że Guido też ma tytuły w nosie, ale los go na nie skazuje. Wuj usiłował znaleźć dla niego odpowiednią żonę, a kiedy Guido zakochał się w Dulcie, wpadł w rozpacz. Wuj zresztą też zamierza się w końcu ożenić. Od lat kocha się w swojej gospodyni i wreszcie przekonał ją do małżeństwa. On ma ponad siedemdziesiąt lat, ona przeszło sześćdziesiąt, a zachowują się jak para zakochanych żółwi.

- Piękna historia.

- Może i piękna, ale nie wszyscy tak sądzą. Dla mojej matki na przykład małżeństwo arystokraty ze służącą to mezalians i skandal.

- W naszych czasach? Niewiarygodne! Kto by się tym przejmował?

- A jednak. Są tacy ludzie. Matka ma dobre serce, ale jej poglądy na to, co jest „właściwe”, są nie z tej epoki.

- A twoje?

- Nie zawsze odpowiadają mi obecne obyczaje - odparł ostrożnie. - Nie cierpię łatwizny. Podejmuję decyzje po bardzo starannym przemyśleniu.

- Rozumiem. Bankier musi postępować rozważnie.

- Powinien, ale ja wśród moich kolegów finansistów mam opinię człowieka, który czasem odstępuje od rygorystycznych zasad.

- Ty?! - zareagowała z bezwiedną emfazą.
- Zdarza mi się ryzykować.
- Ale oczywiście zyskujesz na tym?
- Oczywiście.

Przypatrywała mu się, usiłując bezskutecznie odgadnąć, czy to żart. Domyślił się jej wątpliwości i spojrzał na nią, jakby pytał, czy już wie. Napięcie rosło z sekundy na sekundę. Marco uświadomił sobie, że w nastroju Harriet coś się zmieniło. Oddaliła się od niego i odczuł to nieprzyjemnie.

- Wina? - zapytał, by sprowadzić ją na ziemię.
- Przepraszam... Mówiłeś coś?
- Pytam, czy napijesz cię jeszcze wina?
- Nie, nie. Dziękuję. Wiesz, twoja twarz wydaje mi się naprawdę znajoma. Nie mogę sobie przypomnieć...

- Może jestem podobny do twojego chłopaka? - zasugerował delikatnie. - Byłego albo obecnego?

- Nie. Od bardzo dawna z nikim się nie spotykam - przyznała, wpatrując się w niego.

Go jej jest? - pomyślał. Zmieniała się co chwila. Raz miał przed sobą światową, wyrafinowaną kobietę, kiedy indziej kompletną gapę.

Dowiedział się jednak czegoś, co powinien wiedzieć. Nie miała nikogo.

- Jak to się stało, że ty i Olympia jesteście innej narodowości?
- Nieprawda! - odpowiedziała szybko. - W głębi serca obie jesteśmy Włoszkami.

- Ale formalnie...
- Nieprawda - przerwała z błyskiem w oczach. - Urodziłam się we Włoszech, mój ojciec jest Włochem i noszę włoskie nazwisko.

- Przepraszam. Nie chciałem cię urazić.
- Olympia nie opowiadała ci naszej historii?
- Coś tam wspominała, ale pobieżnie. Wiem, że wasz ojciec był dwukrotnie żonaty, ale o twojej matce Olympia niewiele potrafiła powiedzieć.

- Moja matka kochała go do szaleństwa, a on zwyczajnie miał ją gdzieś. Wypłakiwała sobie oczy, dobrze to pamiętam. Miałam pięć lat, gdy powiedziała mi, że tato wyrzuca nas z domu.

- Powiedziała ci to bez ogródek? - powtórzył wstrząśnięty. -
Takiemu maluchowi?

- Była psychicznie wykończona. A ja... nie wierzyłam. Uwielbiałam ojca, a on zachowywał się tak, jakby mnie kochał. Zawsze gdy wracał do domu, wołał mnie od progu. Było to coś tak naturalnego i oczywistego, że w ogóle się nad tym nie zastanawiałam.

- Mów dalej - poprosił łagodnie, gdy umilkła.

- No cóż. Jego kochanka zaszła w ciążę. Zależało mu na prędkim rozwodzie. Chciał się ożenić, nim urodzi się dziecko. Nas skreślił... Mama powiedziała mi potem, że zmusił ją do powrotu do Anglii pod groźbą, że jeśli tego nie zrobi, nie może liczyć na żadne pieniądze.

Marcowi stanął przed oczyma Guiseppe d'Estino, postawny, pewny siebie mężczyzna o wielkim uroku i zimnych oczach. Bardzo zimnych. Dopiero teraz zobaczył go w taki sposób i uwierzył Harriet bez trudu.

- Miałaś smutne życie - powiedział ze współczuciem.

- Żyłam nadzieją, że ojciec kiedyś zaprosi mnie do siebie, ale nigdy tego nie zrobił. Nie potrafiłam pojąć, w czym zawiniłam, że obrócił się przeciwko mnie. Mama nigdy nie odzyskała radości życia. Przeżyła jeszcze tylko dwanaście lat. Jej serce nie wytrzymało bólu i po prostu odeszła. Myślałam wtedy, że tato zabierze mnie do siebie, ale tak się nie stało. Właśnie dostałam się na studia, stwierdził więc, że nie będzie przerywać mojej edukacji.

Marco wymruczał pod nosem coś, co zabrzmiało jak przekleństwo. Harriet przytaknęła mu drewnianym głosem.

- Tak. Chyba dopiero wtedy zaczęłam pojmować prawdę. W tej sprawie byłam naprawdę dosyć głupia.

- Ty? Głupia? Tego na pewno nie można o tobie powiedzieć. -
Spojrzał na nią żywo. - Tyle to już wiem.

- Och... słowa, wrażenia. To się nie liczy. Nie znam się na ludziach. Nie wyczuwam, nie wiem...

- Inaczej. Wiesz za dużo o ludziach nieodpowiedzialnych -
powiedział, myśląc o ojcu, który egoistycznie odciął się od niej, i o matce, która obciążyla dziecko swoją rozpaczą. - Czy ojciec odrzucił cię całkowicie?

- Nie. Kiedy musiał, zachowywał pozory. Przez rok studiowałam w

Rzymie. Specjalnie wybrałam Rzym. Wiedziałam, że ojcu będzie wypadało choć trochę się mną zainteresować. Marzyłam, że zaprosi mnie do siebie na stałe.

- Ale tego nie zrobił?

- Kilka razy zaproszono mnie na kolację. Jego druga żona okazywała mi wyraźną niechęć, ale ich córka, to znaczy Olympia, była zawsze serdeczna; Zaprzyjaźniłyśmy się. Potem od czasu do czasu przysyłał mi czek.

- Pomógł ci kupić galerię?

- Nie. Na to poszły pieniądze ze spadku po ojcu mamy. Wystarczyło na kupno sklepu i trochę towaru na początek.

- Twojego ojca było stać na to, żeby pomóc ci materialnie. Powinien był postawić się tej babie.

- Masz na myśli jego żonę? Znasz ją?

- Tak, i nie cierpię. Zresztą mało kto ją lubi. To oczywiste, że postanowiła odseparować cię od ojca. Biedactwo, byłaś bez szans.

- Teraz to rozumiem. Ale wtedy uważałam, że przekonam ojca do siebie pilnością, szóstkami z egzaminów, znajomością języków. Za wszelką cenę starałam się być Włoszką.

Historia życia Harriet zaciekaiała Marca coraz bardziej.

Podejrzewałam, że w danych jej przez los warunkach rozwinęła w sobie niezwykłą osobowość.

- Naprawdę wzięłaś mnie za czyjś przedstawiciela? - zapytał, zmieniając temat.

- Przez moment. - Zaśmiała się cicho. - Pewnie myślisz, że powinnam już umieć rozpoznawać posłańców moich wierzycieli. Sądzę jednak, że sprawy ułożą się pomyślnie - zresztą już jest lepiej. Ale czy przetrwam, nie wiem. Zobaczymy...

- Dlaczego tak się dzieje? Ten sklep mógłby ci przynosić krocie. Masz towar pierwszej klasy. Jeśli chodzi o naszyjnik, pomyliłaś się, to fakt, ale....

- Nie pomyliłam się. Zresztą nieważne. Czasem udaje mi się zgromadzić spory kapitał, po czym zobaczę gdzieś coś wyjątkowego i czuję, że po prostu muszę to mieć. No i kłapa. Spłukuję się doszczętnie i budżet się rozlatuje.

- To czemu nie zrezygnujesz z tego interesu?
- Miałabym sprzedać galerię? Nigdy! To całe moje życie.
- Warto by doświadczyć coś więcej. Życie to nie tylko antyki.
- Dla mnie - wyłącznie.
- Masz rzeczywiście takie przekonanie?
- Nie chodzi o same dzieła sztuki. Raczej o światy, które dzięki nim

otwierają się przede mną. O horyzonty czasów odległych o tysiąclecia. O dotarcie do nich.

Znów przeniosła się w swój świat. Marco wiedział już, że nie powstrzyma potoku słów płynących z jej ust, póki sama nad sobą nie zapanuje, słuchał więc nieuważnie, zastanawiając się nad nią.

Z minuty na minutę Harriet d'Estino robiła na nim coraz większe wrażenie. Była osobą intrygującą, inteligentną, wykształconą. Chwilami nawet dowcipną. Szkoda, że brakowało jej urody, a przynajmniej tak mu się wydawało. Kiedy jednak z ogniem w oczach opowiadała o tych swoich ukochanych „innych światach”, odnajdywał w niej piękno.

Nie z własnej winy popełniała lapsusy i nie umiała się ubrać. Odebrano jej szansę wzrastania w świecie elit. Bardzo by się jej przydało parę wizyt w eleganckich salonach przy Via de Condotti... Czuł, że ma ochotę zrobić coś, co byłoby korzystne dla nich obojga.

Tymczasem Harriet zorientowała się, że mówi za długo.

- Nie myślisz chyba, że jestem stuknięta? - spytała zmieszana.
- Kochasz swój fach - powiedział. - Nie ma w tym nic nienormalnego. Przeciwnie - to wielkie szczęście. Rozumiem już, że uratowanie galerii znaczy dla ciebie więcej niż cokolwiek w życiu, a ja prawdopodobnie mógłbym ci w tym pomóc. Jaki kapitał jest niezbędny, by wyciągnąć cię z kłopotów?

Wymieniła ogromną sumę tonem człowieka, który wie, że umiera.

- To dużo - powiedział - ale da się wytrzymać. Myślę, że znajdujemy się w sytuacji, w której możemy sobie nawzajem pomóc. Jestem gotów udzielić ci pożyczki.

- Ale dlaczego miałbyś to robić?
- Bo chciałbym czegoś w zamian.
- Naturalnie. Ale czego? Marco zawahał się.
- Moja propozycja może ci się wydać trochę dziwna, ale

przemyślałem ją starannie i zapewniam cię, jest sensowna dla nas obojga. Chciałbym, żebyś pojechała ze mną do Rzymu i przez pewien czas pobyła w gościnie u mojej matki.

- Masz pewność, że by sobie tego życzyła?

- Będzie bardzo szczęśliwa. Twoja babcia ze strony ojca była jej najbliższą przyjaciółką. Mama ma nadzieję, że nasze rodziny się połączą. Mówiąc wprost, próbuje zaaranżować moje małżeństwo.

- Z kim? - Harriet do końca udawała, że nie rozumie.

- Z tobą.

Wiedziała nie od dziś, że ta chwila nadejdzie, a mimo to odczuła zakłopotanie. Marco przytłaczał ją. Był za silny, za logiczny, zbyt przystojny. Za mocno wdzierał się w jej życie, burząc to, do czego przywykła. Sytuacja ją przerastała.

- Hola! - powiedziała, grając na zwłokę. - W naszych czasach tak się tych spraw nie załatwia.

- Istnieją wciąż społeczeństwa, w których małżeństwa się aranżuje albo jakoś tam planuje. Odpowiednie osoby są sobie przedstawiane, po czym rozważa się korzyści, jakie mogą wyniknąć z ich związku. Do małżeństwa moich rodziców doszło właśnie w taki sposób, a okazało się szczęśliwe. Byli sobie bardzo bliscy, choć na początku nie kierowały nimi emocje...

- A zatem prosisz mnie, żebym...

- Żebyś to przemyślała. Decyzję podejmiemy później, kiedy poznamy się lepiej. A tymczasem pożyczka rozwiąże twoje problemy finansowe. Jeśli dojdziemy do wniosku, że możemy się pobrać, pożyczka zostanie umorzona. Jeśli nie - rozstaniemy się w przyjaźni i spłacisz mi ją na dogodnych warunkach.

- Spokojnie! Działasz za szybko. Nie potrafię tak od razu w to wejść.

- Co masz do stracenia? Nic. W najgorszym razie przyjdzie ci spłacić pożyczkę.

- A ty, co będziesz z tego miał? Przecież nie możesz ożenić się tylko po to, by sprawić przyjemność matce.

Miała wrażenie, że się zawahał.

- Mogę - odpowiedział z lekkim napięciem - jeśli mam taką wolę. Pora już, żebym założył rodzinę, a ten sposób załatwienia sprawy

najzupełniej mi odpowiada. Oboje damy sobie czas na zastanowienie. Pojedziesz ze mną do Włoch, posmakujesz życia w mojej - w naszej - ojczyźnie i zastanowisz się, czy odpowiadałoby ci pozostanie tam na stałe. Jeżeli ty i moja matka polubicie się, porozmawiamy o ślubie.

- A co z nami? Czy potrafimy znaleźć wspólny język?

- Mam taką nadzieję. W przeciwnym razie nie ma co marzyć o dobrym małżeństwie. Jestem pewien, że byłabyś wspaniałą matką naszych dzieci i że nie uznałabyś pewnych moich zachowań za niepojęte.

- Jakich zachowań? Nie rozumiem. - Czuła, że patrzy na niego szklanym wzrokiem.

- Daj spokój. Jesteśmy dorosłymi ludźmi. Nie musimy odbierać sobie wolności, byleby to pozostało między nami.

Spojrzała mu w twarz.

- Czy w tobie naprawdę nic nie buntuje się przeciwko takiemu stawianiu sprawy? Nie uraża to twoich uczuć?

- Nie widzę potrzeby, żebyśmy rozmawiali o uczuciach - odparł chłodno.

- Ale.. .Zaplanowałaś to wszystko jak jakiś układ.

- Czasami w ten sposób uzyskuje się optymalny efekt. Określił swoje intencje tak precyzyjnie i zimno, że Harriet poczuła się głęboko dotknięta. Po raz pierwszy w pełni dotarło do niej, że w planie Marca nie ma ani odrobiny zwykłego ludzkiego ciepła. Coś takiego mógł wymyślić jedynie ktoś, kto otoczył się murem. Tylko dlaczego? Z czego to wynikało? A ja? - pomyślała. Też zbudowałam wokół siebie barykadę. Dobrze o tym wiem. Wyrozumowane działania dają poczucie bezpieczeństwa. Cierpi się sercem, nie rozumem. Być może łączyło ich to samo przeświadczenie, ten sam instynkt samoobronny i Marco o tym wiedział? Prędko odrzuciła tę myśl, ale ona wracała natrętnie, nie dając się całkowicie odegnąć.

- Czy gdybyśmy się pobrali, chciałabyś, żebym zamieszkała z tobą? - zapytała.

- To chyba naturalne. - Wyglądał na zdziwionego.

- Owszem, ale jeśli przeprowadziłabym się do Rzymu, straciłabym sklep, który próbuję ocalić.

- Mógłby go prowadzić w twoim imieniu ktoś inny albo przeniosłabyś galerię do Włoch. Byłoby to zresztą korzystne. Miałabyś duże pole do działania na terenie, którego jeszcze dobrze nie znasz.

- Za to ty znasz tam wszystkich.

- Wszystkich to może nie, ale zapewne sporo osób, z którymi kontakt byłby dla ciebie pożyteczny.

Prawdopodobnie zna barona Orazia Manellego, pomyślała Harriet. Bogacza posiadającego w swoim pałacu kolekcję prawdziwych skarbów, dzieł sztuki, niedostępnych dla badaczy. Od dwóch lat pisywała do Manellego, usiłując wyprosić dostęp do nich, i nigdy nie uzyskała zgody. Ale jako narzeczona Marca Calvaniego...

- Proponujesz mi wizytę w Rzymie - powiedziała - bez żadnych zobowiązań. Czy tak?

- To zrozumiałe.

- Każde z nas może dojść do wniosku, że nasz związek nie ma racji bytu.

- I rozstaniemy się w przyjaźni. Właśnie tak to sobie wyobrażam. A tymczasem moja matka nacieszy się twoim towarzystwem.

Rozdarta między pokusą a tym, co nakazywało sumienie, Harriet patrzyła na Marca z nadzieją, że znajdzie w jego oczach właściwą odpowiedź. I nagle, wbrew wszelkim wątpliwościom, odnalazła ją - w sobie.

- Mam! - wyrzuciła jednym tchem. - Już wiem, skąd znam twoją twarz.

- Cieszę się - odpowiedział rozbawiony. - Kogo ci przypominam?

- Cezara Augusta.

- Słucham?!

- Mam go u siebie, w galerii... popiersie z brązu. To twoja twarz.

- Nonsens! Czysta fantazja.

- Nie. Chodź, pokażę ci. Sam zobaczysz. Skończyliśmy już jeść, prawda?

Wprawdzie Marco miał ochotę posiedzieć jeszcze nad kieliszeczkiem likieru, uznał jednak, że prościej będzie ustąpić.

- Skończyliśmy.

Zazwyczaj to on decydował o przebiegu spotkania z kobietą, ale tym

razem się poddał. Udzielił mu się entuzjazm Harriet. Pojechali do galerii.

- Powiedz sam - rzuciła z triumfem, oświetlając rzeźbę. - Czy to nie ty?

- Ja? Ależ skąd! Nie dostrzegam żadnego podobieństwa. Zaciągnęłaś mnie tu, nie wiem po co.

- Nie, nie ponosi mnie wyobraźnia. Marco... To ty. Przyjrzyj się dobrze. Popatrz.

Nie spełnił jej prośby. Roześmiał się tylko miękko, jakby w głębi duszy bardzo się czymś ucieszył. Położył dłoń na jej ramieniu, drugą ręką uniósł jej brodę, by móc spojrzeć w oczy. Poczula na ustach jego ciepły oddech i zadrżała. Marco uśmiechnął się intrygująco.

- W tej sytuacji racjonalnie myślący mężczyzna zastanowiłby się, co robić - powiedział.

- A ty jesteś wyjątkowo racjonalny, prawda?

- Może nie aż tak, jak mi się wydawało. Wiem natomiast, że ty na pewno nie jesteś osobą myślącą racjonalnie. Raczej kompletnie zwariowaną.

- Też tak sędzę. Kobieta, która ma dobrze w głowie, nie zastanawiała by się nad twoim pomysłem ani przez moment.

- To prawda. W takim razie jestem wdzięczny losowi. - Weszło popatrzył jej w oczy.

Raptem stało się coś, co ją zaszokowało: Uśmiechnięta twarz Marca jakby przygasła, a on sam cofnął się o krok.

- Czy będziesz gotowa do wyjazdu za dwa dni? - spytał chłodno.

Harriet była zbyt oszołomiona, żeby odpowiedzieć. Przed chwilą wszystko w niej wibrowało. Byli tak blisko, dotykali się, czuła jego oddech. I nagle czar prysł - z jego woli, to jasne. Marco świadomie odgrodził się od tego, co mogło się między nimi zdarzyć. Wzięła się jednak w garść i odpowiedziała tonem podobnym do tego, jakim zadał pytanie:

- Czy do tego czasu dostanę pożyczkę? Jako tak zwana bizneswoman muszę to wiedzieć.

- Otrzymasz pieniądze najdalej jutro w południe.

- Nie widziałeś mojej księgowości.

- A muszę ją oglądać? I bez tego wiem, że to śmietnik.

- A jeśli nie będzie cię stać...

- Dam sobie radę, zapewniam. Parsknęła gniewnym śmiechem.

- W takim razie może naprawdę powinnam wyjść za ciebie dla pieniędzy.

- Wydawało mi się, że o tym właśnie mówimy.

- Nie dasz sobie tego wyperswadować, prawda?

- Nikt tego nie potrafi. To najlepszy sposób, by szybko osiągnąć...

- Optymalny efekt - dopowiedziała, cytując jego sformułowanie, a Marco przytaknął ruchem głowy.

- Odwiozę cię do domu - zaproponował.

- Nie, dziękuję. - Nagle odpłynęła z niej złość. Uświadomiła sobie, że to, co kochała najbardziej w świecie, jest uratowane. Uśmiechnęła się tak anielsko spokojnie, że Marco poczuł się zdezorientowany. - Chciałabym - wyjaśniła przeproszającym tonem - pobyc tu chwilę sama. Z poczuciem, że mojej galerii nic już nie zagraża.

- Poczekam na ciebie na dworze - odparł stanowczo. - Jest północ. Nie zostawię cię samej. Byłabyś łatwym łupem dla złodziei albo i gorszych łajdaków. Twoja przedwczesna śmierć nie byłaby mi wcale na rękę.

- Jasne. Musiałbyś od nowa układać swoje plany matrymonialne. Ujął ją za rękę.

- To przyjemność robić interesy z kimś, kto rozumie, co się liczy, a co nie. Będę na zewnątrz. - Przytrzymał jej dłoń, musnął ustami i wyszedł.

Harriet była wstrząśnięta. Z bijącym sercem patrzyła na swoją rękę jak odurzona. Nie miała pewności, czy odczuwa radość, czy tylko podniecenie z powodu otwierających się perspektyw. Dałaby radę rozegrać tę sytuację sensownie wyłącznie wtedy, gdyby w pełni panowała nad sobą, a tymczasem Marco rozstrajał ją. Ze złością potarła wierzch dłoni. Dopiero gdy minęło roztrzęsienie, rozejrzała się wokół i oczy jej zabłysły. Galeria została uratowana! Przynajmniej na pewien czas.

Wystarczyłoby utrzymać „zaręczyny” do chwili, aż uzyskałaby dostęp do kolekcji barona Manellego. I na tym by się skończyło. A zatem, czemu nie? Gdyby Marco angażował się uczuciowo, taki zamiar z jej

strony byłby dowodem wyrachowania i bezduszności, ale przecież on podkreślał wyraźnie, że uczucia nie wchodzą w grę. Traktował ją jak towar, a małżeństwo jak przynoszącą zysk transakcję, dlaczego więc nie miałyby postąpić z nim podobnie?

Raz jeszcze ogarnął ją na krótko żal, że Marco zbliżył się do niej i tak prędko się wycofał. Z kimś, kto potrafił tak się kontrolować, nie byłoby łatwo sobie poradzić. Gdyby mu na to pozwoliła, zrobiłby z nią wszystko, co chciał. Ale nie zamierzała do tego dopuścić.

Stała jej przed oczami jego twarz i raz jeszcze spojrzała na wykute w brązie popiersie Cezara Augusta. Niezależnie od tego, co sądził Marco, byli podobni. Przypomniały jej się zachwyty Olympii. Tak, siostra miała rację. W surowym obliczu imperatora kryła się niezwykła zmysłowość. Dziwne, ale te same cechy dostrzegła u Marca.

Scandaloup

ROZDZIAŁ TRZECI

Następne dwa dni upłynęły w takim wirze spraw, które należało załatwić przed wyjazdem, że Harriet nie miała czasu na rozmyślania. Marco zapoznał się z księgowością i aż jęknął. Czysty surrealizm, stwierdził. Alicja w krainie czarów. Mimo to uregulował długi. Została nawet nadwyżka, dzięki czemu Harriet mogła zapłacić z góry kobiecie mającej ją zastąpić.

Doszło też do spięcia. Jeden z klientów zainteresował się pewnym bardzo kosztownym dziełem sztuki. Gotów był już je nabyć, gdy nagle Harriet zaczęła tak prowadzić rozmowę, że stracił ochotę na kupno i wyszedł. Marco obserwował tę scenę z przerażeniem.

- Nie pojmuję, dlaczego tak to rozegrałaś.
- Nie spodobał mi się.
- Kto? Dlaczego?
- Ten człowiek nie zapewniłby arcydziełu właściwej atmosfery - próbowała wyjaśnić. - Nie rozumiesz mnie, prawda?
- Ani trochę - przytaknął smętnie.
- Rzeczy, które kupuję i sprzedaję, nie są zwyczajnym towarem. Ja je kocham. Czy sprzedałbyś komuś ulubionego szczeniaka, przeczuwając, że nie będzie się nim właściwie opiekował?
- Harriet, pies to żywe stworzenie. Przedmioty nie czują, są martwe.
- Nieprawda. One też na swój sposób żyją. Nie sprzedam nic osobie, której nie ufam.
- Wariatka! Masz nie po kolei w głowie. Wyjdźmy stąd, póki jeszcze panuję nad sobą.

Do Rzymu wylecieli w południe następnego dnia. Signora Lucia Calvani oczekiwała ich na lotnisku. Na widok Harriet rozpromieniła się.

- Etta! - zawołała, chwytając dziewczynę w objęcia. - Moja droga,

kochana Etta!

Harriet poczuła skurcz w gardle. Nie spodziewała się takiego powitania.

- Wiesz, dlaczego mówię na ciebie Etta, prawda? - Pani Calvani odsunęła się odrobinę, ale nie wypuściła jej z ramion.

- Tak nazywał mnie ojciec, gdy byłam mała - odparła żywo Harriet. - Jego mama...

- Tak. Twoja babka miała na imię Enrichetta, ale wołano na nią Etta. Ja też tak się do niej zwracałam, kiedy byłyśmy dziewczynkami. Jesteś do niej taka podobna...

- Znów objęła ją mocno.

Z synem przywitała się powściągliwiej, lecz wyraz jej oczu nie pozostawiał cienia wątpliwości, że Marco był sensem jej życia. Potem natychmiast skupiła całą uwagę na Harriet. Wzięła ją pod rękę i poprowadziła do rolls-roy-ce'a z szoferem.

Ominęli Rzym szerokim łukiem, pojechali na południe i dotarli do Via Appia Antica, starożytnego traktu, przy którym znajdowały się ruiny grobowców arystokratycznych rodów rzymskich sprzed tysiący lat. Przylegające do Via Appia tereny zajmowały obecnie posiadłości współczesnych potomków starożytnych rzymian. Domy kryły się za wysokimi murami z kunsztownymi bramami. Mieszkały tu rodziny, które po cichu rządziły światem.

Signora Calvani była piękną, elegancką kobietą. Harriet domyślała się, że ma około siedemdziesiątki, ale smukła figura i energiczny chód odejmowały jej lat. Ton, jakim mówiła, i sposób bycia świadczyły o tym, że zawsze otaczał ją dobrobyt.

- Bardzo się ucieszyłam, gdy Marco zawiadomił mnie o twojej wizycie - powiedziała, kiedy mknęli przez podmiejską okolicę. - Nasz dom wydaje mi się czasem taki pusty.

Przez kutą w żelazie bramę posiadłości wjechali w wysadzaną drzewami aleję i chwilę potem ukazała się willa Calvanich. Był to duży biały budynek z ukwieconymi balkonami. Do podwójnych drzwi prowadziły szerokie schody. Nietrudno było pojąć, jaki pusty mógł się wydawać ten dom komuś, kto mieszkał tu samotnie.

Niewidoczny służący otworzył drzwi, Lucia wprowadziła Harriet do

holu, a potem do olbrzymiego salonu. Jedna pokojówka zajęła się płaszcami, druga wprowadziła wózek z herbatą.

- Kazałam zaparzyć angielską - pochwaliła się pani domu. - Specjalnie dla ciebie.

Do herbaty podano małe kanapki, biskwity i ciastka, wszystko, co mogła lubić Angielka. Przez chwilę wymieniano uprzejmości, ale w pytaniach Lucii brzmiało prawdziwe zainteresowanie.

Pani domu delikatnie badała swego gościa i najwyraźniej podobało jej się to, co odkrywała. Nigdy w życiu Harriet nie zaznała takiego powitania. Marco też się cieszył. Było mu przyjemnie, że matka przyjęła dziewczynę tak ciepło.

- Pokażę ci twój pokój - zaproponowała Lucia, wstając. Pokój był jeszcze piękniejszy niż salon. Z ogromnego, zajmującego całą ścianę okna roztaczał się widok na zieloną przestrzeń, rzekę w oddali i skąpane teraz w popołudniowym słońcu sosny. Szerokie rzeźbione orzechowe łóżko przykrywała ozdobna narzuta. Drewniany parkiet lśnił. Pozostałe meble wykonane były również z orzecha. Ściany zdobiły piękne obrazy i rzeźbione główki. Niektóre z nich, co Harriet spostrzegła natychmiast z zawodową wprawą, były sporo warte. Nie miała jednak ochoty niczego teraz wyceniać ani w ogóle myśleć o pracy. Pławiła się w rozkosznym, nieznanym jej dotąd uczuciu, że jest tu kimś naprawdę oczekiwanym.

- Jak myślisz, będzie ci wygodnie? - dopytywała się Lucia. - Może coś zmienić?

- Nie, nie. To wszystko jest takie piękne... - Harriet ze wzruszenia łamał się głos. - Nigdy w życiu... - Poczula, że zaraz się rozplacze i odwróciła szybko głowę.

- Co ci jest? - zaniepokoiła się pani Calvani. - Marco, czyżbyś zrobił jej jakąś przykrość?

- Zapewniam cię, że nie - odpowiedział bez wahania.

- Nie spotkała mnie żadna przykrość - odezwała się Harriet schrypniętym głosem. - Przeciwnie, wszyscy... Jeszcze nigdy...

- Pora na mnie. Muszę jechać do banku. - Marco był wyraźnie zakłopotany. - Za długo już zaniedbuję swoje obowiązki.

- Co to ma znaczyć? Marco! Jak to za długo?! - zirytowała się pani Calvani.

- Wybaczcie mi, proszę. Nie chciałem być niegrzeczny. Naprawdę muszę jechać. Przez kilka dni będę mieszkał u siebie.

- Nie wrócisz nawet na kolację? To przecież pierwszy wieczór Etty u nas.

- Żałuję, ale muszę odmówić sobie tej przyjemności. Zadzwoń i dam znać, kiedy macie się mnie spodziewać.

Ucałował matkę, zawahał się, pocałował Harriet w policzek i prędko wyszedł.

- Co za maniery! - wybuchła Lucia.

- Nieważne, naprawdę. Zdążyłam się już zorientować, że to pracoholik - uspokoiła ją Harriet. - A stracił masę czasu.

Lucia uścisnęła ją za rękę.

- Za to my nacieszymy się sobą i poznamy się lepiej. Jestem taka szczęśliwa!

Harriet miała wrażenie, że nieoczekiwanie znalazła się w niebie. Wyjazd Marca w najmniejszym stopniu nie zmącił jej radości. Żeby sprawić swemu gościowi przyjemność, pani Calvani zamówiła przysmaki angielskiej kuchni i gdy wieczorem zasiadły do kolacji, z dumą popatrzyła na stół.

- Przecież wiem, że jesteś po trosze Angielką - wyjaśniła tonem osoby wspaniałomyślnie godzącej się na pewne ustępstwo. - Ale sercem pozostajesz Włoszką, *Si!*

- *Si* - przytaknęła Harriet, zastanawiając się, co Marco opowiedział matce.

Oczy Lucii wyrażały sympatię i zrozumienie. Dziewczyna przeszła więc na język włoski i wkrótce obie panie poczuły się jak przyjaciółki.

- Może zadzwoniłabyś do ojca? - zaproponowała Lucia. - Zawiadam go, że tu jesteś.

Harriet poczuła dziwny opór, jakby miało nastąpić coś, co budziło w niej strach, ale podeszła do telefonu i wykręciła numer. Odpowiedział jej nieznamy męski głos.

Signor d'Estino, usłyszała, wyjechał z rodziną na kilka dni. Dokąd - nie dowiedziała się, chociaż wyjaśniła, że jest jego córką. Zrozumiała, że ten ktoś nigdy o niej nie słyszał. Poprosiła więc tylko, by ojciec oddzwonił i odłożyła słuchawkę, tłumiąc ból.

Rano wstała wypoczęta i rześka. Lucia zaplanowała już dzień. Miały zjeść lunch na mieście i trochę się rozejrzeć i pozwiedzać.

Spotkanie z Rzymem, który wciąż żył w jej snach, sprawiło Harriet wielką radość. Kiedyś było to serce cywilizacji, dziś miastem rządził tłum turystów i uliczne korki, chociaż wciąż najważniejsze były wspaniałe zabytki starożytności. Po lunchu obie panie wybrały się na spacer luksusową Via Veneto i Lucia pokazała Harriet dom, w którym mieszkał Marco. Harriet spojrzała na okna mieszkania na czwartym piętrze. Były zamknięte i zasłonięte. Jak on sam, pomyślała.

Lucia działała w kilku fundacjach charytatywnych i musiała uczestniczyć w posiedzeniach, toteż następny dzień Harriet spędziła samotnie. Mogła przypomnieć sobie Rzym po swojemu. Przepelniona radością spacerowała brukowanymi uliczkami, zapuszczała się w wąziutkie zaułki, aż w pewnej chwili znalazła się przed sklepikiem z greckimi dziełami sztuki. Bez namysłu weszła do środka. Spędziła tam sporo czasu, a kiedy wyszła, jej dług znacznie się powiększył.

Bardzo by chciała pokazać Marcowi swoje nabytki, ale on na razie nie dawał znaku życia i również tego wieczoru zasiadły do kolacji same. Przy kawie Lucia nagle zmieniła ton i temat.

- Może - zaproponowała niepewnie - powinniśmy porozmawiać o tym, jak to obie widzimy. Powiedz mi, moja droga, czy wydaje ci się to okropne, że szukam dla swego syna odpowiedniej żony.

- Okropne, nie. Może tylko nieco dziwne. Czy jego samego nie gorszy pomysł, by żenić się z kimś obcym?

- To właśnie jest najgorsze. Wcale mu to nie przeszkadza. Był już zaręczony, ale sprawa spaliła na panewce. Od tej pory zachowuje się tak, jakby uczucie było w jego życiu przeszłością i jakby przyjmował to z ulgą.

- Kochał ją?

- Myślę, że tak, choć nigdy o tym nie mówi. Zamknął przeszłość na kłódkę i nikt, nawet ja, nie ma do niej dostępu. Może i jestem sentymentalną idiotką, ale bardzo, bardzo kochałam Ete. Umarła o wiele za młodo. Gdyby dane mi było zobaczyć nasze rodziny złączone przez małżeństwo i potomstwo... O nic więcej nie proszę już losu.

- Opowiedz mi o niej, dobrze?

- Przyjaźniłam się z jej siostrą i kiedyś zaprosiła mnie do domu. Etta była ode mnie dziesięć lat starsza, a ponieważ nie miałam już matki, wzięła mnie pod swoje skrzydełka. Byłam druhną na jej ślubie i jedną z pierwszych osób, które zobaczyły jej syna - twego ojca - kiedy się urodził. Chciałyśmy zawsze, żeby nasze dzieci wychowywały się razem, ale wyszłam za mąż późno. Marco przyszedł na świat wiele lat po ślubie, więc nigdy do tego nie doszło. A potem Etta, moja ukochana Etta, umarła. Jeszcze teraz za nią tęsknię. Była jedyną osobą na świecie, której mogłam zaufać do końca.

- Naprawdę jestem do niej podobna?

Lucia podeszła do kredensu i wyjęła album z fotografiami.

- Spójrz - otworzyła go na jednej z pierwszych kart. - To Etta, gdy miała tyle lat, co ty teraz.

Młoda kobieta ze zdjęcia ubrana była zgodnie z modą sprzed pół wieku, lecz jej twarz przypominała Harriet jej własne odbicie w lusterku.

- Naprawdę... naprawdę jestem jej wnuczką - powiedziała powoli, jakby ją to zaskakiwało.

- W pewnym sensie nawet bardziej niż Olympia - przytaknęła pani Calvani. - Olympia zupełnie nie pasowałaby do Marca. Przemiała dziewczyna, ale ma pstro w głowie. Oczywiście, pomyślałam najpierw o niej, bo znam ją od lat. Szkoda, że nie znałam ciebie. Gdybyż twoja matka nie odcięła się od nas!

- Nie rozumiem.

- Twój ojciec twierdził, że po rozwodzie nie chciała mieć z nami nic wspólnego. Uparła się, że wróci do Anglii i wychowa cię na Angielkę. Czy to nieprawda?

- Wierutne kłamstwo! To on zmusił mamę do wyjazdu i zerwał z nami kontakt.

- Przez tę babę! - stwierdziła kategorycznie Lucia. - Zawsze miała nad nim władzę. Przyznam ci się, że nigdy nie lubiłam twego ojca. To człowiek słaby, pozbawiony własnego zdania, nie wart swojej matki. Myślę o nim jak najgorzej, zwłaszcza teraz, gdy poznałam prawdę.

- Ja też nie mam o nim najlepszej opinii - przyznała Harriet. - Pozbawił mnie włoskiego dziedzictwa, moich korzeni.

- Możesz je odzyskać - stwierdziła ciepło Lucia.

- Tak... Mogłabym.
- Gzy uznałabyś za nietakt z mojej strony, gdybym ci zasugerowała, byś zaczęła od ubierania się zgodnie z naszą modą?
- Chcesz powiedzieć, że wyglądam, jakbym ubierała się w sklepie z używaną odzieżą?
- Skądże znowu! Wydaje mi się tylko, że Angielki, zwłaszcza intelektualistki, w kwestii stroju są niezbyt...

Lucia pozostawiła swój osąd niedokończony.

- Masz słuszość - przyznała Harriet. - A jeśli chodzi o mnie, pora, żebym zaczęła być sobą... Kimkolwiek tak naprawdę jestem.
- Nigdy tak nie mów - zaproponowała pani Calvani. - Zaczynasz nowy etap w swoim życiu.

Następnego dnia poszły we dwie do Via dei Condotti, najekskluzywniejszego salonu mody w Rzymie. Lucia przejrzała masę strojów, kategorycznie odrzucając jedne, a odkładając inne. Sarta wybranych ubrań rosła i rosła. Niektóre z nich miała zabrać od razu, inne dopiero po przeróbkach. Całkowita wymiana garderoby sprawiła, że Harriet poczuła się inną osobą. Było to odczucie dziwne, ale przyjemne.

Potem pani Calvani zaprowadziła ją do znakomitej stylistki, gdzie spędziły całe popołudnie. Do tej pory Harriet nie zwracała większej uwagi na makijaż. Wystarczyło pociągnąć usta jakąś tam kredką, pomalować rzęsy, ewentualnie położyć cień na powieki, i koniec. Taka była jej filozofia. Dopiero dziś dowiedziała się, że tak się nie robi.

Takie oczy, stwierdziła stanowczo stylistka, oczy o oryginalnym, zielonym odcieniu, należy podkreślać, rozświetlając je i powiększając makijażem, a zwłaszcza kolorem szminki. Najwidoczniej więc te kosmetyki, których używała, nie były najwłaściwsze. Harriet zamilkła zupełnie, przeświadczona, że w tej dziedzinie nie ma nic do powiedzenia. Dla niej była to autentycznie wyższa szkoła jazdy. Kiedy stylistka dokończyła swego dzieła, Harriet przejrzała się w lustrze i zobaczyła kogoś nieznanego - kobietę o ogromnych, jarzących się oczach i wydatnych ustach. A przecież zawsze starała się malować tak, by ukryć ich naturalną szerokość. Stylistka wzięła do ręki nożyczki.

- Nie - zaproponowała Harriet. - Włosów nie ruszam.
- Twarz musi być widoczna - powiedziała Lucia. - Nie powinnaś jej

kryć, a ta strzecha całkowicie ją przesłania, uwierz mi.

Jednak tym razem Harriet, do tej pory potulnie poddająca się wszelkim zabiegom, uparła się przy swoim. Nie potrafiłaby tego wyjaśnić, ale obcięcie włosów wydawało się jej czymś nie do przyjęcia. I Lucia, i stylistka pogodziły się z tym w końcu, lecz obie nalegały, by Harriet zmieniła fryzurę. Raz dwa długie włosy zostały wysoko upięte, co zmieniło kształt głowy i odsłoniło smukłą szyję. Harriet przyglądała się sobie z mieszanymi uczuciami - ze zdziwieniem i odrobiną podniecenia. Nagle przeszło jej przez myśl, że swoją zmienioną aparycją sprawi Marcowi przyjemność, i odczuła radość.

Kiedy wieczorem zasiadła z Lucią do kolacji w oliwkowym spodnium i atlasowej bluzce, a wiedziała, że wygląda w tym stroju świetnie, miała pewność, że gdyby przypadkiem zjawił się Marco, to też zaaprobowałby jej wygląd. Wieczór spędziły jednak same. Lucia zadzwoniła do syna na komórkę i aż się zachnęła, słysząc znajomy komunikat powitalny..

- O, nie! - wybuchła zirytowana. - Nie będę się nagrywać.

- Marco jest bardzo zajęty - uspokajała ją Harriet, chociaż w głębi duszy też odczuwała urazę.

- Zajęty, zajęty! Minęło już kilka dni. Daj spokój! Powinien poświęcić trochę czasu swojej... swojej...

- Na razie jestem dla niego nikim - powiedziała prędko Harriet. - Mieliśmy się bliżej poznać dopiero tutaj, we Włoszech.

Lucia spojrzała znacząco.

- No to zaczynasz go poznawać! Mój syn! Wstrętny egoista. Na niczym mu nie zależy. Na niczym i na nikim!

Cóż, pomyślała Harriet, To chyba prawda. Czy Marco tak wyobrażał sobie starania o jej rękę? Zostawił ją samą, licząc, że zdobędzie sympatię jego matki, jakby tylko o to chodziło. Obie z Lucią nie kryły rozgoryczenia. W kiepskim nastroju posiedziały jeszcze trochę i położyły się spać.

Pod wieczór następnego dnia z salonu mody dostarczono stroje po przeróbkach. Lucia nakłoniła Harriet do przymierzenia wszystkich po kolei.

- Mam zastrzeżenia do tej sukienki - powiedziała Harriet. - Jest zbyt obcisła.

- To źle? Masz świetną figurę. Sukienka podkreśla twoje krągłości. Harriet okręciła się przed lustrem.

- Krągłości? Ja... - roześmiała się nagle. - Ojej, faktycznie, coś tam mam.

Atlas opinał pośladki. Trochę ją to żenowało, ale... Zaczynała się sobie podobać.

- Powinnaś była już dawno zająć się swoją urodą, zamiast tracić czas na starożytność. Martwe światy są oczywiście interesujące, ale nie ma co liczyć na ich wzajemność, prawda?

- A jeśli nie zależy mi na czym zachwycie?

- Jesteś kobietą czy nie? Masz ładny biust. Powinnaś go odsłaniać.

- Ależ... odsłaniam. - Ściągnęła dekolt niżej, żeby uwydatnić piersi. - Do licha! Ten atlas tak się opina, że wyglądam, jakbym nie miała nic pod spodem.

- To świetnie!... Marco! No, jesteś nareszcie!

Harriet odwróciła się błyskawicznie. Marco wszedł cicho do pokoju i obserwował kobiety z wyraźną przyjemnością. Lucia objęła go serdecznie, on szepnął matce coś czułego, a potem podszedł do Harriet i pocałował ją w policzek. Poczowała delikatny, bardzo męski zapach wody kolońskiej. Ciekawe, czy był tutaj, gdy mówiła, że czuje się w tej sukience, jakby nic pod nią nie miała? Może zresztą

i bez tego to widział? Bardzo by chciała nie odczuwać ' teraz tak mocno swojej cielesności. Miała wrażenie, że Marco pieści spojrzeniem jej piersi. Nonsens. Przecież nawet na nią nie patrzył.

- Nie sądzisz, że Harriet wygląda teraz ładniej? - spytała matka.

- Przepięknie - przytaknął. - Gdyby jeszcze upięła włosy.

- Zgadza się - potwierdziła Lucia. - Etta, dlaczego ich dziś nie upięłaś? Było ci tak ładnie... - Ujęła grube pasmo jej włosów i podwinęła do góry.

- Nie! - zachnęła się Harriet, potrząsając głową. Włosy zakryły trochę dekolt, ale chodziło jej o coś innego, istotniejszego, czego sama nie pojmowała. Miała ochotę wyjść, lecz Marco zatrzymał ją i odwrócił twarzą do siebie. Zanurzył palce w jej włosy, ściągnął je z tyłu i uniósł.

- Dlaczego zasłaniasz twarz? - zapytał.

- Wcale nie zasłaniam, tylko...

- A ja myślę, że chodzi właśnie o to. - Przyglądał się jej przez dłuższą chwilę. - Sądzę też - dodał łagodnie - że w dużej mierze odpowiada za to twój ojciec.

- Nie rozumiem... - Umilkła, gdyż nagle zrozumiała, co miał na myśli.

- Uważasz, że nie podobałaś się ojcu, a skoro tak, to nie spodobasz się żadnemu mężczyźnie. Ale jesteś w wielkim błędzie.

Harriet była zaszokowana. Piętno odrzucenia, którym została naznaczona w dzieciństwie i z którym, jak sądziła, zdążyła się już psychicznie uporać, nosiła w sobie do dziś. A teraz ten zimny, beznamiętny mężczyzna odkrył to. Odślonił zakorzenioną w jej duszy prawdę. Spojrzała mu w oczy i znieruchomiała, jakby zobaczyła w nich coś szczególnego. Wrażenie trwało tak krótko, że mogło być iluzoryczne.

- Upnij włosy - powiedział szorstko. - Rozpuszczone nie pasują do tej sukienki.

Prozaiczność tego stwierdzenia sprowadziła ją z powrotem na ziemię. Wybiegła do swego pokoju, gdzie pokojówka ułożyła jej włosy w elegancką fryzurę, jak poprzedniego dnia. Kiedy zeszła na dół, Marco bez słowa podał jej kieliszek wina. Nie skomentował uczesania, uśmiechnął się jednak i skinął głową. Lucia tymczasem ochłonęła już z radości wywołanej przyjazdem syna.

- Jesteśmy ci bardzo wdzięczne, że wreszcie sobie o nas przypomniałeś - powiedziała oschle. - Poświęcisz nam pięć minut, czy może dziesięć?

- Nie złość się, mamó - odparł ze śmiechem. - Przyjechałem i chcę zabrać Harriet do miasta na kolację.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Nocny klub „Bella Figura” przy Via Veneto znajdował się parę kroków od domu, w którym mieszkał Marco. Mieścił się w zaułku i kiedy tylko weszli do środka, Harriet od razu wyczuła klimat lokalu. Wyrafinowanie, elegancja, pełna dyskrecja. Ciekawe, % kim i jak często Marco tu bywał i ile dawał w łapę bramkarzom, których obowiązywało absolutne, milczenie.

Kiedy usiedli przy bocznym, zapewniającym intymność stoliku, przywołał wzrokiem kelnera. Ten podszedł natychmiast, co wyraźnie zirytowała kilkoro czekających dłużej gości. Marco udał jednak, że tego nie zauważa. Podobnie jak poprzednim razem w knajpce w Londynie, okazał się przeuroczym gospodarzem wieczoru. Harriet odetchnęła z ulgą. Nawet obcisła, wydekoltowana sukienka przestała ją krępować.

- Przepraszam, że tak długo się nie odzywałem - powiedział. - Mama jest na mnie obrażona. A ty?

- Nie - odparta niezupełnie szczerze. - Jesteś pewnie zawałony pracą, choć pamiętam, że podróżowałaś z laptopem, więc chyba niewiele straciłeś.

- Mam dobrego asystenta, ale wolę trzymać rękę na pulsie. Jestem ci wdzięczny, że to rozumiesz. Bo mama chyba nie. Uważa, że jesteś urażona i zaraz uciekniesz do Anglii.

- Ani mi to w głowie - odpowiedziała wesoło. - Tu jest cudownie. Z twoją mamą świetnie się rozumiemy.

- Ona też tak twierdzi. A przy okazji... Widziałem cię wczoraj na Via Veneto...

- Możliwe. Wsiadałam do taksówki. Zrobiłam spore zakupy. Parę ulic dalej odkryłam pewien sklepik. Wiesz...

Zaczęła szybko opowiadać o skarbach, które tam znalazła, o tym, że

przebierała w nich, zastanawiając się, co kupić, że ma poczucie winy, gdyż jak zwykle nie umiała opanować swojej żądzы posiadania. Marco słuchał, najpierw z uśmiechem, potem z rosnącym niepokojem.

- Na miłość boską! Go kupiłaś?
- Mnóstwo rzeczy.
- Ile zapłaciłaś?
- Kupowałam po okazyjnej cenie. Same autentyki. Będą się

fantastycznie prezentować w galerii.

- Jesteś zadłużona po uszy. Do licha, kobieto, czy dla ciebie pieniądze nie mają znaczenia?

- Mają. Nie mówię, że nie.
- Cóż za ustępstwo z twojej strony! - powiedział zgryźliwie.
- Pieniądze są ważne, ale nie najważniejsze. Przynajmniej na mojej liście.

- Chętnie się dowiem, na którym miejscu je lokujesz. Harriet była tak zdenerwowana, że wypaliła z absolutną szczerością:

- Na dalekim!
- Dzieła sztuki kosztują!
- Doprawdy,...
- W porządku, powiedz, że się mylę.

Nie mogła. Ktoś, kto handluje dziełami sztuki, wie, ile kosztuje piękno. Musiała uznać rację Marca i straszliwie ją to irytowało.

- Pamiętaj, znam twoją rachunkowość - powiedział. -W życiu nie widziałem czegoś równie rozpaczliwego. Mam wrażenie, że racjonalny rachunek ekonomiczny jest dla ciebie czymś nieistotnym.

- Bzdura!
- Co powiedziałaś?
- OK, przyznaję. Mam w nosie rachunkowość i biznes. Obchodzi mnie wyłącznie sztuka.

Spojrzał na nią jak na wariatkę.

- Masz w nosie interesy i chcesz zajmować się wyłącznie sztuką? - powtórzył.

- Wiedziałaś, jaka jestem.
- Ale nie wiedziałem, że zamierzasz być taka sama w Rzymie.
- Miejsce pobytu nie ma dla mnie znaczenia, bardzo mi przykro.

- Rozumiem. Powinienem był postawić warunek, udzielając ci pożyczki, że nie będziesz pogarszać swojej sytuacji finansowej.
 - Niczego nie pogorszyłam. Te rzeczy sprzedadzą się z zyskiem.
 - Przy założeniu, że uda ci się znaleźć na nie „właściwych” nabywców. Daj spokój. Gdzie indziej kupiłabyś to samo o wiele taniej.
 - Nie potrafiłam sobie odmówić...
 - Matko święta! Nie potrafiłaś sobie odmówić! Bardzo bym chciał zobaczyć miny moich klientów, gdybym kupił akcje w Novamente zamiast w Kalmati, i Novamente by upadło, a ja zacząłbym się tłumaczyć, że to nie moja wina, tylko „nie potrafiłem sobie odmówić”.
 - To zupełnie co innego - rzuciła zimno.
 - Niby dlaczego? Niech zatem wszyscy kierują się emocjami i działają bez poczucia odpowiedzialności. Tobie wolno tak postępować, a ja nie mogę? Bo co? Wytłumacz mi.
 - Bo ty w ogóle nie wiesz, co to znaczy żyć emocjami.
 - Dzięki Bogu!
 - Nie jestem niepoczytalna. Znam wartość tych dzieł, wiem o nich wszystko.
 - Teoria nie wystarczy. Trzeba jeszcze umieć się utrzymać. Zgadzasz się?
 - Ale... Kiedy zobaczyłam te rzeczy, zakochałam się w nich. Ty tego nie rozumiesz.
 - Aż za dobrze. Zakochałaś się i zgłupiałaś. Opuścił cię rozsądek, obiektywizm... Zakochany człowiek nie powinien podejmować decyzji. Wszystko jedno, czy przedmiotem jego pożądania są dzieła sztuki, czy też... - Umilkł wzburzony.
- Pojawienie się kelnera przyjął z ulgą. Gdy kelner sprzątał talerze po pierwszym daniu i podawał drugie, Marco nie patrzył na Harriet. Kiedy znów zostali sami, uśmiechnął się, jakby nic się nie stało.
- Nie zaprosiłem cię, by cię krytykować - powiedział. - Być może za daleko się posunąłem.
 - Odrobinę - przytaknęła. - Rozumiem, że komuś, kto zajmuje się handlem na wielką skalę, muszę wydawać się nienormalna.
 - Nie zaczynajmy od nowa - poprosił gorąco. - Chciałbym jednak obejrzeć faktury. Powiem ci, jak... to znaczy, może mógłbym

zasugerować coś, co powinnaś wiedzieć.

- Dziękuję - odpowiedziała potulnie.

Marco chciał już udzielić jej jakiejś rady, gdy nagle spostrzegł w jej oczach błysk i zrezygnował.

- A tak naprawdę, to czym dokładnie się zajmujesz? - zapytała.

- Pracuję w Banco Orese Nationale. To bank handlowy. Zajmuję się akcjami i udziałami, doradztwem i badaniem rynku.

Marco zapuścił się w szczegółowe wyjaśnienia, a Harriet słuchała z niekłamanym zainteresowaniem.

- Najważniejsza jest czujność - powiedział w pewnym momencie. - Jeśli przegapisz właściwy moment, skorzysta ktoś inny. Dlatego to ty musisz wiedzieć lepiej i panować nad sytuacją. Kомуś może się wydawać, że dopilnował wszystkiego, ale ja wiem, że wygrana należy do mnie. Zobacz sama... Straciłaś kontrolę nad swoją własnością i teraz sklepem rządzą ja. Nie, nie złość się. Niczego ci nie odbieram. Po prostu usiłuję ci pokazać, jak w przyszłości uniknąć takich sytuacji.

- W porządku, mów dalej - odparła zafascynowana.

Wiedziała, że brakuje jej biznesowego instynktu, którym powinien być obdarzony ktoś, kto naprawdę chce liczyć się na rynku, rozumiała jednak zawile zagadnienia finansowe. Gdy Marco zaproponował, że wyłoży jej te sprawy prościej, zirytowała się.

- Nie musisz nic upraszczać. Rozumiem, o czym mówisz, naprawdę.

- Przynajmniej tym różnisz się od swojej siostry. .. O co ci chodzi? - obruszył się, gdy wybuchła niepohamowanym śmiechem.

- Wyobraziłam sobie, jak opowiadasz to wszystko Olympii, a ona stara się udawać zainteresowanie.

Marco aż się zakrztusił.

- Miałaby szklane oczy. Zresztą chyba większość kobiet zanudziłbym po minucie.

- Też tak sędzę. Prawa rynku to nie najlepszy temat na randkę.

- Ale tobie to nie przeszkadza?

- Jest pewna różnica. Nas łączą wyłącznie interesy.

- To prawda - przytaknął po dłuższej chwili. - A to jest spotkanie robocze.

- Służące rozważeniu planów i ustaleniu dalszych działań.

- A zatem, na początek, czy moglibyśmy założyć, że na pewien czas poskromisz swój instynkt kolekcjonerski? Zgoda?

- Chcesz powiedzieć, że życzyłybyś sobie, bym przestała wydawać pieniądze.

- Usiłowałem wyrazić to oględnie. Mówiąc wprost, przyjmij do wiadomości, że od tej chwili ja trzymam kasę.

Cień sympatii, jaką zaczęła do niego odczuwać, momentalnie znikł.

- Co powiedziałeś? - zapytała słodziutkim głosem, który powinien go ostrzec.

- Żadnych zakupów. Basta! Dosyć tego.

- Ponieważ ty tak mówisz?

- Ponieważ ja tak mówię. Obejmuję całkowity nadzór nad finansami, a ty nie zrobisz nic, póki nie doprowadzę twoich spraw do porządku.

- Jesteś bardzo taktowny.

- Do diabła z taktem! Chcesz zbankrutować?

- To znaczy zrobić bankruta z ciebie. To masz na myśli, prawda?

- Nonsens. Nie jesteś w stanie doprowadzić mnie do bankructwa.

- A to ciekawe. Naprawdę powinnam wyjść za ciebie dla pieniędzy.

Najlepiej od razu ogłoszmy zaręczyny.

- Świetny pomysł.

- Spójrzmy prawdzie w oczy. Oprócz pieniędzy nie masz mi nic do zaoferowania, Jesteś arogancki, zarozumiały, postępujesz jak tyran.

- Zależy ci na tym, żeby mi dokopać? Zastanów się dobrze. W mojej postawie nie ma nic niewłaściwego. Jestem tylko pewien swoich racji.

- Założę się, że zawsze jesteś ich pewien.

- Owszem. Dzięki temu nie pozwalam sobą manipulować ludziom, którzy nie wiedzą, o czym mówią,

- Masz na myśli mnie?

- Wszystkich.

- To znaczy całą resztę świata. Pięknie. Będziesz miał żonę, jakiej ci trzeba. Kogoś, kto widzi w tobie same najgorsze cechy, ale zniesie wszystko dla pieniędzy.

- Uważasz, że znasz moje najgorsze cechy?

- Mam przynajmniej nadzieję, że pozostałe nie okażą się jeszcze mniej sympatyczne.

- Skąd ta pewność? - Błysnęły mu oczy. - Na twoim miejscu dobrze bym się zastanowił, nim się na mnie zdecydujesz.

- No więc dobrze. Dajmy temu spokój. Najkrótsze zaręczyny w dziejach, a właściwie tylko zaręczynowe plany, skończyły się. Kandydaci na narzeczonych nie mogli się nawzajem ścierpieć.

Ściszyła głos, bo zorientowała się, że wzbudzają zainteresowanie innych gości. Marco pochylił się nad stolikiem i też zniżył ton.

- Robisz z tego melodramat - powiedział zimno. - Po co aż tak się emocjonować?

- Nie emocjonuję się - syknęła mu prosto w twarz. - Jestem realistką. Odpowiada ci to, prawda?

- Nic o mnie nie wiesz - warknął. - Wściekasz się, bo chcę uporządkować twoje finanse.

- Nieprawda! Chcesz je nie tyle uporządkować, co nimi rządzić. Mną również. W którym momencie by się to skończyło, gdybym na to pozwoliła?

- Ty miałabyś mi na coś pozwalać? Sądzisz, że będę cię prosił o pozwolenie?

- Lepiej, żebyś wziął pod uwagę taką ewentualność.

- Harriet, mówię jasno, żadnych zakupów!

- A ja przypominam ci, że udzieliłeś mi pożyczki, ale mnie nie kupiłeś. Ten sklep jest mój.

- Na razie. A gdybym zachował się paskudnie?

- Ty? Niemożliwe. Posłuchaj, Marco. Jestem właścicielką galerii, prowadzę ją i samodzielnie podejmuję decyzje. Jeśli zobaczę odpowiadający mi towar, nie będę cię pytała o zgodę, tylko kupię go na własny rachunek.

- A gdybym nalegał, żebyś zwróciła swój nabytek?

- To będziesz miał problem, bo wrócę do Anglii.

- Z jednym czy dwoma etruskimi naszyjnikami, przeschmuglowanymi pod bluzką - wycedził z drwiną.

- Marco! Hej, witaj!

Oboje podnieśli głowy. Przy stoliku stał potężny mężczyzna. Marco wstał i uściśnął mu dłoń.

- Alfredo Orese - dokonał prezentacji.

Orese, powtórzyła w myślach Harriet. Marco pracuje w Banco Orese Nationale...

- Wybaczcie, zakochane ptaszki, że wam przeszkadzam świergotać - powiedział jowialnie znajomy Marco, przystawiając sobie krzesło. - Miło jest widzieć parkę, która zapomniała o całym świecie.

Tak właśnie musimy wyglądać, uzmysłowiła sobie Harriet i uśmiechnęła się niepewnie.

- Nikomu ani słowa, Alfredo - poskromił go przyjaźnie Marco.

Alfredo położył palec na ustach i zrobił oko. Nie wyglądał na bankowca. Raczej na kogoś, kto lubi się zabawić. Zamówił butelkę najlepszego szampana, wznosił głośno toast, ucałował Harriet w policzek i poszedł sobie.

- Przepraszam cię - Marco odetchnął z ulgą. - To dobry chłop, nie chciał cię obrazić.

- Lubi bawić się w udawanie bankowca i brylować - odparła sucho.

- Jak się domyśliłaś?

- Nazwisko. Ale mam wrażenie, że twój znajomy pracuje w tym banku wyłącznie dlatego, że nazywa się Orese.

Marco roześmiał się.

- To prawda, sam dobrze to rozumie i do niczego się nie wtrąca. Powinnaś wyjść za niego. Ma dziesięć razy więcej forsy niż ja i pozwoliliby ci wydawać ją bez słowa sprzeciwu.

- Tyle że z nim nie miałabym okazji sprzeczać się tak jak z tobą.

- Jeśli o to chodzi, możesz na mnie liczyć.

- W porządku. Przyznaję, że moje zarządzanie finansami pozostawia wiele do życzenia.

- Zarządzanie? Śmiech na sali.

- Chcesz się znowu kłócić? - wycedziła słodko.

- Nie. Na razie wystarczy.

- Będziesz milczał, jeżeli uczynię pewne ustępstwo? Popatrzył na nią z uwagą.

- Przyznaję, że popełniłam parę błędów... Powiedziałeś coś?

- Milczę jak grób.

- Popełniłam parę błędów i byłabym zainteresowana poradą takiego specjalisty jak ty.

- Zainteresowana?
- Tak, zainteresowana.
- Tak dalece, by zastosować się do moich rad?
- To się dopiero okaże.

Marco uśmiechnął się. Dobry nastrój odmienił jego twarz, jakby zapaliło się w niej jakieś światło. Jest przeuroczy, gdy pozwala sobie na luz, pomyślała Harriet. Zaczynała pojmować, skąd ten nawyk, by wszystko rozważać w kategoriach biznesowych. To był język, którym posługiwał się najlepiej, ale też służył do zamaskowania czegoś, co tkwiło głęboko w jego naturze i było niezwykle intrygujące.

Podano kawę. Przygasły światła i na niskim podium pojawił się zespół muzyczny. Do mikrofonu podeszła młoda kobieta i zaczęła śpiewać nastrojową piosenkę o rozstaniu i tęsknocie, o pożądaniu, które trwa wbrew wszelkim nadziejom. „Czuję, jak mnie dotykasz, choć nie ma cię już przy mnie... Twoje ręce, twoje usta, czuję je wszędzie”.

Każde słowo, każdą pauzę w piosence dziewczyna napełniła zmysłowością. W klubie zapanowała romantyczna atmosfera, przesycona subtelnym erotyzmem. W Harriet powoli budziła się świadomość, że siedzi w towarzystwie atrakcyjnego mężczyzny, w dodatku ubrana w zbyt dopasowaną i za bardzo wydekoltowaną sukienkę. Ukradkiem zerknęła na Marca. Patrzył na scenę. Opuściła wzrok na jego dłonie - długie, smukłe, silne.

„Niosę na sobie dotyk twoich rąk” - śpiewała dalej wokalistka.

Harriet poczuła, jak ogarnia ją fala ciepła. Dotyk rąk Marca. Jakby to było, gdyby ją pieściły? Miała wrażenie, że wie. Utkwiła wzrok w parkiecie.

Tymczasem Marco starał się patrzeć wszędzie, byle nie na nią. Przyjechał do matki z myślą, że zostanie na kolacji i, spełniwszy obowiązek, wyjedzie. Jedno spojrzenie na Harriet wystarczyło, by zmienił postanowienie. Miał oto przed sobą zmysłową, pełną uroku istotę, ukrywającą się do tej pory pod zewnętrznymi pozorami niechlujności. Decyzję, by wybrać się z nią do nocnego klubu, podjął w jednej sekundzie. Kiedy jechali do miasta, zastanawiał się, jak przebiegnie ten wieczór. Nie przyszło mu do głowy, że się pokłóca, ale teraz myślał, że chyba dobrze się stało.

Spojrzał na nią ukradkiem. Wydała mu się pogrążona w swoim wewnętrznym świecie, do którego on nie miał dostępu. Poczul się zazdrosny. Wiedział, że to absurdalne, ale zapragnął, by go zauważyła. Niestety.

Niebieskawe światło ze sceny pozbawiło ją naturalnego koloru, ostro podkreślając rysy. Wyglądała nie jak żywa kobieta, ale jak posąg antycznej królowej, Nefretete czy Kleopatry. Jak wielka dama, władca i wspaniała. Wiedział jednak, że to tylko chwilowe wrażenie. Za moment mogła zaśmiać się jak dziecko albo popatrzeć na niego ze złością i ogniem w oczach.

Żegnana brawami piosenkarka zeszła ze sceny.

- Zatańczysz? - zapytał, gdy muzycy zagrali kolejną melodię.

Na parkiecie zrobiło się nagle tak ciasno, że właściwie można było jedynie kołysać się w miejscu. Trzymał ją blisko, ale nie za blisko. Bez trudu dostosowała krok. Wciąż pozostawała pod urokiem piosenki i upajała się chwilą. Uśmiechnęła się. Marco zareagował od razu.

- Co takiego?

- Nić, po prostu dobrze się bawię.

- Ale twój uśmiech coś znaczył.

- Właśnie to, że dobrze się bawię.

- Nie tylko. Powiedz...

Zakłopotana spojrzała mu w oczy i zobaczyła w nich prawdziwe zainteresowanie. Nagle ktoś ją potrącił. Marco przygarnął ją do siebie. Zamknęła oczy, by ukryć to, co mogły zdradzić, ale z jej ust wyrwało się westchnienie.

- Spójrz na mnie - wymruczał. - Co ci jest?

- Nic, nic... tak ni gorąco.

- To prawda. Wiesz co? Chodźmy do mnie. Zapraszam cię na kawę.

Było wpół do trzeciej nad ranem. Na niebie świeciły gwiazdy.

Opustoszałą ulicą przemykali nieliczni przechodnie. Marco wziął Harriet pod rękę.

Spacer i orzeźwiający chłód pozwoliły Harriet ochłonąć. Znowu panowała nad sobą. Była ciekawa, jak wygląda miejsce, które Marco uważał za swój dom. Próbowwała je sobie wyobrazić, ale nie potrafiła. Marco był tak nieprzenikniony, że odgadnięcie czegoś, czego sam nie

zdecydował się wyjawić, wydawało się niemożliwe. To, co zobaczyła, zaskoczyło ją w pierwszej chwili, ale nagle uzmysłowiła sobie, że podświadomie spodziewała się właśnie czegoś takiego.

Schludne i wyzbyte prywatności mieszkanie. Marmurowa posadzka w miodowym kolorze i białe ściany. Najsilniejszy barwny akcent stanowiła ciemnoczerwona skórzana kanapa. Pokój zdobiło kilka współczesnych obrazów i parę cennych przedmiotów stojących na półkach.

Tak mieszka mężczyzna, który chowa się przed światem, a może nawet przed sobą, pomyślała. Zauważyła fotografię Lucii, ale oprócz tego zdjęcia nie było w tym wnętrzu nic, co mówiłoby o osobistym życiu Marca. Przez uchylone drzwi do sypialni zobaczyła komputer, faks, który właśnie wyrzucał pocztę, rząd telefonów i dwa ekrany telewizyjne. Ten człowiek to naprawdę pracoholik!

Przypomniała sobie to, co o Marcu mówiła Olympia. „Pies na dziewczyny... tylko że żadnej nie kocha”.

Jakkolwiek układało się jego prywatne życie, na pewno, jeśli chodzi o sferę intymną, rozgrywało się tutaj, w otoczeniu sprzętów, które o każdej porze dostarczały informacji o tym, co dzieje się na giełdach całego świata.

- Robię kawę! - zawołał z kuchni Marco.

Kuchnia była również pedantycznie schludna, ale i bardzo piękna, ożywiona barwami błękitu i miedzi. Marco krzątał się swobodnie, najwidoczniej nawykły do samodzielnego przyrządzania posiłków. I w tej roli bardzo się jej podobał.

- Cudo - powiedziała, podnosząc filiżankę do ust. - Mieszkasz pięknie.

- Dziękuję. Nie wszyscy tak uważają.

- Tak tu spokojnie. Bardzo to lubię. Umiesz też wspaniale eksponować dzieła sztuki. Zawsze najkorzystniej prezentują się na czystym tle i w świetle, które jest zaaranżowane tak jak u ciebie.

- Jeszcze raz dziękuję. Pochwała z twoich ust to naprawdę prawdziwy zaszczyt. Ciekawe, co powiesz o moich nabytkach.

Harriet dopiła kawę i podeszła do pięknego francuskiego wazonu. Prawidłowo oszacowała go na XV wiek.

- Autentyk - stwierdziła.

- Jak wszystko w moich zbiorach - powiedział stanowczo.

Uśmiechnęła się.

- Nie spierajmy się, dobrze?

- Zgoda. Szkoda czasu. - Zbliżył się i przyciągnął ją do siebie, muskając jej usta leciutko, ostrożnie i wyczekująco. Dopiero kiedy uznał, że pozwala mu posunąć się dalej, pocałował ją.

To było miłe. Harriet poddała się nastrojowi, rozkoszując się spokojem i swobodą. Marco zachowywał się tak, jakby mieli przed sobą całe życie. Działo to na nią kojąco. Objęła go w pasie. Był szczupły i mocny, ale nie muskularny. Lubiała ten rodzaj siły. W ogóle wszystko się jej w nim podobało, a najbardziej to, jak ją całował.

Znał się na tym świetnie - tak samo jak na wszystkim, co robił. Czekwała rozogniona, co będzie dalej, gdy nagle przerwał pocałunek. W wyrazie jego oczu dostrzegła coś dziwnego. Zmieszła się. Nie ochłonęła jeszcze, ale odczuła narastające napięcie. Coś działo się nie tak. Uniosła ręce, by odsunąć go od siebie, ale oparł się, całując ją powoli i w taki sposób, że gotowa była oddać mu wszystko. Nie pozostawało nic innego, jak bezzwłocznie zakończyć tę sytuację. Zaciśnęła dłonie na jego ramionach.

- Dość! - powiedziała stanowczo. - Masz doprawdy tupet!

- Litości, kobieto - odparł poruszony. - Mamy XXI wiek, nie XIX. Nie sądziłaś chyba, że będę cię trzymał za rączkę. Nie spodziewałaś się, że cię pocałuję?

- Ty mnie nie całowałeś. - Jej głos zadrżał. - Sprawdzałeś tylko ofertę i przyznaję, zrobiłeś to z wprawą.

- Co takiego?

- Dobrze wiesz, o czym mówię. To nie był prawdziwy pocałunek. Sprawdzałeś mnie. Chciałeś się przekonać, czy gra jest warta świeczki. Jak przy przejmowaniu firmy...

- Chyba zwariowałaś!

- Szkoda, że nie słyszałeś, jak ci mózg pracuje - rzuciła z wściekłością. - Sprawdzić grunt, odtąd dotąd, ani kroku dalej. Nie dopuściłbyś do tego, żebym o czymś zdecydowała, zanim ty nie podejmiesz decyzji. Po co ci ewentualne kłopoty, prawda? Ach, ty zimny, wyrachowany...

- Przestań! - warknął. - Chciałbym naprawdę wiedzieć, czego ode mnie oczekujesz.

- To bardzo proste. Jeśli już mnie całujesz, to rób to jak należy, a nie...

Nie dał jej dokończyć. Znów znalazła się w jego objęciach, a on całował ją bez opamiętania. Usiłowała protestować, powtarzając, że ją wypróbował, wykorzystuje, ale wymruczał ze złością, że przecież tego właśnie sobie życzyła, no więc ma, czego chciała. Owładnęło ją podniecenie, jakiego nigdy dotąd nie zaznała. Nie było to już delikatne zmysłowe oszołomienie, jakie odczuła w klubie, ale potężna fala. Harriet nie była w stanie myśleć. Potrafiła jedynie pragnąć, czuć, tulić się. Jego ręce błądziły po jej ciele, pieściły talię i plecy, aż zatrzymały się na atlasowej zakładce na karku i znieruchomiały. Po chwili Marco na-macał zameczek i pociągnął suwak w dół. Stała w jego ramionach niemal naga. Co robić? - myślała gorączkowo. Musiała podjąć szybką decyzję, co nie było proste w chwili, gdy całe jej ciało prężyło się z rozkoszy, a w głowie panowała kompletna pustka.

Marco popychał ją delikatnie w stronę sypialni. Stamtąd nie było już ucieczki. To nie powinno stać się teraz, gdy odczuwali wobec siebie prawie niechęć. Nie potrafiła sobie jednak wyobrazić, jak inaczej mogłoby w ogóle dojść do zbliżenia. Od samego początku wciąż odzywała się w nich obojgu jakaś podskórna wrogość, przydając tej znajomości ostrego smaku. W Harriet rosła napiętność.

Brzęczenie było tak ciche, że ledwie je usłyszała. Usiłowała odciąć się od tego dźwięku, czuła jednak, że Marco oddala się od niej. Zirytowany mruknął coś, ale podniósł słuchawkę. Liczyła, że odłoży rozmowę na później, tymczasem on zaalarmowany jakąś nagłą wiadomością, znieruchomiał przy aparacie.

- Tak - warknął do słuchawki. - Marco Calvani przy telefonie. Proszę mówić.

Patrzyła na niego, zdumiona szybkością, z jaką skupił się całkowicie na rozmowie, tak jakby to, co działo się przed chwilą, było mu najzupełniej obojętne. Nie potrafiła w to uwierzyć. Ona wciąż czuła na wargach żar jego ust.

Odsunął na moment słuchawkę od ucha, ale jej nie odłożył.

- Przepraszam, ale to ważna sprawa - powiedział. - Nie będę mógł odwiedzić cię do domu... Weź ten notes... Znajdziesz tam numer korporacji...

- Co? Co ty mówisz? - Harriet była kompletnie oszołomiona.

- Notes leży na stoliku, o, tam... Halo - wrócił do rozmowy telefonicznej. - Tak, słucham.

- I wiesz, co naprawdę doprowadziło mnie do szału - opowiadała jeszcze tej samej nocy potwornie oburzonej Lucii. - To, że nawet taksówkę musiałam przywołać sobie sama.

Scandalous

ROZDZIAŁ PIĄTY

Rano zjawił się posłaniec z bukietem. Do kwiatów dołączony był pięknie wykaligrafowany liścik. Marco wyrażał żal, że ich przemiły wieczór został tak niefortunnie przerwany. Harriet pokazała karteczkę Lucji, która wymruczała coś z wyrazem niesmaku na twarzy, nie zadając żadnych pytań.

Po dwóch dniach Marco zatelefonował, by zaprosić Lucię i Harriet na lunch do banku. W restauracji Banco Orese Nazionale przyjmowano wyłącznie najważniejszych gości. Marco i kilku jego kolegów podjęli obie panie po królewsku. Lucię Calvani goszczono tu już trzykrotnie, ale jak do tej pory była jedyną osobą zaproszoną przez Marca. Dla Harriet znaczyło to tyle, że żadnej związanej z nim poprzednio kobiety nie spotkał taki zaszczyt.

Alfredo Orese nie potrafił być dyskretny i po całym Rzymie rozniosło się, że widziano Marca w nocnym klubie z kimś nowym. Ta nowa kobieta różniła się jednak zasadniczo od poprzednich znajomych. Mieszkała u jego matki i została zaproszona na obiad do banku. To prowadziło do dość oczywistej konkluzji.

- A zatem wasze zaręczyny nie są już dla nikogo tajemnicą - powiedziała z satysfakcją pani Calvani, gdy parę dni później siedzieli we troje przy śniadaniu, bo poprzedniego wieczoru Marco przyjechał bardzo późno i spał u matki.

Harriet zareagowała prędko.

- Tak naprawdę to nie są jeszcze zaręczyny.
- A co?
- Coś... - Harriet spojrzała na Marca, na próżno szukając u niego wsparcia. - Coś nieoficjalnego.

- Nie mam już cierpliwości do tego ciągłego kręcenia. Pasujecie do

siebie, każdy to widzi. Wszyscy myślą, że się zaręczyliście.

- A czy przypadkiem to nie ty, mamó, starasz się wywołać w ludziach takie wrażenie? - spytał z lekką kpina Marco.

- Nie muszę. Widziano was w Bella Figura. Podobno byliście sobą bardzo zajęci.

Tak, sprzeczką, ale tego nie mogli powiedzieć. Milczeli więc, co Lucia uznała za potwierdzenie swojej opinii.

- Zaprosiłeś nas do banku, a to praktycznie równa się ogłoszeniu zaręczyn. Musimy więc wydać przyjęcie. Potrzebny będzie pierścionek. Pomyślcie o tym - powiedziała i wyszła z pokoju.

- I co teraz? - wybuchła Harriet.

- Przyjęcie to dobry pomysł - odparł Marco. - Pora, żebyś poznała przyjaciół domu.

- Ale... zaręczyny... pierścionek

- To niczego nie zmienia. Zaręczamy się, potem zmieniamy decyzję i zrywamy zaręczyny. Jeśli chodzi o pierścionek, mama ma rację . -

Napisał na kartce jakiś adres. - Proszę, to najlepszy jubiler w Rzymie. Zawiadomię go, że mają się ciebie spodziewać.

- Nie wybierzesz się ze mną?

- Mam masę roboty - odparł, nie patrząc na nią. - Przygotują dla ciebie całą kolekcję. Będziesz miała w czym wybierać. Kup taki, który ci się najbardziej spodoba, dobrze?

Harriet odwiedziła jubilera jeszcze tego samego dnia. Traktował ją - narzeczoną signora Calvaniego - z najwyższą atencją. Wszystkie pierścionki, które zaprezentował, wyglądały szalenie reprezentacyjnie i były przeraźliwie drogie. Jeden z nich naprawdę jej się spodobał - drobne diamenciki osadzone w kółeczku z białego złota dokoła dużego brylantu. Za dobrze znała się na biżuterii, żeby nie domyślać się bajecznej wprost ceny. Nie mogła tego zaakceptować.

- Czy nie znalazłby pan czegoś skromniejszego? - zapytała, wyczuwając, że gdyby powiedziała „tańszego”, popełniłaby nietakt.

- Te, które pokazałem, wybrał osobiście signor Calvani - odparł jubiler.

A zatem Marco był tutaj. Tyle że bez niej. Tym gorzej. Usiłował kontrolować jej wybór, a z czymś takim w żadnym razie nie mogła się

pogodzić.

- Mimo to chciałabym obejrzeć i inne - powiedziała stanowczo. Jubiler wyraźnie się wystraszył.
- Ale signor Calvani...
- Nie on będzie nosił ten pierścionek.
- Rozumiem, ale...
- Skoro sprawia to panu kłopot, to będę zmuszona pójść gdzie

indziej.

Jubiler uznał się za pokonanego. Nastroszył brwi i pokazał Harriet mniej ekstrawaganckie pierścionki. Wybrała ładny soliter i opierając się pokusie powrotu do luksusowej kolekcji, wyszła ze sklepu z pierścionkiem na palcu.

Wieczorem Marco przyjechał z wielkim czarnym pudłem. Harriet zrozumiała, że nie poddał się i nie musiała być jasnowidzem, żeby się domyślić, co znajduje się w kasecie - pierścionki, z których zrezygnowała. A zatem wojna! Bardzo proszę, pomyślała z zawziętością.

Marco przywitał się z matką i odciągnął Harriet na bok.

- Dziękuję ci za śliczny pierścionek - powiedziała, unosząc brwi.

Nawet nie popatrzył na ten, który wybrała, lecz kazał jej ściągnąć soliter z palca.

- Zaszła pomyłka - stwierdził. - Jubiler musiał ci pokazać niewłaściwą tackę.

- Nie. Po prostu ten pierścionek mi się spodobał.
- Moja narzeczona nie będzie nosić tandety!
- Tandetę? Ależ to jest warte przynajmniej dziesięć tysięcy euro.
- Dokładnie tyle. - Z trudem panował nad złością.

- Rozumiem. Gdyby u twojej narzeczonej zobaczono pierścionek wart „zaledwie” dziesięć tysięcy, wzbudziłoby to niepokój. Klienci zaczęliby sprawdzać wartość swoich akcji w obawie, że może tracisz nos do interesów.

- Skoro tak świetnie wszystko rozumiesz, nie pojmuję, po co ta dyskusja.

- Proszę, oddaj mi tamten pierścionek. Podoba mi się.
- Nie!

Zapanowała cisza. Marco zacisnął ręce i przyłożył je do głowy w

geście wyrażającym frustrację, upór i bezradność. Westchnął.

- Wolałbym, żebyś wybrała jeden z tych. - Otworzył pudełko.
- A ja wolę tamten.
- Dlaczego o wszystko musimy się kłócić? - wycodził zirytowany.
- Dlatego, że usiłujesz mnie kontrolować na każdym kroku, a ja tego

nie cierpię.

- Nonsens! Ja tylko proszę cię, żebyś robiła to, co jest słuszne w naszej sytuacji. Do licha, Harriet! Parę dni temu bez zmruczenia powiek wydałaś krocie. Pozwolę sobie przypomnieć, że były to pieniądze, których ci nie podżyrowałem.

- Znowu zaczynasz?

- Myślę po prostu, że gdyby chodziło o jakieś starocie, oskubałabyś mnie z całą bezwzględnością. A teraz peszy cię cena pierścionka. Gdzie tu logika?

- Kto powiedział, że wszystko musi być logiczne? Zresztą wcale nie chodzi mi o cenę, ale o to, że mnie ustawiasz. Mam żyć według ustalonego przez ciebie rozkładu, jak pociąg, a ja nagle wypadam z szyn i wybieram własną drogę.

- I nieważne, jaki ma to wpływ na moje układy?

- Na pewno nie stracisz klientów.

Ale Marco był sprytniejszy, niż sądziła. Powiedział coś, na co nie była przygotowana.

- Harriet - uśmiechnął się. - Jesteś osobą myślącą, ale czasami robisz wrażenie mało inteligentnej... Nie boję się reakcji klientów. Chodzi mi o matkę. Jak sądzisz, co powie, jeśli uzna, że poskąpiłem na pierścionek zaręczynowy? Tylko pomyśl...

- Wytłumaczę jej, że uszanowałeś mój wybór.

- Nie masz szans - westchnął. - Powie, że powinienem się uprzeć.

Nie wie, jak trudno cię do czegokolwiek namówić... Naprawdę, sam już nie wiem, co robić.

- Skończ tę gadkę - przerwała mu surowo, próbując nie dać się rozbroić. - Przejrzałam cię, słyszysz? Nie spocznesz, póki nie postawisz na swoim. Powinieneś się wstydzić.

- Dlaczego? Nie widzę nic złego w tym, że ktoś upiera się przy swoim zdaniu. Czy ty sama nie lubisz tak postępować?

- Jasne, ale mam pewne skrupuły.
- Skrupuły to strata czasu. Jeśli coś ci pasuje, bierzesz.
- Bez względu na wszystko?
- Na wszystko.
- Ależ... to obrzydliwe.
- Nie. Tak się załatwia interesy. A teraz, przymierz może ten...

Wsunął na jej palec pierścionek z białego złota, na który zwróciła w sklepie szczególną uwagę. Oczywiście dowiedział się o tym od jubilera. W każdej sytuacji okazywał się sprytniejszy. Ciągle musiała walczyć o swoje. Jej upór stopniał jednak wobec urody pierścionka.

- Nie mogę go przyjąć. Po prostu nie mogę - powiedziała zdesperowana. Nie opuszczała jednak ręki, wpatrzona w cudowną grę światła odbijającego się w szlachetnym, przepięknym kamieniu.

- Mamo! - Marco przywołał matkę, wyglądając na korytarz. - Chodź tutaj i pogratuluj nam zaręczyn. - Przytrzymał uniesioną rękę Harriet, a Lucia aż krzyknęła z zachwytem.

- Tak, jest piękny - przyznała Harriet z uczuciem, że się poddaje. Teraz nie miała już odwrotu.

- Wyobrażam sobie, jak będzie się podobał gościom - cieszyła się pani Calvani. - Czas na przyjęcie.

- Będę musiał wyjechać na kilka dni - odezwał się ' Marco.

- A jedź sobie, jedź. - Matka machnęła ręką. - Poradzimy sobie bez ciebie - dodała i wyszła rozemocjonowana.

- Nie skomentuję twojego braku skrupułów - stwierdziła cierpko Harriet - bo oboje o tym wiemy. Chcę jednak postawić sprawę jasno. Jeśli nie zdecyduję się przez to wszystko przejść, choć wydaje mi się to już prawie niemożliwe, zwrócę ci ten pierścionek.

- Naturalnie - odparł zaskoczony. - Chyba nie sądzisz, że zostawiłbym ci go w prezencie. W razie czego przyda się przy innej okazji.

Droczył się z nią, a mimo to nie poczuła się urażona. Był nieznośny, ale nic na to nie mogła poradzić. Działo się jednak jeszcze coś, do czego nie śmiała się przyznać nawet przed sobą. Wyczuwała, że oto zapodziewa się gdzieś jej rzeczowość i rozsądek. Dawną Harriet spychała w kąt osoba gotowa podjąć ryzyko i cieszyć się życiem - byle u

boku Marca. Ta myśl nią wstrząsnęła. Potrzebowała czasu na oswojenie się z nową sytuacją.

Przy kolacji Marco z matką ustalili listę gości. Harriet zablęskły oczy. Wśród zaproszonych miał być baron Orazio Manelli!

- Znasz go? - zapytał Marco.

- Nie, ale chciałabym poznać. Od bardzo dawna bezskutecznie się do niego dobijam.

- Bo, jak przypuszczam, ma jakieś starocie, na których ci zależy.

- Mnóstwo antyków! Z tego, co wiem, dużej ich części jeszcze nawet nie skatalogowano. Manelli nie dopuszcza do swojej kolekcji nikogo. Ale teraz... Znasz go dobrze?

- Wystarczająco dobrze, żeby cię zaprosił. Mam ci to załatwić, tak?

- To dla ciebie żaden problem, prawda? Bo gdyby...

- Nie baw się w ceregiele. Lubię być użyteczny. Przynajmniej jeden kłopot z głowy, pomyślała, ciesząc się, że Marco dowcipkuje. Otwierały się przed nią, i to bezproblemowo, wrota do niezbadanego skarbcza.

Marca nie było przez tydzień. Harriet i Lucia spędziły ten czas bardzo aktywnie. Całą armię służących zapędziły do sprzątania i odświeżania willi i jej otoczenia. Rozesłano masę zaproszeń, w tym również do ojca Harriet, ale ponieważ się nie odzywał, wyglądało na to, że wciąż jest poza domem.

Nadchodziły potwierdzenia przybycia i podziękowania. Śmietanka towarzyska Rzymu aż wrzała. Wszyscy chcieli poznać kobietę, która „zwyciężyła zwycięzcę”. Określenie to obiegiło rzymskie salony, aż wreszcie dotarło do uszu Harriet.

- No cóż, Rzym to Rzym - stwierdziła niechętnie w rozmowie z Lucią. - Lwa najłatwiej osaczyć w jego własnym legowisku.

- Nie bój się- Podtrzymała ją na duchu Lucia. - Marco doskonale wie, na co się zanosi. Nie zostawi cię na pożarcie.

Dwa dni przed uroczystością Marco przyjechał i we troje spędzili pogodny wieczór.

- Rodzina zacznie się zjeżdżać już jutro - powiedziała Lucia przy kawie. - Francesco przybędzie z Lizą. Nie potrafię nazywać jej narzeczoną. To brzmi absurdalnie, gdy kobieta ma ponad sześćdziesiąt lat.

- Nie jego wina, że czekali z tym tak długo - zaproponował Marco. - Całe lata błagał ją, by za niego wyszła, ale ponieważ była jego gospodynią, uważała małżeństwo z nim - dla mnie to dziwactwo - za coś niewłaściwego.

- I słusznie - prychnęła Lucia.

- Harriet poznała już Dulcie - powiedział.

- Nie zdziwiłoby mnie, gdybyś mi powiedział, że przyszła do galerii sprzedać rodzinne srebra.

- Przyniosła marmurowy łeb konia - wymruczała bez zastanowienia Harriet i żeby zatuszować gafę, dodała prędko: - Naprawdę chętnie się z nią znów zobaczę. Rozmawiało się nam bardzo sympatycznie. Dobiłyśmy interesu i poszłyśmy razem na lunch. To bardzo wesoła osoba.

- Wesoła - powtórzyła z niesmakiem Lucia. - I tylko z tego powodu ma zostać hrabiną Calvani?!

- Przepraszam, ja... - tłumaczyła się Harriet.

- Daj spokój, nic nie mów - przerwał jej spokojnie Marco. - Mamo, jesteś niemiła.

- Ależ... Nie chciałam cię urazić, moja droga. - Poglądziła Harriet po ręce. - Leo, naturalnie, zjawi się w ostatniej chwili - sarknęła. - Źle się czuje w eleganckim świecie.

- To prawda - roześmiał się Marco. - Pewnie w ogóle by nie przyjechał, gdyby akurat nie wybierał się do Ameryki. Z Rzymu poleciał prosto do Teksasu.

- Do Teksasu! - zadrwiła Lucia. - Jeszcze by kto pomyślał, że jest kowbojem.

- Jedzie na rodeo, więc chyba naprawdę nim jest - stwierdził łagodnie Marco. - Leo hoduje konie - wyjaśnił Harriet. - To wspaniałe zwierzęta, a ich hodowla wymaga wiele zachodu. Leo wybiera się na rodeo i jak sądzę, przy okazji, zechce coś sprzedać.

- Kowboj! - westchnęła z prawdziwą rozpaczą pani Calvani. - I taki ktoś ma zostać dziedzicem hrabiowskiego tytułu!

Rano wybrały się we dwie na stację i czekały na pociąg z Wenecji. Wysiadł z niego hrabia Francesco z drobną kobietą u boku. Była to jego ukochana Liza. Na ich widok Harriet uśmiechnęła się serdecznie.

Sekretna miłość tych dwojga przetrwała tyle lat, a teraz, gdy nie musieli już jej ukrywać, oboje promienieli dumą i radością. Był to bardzo wzruszający widok. De spośród obecnie młodych par będzie się czuło tak po latach? - myślała Harriet. W każdym razie na pewno nie ja i Marco. My nawet nie zaczynamy od miłości. Oczywiście, Marco mógł mieć rację. Małżeństwo z rozsądku to niezłe rozwiązanie. Kiedy jednak patrzyła na parę tych starych, kochających się ludzi, czuła skurcz gardła.

Kuzyn Marca, Guido, okazał się prawdziwym przystojniakiem o uwodzicielskim spojrzeniu. Ale jego oczy patrzyły prawie wyłącznie na Dulcie. Ich ślub miał się odbyć za kilka tygodni. Zakochany po uszy, oceniła Harriet i od razu go polubiła.

Dulcie uścisnęła ją na powitanie.

- Nie mogę uwierzyć, że to naprawdę ty. No i popatrz, będziemy rodziną. Coś fantastycznego!

Harriet przytaknęła, ale miała poważne wątpliwości, czy do tego dojdzie. Co prawda na jej palcu błyszczał zaręczynowy pierścionek, jednak chwilami wszystko wydawało się jej nierealne.

Chociaż w głębi duszy Lucia nie pochwałała małżeńskich planów Francesca, odniosła się do Lizy z ujmującą serdecznością. Dumna i pyszna, miała jednak dobre serce. Liza odprężyła się. Czuła też chyba, że sympatia Marca jest absolutnie niewymuszona. Mówił do Lizy „ciociu” i gdy wchodzili do domu, podał jej ramię.

Przy kolacji Guido bawił ich wspomnianiem nieporozumienia, od którego zaczęła się jego znajomość z Dulcie. Narzeczona wzięła go początkowo za gondoliera, a on nie wiedział, że także ona, choć pochodziła z arystokratycznej rodziny, udawała zwykłą dziewczynę. Wszyscy się śmiali, gdy w pewnym momencie w drzwiach stanął potężnie zbudowany młody mężczyzna. Jego rozwichrzone włosy i pozorne nieokrzesanie podpowiedziały Harriet, że ma przed sobą „wiejskiego prostaka”.

Rozległo się chóralne „Leo”, Guido i Marco podnieśli się, by powitać kuzyna, po czym postawny, uśmiechnięty od ucha do ucha olbrzym podszedł do Lucii i Dulcie.

Harriet wstała. Leo otaksował ją wzrokiem, a następnie bez namysłu ucałował i ją. Widać spodobała mu się, gdyż przywitanie przedłużało się,

aż Marco kaszlnął znacząco.

- Marco, czyżbyś się przeziębził? - Harriet udała, że nie rozumie. Rodzina wybuchła śmiechem, Marco również.

- Spadaj, Leo - powiedział wesoło. - Przez ciebie muszę przypominać własnej narzeczonej, kim jestem. A na przyszłość - zostaw ją w spokoju.

Leo mrugnął do Harriet.

- Na tarasie o północy - szepnął teatralnie.

Nie zdążyła odpowiedzieć, bo Marco objął ją w talii i odciągnął na bok.

- Przecież my się tylko wygłupiamy - zaoponowała, chichocząc.

- Spodobał ci się? Ale uprzedzam, on tak żartuje ze wszystkimi dziewczynami. To pies na baby.

- To samo słyszałam o tobie. Dziwne; nie?

- Ciekawe, gdzie to słyszałaś?

- Wszędzie. - Spojrzała mu w oczy, a on szybko odwrócił wzrok.

Leo rozprawiał głośno, uradowany, że uwaga, wszystkich skupia się na nim. Kiedy zwracał się do Harriet, nie udawał już uwodziciela, ale rozmawiał z nią z prawdziwym zainteresowaniem. Być może kierował się wyłącznie taktem, jednak jego naturalny sposób bycia wlewał w jej serce ciepło. Zaczęła czuć się tak, jakby wbrew wszystkiemu spełniały się jej marzenia. Akceptowano ją! Cała rodzina Calvinich. Dla kogoś, kto jak ona nosił przez całe życie brzemień odrzucenia, było to niesamowite.

Patrząc na mężczyzn z rodu Calvinich, trudno było uwierzyć, że są tak blisko spokrewnieni. Wszyscy byli „przystojni jak czorty”, jak to określiła Lucia, ale każdy reprezentował inny typ urody.

Hrabia Francesco, mimo podeszłego wieku, wciąż jeszcze wyglądał świetnie. W pełnym wigoru Leo natychmiast rozpoznawało się mężczyznę rozkochanego w wolności i przyjemnościach farmera - nieskomplikowanego i dobrodusznego. Guido, drobniejszy od swego przyrodniego brata, zwracał uwagę inteligencją i nerwową żywiołowością. Miarkował się tylko w obecności Dulcie.

W oczach Harriet Marco prezentował się najkorzystniej. Był elegancki, opanowany, skryty i zdystansowany. W rodzinnym kręgu

zmieniał się. Pozwalał sobie na luz, częściej się śmiał, ale trudno było sobie wyobrazić, by mógł zachowywać się tak swobodnie jak Leo albo żeby odnosił się do kobiety z tak absolutnym oddaniem jak Guido do Dulcie. Harriet myślała o jego byłej narzeczonej. Czy naprawdę ją kochał? A może ona odeszła, bo nie potrafiła zdobyć jego serca? To wydawało się bardziej prawdopodobne.

Gdy po przyjęciu wszyscy udawali się już na spoczynek, Marco zaskoczył Harriet. Nieoczekiwanie ujął ją za rękę i wyprowadził na taras.

- Umówiłaś się tu na spotkanie o północy - przypomniał.

- Ale nie z tobą - odpowiedziała przekornie.

- Lepiej, żeby ze mną. - Uśmiechnął się tak, że miała ochotę droczyć się z nim dalej, i pocałował ją.

Pewnie, że lepiej, pomyślała.

W tym pocałunku było tyle słodczy, że Harriet przytuliła się rozmarzona i uszczęśliwiona. Marco cofnął się jednak. Spozstrzegła na jego twarzy dziwny uśmiech. Uniosła pytająco brwi, ale tylko pokręcił głową. Ta krótka chwila niosła w sobie więcej pytań niż odpowiedzi.

Wieczorem w dniu przyjęcia zaręczynowego gdy Harriet kończyła się już ubierać, Dulcie, przeurocze zjawisko w błękitnych jedwabiach, weszła niespodziewanie do pokoju.

- Jak ty cudownie wyglądasz! - zachwyciła się spontanicznie. - Nic dziwnego, że Lodowcowi rozmarzło serce.

- Lodowcowi?

- Nie powinnam ci tego mówić - spieszyła się Dulcie. - Guido twierdzi, że w rodzinie zawsze tak nazywano Marca. Naturalnie za plecami. Sama wiesz, jaki potrafi być zimny i ponury. Ale ty oczywiście znasz go od strony, której nie zna nikt. O, proszę - zachichotała. - Już się rumienisz.

- Wcale nie - odparła Harriet, czując ogień na policzkach. A więc uważano ich za kochanków. Odwróciła twarz i wygładziła obcisłą suknię ze złotobrazowego aksamitu. Wiedziała, że wygląda ładnie i ta świadomość dodawała jej pewności siebie.

Kiedy rozległo się pukanie, Dulcie otworzyła drzwi. W progu stali Guido i Marco, obaj zabójczo przystojni. Marco popatrzył na Harriet z prawdziwą satysfakcją.

- *Bene!* Dokładnie tak sobie ciebie wyobraziłem. Proszę, to powinien być odpowiedni dodatek.

Dulcie spojrzała na wyjęty z etui ciężki złoty łańcuch. Ścisnęła Guida za rękę i wyciągnęła go na korytarz.

- Gracz! - Narzeczony ostudził jej zachwyty. - Będziemy mieli niezłą zabawę, przyglądając się, jak Lodowiec udaje zakochanego.

- Ty na pewno tego nie zobaczysz - poskromiła go Dulcie. - W naszej obecności Marco nigdy by się nie odsłonił. Założę się jednak, że teraz, gdy mają nas z głowy, całują się jak szaleni.

Byliby oboje zawiedzeni, gdyby mogli zobaczyć, jak beznamiętnie Marco ozdabia szyję narzeczonej.

- Wiedziałem, że złoto pasuje do ciebie - powiedział, zapinając klamerkę. - I nie pomyliłem się.

Harriet spojrzała w lustro. Odbijała się w nim nie ona, a jakaś pełna ponadczasowego splendoru piękność. Marco miał doskonałe wyczucie. Podziękowała mu, dodając, że nigdy by się nie spodziewała, że może tak wyglądać.

- Wiem - odparł. - Potrafisz genialnie przejrzeć innych, tylko nie siebie.

- Jesteście gotowi? - zawołała zza drzwi Lucia. - Goście zaczynają się schodzić.

Kiedy Harriet i Marco wyszli do holu, matka, wspaniała w rabinowej czerwieni, obrzuciła całą rodzinę roziskrzonym spojrzeniem.

- Ród Calvanich jest urodziwy - powiedziała z dumą. - Piękni mężczyźni wiążą się z pięknymi kobietami. Schodźmy już na dół. Niech wszyscy pękną z zazdrości!

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Stojąc w powitalnym szeregu, Harriet miała wrażenie, że korowód gości nigdy się nie skończy. Znane nazwiska ze świata finansjery, arystokratyczne tytuły, wspaniałe koligacje. Oto jakiś hrabina, jakaś księżniczka, diuk, baron. Prawdziwa elita, śmietanka Rzymu i ludzie z ogromnymi pieniędzmi. Harriet domyśliła się, że połowę sejfów w rzymskich bankach opróżniono na dzisiejszy wieczór z rodzinnych klejnotów. Błyszczały diademy, bransolety, kolczyki, diamenty, rubiny, szmaragdy, perty. Świetna okazja, by popisać się bogactwem. Nagle dotarło do niej, że i ona bierze udział w tej paradzie próżności. Złoty łańcuch, który dostała od Marca, to swoista demonstracja. Podobnie zresztą jak pierścionek. Zadrzała na myśl o tym, jak w takim towarzystwie zaprezentowałby się soliter wart „zaledwie” dziesięć tysięcy euro. Diament na jej palcu miał dowodzić, że kobieta, którą Marco Calvani wybrał na żonę, ma swoją wartość, a co za tym idzie, godna jest szacunku elit.

Wiele z przybyłych kobiet miało w rzeczywistości więcej lat, niż świadczył o tym ich wygląd. Dysponowały przecież pieniędzmi, które były nieocenioną pomocą w walce z nieubłaganym czasem. Wszystkie stroje pochodziły od najlepszych projektantów i miały nie tylko zdobić, ale przede wszystkim świadczyć, że ten, kto je nosi, jest kimś, z kim należy się liczyć.

Harriet odnosiła wrażenie, że powietrze aż drży, naładowane atmosferą oczekiwania. Uświadomiła sobie, że kobiety wpatrują się w nią świecącymi, głodnymi oczyma. Wyczuwała zaciekawienie, zazdrość, a może nawet zawiść, podsycaną zawiedzionymi nadziejami, bolesnymi wspomnieniami. Niektóre z tych pięknych zimnookich piękności były zapewne kochankami Marca. Zależało im, żeby o tym wiedziała. Pewnie

zastanawiały się teraz, jak długo pozostanie jej wierny. Niedługo - czytała w ich spojrzeniach. Dobrze, żeby miała tego świadomość.

Znajdowała się w jaskini lwa.

W przyływie gniewu uniosła dumnie głowę i wyprostowała się. Nieważne, że jej zaręczyny mogły już wkrótce okazać się nieaktualne. Dzisiejszego wieczoru Marco należał do niej, i tylko do niej. Zamierzała bronić swoich praw.

- Jak się czujesz? - zapytał. - To dżungla, wiem, ale ty jesteś silna.

- Nie boję się, nie mam czego, ale może inni powinni. Odpowiedział jej przepięknym uśmiechem.

- Chodź - poprowadził ją na parkiet. - Niech zobaczą to, co chcą widzieć.

Tańczyli wtuleni w siebie, z pozoru nieobecni dla całego świata.

To tylko gra, myślała Harriet. Przedstawienie dla tłumu. Jednak nie przeszkadzało jej to odczuwać rozkoszy, wlewającej się w uda przy każdym wspólnym kroku. Nagle uwierzyła w siebie. Uwierzyła, że jest warta, żeby na nią patrzeć, i chciała, by ten mężczyzna też tak uważał.

- Jesteś piękna - szepnął. - Nie chcę, żebyś tańczyła z nikim poza mną.

- No to nie będę. - Uśmiechnęła się.

- Niestety musisz. Ja też.

- Tak. W przeciwnym razie wszystkie te damy spotkałby ogromny zawód.

- Zapomnijmy o nich. Roześmiała się, czując, że zadrżał.

- One nie chcą zostać zapomniane.

- Zapomnij - powtórzył. - To rozkaz.

- Bezsensowny. Nie można nikomu nakazać czegoś, na co nie ma się wpływu. Nie dowiesz się przecież, czy ci się podporządkowałam.

- Mam nawet prawie pewność, że tego nie zrobisz. - Uśmiechnął się.

- Rozumiesz mnie niemal tak samo jak ja ciebie.

- A zatem kim jestem twoim zdaniem?

- Tyranem!

- Wiedźma!

Zdażył jeszcze rzucić jej złośliwe spojrzenie, gdy taniec zakończył się i oboje zmienili partnera. Przed Harriet skłonił się baron Manelli. Z

wyrazu jego oczu odgadła, że przypominał sobie jej listy.

- Zastanawiałem się, skąd znam pani nazwisko - powiedział szczerze. - Teraz już wiem. Pisywała pani do mnie... Nie rozumiem, dlaczego tak piękna niewiasta chce zakopać się w przeszłości.

- Kocham historię. Żyję nią.

- Chyba nie bez reszty? Mąż będzie wymagał oddania.

- Może na nie liczyć - odparła trochę niecierpliwie.

- Ale bez przesady.

Baron roześmiał się tak głośno, że zwróciło to powszechną uwagę.

- Marco nie zgodzi się na żadne ustępstwa.

- A kto powiedział, że będę go prosić?! Nie przestanę zajmować się sztuką tylko dlatego, że wychodzę za mąż.

Znów zaśmiał się gardłowo.

- Pani naprawdę zaczyna mi się podobać. Powinniśmy chyba porozmawiać dłużej.

- O pańskich zbiorach? Pozwoliłby mi pan je zobaczyć? Naprawdę?

- Jak mógłbym pani odmówić? Może przeszlibyśmy gdzieś, gdzie nie ma takiego tłoku?

Nie stałoby się nic złego, gdybym wymknęła się stąd na chwileczkę, pomyślała szybko Harriet. W sąsiednim pokoju bawiło się mniej gości, ale ciszę znaleźli dopiero w ogrodzie. Usiedli na ławce i Manelli zaczął opowiadać o swojej kolekcji. Oczyma wyobraźni Harriet zobaczyła takie cuda - złoto, wazy, biżuterię - że zewnętrzny świat przestał istnieć. Zapomniała się zupełnie. Czas mijał niepostrzeżenie.

- Nie powinien pan tego ukrywać - rzuciła gorączkowo. - Takie skarby należałoby odsłonić przed światem.

Baron ujął jej dłoń.

- Proszę mnie odwiedzić. Z największą przyjemnością pokażę pani moje zbiory.

- Byłoby cudownie - szepnęła, przymykając oczy i nagle z upojenia wyrwał ją zimny głos:

- Zaniedbujesz gości, moja miła.

Przed nimi stał Marco. Uśmiechał się, ale patrzył wyłącznie na jej rękę spoczywającą w dłoniach Manellego.

- Wybacz. - Baron podniósł się. - W swojej radości z poznania

kobiety tak mądrej i wykształconej, a w dodatku pięknej, zupełnie zapomniałem o manierach. Masz, Marco, niebywale szczęście, że zdobyłeś względy takiej niezwyklej...

Harriet drgnęły usta. Zabawna scena, pomyślała, zerkając na Marca, i nagle zrozumiała, że jemu wcale nie było do śmiechu. Prędko uwolniła dłoń z uścisku Manellego, ale on zdążył jeszcze złożyć na niej pocałunek.

- Będę czekał na pani odwiedzinę - powiedział. - Pani towarzystwo to prawdziwa rozkosz.

Marco zacisnął usta. Harriet miała ochotę powiedzieć: Nie daj mu się sprowokować. Czy nie widzisz, że zachowuje się w ten sposób celowo, ale tylko wsunęła rękę pod jego ramię i razem wrócili do domu.

- Nie gniewaj się - poprosiła, starając się go ułagodzić.
- Dobre sobie! Wiesz, która godzina? Dochodzi północ.
- A niech to! Przepraszam. Nie powinnam zniknąć na tak długo.
- Porozmawiamy o tym później - wysyczał. Zdumiało ją, że potraktował niewinne zdarzenie tak poważnie. Przecież wiedział, że zależało jej wyłącznie na kolekcji barona, a nie na jego osobie. Powinien umieć wybaczyć jej drobne uchybienie. Wyczuwała jednak, że dusił się z wściekłości. Uraziła go do żywego.

- Marco... - zaczęła, gdy weszli na schody prowadzące na taras.
- Nie teraz. Wszyscy muszą nas widzieć w absolutnej zgodzie.
- Obraziłeś się...
- Nie. To dużo prostsze. - Nagle, na oczach gości bawiących się na tarasie i w ogrodzie, porwał ją w ramiona i obsypał pocałunkami.
- Wydaje mi się ... - wydusiła.
- Cicho - syknął ze złością. - To ma wyglądać przekonująco.
- Przestań - wymruczała między jednym a drugim zapalczywym pocałunkiem. - Wystarczy.

- Tak - szepnął roztrzęsiony. - Wystarczy, aby zwieść tych ludzi na moment. Ale teraz aż do końca imprezy musimy grać obłudnie zakochanych. Rozumiesz?!

Zachwiała się, gdy ją puścił. Wirowało jej w głowie i musiała się o niego oprzeć. W tłumie rozległ się śmiech. Młodzi, którym wino rozwiązało języki, wykrzykiwali to, co myśleli wszyscy:

- Marco, daj spokój. Dziewczyna ci mdleje. Tak się całuje ukochaną! Żeby naprawdę wiedziała, że... Zapewne niecierpliwie czeka, aż się wyniesiemy...

- Dosyć! - odezwała się Lucia, uciszając coraz śmielsze żarty.

- My tylko gratulujemy - odezwał się któryś z młodzieńców.. -
Gdyby Harriet była moja.

- Ale nie jest - ostudził go Marco. - Radziłbym ci o tym pamiętać.

Tylko niewiele osób dosłyszało w tym z pozoru przyjaznym, żartobliwym napomnieniu stalową nutę. Wśród nich była Harriet. Czuła, że Marco drży. Przygarnął ją mocniej. Domyśliła się, że to znak - i dla niej, i dla dokazującej młodzieży. Ostrzeżenie.

- Szampan! - zawołał. - Podać szampana! Strzeliły korki. Służący uwijali się w tłumie, roznosząc kieliszki. Marco uniósł rękę, prosząc o ciszę.

- Jestem najszczęśliwszym człowiekiem na ziemi - powiedział. - Najpiękniejsza kobieta świata przyrzekła mi swoją rękę. Nie ma dla mnie większego szczęścia.

Wieczór dobiegał końca w atmosferze dobrej zabawy.

Godzinę później pod willę zaczęły podjeżdżać eleganckie limuzyny. Rodzina Calvinich, stojąc na schodach tarasu, zegnała gości.

Po odjeździe ostatniego samochodu Harriet przymknęła oczy, bardzo zmęczona, ale i szczęśliwa. Zamierzała chwilkę odetchnąć, a potem odszukać Marca i pogodzić się z nim. Jednak nigdzie go nie było.

- Nie martw się - powiedziała Lucia, widząc, jak się rozgląda. - Pewnie poszedł z kuzynami do swojego pokoju na szklaneczkę whisky. Nie czekaj na niego.

Harriet uznała radę Lucii za słuszną. Ucałowała matkę Marca i poszła do siebie. Zamierzała wziąć prysznic i położyć się spać, ale zwlekała. Coś jeszcze się dziś nie dopełniło. Sięgnęła do szyi, by rozpiąć ciężki naszyjnik. Z zawodową rutyną dokonała oceny: Francja, XVII wiek, szczerze złoto, styl... Nagle przestało ją to obchodzić. Co mogło być ważniejszego od wyrazu oczu Marca, gdy zobaczył ją z Manellim? Czy liczyło się cokolwiek poza prawdziwym znaczeniem tego spojrzenia?

Nagle znów je zobaczyła, w lustrze. Marco stał za jej plecami. Odsunął jej rękę i sam rozpiął naszyjnik. Był bardzo wzburzony.

- Chyba już się nie gniewasz? - spytała serdecznie.
- To był uroczy wieczór.
- Cieszę się, że dobrze się bawiłaś - odparł chłodno.
- Ale owszem, gniewam się. Zrobiłaś ze mnie durnia.
- Tylko dlatego, że się zagadałam?
- Znikłaś z Manellim prawie na godzinę. Czy to dla ciebie

niewystarczający powód, żebym...

- Straciłam poczucie czasu. Zapomniałam, że...
- Zapomniałaś? - warknął. - Dziękuję, to wszystko, co chciałem

usłyszeć.

- Przepraszam.

- Doceniam twój niekonwencjonalny sposób bycia, naprawdę, ale - czuła, że rozpiera go wściekłość - czy nikt nigdy ci nie mówił, że kobieta powinna przedkładać towarzystwo narzeczonego nad rozmowę z innym mężczyzną? Powinna udawać, jeśli nawet tak nie czuje, choćby przez grzeczność, by nie narażać go na głupie docinki. Tak jest przyjęte.

Rozumiesz?

- Oczywiście. Przepraszam. Nie chciałam cię obrazić. Wyszłam z Manellim po prostu po to, żeby... - Spojrzała Marcowi w twarz. - Niepotrzebnie się tłumaczę. Pograżam się jeszcze bardziej, prawda?

- Jesteś stuprocentową Angielką - powiedział zgryźliwie. - Uważasz się za Włoszkę, bo nosisz włoskie nazwisko, ale zapewniam cię, nazwisko nic nie znaczy. Liczy się to, czy ktoś czuje po włosku, a tej umiejętności jesteś całkowicie pozbawiona. Kiedy się urodziłaś, płynęła w tobie nasza gorąca krew. Owszem, to prawda. Ale teraz przestała już przez ciebie przemawiać. Jesteś zimna. W przeciwnym razie czułabyś instynktownie, ile znaczy dla mężczyzny to, jak traktuje go jego kobieta.

- Nie jestem twoją kobietą!

- Jesteś... To znaczy jesteś nią w oczach ludzi. Uważają nas za parę, ale dla ciebie znaczy to tyle co kumplostwo, tak jakby kobieta i mężczyzna nie mieli płci. Tak potrafią myśleć wyłącznie Anglicy.

Patrzył na nią jak obcy. Zmartwiała.

- No, co cię tak zatkało? - krzyknął. - Nie potrafisz znieść prawdy?
- To nie jest prawda!
- Jest, i dobrze o tym wiesz. Uciekasz w martwe światy, bo nie

radzisz sobie z życiem. Przyłgnęłaś sercem do historii, bo nie ma w niej nic, co może cię naprawdę dotknąć. Co ty wiesz o dumie, o miłości, o namiętności? To dla ciebie puste słowa.

- To, co się stało, nie miało nic wspólnego z miłością czy namiętnością!

- Ale z dumą, z moją osobistą dumą jak najbardziej. Upokorzyłaś mnie przed wszystkimi... O czym rozmawiałaś przez cały ten czas?

- A o czym zawsze rozmawiam? O dziełach sztuki. Wiedziałaś, że będę dla Manellego miła, bo zależy mi na obejrzeniu jego kolekcji. Powiedziałaś nawet, że pomożesz mi...

- Nic z tego! Nie przestąpisz progu jego domu.

- Czy to zakaz?

- Raczej stwierdzenie faktu. Manelli wprowadza między nas rozdźwięk. A skoro to już wiesz, byłoby nie do przyjęcia, gdybyś szukała jego towarzystwa.

- Nie zależy mi na jego towarzystwie. Chodzi o sztukę.

- W dalszym ciągu nic nie rozumiesz, tak? Pozwól zatem, że wyrażę to o wiele prościej. Zakazuję ci się z nim spotykać.

- Zakazujesz? Wydajesz rozporządzenie, a ja mam się podporządkować, tak? Człowieku! Wybrałaś niewłaściwą osobę! Zresztą wszyscy wiedzą, że nasze zaręczyny to fikcja. Udawaliśmy świetnie, ale w Rzymie żadna tajemnica się nie uchowa. A skoro już wspomniałaś o swojej dumie, to co powiesz o mojej?! Dziś wieczorem na palcach jednej ręki dałoby się policzyć kobiety, których - jak to wyrazić delikatnie? - które nie znają cię lepiej ode mnie.

- Chcesz powiedzieć, że był to z twojej strony rewanz?

- Nie, skądże. Ale i tak nikt nie wierzy, że coś dla siebie znaczymy.

- Że coś dla siebie znaczymy - powtórzył drwiąco. - Słowo „miłość” nie przejdzie ci przez gardło, prawda?

- To wszystko nie ma nic wspólnego z miłością - odpowiedziała gniewnie. - Nie zmieniaj ustaleń tylko dlatego, że ci to akurat pasuje.

- Słusznie, ale w umowach między ludźmi zawsze chodzi o to, by sprawy wyglądały przekonująco. Złamałaś tę zasadę. Obiecuj mi, że nie spotkasz się z Manellim ani w mojej obecności, ani beze mnie.

- Spotkam się z nim, jeśli zechcę! A obiecać mogę ci tylko jedno:

żadnych przyrzeczeń z mojej strony na pewno nie usłyszysz.

- To wrócisz pierwszym samolotem do Anglii.
- Coś ci się chyba śni. Możesz mi kazać wynieść się od matki, ale czy wolałbyś, żebym przeprowadziła się do hotelu i widywała się z Manellim codziennie?

Marco zmrużył oczy.

- Byłoby to wysoce nierozsądne. Zapewniam cię.
- Grozisz mi?
- Nie. Tylko ostrzegam. Czy wyłożyłem sprawę jasno?
- Jaśniej już nie trzeba. A teraz pozwól, że ja również będę absolutnie szczerą. - Ściągnęła z palca pierścioneł. - Zrozumiałeś?
- Niech cię diabli!

Cisnął pierścionkiem i nawet nie popatrzył, gdzie upadł. Harriet zorientowała się, że Marco przestaje nad sobą panować. Chwycił ją za ramiona.

- Wyjdz! - Wyrwała się, a oczy zapłonęły jej dziwnym ogniem. - Nie dotykaj mnie. Nawet nie próbuj. Nasze zaręczyny zostały zerwane.

Popatrzył na nią, na jej rozplómięną twarz i potargane włosy, potem głośnie wciągnął powietrze.

- Nie.

Uwięził jej ręce. Dokuczyła mu kiedyś, mówiąc, że jeżeli mają całować, to niech to robi szczerze. Teraz chciał tego. Żarty się skończyły. Miał nad nią szczególną władzę. Potrafił ją rozpalić wbrew jej woli. Całował jak szatan.

Była wściekła, że ją do tego zmusza, ale prawdziwa furia ogarnęła ją dopiero wtedy, gdy się odsunął.

- Jak śmiesz! - syknęła.

Nie odpowiedział, tylko patrzył na nią, jakby o coś pytał. Nie rozumiała go. Powoli powiódł palcami po jej ramieniu i szyi, wplótł je we włosy i obsypał twarz pocałunkami. Objęła go. Chyba po raz pierwszy w życiu czuła, że żyje wyłącznie chwilą i że to wspaniałe uczucie. Przywarła do niego biodrami i jęknęła. Marco znieruchomiał. Uniósł głowę i pokręcił nią, jakby sam już nie rozumiał, co się dzieje. Niemal krzyknęła, przerażona wyrazem jego oczu. Nie było w nich triumfu, a tylko jakiś zamęt, przestach, szal.

- Marco...

- Jeśli kiedykolwiek przyłapię cię na tym, że robisz to z innym - powiedział ochrypłym głosem - to... to...

Słyszała jego urywany oddech i bicie własnego serca.

- To co? - szepnęła. Zadrżał.

- Nieważne.

Puścił ją, a jego gorejące przed chwilą oczy stały się niemal martwe. Harriet oparła się o ścianę. Kręciło się jej w głowie.

- A może jednak ważne.

- Nie - odpowiedział szorstko. - To już zamknięta sprawa.

Przepraszam, jeśli cię przestraszyłem. Daję słowo, że to się nie powtórzy.

- Marco!

Zamknął za sobą drzwi.

Scandalous

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Wczesnym rankiem Harriet przebudziła się nagle i usiadła, nasłuchując. Podeszła do okna, otworzyła je i popatrzyła na sosny, wspominając wydarzenia poprzedniego wieczora. Nigdy by nie podejrzewała Marca o coś takiego. Wiedziała, że ma złożoną naturę, nie przeczuwała jednak, że potrafi być niebezpieczny. Przez te parę chwil, gdy trzymał ją w bezwzględny uścisku i wściekle całował, odczuwała groźbę. Nigdy dotąd nie czuła smaku życia tak mocno. Było to szokujące, ale prawdziwe.

Zza wzgórz wstawało słońce. Dochodziła szósta. Marco wyjeżdżał do pracy zawsze bardzo wcześnie, więc zapewne już wstał. Zapragnęła usłyszeć jego głos. Okazało się jednak, że wyłączył komórkę, a w telefonie rzymskiego mieszkania odezwał się automat. Harriet odłożyła słuchawkę. W gruncie rzeczy nie wiedziała, co powiedzieć.

Poczuła, że musi wyjść na dwór. Wciągnęła dzinsy i sweter, cicho zeszła po schodach i wbiegła między drzewa. Oddalała się od domu, błądząc poplątanymi ścieżkami w ogrodzie.

Takie właśnie stało się teraz jej życie. Było jak wędrówka krętymi ścieżkami do niewiadomego celu. Wewnętrzny głos przestrzegał ją, by zawróciła, ale dziwny ból w sercu nakazywał iść dalej. Kłębiło się w niej tyle sprzecznych uczuć, że nie potrafiłaby już powiedzieć, dokąd chciałyby dojść i które.

Dotarła do jeziora i spacerowała po brzegu, odkrywając piękno wstającego dnia. Świat powoli wyłaniał się z porannych mgieł, śpiewały ptaki.

Nagle przystanąła w pół kroku i wstrzymała oddech. Na ziemi, oparty o pień drzewa, siedział Marco. Był we wczorajszym wieczorowym ubraniu, tylko bez marynarki, którą odrzucił na bok. Harriet pochyliła się

nad nim. Miał zamknięte oczy i oddychał miarowo, jakby spał. Z jego twarzy znikło napięcie. Usta były miękkie i delikatne, jakby nigdy nie skaziła ich szorstkość czy gorycz. Harriet uklękła i patrzyła na jego twarz, opadające na czoło włosy i podkrążone oczy. Nikt nigdy nie obudził w niej takiej czułości. Wiedziała, jak nienawistna byłaby dla niego myśl, że ktoś mógłby widzieć go w takim stanie, jednak przedłużała tę chwilę. Jeszcze tylko moment, jeszcze...

Podniósł powieki. I znów ją zaskoczył. Nie rozgniewał się. Siedział dalej bez ruchu, wpatrując się w nią wzrokiem tak pustym, że zaczęła się zastanawiać, czy w ogóle ją widzi. Nagle w jego oczach pojawił się wyraz bezradności i cierpienia.

- Mimo wszystko chcesz ze mną rozmawiać? - zapytał. - Chyba za dużo wypilem.

- Nie zauważyłam, żebyś dużo pił.

- Gdybyś nie wychodziła... - Wzruszył ramionami. - Przepraszam.

- Siedzisz tu całą noc?

- Od chwili, gdy wyszedłem od ciebie.

- Myślałam, że pojechałeś do Rzymu..

- Musiałem uwolnić cię od siebie, ale nie potrafiłem cię zostawić.

Mówię bez sensu, co?

Rozumiała go doskonale. Od chwili gdy jak opętany wypadł z jej pokoju, czuła się tak, jakby ich serca powiązała niewidzialna nić. Teraz wiedziała, że i on przeżywał coś podobnego. Usiadła obok na ziemi i zaczęła rozcierać jego zimne ręce. Długo się nie odzywał, patrzył tylko na jej dłoń bez pierścionka.

- Jeszcze go nie szukałam - powiedziała. - Mógł potoczyć się wszędzie. Pokój jest taki duży. A co będzie, jeśli w ogóle się nie znajdzie?

W odpowiedzi ledwie wzruszył ramionami, i nagle kurczowo ścisnął jej dłoń.

- Czy cię uderzyłem?

Przed oczyma stanęły jej sceny sprzed kilkunastu godzin. Odezwały się te same odczucia: strach, radość, namiętność.

- Nie. Nie uderzyłeś.

- Na pewno? Mam. niestety piekielny temperament.

- Nic złego mi nie zrobiłeś.
 - Usiłowałem cię tylko przestraszyć. - Uśmiechnął się lekko. - Jako dziecko rozładowywałem frustracje, wrzeszcząc jak opętany. Wtedy mnie słuchano. Pora, żebym z tego wyrósł, co?
 - Ludzie nie zmieniają się na rozkaz. Nie przerażasz mnie, naprawdę.
 - Chwała Bogu! Za nic bym tego nie chciał. Proszę cię. Harriet, zapomnijmy o wszystkim, co stało się wczoraj.
 - O wszystkim? Masz na myśli...
 - Absolutnie wszystko. Możesz odwiedzać Manellego, kiedy chcesz. Nie będę ci robił żadnych problemów, przyrzekam. Co było, to było. Ogarnął mnie szal. Nic więcej.
 - Ale... Marco, co ci się stało? Nie wywołał tego alkohol, na pewno.
 - Nie potrafię tego wyjaśnić, ale są pewne sprawy, których... do których nie umiem podejść racjonalnie. Powiedzmy, że łatwo daję się ponieść zazdrości i jestem zaborczy. To nie jest miłe. Przepraszam.
 - Nie masz powodu...
 - Wiem. To dawne urazy.
 - Czy wiążą się z kobietą... z którą miałeś się ożenić? Marco poruszył się niespokojnie.
 - Co o tym wiesz?
 - Niewiele. Byliście zaręczeni, potem zmieniliście zdanie... Zapadła cisza, a gdy Marco zaczął wreszcie mówić, brzmiało to tak, jakby wywlekał słowa z jakichś przeraźliwych otchłani.
 - To trochę bardziej skomplikowane. A zresztą wszystko jedno. Prawda jest taka, że po tamtej sprawie zachowuję się czasem nedorzecznie. Bardzo mi przykro. Czy jeśli odnajdziemy pierścionek, będziesz go nosić? - zapytał niepewnie.
 - Nie wiem...
 - Gdybyś wyjechała, tak od razu po zaręczynach... - Zaniósł się ironicznym śmiechem. - Wyobrażasz sobie, jakby sobie na mnie używano? I co by przeżyła matka?!
 - Nie wyjadę.
 - Dziękuję.
- Nagle pochylił się i niemal z rozpaczą położył głowę na jej kolanach.

Objęła go i przytuliła, wiedząc, że wciąż czymś się od niej odgradza, a zarazem znajduje w niej upragnione oparcie. Siedzieli tak długo, a w serce Harriet wlewało się coraz większe ciepło. Nagle przestraszyła się swoich uczuć. Były groźniejsze od pożądania. Pragnienie, by bronić Marca przed czymś, co go zżerało i czego nie pojmowała, mogło się przerodzić w miłość. Do tej pory nie sądziła, że potrafiłaby go pokochać, a i teraz nie była pewna, czy tego chciała. Wpadła we własne sidła.

Dlaczego zwyczajnie się z nią nie przespał? Byłoby prościej... A tak... Puściła go, gdy się poruszył. Odgarnął włosy, ale znów opadły mu na czoło.

- Wyglądam jak włóczęga, co? - Chciał wstać i aż się skurczył. - Kompletnie zeszywniałem. Starość nie radość. Jako chłopiec sypiałem często na dworze. W tym lesie, niedaleko stąd, rozbijałem obóz i udawałem człowieka wyjętego spod prawa.

- Pokażesz mi to miejsce? - Pragnęła przedłużyć ten spokojny czas, spędzony tylko we dwoje.

Przeszli przez las i po stromym zboczach wspięli się na polanę.

- Tutaj spałem pod gwiazdami. Wróg nie mógł mnie podejść.

- Chyba że zaatakowałyby z powietrza. - Uśmiechnęła się. - Pewnie wystawiałeś wartowników. Ilu was było?

- Tylko ja. Jak wiesz, nie mam rodzeństwa. Ojciec umarł wcześniej, a mama nie chciała ponownie wyjść za mąż.

- Miałeś chyba jakichś kolegów?

- Owszem. - Wzruszył ramionami. - W szkole.

Ale żadnego przyjaciela, nikogo do zabawy, pomyślała Harriet, żałując małego, samotnego chłopca.

- Przepiękne miejsce - powiedziała, siadając na trawie. - Nie dziwię się, że lubiłeś się tu zaszywać.

Nie odpowiedział. Poczula, że jego głowa ciąży na jej ramieniu. Zamknął oczy. Był zmęczony, ale nie z powodu niewyspania. Odgadła, że Marco jest w stanie skrajnego wyczerpania psychicznego.

- Znów usnąłeś - powiedziała z czułością, odgarniając mu włosy.

- Możliwe - przytaknął niepewnie. - Długo spałem?

- Parę minut.

Nagle ponownie zobaczyła w jego oczach ten wyraz, który ją

przerażał. Jakby spadła zasłona. Wewnętrzne światło zgasło. Marco zapadł się w swoją otchłań. Wstał i podał Harriet rękę. Podniosła się tak szybko, że straciła równowagę. Podtrzymał ją, ale nie przygarnął do siebie. Czar prysł. Nie było już między nimi ciepła ani bliskości. Czują, że Marco wycofuje się, jakby się przestraszył. Spojrzał na zegarek.

- Jest po siódmej - powiedział. - Muszę iść. Przepraszam, że obarczyłem cię tym wszystkim

- Cieszę się, że mogliśmy szczerze porozmawiać. - Na próżno starała się przywrócić serdeczną atmosferę. - Lepiej cię teraz rozumiem.

- A co tu jest do zrozumienia? - Wzruszył ramionami. - Zachowałem się źle, za co przepraszam. Okazałaś wielką wyrozumiałość, ale nie widzę powodu, dla którego miałabyś się przejmować moimi nastrojami. Nie będę cię już nimi męczył. Czy moglibyśmy do tego nie wracać? - Potarł brodę. - Muszę się ogolić i doprowadzić do porządku. Nie chcę, żeby matka zobaczyła mnie w takim stanie. Wolałbym też, żebyś jej o niczym nie mówiła.

- Możesz być tego pewien.

Kilka dni później nadeszło od Manellego zaproszenie na przyjęcie. Lucia była zaskoczona, ale Marco wyjaśnił matce, że baronowi chodzi głównie o Harriet, zainteresowaną jego kolekcją. Harriet nie ukrywała radości. Gdy weszli do rozświetlonego pałacu, poczuła się znakomicie. Wiele z zaproszonych osób zdążyła już poznać i miała świadomość, że w jedwabnej złotej sukni, ozdobionej naszyjnikami z rubinami, wygląda wspaniale. Marco asystował jej na początku, a potem, zgodnie z obietnicą, oddalił się.

Harriet kwitła. Goście Manellego pochodzili z różnych krajów, toteż jej umiejętność żywego ripostowania w wielu językach szybko zwróciła uwagę. Narzeczona Calva-niego, szeptano.

- Marco! - zdenerwowała się pani Calvani. - Co ty wyprawiasz? Jak możesz tak opuszczać naszą biedną Harriet? Doprawdy...

- Biedna Harriet radzi sobie bardzo dobrze beze mnie - odparł spokojnie. - Czy wygląda na opuszczoną?

- Otaczają ją sami mężczyźni! - obruszyła się Lucia.

- I to ilu? Popatrz. O, tamten... bawi się jej ręką. A ten dragi próbuje zajrzeć jej za dekolt.

- Oj, mamó. Ten gość ma fragment autentycznej rzeźby Michała Anioła - odparł, jakby to wyjaśniało wszystko. - Nie mogę konkurować z Michałem Aniołem. A poza tym to wszystko jest niewinną zabawą.

- No wiesz! Manelli nie jest niewiniątkiem. To obrzydliwy kobieciarz.

- No i co z tego? Harriet jest niewinna. Tylko to się liczy. - Nagle jakby zabrakło mu powietrza.

- Ojej, kochany, co ci się stało? - zaniepokoiła się matka. - Wyglądasz okropnie.

- Nic, nic - odpowiedział, biorąc się w garść. - Proszę cię, mamó, nie przejmuj się tym wszystkim. Tak się teraz żyje. Narzeczeni nie trzymają się bez przerwy za rączki. Przepraszam cię na chwilę.

Odszedł prędko, czując, że jeśli zaraz nie znajdzie się sam, to się udusi. W ogrodzie poszukał schronienia pod drzewem. Czoło miał mokre od potu. Niewinna. Powiedział do matki: „Harriet jest niewinna”. Słowo to podziało jak pocisk rozbijający szklaną ścianę, którą oddzielił się od przeszłości.

Jest niewinna. Mówił dokładnie to samo, gdy próbowano go przestrzec przed kobietą, której raz na zawsze oddał serce, a w zamian nie otrzymał nic. Nie podejrzewał niczego, nie wierzył plotkom. To była ślepa miłość. Ślepa i głupia. Błąd, jakiego nie wolno mu powtórzyć. Bo tamta, jego ukochana, nie była niewinna. Brutalna prawda omal go nie zabiła. Jeszcze teraz na wspomnienie tej sceny trząsł się jak w febrze. Harriet była inna, nie tylko niewinna, ale prostolinijna i niefrasobliwa, a tacy bywają wyłącznie ludzie uczciwi. Nic mu z jej strony nie groziło. Na niej można było polegać bardziej niż na uczuciach innych kobiet.

Opanował się i wrócił do pałacu. Tymczasem Harriet święciła triumfy. Podszedł do niej na moment, lecz zaraz, czując się niepotrzebny, odszedł, by bawić się z najładniejszymi kobietami. Nic mu to nie obchodzi, pomyślała. Nic, a nic.

Nagle w drzwiach pojawiła się Olympia. Siostry uściśniły się z radością.

- Tyle się o tobie mówi! - zawołała Olympia i obejmując Harriet, dodała szeptem: - Ty i Marco zaręczyliście się? Naprawdę?

- Nie mam pewności. - Harriet wzruszyła ramionami. Olympia

przyjrzała się jej uważnie.

- No tak. Cała ty. Jak zawsze ostrożna. Gdybym umiała nauczyć się tego od ciebie!

- Nie byłabyś wtedy sobą - roześmiała się Harriet. - Gdzie się podziewałaś?

- Pojechałam z mamą i ojcem do Ameryki. Oni tam zostali, a ja wróciłam przed paroma godzinami i przybiegłam tu jak na skrzydłach, bo dowiedziałam się, że u Ma-nellego ma być Marco z narzeczoną. Ach, ty spryciaro! Postawiłaś na swoim.

- Bo ja wiem...

- Ależ to oczywiste. Taki pierścionek! Ho, ho, kosztował pewnie...

- Nie bądź prostacka - uciszyła ją Harriet.

- Słusznie. Rozgrywaj to chłodno. Trzymaj Marca w niepewności. Z nim tak trzeba. Z innymi facetami zresztą też. Słyszę, że owinęłaś sobie Manellego wokół palca.

Baron właśnie się pojawił. Wziął siostry pod ręce i we troje poszli oglądać posiadłość. Oprowadzał je, mówiąc dużo i konkretnie. Oczy Olympii prędko straciły blask. Znudzona, wymówiła się pod byle pretekstem i odeszła, czego oboje prawie nie zauważyli. Kiedy wróciła na przyjęcie, natychmiast otoczył ją rój wielbicieli, ale jej zależało wyłącznie na rozmowie z Markiem.

- Nie wiedziałam, co rozpętuje, gdy zaproponowałam ci poznanie Harriet. - Roześmiała się wesoło. - No i co? Źle postąpiłam?

- Bardzo dobrze. Twoja siostra to świetna dziewczyna. Ma tylko jeden niemiły zwyczaj. Na przyjęciach znika gdzieś z innymi facetami.

- Daj spokój! Manelli pokazuje jej swoje zbiory. Nie masz powodów do zazdrości.

- Nie jestem zazdrosny. Nie rozśmieszaj mnie.

- A ty nie warcz. Przyznaję, to ja jej zasugerowałam, żeby się z tobą podroczyła, znikając ci z oczu.

- Mogłem się tego po tobie spodziewać, dziecinko - powiedział zimno. - Nic się nie zmieniłaś od czasów, gdy łąziłaś po drzewach. Zresztą nieważne. Umie dbać o swoje interesy. Czy jednak nie przyszło ci do głowy, że pakujesz Harriet w kabałę?

- Chcesz powiedzieć, że mogłaby się w tobie zakochać? - Olympia

wybuchła śmiechem. - Nonsens, mój drogi. Nie wystąpiłabym z tą propozycją, gdybym sądziła, że skrzywdzę Harriet. Wiem, że nie jesteś zdolny do miłości, podobnie jak ona. Jeszcze tego nie zauważyłeś?
Odeszła, nie domagając się odpowiedzi.

Scandalous

ROZDZIAŁ ÓSMY

Marco nieraz powtarzał Harriet, że również we Włoszech jest znana jako ekspert, ale dopiero teraz przekonała się, że to prawda. Wieść o tym, że przedarła się przez zasieki Manellogo, rozeszła się po całym Rzymie. Od tej pory stale ktoś prosił ją o konsultację.

- Przychodzę jako emisariusz - powiedział pewnego wieczoru Marco. - Dwaj moi koledzy z banku zabiegają o spotkanie z tobą, a twierdzą, że ich zbywasz. Obiecałem użyć swoich wpływów. Widać sądzą, że mam tu coś do powiedzenia - dodał kwaśno.

- Staralam się zachować rozsądnie. Właśnie dlatego, że są twoimi znajomymi, uznałam, że lepiej będzie się nie wtrącać. A jeśli moja ocena okaże się błędna?

- Czy to możliwe?

- A twój naszyjnik?

- Na ten temat lepiej się nie wypowiadaj publicznie - odparł ze złością. - Czy zatem mogę powiadomić kolegów, że moje wstawiennictwo poskutkowało?

- Założę się, że z góry im to obiecałeś.

Marco uśmiechnął się i nie zaprzeczył. W codziennych sytuacjach odnosili się do siebie życzliwie i swobodnie. Jednak wszelkie próby nawiązania bliższego kontaktu podejmowane przez Harriet okazały się bezowocne. Marco zamknął się w sobie.

Jak dobrze, że się w nim nie zakochała, choć przez moment obawiała się tego. Dawna, rozsądna Harriet powracała do życia. Niedługo ich drogi miały się rozejść. Marco powinien poszukać innej kandydatki na żonę, a ona wyprowadzić się z willi Calvanich i wynająć mieszkanie w mieście. Postanowiła zostać we Włoszech na stałe. Dzięki Marcowi odzyskała swoje korzenie i za to należała mu się z jej strony dozgonna

wdzięczność. Coraz więcej osób zwracało się do niej z prośbą o ekspertyzę. Zorientowała się, że tu, w Rzymie, tworzą się podwaliny jej przyszłego życia, ale nie ma w nim miejsca dla Marca. Kiedy więc poprosił ją, żeby pojechali razem do jego klienta, mieszkającego daleko od stolicy, odmówiła bez wahania.

Następnego dnia Lucia spała długo i Harriet jadła śniadanie sama. Właśnie dopijała kawę, gdy wszedł Marco. Serce zabiło jej z radości, ale udała zdziwienie.

- Myślałam, że jesteś już w drodze do Corzeny - powiedziała. - Nie wyjechałeś?

Owszem. Wyruszył skoro świt, ujechał dwadzieścia kilometrów, po czym zatrzymał się i wysiadł z auta. Stał tak przez dobre pół godziny, następnie wsiadł z powrotem do samochodu i zawrócił.

- Wyjechałem, ale wróciłem, ponieważ chcę, żebyś była ze mną szczerą - odparł spokojnie. - Dlaczego mi odmówiłaś?

- Mam być w Muzeum Watykańskim. Już ci to wyjaśniałam...

- Tak, wyjaśniałaś, ale to nie jest cała prawda. Oboje o tym wiemy.

Harriet przestraszyła się, a jednocześnie jej serce zalała fala radości. Czy Marco domyślił się, że stchórzyła? Że wycofała się z obawy przed uczuciem, którego nie był w stanie odwzajemnić? A może właśnie odwzajemniał i pragnął stworzyć sytuację, w której mógłby się zdeklarować?

- Marco...

- Harriet - przerwał zdenerwowany. - Ja wiem.

- Domyśliłeś się? - zapytała cicho, nie ośmielając się mieć nadziei.

- Od początku jesteśmy wobec siebie szczerzy, więc dlaczego mi nie powiedziałaś.... Nie, to głupie, przepraszam. Jak powiedzieć wprost o sprawie tak delikatnej?

- Marco, to znaczy, że ty...

- Ułatwię ci, nie dręcz się. Nie chcesz być ze mną sam na sam. Boisz się.

- Co? Co ty mówisz?

- Nie masz do mnie zaufania, nie wierzysz, że zachowam się przyzwoicie. Ale przysięgam, nic ci nie grozi. Tamta noc... To się nie powtórzy.

Oszłomienie radością i nadzieją zgasło. Harriet wróciła do rzeczywistości.

- Rozumiem - wykrztusiła, starając się nie zdradzić wyrazem twarzy ogromnego zawodu.

- To interesy. Muszę odwiedzić klienta. To ktoś bardzo ważny dla naszego banku. Chcemy wyjść naprzeciw jego życzeniom, a wyobraź sobie, że zapragnął cię poznać.

- Ależ to szantaż!

- Też tak uważam i dlatego naprawdę możesz mi ufać. Wygląda na to, że przymuszam cię do tej wycieczki, ale absolutnie bym nie chciał stawiać cię w dwuznacznej sytuacji. Rozumiesz mnie, prawda?

Chciało jej się śmiać. Była o krok od hysterii.

- Chyba tak. Przrzekasz zatem, że zachowasz się jak dżentelmen i nie będziesz dobijał się w środku nocy do mojego pokoju?

- Wątpię, by ulokowano nas na tym samym piętrze. Nasz gospodarz ma bardzo staroświeckie poglądy. Nic się nie stanie, daję ci słowo honoru.

Miała ochotę rzucić w niego czymś ciężkim i krzyczeć, że nie zależy jej na honorze, że chce, by całował ją jak wtedy, że jest skończonym durniem. Odpowiedziała jednak chłodno, że skoro tak, to się poddaje, klientowi trzeba sprawić przyjemność, bo przecież biznes jest najważniejszy. Marco uśmiechnął się.

- Mówisz do urodzonego gracza - przypomniał. - Ale jestem dumny, że to rozumiesz. Spakuj się szybko, a ja zajdę jeszcze do matki.

Harriet spakowała się i poszła także do pokoju Lucii, by powiedzieć do widzenia.

- Przepraszam, że wyjeżdżam bez uprzedzenia, ale...

- Nonsens - uśmiechnęła się pani Calvani. - Jedź i bawcie się dobrze.

Trasa wiodła przez piękne okolice i Harriet stopniowo poprawiał się nastrój. Marco jechał szybko i pewnie, opowiadając jej o człowieku, któremu mieli złożyć wizytę.

- Elvino Lucci to jeden z najzamożniejszych ludzi we Włoszech. Zaczynał od zera. Do wszystkiego doszedł własną pracą. Od lat jest moim mistrzem.

- Trudno mi wyobrazić sobie siebie w roli ucznia.

- Każdy potrzebuje mistrza i krytyka - powiedział poważnie Marco. - Nie tylko na starcie, ale przez całe życie. Od Lucciego nauczyłem się bardzo dużo. I wciąż mam się czego uczyć.

- Jest świetnym finansistą, tak?

- Genialnym. Nic, co dzieje się na światowych rynkach, nie uszło nigdy jego uwadze.

- Giełda i obroty finansowe to całe jego życie?

- Ma rodzinę, ale dziesięć lat temu owdowiał.

- Założę się, że ożenił się bogato.

- Wcale nie. Z własną sekretarką.

- Nie ma nic lepszego niż tania siła robocza. Marco wybuchnął śmiechem.

- Elvino może ci się wydać trochę sztywny i purytański, ale polubisz go, gdy się lepiej poznacie.

- Dlaczego zależy mu na spotkaniu ze mną? - zapytała. - Mam przejść próbę ognia? Czy jeśli twój mentor skieruje kciuk w dół, będę dla ciebie skończona?

- Nie mów bzdur. Myślę, że Elvino jest po prostu bardzo samotny.

Kiedy zatrzymali się na lunch, Marco zatelefonował do Lucciego, przepraszając za spóźnienie. Do Harriet dobiegł szczerze zdziwiony głos: „Marco Calvani i spóźnienie? Niesamowite! Musiało się zdarzyć coś szczególnego... Ale nic, marzę, żeby ją zobaczyć. Ja też mam dla ciebie niespodziankę”.

Do Corzeny, starego miasta położonego na wzgórzu nad jeziorem, dotarli późnym popołudniem. Gdy podjechali do posiadłości Lucciego, żelazna brama rozsunęła się natychmiast. Z frontowych schodów machał do nich wysoki, siwy mężczyzna. Przy nim stała bardzo młoda kobieta, przypominająca porcelanową figurynkę. Miała gęste jasne włosy, rozkloszowaną sukienkę i wysokie obcasy. Była dosłownie obsypana kolorową biżuterią, a jej duże oczy wydawały się absolutnie nieskażone myśleniem.

- Święty Boże - wymruczał Marco. - Co to za... Lucci wyszedł im naprzeciw. Ucałował Harriet w oba policzki i przedstawił swoją „niespodziankę”.

- Ginetta, moja żona - powiedział. - Pobraliśmy się bez rozgłosu.

Dowiadujecie się o tym jako pierwsi.

Czekały na nich i inne niespodzianki. Lucci może był purytaninem, teraz jednak domem rządziła kobieta młodsza od niego o trzydzieści lat. Pomysł, by ulokować parę narzeczonych w połączonych drzwiach pokojach, był na wskroś nowoczesny.

- Mam nadzieję - powiedział Marco, wchodząc po zapukaniu do pokoju Harriet - że nie uznasz tego za podstęp z mojej strony. Nigdy nie złamałbym danego słowa.

- Wiem. Nie odpowiadasz za pomysły żony twego przyjaciela.

- Ale... Co on sobie wyobraża? Chyba zwariował.

- Jest zakochany, to proste.

- I pomyśleć, że zrobił mi coś takiego! Ta wizyta to jakieś nieporozumienie!

Początkowo Harriet myślała podobnie, ale szybko poczuła sympatię do Ginetty, chociaż dziewczyna nie okazywała mężowi swego oddania tak bezustannie jak on jej. Wtrącała w rozmowie pozornie błahe uwagi, które jednak chwilę potem okazywały się wcale niegłupie, inteligentne i dowcipne. Harriet śmiała się szczerze. Potem Ginetta oprowadziła ją po domu. Bez cienia skrępowania okazywała swoją radość z otaczającego ją luksusu.

- Tak się cieszę - powiedziała - że przyjechaliście. Wymogłam na Vinnim obietnicę, że cię tu ściągnie. Większość żon jego znajomych nie chce mnie znać.

- Nie rozumiem dlaczego - odparła serdecznie Harriet. - Jesteś taka miła... Ale ja, jak wiesz, nie jestem żoną Marca.

- Niedługo nią zostaniesz. On ma na twoim punkcie bzika, wszyscy tak mówią.

Harriet roześmiała się w taki sposób, że nawet w jej uszach zabrzmiało to histerycznie.

- Marco nie lubi amorów, to nie w jego stylu. A gdyby nawet było tak, jak mówisz, prędzej by umarł, niżby się do tego przyznał.

- Nie widzisz, jak na ciebie patrzy. Ty też ciągle zerkasz w jego stronę. Ciągnie was do siebie. Dobrze, że dałam wam połączone pokoje.

- Ruszyła w stronę tarasu, zostawiając Harriet z wypiekami na twarzy - Chodź...

Marco i jego mistrz siedzieli na tarasie zatopieni w rozmowie. Harriet zorientowała się od razu, że Marco jest bardzo niezadowolony, choć maskował to z wrodzonym taktem. Kiedy panie podeszły, Lucci kazał przynieść szampana. We czworo spędzili wieczór przy księżycu.

Starszy, pełen radości człowiek nie przypominał wcale surowego, praktycznego „mózgowca”, którego tak szanował Marco. Obnosił się ze swoim szczęściem i pragnął, by jego goście podzielali jego radość.

- To prawdziwy dom miłości - powiedział podchmielony, całując młodą żonę - skoro przebywają w nim dziś dwie pary zakochanych. Wznoszę toast za waszą miłość, za noc poślubną, za rozkosz, którą w sobie odnajdziecie.

- Kochanie... - zachichotała Ginetta.

- Och, przestań, oni się nie obrażą. Są kochankami, tak jak my. - Po wielu kieliszkach rozwiązał mu się język. - No, Marco, wypij ze mną za swoją kobietę.

Harriet ledwie zerknęła na Marca, domyślając się jego irytacji. Odpowiedział jednak wesoło i stuknął się z nią kieliszkiem.

- Nie pij do dziewczyny - zganił go stary. - Lepiej ją pocałuj. Przed nami noc miłości.

Objął Ginettę namiętnie. Marco przyciągnął do siebie Harriet. Uniosła ręce w obronnym geście. Nie chciała, żeby całował ją z musu, i to wtedy, gdy przyrzekł, że zachowa dystans. Poczowała na ustach leciutki dotyk jego warg, który poruszył ją o wiele bardziej niż tamte szalone pocałunki w nocy, gdy ogarnęła go wściekłość i żądza.

- Pocałuj mnie - szepnęła. - Ładnie i przekonująco. Spojrzała mu w oczy i zobaczyła w nich coś nieprzytomnego.

- Pięknie, fantastycznie - cieszył się Elvino. Wziął Gi-nettę na ręce i zawołał do Marca:

- Pora się kłaść! Zanieśmy nasze kobiety na górę.

Marco bez wahania uniósł Harriet i przytulił ją do piersi. Objęła go za szyję, zmieszana i zażenowana koniecznością podporządkowania się sytuacji.

- Tak trzeba żyć! - wykrzyknął z radością Lucci, gdy zegnali się na piętrze. - Wiem, wiem, dawniej bym tak nie powiedział, ale zmądrzałem, Marco. Ty chyba też? Dobranoc! - W drzwiach małżeńskiej sypialni

odwrócił się jeszcze do nich z błyskiem w oczach.

Kiedy tylko znaleźli się w pokoju, Marco puścił Harriet.

- Lepiej zaciągnij zasuwkę - roześmiała się nerwowo. - Nie zdziwiłabym się, gdyby twój mistrz wpadł tu, żeby sprawdzić, czy go nie zawiedliśmy.

- Harriet, proszę cię... pozwól się przeprosić. Do głowy by mi nie przyszło, że najesz się przeze mnie tyle wstydu.

- To żaden wstyd. Lubię Lucciego. A ty nie?

- Sam już nie wiem. Szanowałem go. To taki inteligentny człowiek, ale... Nie mam pojęcia, co mu odbiło. Zawsze był taki opanowany...

- A może uznał, że ma już dość zdrowego rozsądku? Jest szczęśliwy. Marco, czy ty tego nie rozumiesz?

- Szczęśliwy! - parsknął kąśliwie. - A co będzie, jeżeli ona go zdradzi? Wodzi go za nos, robi z niego niewolnika. ..

- Sam oddał się jej w niewolę, ponieważ ją kocha. A ona.... To pewne, że wyszła za niego, gdyż dał jej poczucie bezpieczeństwa, ale wcale nie musi go zdradzić. Ma dobre serce, to widać. Ty, Marco, nie wierzysz w miłość, jednak...

- Jesteś niesprawiedliwa - przerwał. - Uważam, że miłość ma swoje prawa, ale nie cierpię, jak mężczyzna robi z siebie idiotę tylko dlatego, że się zakochał.

- Mężczyzna albo kobieta.

- O, nie. Kobiety są zawsze górą. Wystarczy spojrzeć na Ginettę.

- Obrzydliwe są te twoje uprzedzenia. Kobiety też potrafią szaleć z miłości.

- Ale ty nie. Myślisz logicznie, co bardzo w tobie cenię. Nawet to idiotyczne przedstawienie, które musieliśmy odegrać, nie wyprowadziło cię z równowagi.

- Dość! - warknęła. - Zamilcz wreszcie.

Gdyby musiała dłużej wysłuchiwać podobnych opinii, chyba by oszalała.

- Przepraszam, jeśli uważasz, że zachowałem się niewłaściwie.

- I przestań przeproszać! - Odetchnęła i wzięła się w garść. -

Odeszliśmy od tematu, ale powiem ci jeszcze, że moim zdaniem nie ma nic złego w szalonych porywach ludzi, którzy naprawdę się kochają.

- Niech im Bóg dopomoże! - powiedział gwałtownie Marco. - I niech dopomoże temu staremu satyrowi.

- Ten satyr jest szczęśliwy! Marco zatrzymał się w pół kroku.

- Myślisz o mnie źle, wiem - odezwał się z goryczą.

- Mało o mnie wiesz, to po pierwsze. A po drugie, naprawdę nie jestem w stanie pochwalać zidiocenia Luccie-go. Rozważ dobrze, co ci powiem. Wezwał mnie tutaj po to, żebym mu pomógł przepisać połowę fortuny na tę gęś.

- Jest jego żoną, dała mu szczęście.

Harriet nie wiedziała już, co powiedzieć. Czuła się tak, jakby biła głową o mur. Twardy jak serce Marca.

- Lucci ma czworo dzieci. Nie wiedzą jeszcze, co stracą. Jutro przyjeżdża prawnik. Mam wspólnie z nim doprowadzić do tej niegodziwości. Nie wiem, co robić. W dodatku złamałem zasadę tajemnicy zawodowej, mówiąc ci o tym.

- Możesz mi zaufać.

- Nie wątpiłbym w to ani przez chwilę.

Dobrze, że odwrócił się do okna, bo zobaczyłby na twarzy Harriet wyraz cierpienia. Dzielił się z nią tajemnicą zawodową. Wielka sprawa, jeśli pomyśleć, jak surowym zasadom hołdował w pracy. Jednak nie za takim zaufaniem tęskniła.

- Już późno - powiedziała markotnie. - Czuję się zmęczona.

- W takim razie nie będę ci przeszkadzał. - Otworzył drzwi łączące pokoje. - Nie zapomnij zamknąć na zasuwę - dodał, siłąc się na wesołość.

- Naprawdę muszę? - spytała tym samym tonem.

- Nie zdziwiłbym się, gdyby Lucci nasłał tu wywiadowcę, by się upewnić, że spełniam swój „obowiązek”. Dobranoc, Harriet.

Rozebrała się i leżała, rozedrgana aż do bólu z tęsknoty. Miłosne plany Lucciego rozpały ją, przygotowały do nocy, w której coś miało się stać. Przez cały wieczór ona i Marco rozmawiali tak, jakby mówili jedno, a myśleli o czym innym. Nie zbliżyło ich to do siebie w niczym, co się liczyło. Może tylko w jednym. „Ciągnie was do siebie jak diabli”, powiedziała Ginetta. Dziwne, że od razu to zauważyła. Marco nie potrafił kochać, ale jej pragnął. Gdyby wybór należał do niego,

przyszedłby teraz do niej. Ale nie pozostawił sobie wyboru. Złożył przyrzeczenie i jako człowiek honoru oprze się wszystkiemu, co uznał za nieszlachetne.

Słyszała, że kręci się pod drzwiami. Jak mocno jej pragnął? Czy aż tak, by pozwolić sobie na słabość? Kroki ucichły, ale tylko na moment. Harriet wstrzymała oddech, patrząc na błyszczącą w świetle księżyca klamkę. Klamka poruszyła się wolniutko. Drzwi uchyliły się na pół palca i zatrzymały się. Harriet czuła, jak powietrze wibruje od pełnego udręki niezdecydowania mężczyzny stojącego za nimi. Przywoływała go w myślach. Przyjdzie, była tego pewna. Przyjdzie do mnie, bo tego pragnę. Nagle stało się coś niewiarygodnego. Drzwi, zamiast otworzyć się szerzej, zamknęły się, a klamka powróciła do poprzedniego stanu. Potem zapadła cisza.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Kilka dni przepracowanych w Muzeum Watykańskim wyciszyło Harriet. Pograżona w świecie, który zawsze chronił ją jak zbroja, wmawiała sobie, że wspomnienia z Corzeny szybko się zatrą. Tym razem jednak wypróbowany sposób zawodził. W historycznych wnętrzach przyłapywała się na tym, że zamiast zabytków widzi drzwi, tamte drzwi, które uchyliły się i zamknęły. Zamknęły się przed nią. To bolało. Marco sprawdzał jedynie, czy skorzystała z zasuwki. Dowiedział się, czego chciał, i odrzucił ją. Po prostu.

Po powrocie z Corzeny dowiedziała się od Lucii, że dzwonił ojciec. Wrócił z Ameryki i zapraszał całą ich trójkę na kolację. Był ponoć w siódmym niebie z powodu jej zaręczyn. Nalegał, by spotkali się jak najprędzej, jeszcze przed ich wyjazdem do Wenecji, gdzie miały się odbyć śluby Francesca z Lizą i Guida z Dulcie. Marco odniósł się do tej propozycji niechętnie.

- Długo kazał ci czekać - stwierdził kwaśno. - Ciekawe, o co mu tak naprawdę chodzi.

- Czy zainteresowanie losami córki wymaga wyjaśnień? - oburzyła się Harriet.

- Tak nagle? Owszem.

- Zaręczyłam się. To chyba wystarczający powód.

- Powiedzmy. Niech będzie, jak chcesz.

Na ten wieczór Harriet sprawiła sobie nową suknię z czarnego, lejącego się jedwabiu. Pasował do niej diamentowy diadem, prezent od Marca, który fryzjerka wplotła w kunsztownie ułożone włosy. Wyjeżdżając na przyjęcie, Harriet dotknęła diamentów. Były zimne. Zimne jak zachowanie Marca, usiłującego zniszczyć jej radość ze spotkania z ojcem. Nie rozumiała, dlaczego tak postępował. Bywał twardy, nieczuły, złośliwy, ale tym razem miała wrażenie, że próbuje ją

obrazić.

Państwo d'Estino mieszkali w eleganckiej dzielnicy ambasad, w reprezentacyjnym domu z ogrodem. Ojciec Harriet wybiegł, by ich powitać.

- Córeczko kochana! - Zamknął ją w niedźwiedzim uścisku. - Nareszcie.

Pachniał tak mocną wodą kolońską, że Harriet najchętniej odwróciłaby twarz. Wyglądał staro jak na swoje lata, nabrał tuszy. W całym tym demonstracyjnym przywitaniu Harriet wyczuwała fałsz i teatralność. Był jednak jej ojcem, tęskniła za nim, wmawiała więc sobie, że jest cudownie. D'Estino, witając się z Lucią, rozplýwał się w komplementach, a Marca uściskał jak dawno utraconego brata. Harriet miała wrażenie, że sztuczna wylewność ojca napawała Calvinich niesmakiem, podobnie jak nagła przemiana macochy we wdzięczącą się kobietkę. Naturalnie zachowywała się jedynie Olympia. Harriet zatrzymała ją na moment.

- Powiedz mi, czemu ojciec zachowuje się tak, jakby o moich zaręczynach dowiedział się wczoraj?

- Bo tak było. Twoja wiadomość telefoniczna nigdy do niego nie dotarła. Mamuśka już się o to postarała.

- Ale ty, na przyjęciu u Manellego, wiedziałaś. Nie powiadomiłaś go?

- Nie. Nie chciałam, żeby się jeszcze bardziej wściekł. Dostał szału, gdy dałam Marcowi kosza. Sama rozumiesz... Zrezygnować z wejścia do hrabiowskiej rodziny...

- Ależ Marco nie jest hrabią.

- Oj, kochanie, jest kuzynem hrabiego. Nasz tatuś to snob, a mamuśka jest jeszcze gorsza...

Odeszła, pozostawiając zdumioną siostrę. Zatem ojciec wymarzył sobie związek z rodem Calvinich, a skoro nie udało się z Olympią, przypomniał sobie o niej. Odrzucona córka mogła okazać się użyteczna, uznał więc, że warto trochę zainwestować.

Podczas wieczoru poświęcał jej sporo uwagi, ale nie tyle co Marcowi. Straszliwie żenowało ją to, że przedstawiał ją znajomym słowami: „Moja córka Harriet, zaręczona z kuzynem hrabiego Calvani”.

Nie wyobrażała sobie, by mogło stać się coś jeszcze bardziej obrzydliwego. A jednak. Ojciec głośno zachwycił się, że jego „córeczka” wybiera się do Wenecji na ślub hrabiego Francesca i zapewne przypomni go jego „staremu druhowi”. Harriet płonęła ze wstydu.

- Zabierz mnie stąd - szepnęła w pewnej chwili do Marca, gdy Lucia opuściła przyjęcie, wymawiając się zmęczeniem i przygotowaniem do rodzinnych ślubów. - Wiedziałaś, że tak będzie? - zapytała już w samochodzie. - Mojemu ojcu zależy wyłącznie na zaproszeniu na salony hrabiego Francesca. To przed tym próbowałeś mnie przestrzec? Czy tak?

- Domyśliłem się, że to powód, dla którego nagle przypomniał sobie o córce. Przykro mi. Smutne, ale niestety prawdziwe.

Mówił życzliwym głosem, lecz nie wziął jej nawet za rękę. Kiedy zatrzymali się przed willą matki, oświadczył, że wraca do pracy.

- Dobranoc - odpowiedziała rozszalona i pobiegła prosto do swojego pokoju. Chciała być sama, a jednocześnie pragnęła wsparcia. Na Marca nie mogła liczyć. Zrozumiała, że im szybciej się rozstaną, tym lepiej.

Rzuciła torebkę, włożyła diadem do etui i stanęła przy oknie. Czuła się strasznie samotna. Dzisiejszego wieczoru coś zostało jej bezpowrotnie odebrane. Nadzieja, że mimo wszystko ojciec ją kocha, była zapewne bezsensowna, lecz chwyciła się jej przez całe życie. Teraz wszystko przepadło. Z rozmyślań wyrwało ją pukanie. Otworzyła drzwi i zobaczyła Marca, bez marynarki i krawata, za to z dzbankiem i kubkiem.

- Przyniosłem herbatę. Pewnie miałabyś teraz ochotę się napić.

Herbata była z mlekiem, taka, jaką lubiła.

- Świetny pomysł. Dziękuję.

Przysiadła na łóżku. Marco usiadł obok. Patrzył na nią z uwagą, ciepło i serdecznie.

- Miałeś jechać do pracy...

- Zmieniłem decyzję. Czekałem, aż zejdziesz na dół. Pomyślałem, że może potrzebujesz towarzystwa. Nie zjawiałaś się, więc... Zaczynam cię chyba rozumieć. Jeśli chcesz pogadać, to...

- Dziękuję - odparła miękko. - Ale nie ma o czym mówić.

Potwierdziło się coś, o czym chyba zawsze wiedziałam. Powinnam pogodzić się z tym ostatecznie wiele lat temu. Myślałam, że już to

zrozumiałam, odżałowałam, ale... Tym bardziej mi głupio... Mój ojciec to niestety wstrętny snob i absolutne zero. Wydaje mu się, że upolowałam sobie męża z hrabiowskiego rodu, więc raptem uznał mnie znów za córkę.

- Harriet, nie dręcz się. Jesteś świetną dziewczyną, piękną, mądrą... Zbudowałaś własne życie talentem i pracą. Jesteś niezależna. Nie potrzebujesz tego prostaka. Nigdy nie potrzebowałaś.

- Wiem, wiem. Głupie to wszystko... - Rozplakała się. - Dlaczego mnie to jeszcze porusza, dlaczego? Przecież nie jestem już dzieckiem. - Zaszlochała i nagle poczuła, że Marco ją obejmuje.

- W pewnym sensie jesteś - szepnął w jej włosy. - Wciąż nie pogodziłaś się z odrzuceniem. To nadal w tobie tkwi, wciąż cię rani.

Z płaczem przytuliła się do niego. Nie umiała już hamować nagromadzonego przez lata żalu.

- Nigdy mnie nie kochał - szlochała. - Nigdy.

- Nie. Kochał, gdy byłaś małeńka. Pamiętasz, mówiłaś mi, że się uwielbialiście.

- Nawet wtedy... nie... Gdyby kochał, nie wyrzekłby się mnie. Powiedz sam, czy to możliwe?

- Nie wiem. Niektórzy ludzie tak kochają. Prawdziwie, ale płytko. Bywa też całkiem inaczej...

- Boże, jak ja wyglądam - powiedziała nagle, opanowując się.

- Jak dziewczynka, do której dotarło, że tatuś jej nie kocha. Ale - uśmiechnął się - jesteś już duża i nie poddasz się rozpacz. Życie ma ci tak dużo do zaoferowania.

- Czyżby? Szczerze mówiąc, nie wiem, czy mnie to obchodzi.

- Nie wolno ci tak myśleć - powiedział surowo. - Zabraniam!

Poddają się tylko ludzie słabi, a ty jesteś silna. Podporządkujesz życie swojej woli.

Przez chwilę patrzył jej w twarz, a potem musnął wargami usta i uniósł głowę zakłopotany. Wahał się, czuła to bardzo wyraźnie.

Przyszedł, by jej pomóc, ukoić jej smutek, ale nie tak, jak by chciała.

Patrzył na nią „człowiek honoru”, chłodny i opanowany. Harriet przejęła inicjatywę. Przyciągnęła jego głowę, starając się pocałunkiem powiedzieć, czego pragnie. Rozchyliła namiętnie wargi. I nagle coś się w

nim zmieniło. Poczul się wolny. Mógł robić to, co naprawdę chciał. Musiała go teraz zdobyć - za wszelką cenę. Nieważne jak.

Och, jak dobrze! Marco niecierpliwił się. Szarpnął w dół materiał sukni. Harriet poczuła na piersiach chłód. Nagle opuściły ją wszelkie opory, miała uczucie całkowitego wyzwolenia. To był mężczyzna, którego pragnęła. Pragnęła jego miłości i fizycznego zbliżenia. Jeśli nie mógł jej pokochać prawdziwym uczuciem, niechby chociaż dał jej rozkosz.

Rozpruta sukienka odsłoniła piersi. Marco zacisnął palce na brzegu tkaniny, a Harriet odpowiedziała mu rozpromienionymi oczami. Odczytał w nich przyzwolenie i taką radość, że bez namysłu rozdarł sukienkę aż do dołu. Harriet, na wpół przytomna, sięgnęła do kołnierzyka jego koszuli i rozpięła guzik. Resztę zrobił za nią.

Wolałaby, żeby było jaśniej i żeby mogła go widzieć, ale w ciemności tylko czuła jego nagość i ręce, zmysłowymi pieściami ożywiające całe jej ciało.

W szalonym natłoku doznań obiecywała sobie, że następnym razem, gdy będzie go już lepiej знаła, będzie go pieścić tak, jak lubił, drocząc się z nim i uwodząc.

Zatraciła się zupełnie, gdy zaczął gładzić jej uda, coraz wyżej i wyżej, aż wreszcie z jej ust wydobył się długi jęk rozkoszy. Marco odsunął się na sekundę, spojrzął na jej rozognioną twarz i rozsypane na poduszce cudowne włosy. Chyba wyszeptał jej imię. Nie była tego pewna, lecz już po chwili poczuła, że są razem. Wszystko stało się nagle, naturalnie i wspaniale. Tak miało być. Chciała coś powiedzieć, ale Marco położył palec na jej ustach. Usnęła w jego objęciach.

Ocknęła się o świcie. Marco wstał z łóżka. Dopiero teraz zobaczyła go całego. Długie nogi, szczupłe, muskularne uda, wąskie, mocne pośladki. Pragnienie rozkoszy odezwało się w niej z nową siłą. Gdyby zechciał, znów byłaby jego. Nie nachylił się jednak, nie pocałował jej, nie powiedział „dzień dobry”. Leżała, nasłuchując. Nagle zrobiło się cicho. Harriet podniosła powieki. Marco stał przy oknie ze zwieszoną głową, zamyślony i jakby głęboko czymś zakłopotany. Na koniec wyprostował ramiona i otrząsnął się, jakby odpędzał kłopotliwe myśli. Potem wyszedł.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Trzy dni później wszyscy polecili do Wenecji. Marco spotkał się z Harriet i Lucią dopiero na lotnisku.

- Czy ty czasem nie jesteś chora? - dopytywała się Lucia, zaniepokojona wyglądem Harriet. - Jesteś blada jak ściana, prawie się nie odzywasz...

- Po prostu nie lubię latać samolotem - wykręciła się Harriet.

To prawda, że jakoś przycichła. Coś się w niej załamało, gdy zobaczyła, jak jej ukochany wymyka się o świcie. Obojętnie, wzruszając ramionami.

Mogła mu współczuć z powodu okoliczności, które sprawiły, że unikał głębokich związków z ludźmi. Mogła go nawet żałować. Nie umiałaby jednak żyć z tym na co dzień. Podjęła decyzję. Odejdzie zaraz po powrocie z Wenecji. Wiedziała, że będzie ją to kosztowało bardzo dużo, ale przynajmniej cierpienie potrwa krótko. Prawdziwą tragedią byłoby małżeństwo z mężczyzną, który nie potrafi otworzyć się na miłość.

Na lotnisku przywitała się z nim spokojnie, z miną, która nie zdradzała nic więcej niż jego uśmiech. Nigdy jeszcze nie była w Wenecji i nie zamierzała psuć sobie przyjemności. Problemy mogły poczekać.

Rodzina Calvanich zaczęła zjeżdżać do Wenecji na dwa dni przed pierwszym ślubem. Na rzymian czekali Guido i Dulcie. Mieli ich przewieźć przez lagunę dwoma motorówkami. Jedną z nich prowadził osobiście Guido.

- Macie szczęście, że nie próbuje udawać gondoliera - roześmiała się Dulcie, nawiązując do początków ich znajomości.

Pałac Calvanich był prawdziwą skarbnicą dzieł sztuki. Harriet dostała do swojej dyspozycji archiwistę, w którego towarzystwie mogła zwiedzić wszystko, co tylko chciała.

Leo pojawił się nazajutrz. Był jakiś smętny, zupełnie inny, niż go zapamiętała. Obie z Dulcie bardzo go lubiły i bez problemu dowiedziały się, w czym rzecz.

- Przyszła kryśka na Matyska - uśmiechnęła się Harriet.

- Co takiego? - udawał, że nie rozumie.

- Oj, nie kręć! - Klepnęła go po ramieniu. - Znalazłeś wreszcie tę jedyną. Zarzuciła na ciebie lasso.

- Jak ma na imię? - drażyła Dulcie.

- Selena. Poznałem ją w Teksasie. Byliśmy na tym samym ranczu.

Przygotowywaliśmy się razem do rodeo, ćwiczyliśmy i Selena spadła z konia. Ja też. Wyobraźcie sobie - ona spadła na padoku, a ja na oczach tłumu. Ale, tak czy owak, oboje spadliśmy.

- Mielicie zatem coś wspólnego na początek - stwierdziła Dulcie.

- Prawdziwe powinowactwo duchowe - przytaknęła Harriet.

- Nie sądzę, żeby sprawy ducha były tu najważniejsze - stwierdziła cierpko Dulcie, znając wyczyny Lea, o których opowiadał jej Guido.

- Pewnie, że nie. - Leo westchnął zmysłowo. - Było tak cudownie!

Harriet uśmiechnęła się leciutko, dostrzegając podobny blask w oczach przyjaciółki.

- Dlaczego jej nie przywiozłeś? - powiedziała. - Chciałybyśmy ją poznać.

- Cóż, jest pewien problem. Nie wiem, gdzie jej szukać.

- Nie wymieniliście adresów?

- Owszem, ale... Możliwe, że już nigdy jej nie zobaczę. Gromkie: „Hej, Leo!” zmusiło go do wstania z kanapy.

Gdy dołączył do męskiego towarzystwa, Dulcie i Harriet wybuchły śmiechem.

- Och, przestańmy, tak nie wolno - powiedziała Harriet. - Jesteśmy okropne małpy.

- Wiem - chichotała Dulcie. - Nic na to nie poradzę. Słyszałaś kiedyś tak zwariowaną historię?

- Biedny Leo! - Harriet pokręciła głową - Coś takiego mogło się przydarzyć tylko jemu.

Następnego dnia wszyscy zebrali się w bocznej kaplicy bazyliki św. Marka, gdzie odbył się ślub wuja Francesca. Przyjęcie toczyło się niemal

bez panny młodej, gdyż Liza, nie bacząc na to, że zostaje żoną hrabiego, wzięła na siebie obowiązki gospodyni na weselu Guida i Dulcie.

Zapowiadała się huczna impreza z tłumem gości, a Liza uparła się, że musi czuwać nad menu osobiście. Doczekała toastu, który na jej część wzniosł ukochany mąż, i wymknęła się do kuchni pałacowej. Hrabia Francesco poszedł za nią.

- Ta kobieta nie docenia własnego szczęścia - oburzyła się Lucia. - Jak można tak traktować męża?

- Może w tym kryje się cała tajemnica ich związku - roześmiał się Guido. - Wujowi narzucało się tyle kobiet, a pokochał właśnie tę, która kazała mu o sobie walczyć.

Widząc, że matka wychodzi z Leo do ogrodu, a Guido z Dulcie obejmują się i też się gdzieś wymykają, Marco zaproponował Harriet spacer. Był wyraźnie zniecierpliwiony i niespokojny. Niepowtarzalny urok Wenecji nocą nie zmienił jego nastroju. Szli ciemnymi, słabo oświetlonymi uliczkami. Dobiegała do nich cicha muzyka i nawoływania gondolierów, niosące się echem po wąskich kanałach.

- Powinniśmy porozmawiać - rzucił szorstko.

- Najwyższy czas - przytaknęła Harriet.

- Dzisiejsza uroczystość dała mi wiele do myślenia. Tobie, jak sądzę, też.

- O, tak - przyznała. - Bardzo wiele.

- Mówi się, że w rodzinie Calvanich ślub goni ślub. Jak zapewne się domyślasz, wszyscy spodziewają się, że ogłosimy datę naszego. Jest okazja, by zrobić to jutro. Mieliśmy wystarczająco dużo czasu na podjęcie decyzji. Ja w każdym razie ją podjąłem. Postąpiłem mądrze, jadąc do Londynu, żeby cię poznać. A ty okazałaś się prawdziwą Włoszką. Masz tu już nawet stałych klientów. Możesz przenieść swoją galerię do Rzymu, będziesz miała już pewną bazę. Tworzymy znakomity duet.

- Patrząc na to z tej perspektywy, na pewno.

- Czy zatem mogę powiedzieć matce, że sprawa jest załatwiona? - zapytał szybko.

A więc to tak? Tak miały wyglądać oświadczenia? W Wenecji, pod gwiazdami? Harriet nie wiedziała, czy śmiać się, czy płakać.

- Chyba nie powinniśmy się tak spieszyć - odpowiedziała, próbując zapanować nad sobą. - To, o czym mówiłeś, to naprawdę za mało, żebyś się ze mną żenił. Jest jeszcze coś, o czym nigdy nie rozmawialiśmy, a może by należało.

- Czekałem, aż ty o tym napomkniesz... Chodzi o noc, którą ze sobą spędziliśmy, prawda? Była dla mnie absolutną niespodzianką...

- Bo dowiedziałeś się, że jesteś moim pierwszym mężczyzną? Czy to ważne?

- W życiu bym się nie spodziewał... Masz dwadzieścia siedem lat, a w naszych czasach...

- Wiem. Po prostu mężczyźni prędko mi się nudzili, nawet ci, w których się podkochiwałam. Zawsze miałam coś ciekawszego do roboty, a żaden nie okazał dość cierpliwości i ochoty, żeby mnie od tego odwieść.

- Winisz ich za to, że tracili dla ciebie serce, gdy się dowiadywali, że konkurują z Cezarem Augustem?

- Nie.

Spacerując, doszli na pustoszejący plac św. Marka. W ulicznych kafejkach zestawiano już krzesła. Ucichła muzyka. Tylko samotny skrzypek przygrywał jeszcze jakiejś zapatrzonej w siebie, tańczącej parze.

- Myślałem, że było nam razem dość dobrze - powiedział Marco. - A ty nie?

Ciepło jego oddechu, ich ciała splecione w gorączce, czułe, szalone spełnienie. „Było nam razem dość dobrze”.

- O, tak - odpowiedziała oschłym tonem. - Eksperyment się powiódł. Jak byś powiedział: „optymalny efekt”.

Weź mnie w ramiona, marzyła. Zatańcz ze mną pod gwiazdami przy muzyce skrzypiec.

- W ogóle wszystko układa się nam dobrze - stwierdził. - Myślę, że najlepszy termin ślubu to pierwsza sobota września.

Skrzypek przestał grać.

- Ustaliłeś termin beze mnie?

- Nie, ale zastanawiałem się nad najodpowiedniejszym. Czeka mnie w najbliższym czasie parę bardzo ważnych spraw.

- Wszystkie twoje sprawy są ważne.
- Tak, ale te mają szczególne znaczenie. Wiążą się z moją karierą.

Mam szansę zostać wspólnikiem.

- To twoje największe marzenie w życiu? Marco roześmiał się zakłopotany.

- Może niezupełnie, ale... W zarządzie banku nie było dotąd nikogo w moim wieku... Byłbym najmłodszy. Może to próżność, ale cieszę się na zapas. Pewien swego będę dopiero we wrześniu. Jeśli nie zaczniemy już planować, lato przejdzie bez przygotowania.

- Nie, Marco. Nie pozwolę się popędzać.

- Rozsądek nakazuje...

- Posłuchaj - wybuchła zdesperowana. - Pamiętasz, co mi powiedziałeś w Bella Figura? „Najważniejsza jest czujność. Jeśli nie potrafisz jej zachować, kontrolę przejmie ktoś inny. Dlatego zawsze musisz być czujna”. Nie wiedziałam wtedy, ile w tym prawdy.

- Przykładasz do tych teorii większą wagę, niż trzeba. Po prostu któreś z nas musi trzymać rękę na pulsie.

- Planujesz za daleko. Przepraszam cię, ale ja nie zdecydowałam się jeszcze na małżeństwo.

- Ale dopiero co powiedziałaś, że...

- Czasami „optymalne efekty” nie wystarczają.

- A co by ci wystarczyło?

- Nie wiem, ale klamka jeszcze nie zapadła. Nie mam pewności, jak ułożę sobie przyszłość.

- Chyba nie myślisz o wyjeździe?

- Z Rzymu? Nie. Chcę się tylko wyprowadzić z waszego domu. Jest tyle ładnych mieszkań przy...

Chwycił ustami powietrze.

- Oglądałaś mieszkania do wynajęcia?

- Przeglądałam tylko ogłoszenia w gazetach. I w ogóle nic jeszcze ostatecznie nie postanowiłam.

- I póki nie postanowisz, mam czekać, tak? Mam tracić czas i być grzeczny. A może mi to nie odpowiada?

- A może mnie nie odpowiada twoje założenie, że skoro ty podjąłeś decyzję, ja muszę ją zaakceptować? W tej sprawie, Marco, decyzję

podejmują dwie osoby, nie jedna. Nie tylko ty. A zresztą ludzie, którzy spierają się ze sobą tak często jak my, nie powinni chyba myśleć o małżeństwie. Zostawmy ten temat, po co mamy się kłócić.

Wracali uliczkami zamieszkałymi od wieków przez duchy kochanków, szepczące do tych, którzy mieli uszy do słuchania. Jednakże Marco i Harriet byli jak głusi. Boczny wejściem wśliznęli się do pałacu wuja Francesca i powiedzieli sobie chłodno dobranoc.

Dulcie ubrana była tradycyjnie. Jaśniała w bieli atłasu, koronek i rodowych pereł Calvinich. Biło od niej szczęście, a Guido, zdaniem Marca, wyglądał tak, jakby po raz pierwszy w życiu robił coś naprawdę poważnie. Po ślubie w pałacu zaczął się bal. Światło wylewało się z każdych drzwi i każdego okna, lśniło w klejnotach. Na uroczystość przybyła cała elita Włoch.

Mimo wczorajszej rozmowy Harriet włożyła zaręczynowy pierścionek i grała rolę szczęśliwej narzeczonej. Powoli dotarło do niej, że jest tak, jak mówił Marco. Spoglądano na nich znacząco i wyczekująco.

Ubrała się dziś stateczniej niż zazwyczaj. To był dzień ślubu przyjaciół, więc chciała być mniej widoczna i zdecydowała się na jedwabną suknię w oliwkowym odcieniu, o bardzo eleganckim prostym kroju.

- Czy wiesz, że wyglądasz cudownie? - spytał Marco. - Jestem z ciebie dumny.

Dulcie, patrząc na nich, dała znać orkiestrze. Zabrzmiała melodia znanej piosenki „Zrozum, on cię kocha”. Goście zaczęli bić brawo, wiwatując na cześć państwa młodych, ale Dulcie mrugnęła porozumiewawczo w stronę Marca i Harriet. Kiedy taniec się skoczył, otoczył ich tłum.

- No, przyznajcie się... Kiedy ślub? Pora wreszcie ustalić termin. Harriet poczuła, że Marco przyciągają mocniej do boku.

- Już ustaliliśmy - powiedział wesoło. - Pobieramy się w pierwszą sobotę września.

Harriet zachnęła się, zaczęła coś mówić, ale jej głos utonął w oklaskach. Mężczyźni ściskali Marcowi dłoń, Lucia promieniała, a Dulcie rzuciła się Harriet na szyję.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Sekretarka Marca patrzyła z niepokojem na stojącą przed jej biurkiem zdenerwowaną młodą kobietę.

- Czy pan Calvani kogoś teraz przyjmuje?
- Nie rozumiem, co panią sprowadza...
- Przyjmuje czy nie? - powtórzyła Harriet.
- Nie, ale za pięć minut ma posiedzenie zarządu.
- Proszę się nie obawiać. Nie zajmę mu nawet tyle czasu - rzuciła

Harriet przez ramię i otworzyła drzwi do gabinetu Marca.

Oderwał wzrok od komputera i spojrzał na nią zaniepokojony.

- Co się stało? Coś z matką?
- Nie. Przyszłam się z tobą zobaczyć tutaj, bo to jedyne miejsce, z którego nie możesz przede mną uciec. Unikasz mnie od powrotu z Wenecji.

- Minęły zaledwie dwa dni. Wiesz, ile mam pracy.
- A ty wiesz, co chcę powiedzieć. Powiem to szybko, nie spóźnisz się na posiedzenie.

- Nie pora na... Zacisnęła zęby.
- Ile czasu trzeba, żeby się pożegnać?
- Czy moglibyśmy porozmawiać o tym później?
- Nie. Już raz dałam się nabrać. Wystarczy. Poza tym nie mamy o czym rozmawiać. Do widzenia. Finito! Basta! Koniec zabawy. Nie wyjdę za ciebie. Zrywam te tak zwane zaręczyny.

- Absurd! - powiedział niecierpliwie. - Zaproszenia są już gotowe.
- A ja mieszam, psuję ci plany, wiem. Bardzo mi przykro, ale pewne sprawy są ważniejsze od konwenansów.

Marco się podniósł. Poblądł, ale mówił spokojnie.

- Posłuchaj, byłaś ostatnio w kiepskim nastroju i nie okazałem ci

pewnie tyle współczucia, ile należało. Nie powinienem był też ogłaszać terminu ślubu w taki sposób, ale wydaje mi się, że ostatecznie trzeba było tak zrobić. Poprawię się, zobaczysz...

- Posłuchaj samego siebie! - krzyknęła. - Mówisz, jakbyś klikał myszką komputera. Klik: „przepraszam”, klik: „poprawię się”, ale życie to nie gra komputerowa.

Prychnął niecierpliwie.

- Czy te banalne szczegóły w ogóle się liczą?

- Nie są banalne. Pokazują, jaki jesteś. Wszystko masz poukładane. Powiedziałam, że zrywam zaręczyny, więc jesteś wściekły, ponieważ jedna ważna fiszka wypadła ci z kartoteki i nie wiesz, co zrobić.

- Jestem zły, bo nie rozumiem z tego ani słowa. Mówisz bez sensu.

- Twoim zdaniem nie ma sensu w tym, że chciałabym wyjść za mąż za kogoś, komu na mnie zależy? Przecież ja ciebie w ogóle nie obchodzę!

Chciał coś szybko odpowiedzieć, ale się pohamował.

- Myślałem - odparł spokojnie - że uda się nam do siebie zbliżyć.

- Ale nie w pełni, nie naprawdę. Jesteś zaborczy, usiłujesz zaplanować każdy mój krok, ale to nie jest miłość. - Westchnęła ciężko.
- Pewnie masz rację. Jestem nierozsądna. Powinnam pomyśleć o tym wcześniej, w dniu, kiedy zaproponowałeś mi ten układ. Przepraszam. Nie znałam wtedy siebie. Teraz wiem już o sobie wszystko, a to zmienia postać rzeczy. Dla mnie miłość się liczy.

- Miłość? - powtórzył.

- Mówisz, jakbyś nigdy nie słyszał tego słowa. Nie łączy nas miłość, prawda?

Znieruchomiał i patrzył na nią z wielką uwagą.

- Wydawało się, że nie - powiedział cicho. - Ależ ze mnie dureń! Nic nie rozumiałem.

- To moja wina. Zwodziłam cię. Uwierzyłeś, że mogłabym żyć bez miłości, tak jak ty.

- A kiedy to stało się dla ciebie takie ważne? - zapytał z sarkazmem.

- Dopiero niedawno. Pamiętasz jeszcze noc po przyjęciu mojego ojca?

- A ty? - rzucił ostro.

- Bardzo żywo. Ale to niedobrze, prawda? Nie da się stworzyć czegoś, czego nie ma. Próbowałam rozgrywać to tak jak ty, ale dalej nie potrafię. W końcu i tak musielibyśmy się rozstać.

- Może poddajesz się zbyt łatwo?

- Sądziłam, że szcycisz się swoim realistycznym podejściem do życia. Teraz jednak nie jesteś realistą. Marco, nic się nie zmieni na lepsze. Oboje jesteśmy, jacy jesteśmy. Za późno...

Patrzyła mu w twarz, marząc, by odbiło się na niej coś dobrego, coś z głębi serca, co pozwoliłoby jej się domyślić, że nie chciałby jej stracić. Wystarczyłoby jedno czułe słowo, a rzuciłaby się mu na szyję. Niestety, miała przed sobą twarz pokerzysty, pustą i poszarzałą. Tylko w oczach pojawił się jakiś dziwny wyraz - jakby opuściło go życie.

- Tak - odezwał się wreszcie z kamiennym spokojem. - Za późno na zmiany. Myślałem... no, cóż... pomyliłem się. Nie można się zmienić tylko dlatego, że się tego chce.

Harriet ogarnęło dziwne wrażenie, że Marco zupełnie się zagubił. Nigdy go takiego nie widziała.

- I co teraz? - spytał po długim milczeniu.

- Porozmawiam z twoją matką i wyjadę. Po powrocie do Londynu...

- Jak to do Londynu? Mówiłaś, że wynajmiesz sobie coś w Rzymie.

Spojrzała na niego z ironią.

- Pamiętasz jeszcze tę rozmowę? A myślałam, że wcisnąłeś klawisz „skasować”, jak zwykle, gdy coś ci nie pasuje. Owszem, zastanawiałam się nad tym, ale zrozumiałam, że to bez sensu. Muszę się od ciebie oddalić. Zaraz po powrocie do domu podejmę pewne działania i spłacę całą pożyczkę.

- Nie ma pośpiechu. Obiecałem, że będziesz to mogła zrobić w dogodnym terminie.

- Wiem, ale chcę ją zwrócić od razu. Wolę nie mieć wobec ciebie długu.

Marco zmienił się na twarzy. Ożywiła ją gorycz.

- Nie możesz się już doczekać, kiedy się ode mnie uwolnisz.

Niesprawiedliwość tego stwierdzenia była tak bolesna, że Harriet musiała bronić się złościwością.

- Sądziłam, że się ucieszysz z mojego wyjazdu, skoro już wiesz, że

interes się nie powiódł. Nie ma sensu tracić czasu na martwe układy. To twoja zasada, prawda? Przydatna, przyznaję. Korzystam z niej.

- Nauczyłem cię zatem więcej, niż sądziłem. Dawniej nie zdobyłabyś się na powiedzenie czegoś tak okrutnego. Ale, oczywiście, masz rację. Nie wiem, dlaczego wydawało mi się, że warto jeszcze naszą sytuację przedyskutować.

- Nie warto. Wszystko skończone. A teraz pospiesz się, masz posiedzenie zarządu.

Wybiegła z gabinetu kompletnie roztrzęsiona. Jak śmiała obciążać ją swoim pozornym smutkiem! Za dobrze go jednak знаła, żeby dać się oszukać i nabrać na kolejną sztuczkę. Tak, tylko że jeszcze nie umiała poradzić sobie z własnym bólem.

Rozmowa z Lucią była najtrudniejszym zadaniem, chociaż pani Calvani zdawała się wiele rozumieć.

- Od początku wiedziałam, że coś jest nie tak - westchnęła. - Wyczuwałam to nawet w Wenecji. No, ale cóż. Widziałam tylko to, co chciałam. Obawiam się, że Marco ma tę cechę po mnie. - Ścisnęła Harriet za rękę. - Jak to właściwie było?

- Bardzo zwyczajnie. Marco i ja zawarliśmy pewną umowę, ale doszłam do wniosku, że nie potrafię dotrzymać warunków. Dałam się ponieść uczuciu, a ustaliliśmy, że na to właśnie w tym związku nie ma miejsca.

- On tak bardzo cię pragnie...

- Owszem, pragnie, na tej samej zasadzie jak wszystkiego, co mu jakoś tam odpowiada. Mnie to nie wystarcza.

- Chcesz powiedzieć, że go kochasz?

- To nie takie proste - odparła ostrożnie Harriet, do- myślając się, że Lucia najpewniej przekaże wszystko synowi. - Jak można kochać mężczyznę, który nie potrzebuje miłości?

- Każdy człowiek jej potrzebuje, a Marco może nawet bardziej niż inni, choć od lat walczy, żeby nie poddać się uczuciu.

- Wiem, ale nie potrafię tego dłużej znieść. Nie chcę walczyć z nim przez całe życie.

- Niczym cię nie przekonam? Harriet pokręciła głową.

- Najtrudniej będzie mi rozstać się z tobą. Jesteś mi taka bliska...

- Obiecay, że będziemy w kontakcie. - Lucia objęła ją ze łzami w oczach. - Kiedy wyjeżdżasz?

- Jutro po południu.

- Pojadę z tobą na lotnisko.

Przy kolacji usiłowały podnieść jedna drugą na duchu i nie przyznawały się do tego, że mimo wszystko obie czekają na Marca. Lucia bezwiednie spoglądała na zegar.

- Wiesz, że nie przyjedzie. - Harriet zdobyła się na bezwzględną szczerłość.

- Oczywiście, że przyjedzie. Nie pozwoli ci wyjechać bez pożegnania.

- Po co miałby się żegnać? Już mnie „odfajkował”.

- Nie zaczynaj mówić tak jak on. Takie podejście do życia nie przyniosło mu szczęścia.

- Nie wiem, czy w ogóle jest coś, co by go uszczęśliwiło - westchnęła Harriet. - W każdym razie nie małżeństwo ze mną.

- A ty? - spytała Lucia. - Potrafiłabyś być z nim szczęśliwa?

- Czy można być szczęśliwym z kimś, kto nie jest szczęśliwy?

Serce ciążyło jej jak kamień. Zegar tykał. Wskazówki przesuwają się i trzeba było spojrzeć prawdzie w oczy. Marco postanowił pozwolić jej odejść bez słowa. Ironizowała, że już ją „odfajkował”, ale bardzo ją to bolało. Lucia, na dobre rozgniewana, zadzwoniła do syna do rzymskiego mieszkania, a potem na komórkę.

- Daj spokój - poprosiła Harriet. - Lepiej jest tak, jak jest, naprawdę.

Mimo to pół nocy przeleżała, nasłuchując, czy nie nadjeżdża samochód. Nie nadjechał, i w końcu pomyślała, że może to i dobrze. Gdyby Marco się zjawił, gotowa była rzucić mu się w ramiona i przyrzec wszystko, byle tylko z nim być. A to byłoby fatalne. W pożyciu z mężczyzną, który wie, że dla bycia z nim kobieta rezygnuje z własnej godności, nie ma miejsca na szacunek.

Obudziła się z bólem głowy. Wypiły z Lucią kawę, lecz nic nie jadły. Zegar tykał i wreszcie czas się dopełnił. Harriet musiała pożegnać ten dom na zawsze. Pożegnać się z Markiem. Nie. Z nim już się pożegnała.

Przed willą zapiszczały opony.

- To pewnie szofer wyprowadza samochód - powiedziała Lucia. -

Och, Etta, kochana, pamiętaj, bądź ze mną w kontakcie.

- Obiecuję. - Harriet objęła ją i nagle poczuła, że Lucia nieruchomieje.

- Marco! - krzyknęła. - Przyjechałeś!

Stał w drzwiach, bardzo blady, ale opanowany.

- Naturalnie. Myślałaś, że jestem aż tak niegrzeczny, że pozwoliłbym naszemu gościowi wyjechać bez pożegnania? Odwiozę Harriet na lotnisko.

Czekał w samochodzie. Gdy usiadła obok niego, spojrzał na jej lewą rękę.

- Zostawiłam pierścioneł twojej matce - powiedziała.

- Pewnie bardzo się przejęła.

- Tak, ale długo rozmawialiśmy i myślę, że mnie rozgrzesza i rozumie.

- Lepiej niż ja.

- Obiecałam, że będę z nią w kontakcie.

- To dobrze. Jest więc nadzieja, że będę miał o tobie jakieś wieści.

- Słucham? - Ciężarówka zagłuszyła jego słowa.

- Powiedziałem: Jest więc nadzieja, że będę miał o tobie jakieś wieści - powtórzył schrypniętym głosem.

- Oczywiście. Skontaktuję się z tobą w sprawie pożyczki. Lepiej to załatwić od razu.

Marco zaklął pod nosem.

- Twarda jesteś, uparta.

Uparta? - owszem, pomyślała. Ale twarda? Na pewno nie, Może tylko opancerzyła się, żeby nie cierpieć. Kiedyś ta sprawa przestanie boleć. Kiedyś. Pewnego dnia.

Na lotnisku towarzyszył jej aż do kontroli celnej. Dopytywał się, czy ma bilet, paszport, kartę pokładową.

- Pójdę już - powiedziała. - To bez sensu, żebyś czekał. Dziękuję za odwiezienie.

- Nie ma sprawy.

- Życzę, żeby udało ci się wejść do zarządu banku.

- Słucham? Ach, tak. Dziękuję. Rzeczywiście, nie traćmy czasu.

Wszystkiego najlepszego. Do widzenia.

Uścisnęli sobie ręce i Marco odszedł, nie odwracając głowy. Wsiadł do samochodu i włączył silnik. Potem wyłączył go, objął kierownicę i położył głowę na rękach. Siedział tak, póki ktoś nie zapukał w szybę, pytając, czy nic mu nie jest.

- Dlaczego każesz mi się szukać, synu? - Lucia rozejrzała się po mieszkaniu Marca. Wyglądało jeszcze bardziej pusto niż zwykle. - To już dwa dni. Trzeba było przyjechać do domu, porozmawiać...

Uśmiechnął się spięty.

- Wiesz, mamciu, jaki jestem teraz zabiegany. Wejście do zarządu wymaga...

- Ten wykręt zastosowałeś wobec niej i co ci z tego przyszło?

Weszła do kuchni i zaparzyła kawę. Kiedy wróciła, Marco siedział z rękoma zwieszonymi między kolanami i patrzył w podłogę. Biorąc filiżankę, podziękował matce słabym uśmiechem. Spojrzała mu w twarz i bez słowa powędrowała z powrotem do kuchni, by po paru minutach wrócić z dużym talerzem makaronu.

- Kiedy ostatnio jadłeś?

- Nie wiem, coś tam jadłem. - Wzruszył ramionami. - Dzięki, mammo...

Popatrzyła na niego z litością.

- Postąpiłeś bardzo głupio.

- Ja?! Ależ to ja, właśnie ja, nie ona, zabiegałem o małżeństwo.

Staralem się...

- O, bardzo, tylko co z tego wynikło? Straciłam synową, kogoś, kogo niezmiernie polubiłam. Tak się nie powinno stać!

- I co twoim zdaniem mam robić? Przecież nie zmuszę jej do ślubu.

- Przynajmniej czegoś się nauczyłeś.

- Łatwo ci mówić, mammo, ale z Harriet nie da się postępować rozsądnie. Ona buja w obłokach. - Roześmiał się zgryźliwie. - Uważa się za kobietę interesu, ale nie ma pojęcia o handlu. Jej zdaniem prowadzenie galerii polega na umiłowaniu dzieł sztuki i znajdowaniu dla nich „przyjaznego domu”.

- Cała Harriet! - westchnęła matka.

- No właśnie. Rujnuje swój sklep. Twierdzi, że zwróci mi od razu całą pożyczkę. Jakim cudem? A w ogóle... Nie jest ekspertem, za jakiego

się uważa!

- Oj, Marco, a co ty wiesz o tych sprawach? Zerwał się z krzesła, podszedł do sejfu, wystukał szyfr i wyjął złoty naszyjnik.

- Widzisz? Zabrałem to cudo do Londynu i pierwszego dnia pokazałem Harriet. Pamiętasz, jaki dumny był z tego naszyjnika tato? Opowiadał, że to autentyk znaleziony dwa wieki temu podczas prac wykopaliskowych. A Harriet... Wiesz, co stwierdziła? Że to falsyfikat.

- Bo, mój drogi, to faktycznie jest falsyfikat. Ojciec miał kłopoty finansowe i sprzedał etruski oryginał. A to jest kopia wykonana przez prawdziwego mistrza. Do tej pory nikt się nie zorientował. Dopiero Harriet. Bo ona, mój drogi, wyczuwa fałsz na kilometr.

Marco patrzył na matkę kompletnie oszołomiony.

Harriet po raz kolejny uniosła pióro i odłożyła je.

- To byłby koniec - powiedziała ze smutkiem. Pendry, jej adwokat, skinął głową.

- Lepiej sprzedać. Postąpiłaby pani jednak niemądrze, odrzucając ofertę Allum & Jonsey.

- Co to za firma?

- Czy to ważne? Zaakceptowali bez szemrania cenę wywoławczą, a poza tym chcą, żeby to pani prowadziła dalej galerię. W pewnym sensie nic pani nie traci.

- Poza własnością.

- No cóż. Jeśli nie chce pani sprzedać sklepu, trzeba prosić pana Calvaniego o rozłożenie spłaty pożyczki na raty. Czy mogę...

- Nie - przerwała stanowczo Harriet.

Prawnik wystąpił z jedyną propozycją, która mogła zachwiać jej decyzją. Ale nie, nigdy... Szybko podpisała dokument sprzedaży.

- Teraz to. - Prawnik podsunął kolejny arkusz. - Umowa na półroczne prowadzenie sklepu.

Harriet ponownie się zawahała.

- No... nie wiem. - Czy całkowite zerwanie nie byłoby najlepszym wyjściem? - myślała. Nie, nie ma czegoś takiego jak natychmiastowe zerwanie z czymś, co się kocha. - W porządku. - Podpisała kontrakt. - I co się teraz?

- Nic. Pracuje pani jak do tej pory, a wcześniej czy później przyślą

kogoś na rozmowę.

Przez całą noc Harriet nie zmrużyła oka. Wiedziała, że podpisała kontrakt z tchórzostwa. Nie wytrzymałaby psychicznie jeszcze jednego rozstania. A tak, kontrakt wygaśnie powoli, co umożliwi spokojniejsze pożegnanie z ukochaną galerią. I znów, jak dziesiątki razy od powrotu do Anglii, zadawała sobie pytanie, dlaczego zajęła tak nieugięte stanowisko wobec mężczyzny, którego nie umiała przestać kochać. Prawdę powiedziawszy, zawsze uważała się za osobę słabą i nieudolną. Jakim więc cudem znalazła w sobie tyle siły?

To dzięki Marcowi. Dał jej do ręki broń. Mówił, że jest silna, odważna, niezależna - i to była prawda. Opuszczenie i samotność, które naznaczyły piętnem całe jej życie, nauczyły ją samodzielności. Nie wiedziała o tym, póki Marco nie odsłonił przed nią jej atutów. Pokazał jej, że potrafi obyć się bez miłości ojca. Potem zrozumiała, że potrafi obyć się bez innych. Sam ją tego nauczył.

Następnego dnia zasnęła. Spiesząc się do galerii, modliła się, by A&J nie przysłało do niej swego przedstawiciela właśnie dziś, zwłaszcza że ekspedientka miała wolne.

Kiedy dotarła na miejsce i zobaczyła otwarte na oścież drzwi, zrozumiała, że jej modlitwy nie zostały wysłuchane. Spotkała ją kara. Spóźniła się. Tak jak wtedy. Wyobraziła sobie, co powiedziałby teraz Marco.

I powiedział, wyłaniając się z zaplecza galerii, dokładnie to, co pomyślała.

- Harriet, do licha! Znowu to samo. Czy ty nigdy nie możesz być punktualna?

ROZDZIAŁ DWUNASTY

- Nie, nie wierzę, coś takiego! - powiedziała, odkładając torebkę. -
Co ty tu robisz?

- Jeszcze się nie domyśliłaś?

- Allum & Jonsey to...

- To malutka firma, która bardzo chętnie przeszła pod mój zarząd. Musiałem stworzyć formalne pozory. Gdybyś wiedziała, że to ja za tym stoję, nie sprzedałabyś sklepu.

- Innymi słowy usiłujesz znów zapanować nade mną. Wybacz, Marco, ale to ci się nie uda. Już po wszystkim.

- A to? - Wyjął umowę, w której zobowiązywała się do prowadzenia galerii przez następne sześć miesięcy.

- Zwolnij mnie!

- Zwolnię, jeśli mnie do tego zmusisz, ale nie zrobisz tego. Nie pozwoli ci na to honor. Poza tym ten sklep cię potrzebuje. Nikt inny nie poprowadzi go lepiej. Razem sprawimy, że będzie przynosił zyski.

Harriet roześmiała się ironicznie.

- Potrzebujesz do tego mnie? Osoby, która nie umie odróżnić falsyfikatu od autentyku? Na pewno nie.

Z satysfakcją zauważyła, że się zmieszał.

- Cóż, przyznaję, myliłem się. Naszyjnik jest kopią. Ojciec sprzedał oryginał. Matka mówi, że jesteś pierwszą i jedyną osobą, która się na tym poznała.

Harriet pojaśniała na twarzy.

- Kochana Lucia... Co u niej?

- Kazała mi natychmiast dać znać, jak się miewasz. Najpierw jednak musimy porozmawiać, i to poważnie. Zawarliśmy pewien układ.

Pożyczka miała być spłacana stopniowo. Postanowiłaś jednak pozbawić

się wszystkiego, co kochasz, żeby tylko zwrócić mi te pieniądze za jednym podejściem. Czuję się odpowiedzialny...

- Nie...

- Możesz mi nie przerywać? Jeśli zechcę usłyszeć twoją opinię, to cię o to poproszę. Poczuję się do odpowiedzialności za ciebie, i nie ustąpię. Nauczę cię, jak się prowadzi interesy, żeby nie zbankrutować, choćbyśmy oboje mieli przy tym osiwieć. Za jakiś czas zarobisz tyle, że dasz radę odkupić galerię ode mnie i dopiero wtedy będziemy kwita. Nie chcę zdręzczać się myślą, że cię ograbiłem.

- Mogę już coś powiedzieć? - warknęła.

- Jeśli to konieczne. Ale najpierw zrób może herbatę. Omówimy twoje zakupy. Pewne strony internetowe, które śledzisz, wyglądają interesująco.

- Dotarłeś do moich kontaktów? Jak?

- Włamałem się do twojego komputera. Gdybyś się nie spóźniła, byłoby mi łatwiej - dodał cierpko.

Nagle zrozumiała, że Marco jest teraz jej pracodawcą.

Od tej chwili nie miała szansy o tym zapomnieć. Wynajął pokój w hotelu i wszystko wskazywało na to, że zdecydował się na dłuższy pobyt w Londynie. Przyjeżdżał do sklepu z samego rana, wychodził późno. Gdyby nawet podejrzewała, że przyjechał tu dla niej, zachowywał się tak, że trudno by było w to uwierzyć. Przeszła ostry kurs zarządzania, a kiedy wypełnił jej dotychczasowe nawyki, zarzucił bezmyślność księgowemu.

- Ten człowiek czuje taki mores przed twoją akademicką wiedzą, że pozwala ci na wszystko.

- To przemiły starszy pan.

- Domyśliłem się. Tyle że ten miły staruszek jest zbędny w twojej sytuacji. Musisz mieć kogoś, kto cię poskromi. A to... Co to jest? - wskazał jakieś nabazgrane cyfry.

- Mój szyfr. Zaraz ci go odczytam. Szczegóły wpisuję później.

- Rozumiem. Bądź jednak łaskawa objaśnić mi to bliżej, bo nie jestem jasnowidzem.

- Koniecznie muszę? Dlaczego mam ci się tłumaczyć z każdego drobiazgu?

- Dlatego, że choćbyś nawet była geniuszem w sprawach naukowych, kiedy przychodzi do zawarcia najprostszej transakcji, jesteś istotą o kurzym mózdzku!

- Wiem o tym!

Zapadła cisza. Marco odetchnął głęboko.

- Świetnie - powiedział zgryźliwie. - Wreszcie w czymś się zgadzamy. Jest od czego zacząć.

- Ale dlaczego musimy się w czymkolwiek zgadzać? Do tej pory nie było to konieczne. Czemu po prostu nie zatrudnisz nowego księgowego, żeby mnie nadzorował, gdy wyjedziesz?

- Nie wyjadę, póki cię nie nauczę, jak masz postępować, żeby nie zbankrutować.

- To znaczy, żebyś ty nie zbankrutował.

- Właśnie! - rozłościł się. - Właśnie to miałem na myśli.

- Nie możesz tu siedzieć bez przerwy. Powinieneś być teraz w Rzymie, walczyć o członkostwo w zarządzie, Wzruszył ramionami.

- Załatwiłem to przed wyjazdem.

- Masz już to stanowisko w kieszeni?

- Tak. - Marco nie przerywał pisania.

- Moje gratulacje!

- Dziękuję.

Oczywiście. Zdobył to, co chciał. Czysto i gładko. Uporządkował własne sprawy, wspiął się na kolejny szczebel kariery, a teraz oczyszczał sumienie. Potem zamierzał zapewne wrócić do Włoch i zostawić ją w spokoju. Ale przecież tego pragnęła. Nie miała powodu się skarżyć.

- Jak zdobywasz towar? - zapytał pewnego dnia. - Chyba nie zawsze przez Internet?

- Rzadko korzystam z tej metody - przyznała. - Lepiej jeździć po kraju i szperać.

- No to jedźmy gdzieś. Wiesz już dokąd?

Następnego dnia wyruszyli na wieś. Właściciel pewnego gospodarstwa popadł w długi, sprzedał więc dom i wystawiał na aukcję, co się dało.

- Dużo za to nie dostanie - powiedziała ze współczuciem Harriet,

oglądając raczej pospolite sprzęty. - Taki miły człeczyna... - Spojrzała z żalem na grubawego, siwowłosego mężczyznę o strapionej twarzy.

- Nie widzisz tu nic, co mogłoby nas zainteresować? - spytał Marco.
- Poczekaj... ten wazon... -Zatrzymała się zaciekawiona.
- I co?
- To autentyk. Piękna robota... Wenecki, z XII wieku - oceniła

prędko. - Pięćdziesiąt tysięcy dolarów.

- Ale cena wywoławcza to dwa tysiące.
- Wiem. Właściciel nie ma pojęcia, ile to warte.
- No to zrobisz fantastyczny interes. Znaleźć coś takiego ... Jestem

zbudowany.

Prowadzący aukcję uderzył młotkiem.

- Panie i panowie, proszę zająć miejsca.

Marco usiadł w pierwszym rzędzie, zajmując krzesło dla Harriet, i rozejrzał się za nią. Zobaczył, że rozmawia z gospodarzem. Prowadzący aukcję podszedł do nich. Wyglądał na kompletnie zdezorientowanego. Nie do wiary, myślał Marco. To niemożliwe.

Prowadzący aukcję wrócił na swoje miejsce i znów uderzył młotkiem.

- Panie i panowie, zmuszony jestem ogłosić, że cena wywoławcza przedmiotu z numerem 43 wynosi obecnie 50 tysięcy...

Z ciężkiego jęku, jaki wydobył się z gardeł osób siedzących z tyłu, Marco wywnioskował, że na tę wielką gratkę nastawiali się i inni kupujący. Daleko im do Harriet, pomyślał z uśmiechem. Spostrzegł, że przywołuje go na migi.

- Nie jesteśmy zainteresowani niczym więcej - powiedziała.

- Nie jesteśmy?

- Nie jesteśmy.

- Domyślam się, że powiedziałaś mi prawdę.

- Musiałam. Staruszek prawie się popłakał. Powiedział, że to go uratowało. Hej, co ty wyprawiasz? - zachnęła się, gdy chwycił ją za rękę i pociągnął szybko za sobą.

- Zabieram cię stąd, nim któryś z tych kupców cię zamorduje.

- A ty nie masz na to ochoty?

Kiedy znaleźli się już daleko, popatrzyła na niego speszona i trochę wystraszona.

- Nie mogłam postąpić inaczej, nie rozumiesz? To taki biedaczyna...
Miałabym go ograbić?

- Ależ dziewczyno szalona, tak się nie robi interesów.
- Ja tak je robię! Więc lepiej mnie zwolnij.
- Nie. Cieszę się, że powiedziałaś temu człowiekowi prawdę - odparł z dziwnym uśmiechem. - Gdybyś zachowała się inaczej, nie byłabyś sobą.

Do Londynu dojechali wczesnym wieczorem.

- Zjadłbym coś - powiedział Marco. - Chyba nie wypada mi zasugerować, żebyś zaprosiła mnie do siebie na tosty z fasolką? Jestem twoim pracodawcą, więc mogłoby to zostać potraktowane jako przymus i molestowanie.

- Bez przesady. Kiedy spróbujesz mojej kuchni, odechce ci się chodzić do restauracji.

- Dowcipnisia! - Uśmiechnął się swobodnie. - Jak mam jechać?

Mieszkała w niezamożnej dzielnicy, w pokoju z kuchnią.

Zastanawiała się, jak Marco, wychowany w luksusach, zareaguje na te więcej niż skromne warunki. Dostrzegł je, oczywiście, ale nie powiedział ani słowa.

Przyszykowała mu tost z fasolą i ugotowała spaghetti, a on zajął się sosem. Rozmowa się rwała. Spędzili razem udany dzień, a teraz żadne nie wiedziało, co powiedzieć.

Postępuje ze mną nie fair, myślała. Chciała być silna, ale nie mogła w sytuacji, gdy widywali się codziennie, ocierali się o siebie, gdy słyszała jego głos. Podnosząc wzrok, nie raz przyłapywała go na tym, że na nią patrzy. Musiał być jakiś sposób, żeby się przed tym obronić, tylko jak miała go znaleźć?

To nie fair, że jej miłość stawała się z dnia na dzień mocniejsza. Ale miłość nigdy nie jest fair. Gdyby Marco wyjechał i pozostawił ją z bólem serca, to też nie byłoby fair. A tak mogło się stać. Czowała, że jest u kresu wytrzymałości nerwowej. Nie wiedziała, co zamierzał. Dlaczego tak naprawdę tu był?

W końcu zrobił coś najzupełniej nieoczekiwanego. Gdy wkładała naczynia do zlewu, podszedł i położył ręce na jej ramionach. Stali tak przez moment, nieruchomo, aż wreszcie odwrócił ją do siebie i opuszczył

głowę, przytulając twarz do jej szyi. Wydał jej się zagubiony. Dotknęła jego ręki. Po dłuższej chwili puścił ją i wyszedł z kuchni. Kiedy poszła za nim, zobaczyła, że przegląda tytuły książek. Wypili jeszcze razem kawę, po czym Marco zauważył, że jest późno, pożegnał się i pojechał do siebie.

Niedługo potem przestał przychodzić do sklepu codziennie. Harriet przypuszczała, że nadrabiał zaległości we własnej pracy i kontaktował się z Rzymem. Pewnego ranka, gdy była sama i parzyła herbatę na zapleczu, nie usłyszała, że ktoś wszedł. Wyszła z filiżanką w ręku i nagle zobaczyła świetnie ubraną, ładną kobietę w ciąży.

- Signorina d'Estino, czy tak? - zapytała z mocnym włoskim akcentem.

- Harriet d'Estino, witam. Czy życzy sobie pani coś obejrzeć?

- Nie, dziękuję. Przyszłam tylko porozmawiać. O Marcu.

- Nie rozumiem.

- Mam na imię Alessandra - przedstawiła się kobieta. - A przychodzę po to, żeby powiedzieć, jakie to ważne, żebyś wyszła za niego za męża.

Harriet była tak zaskoczona, że zupełnie straciła głowę.

- Usiądźmy - powiedziała. - Napije się pani herbaty? I czy mogłabym prosić o powtórzenie tego, co pani powiedziała? Nie wiem, czy dobrze zrozumiałam.

- Powiedziałam, że musisz wyjść za Marca. Myślisz, że jestem stuknięta, tak?

- Nie, wcale nie, tylko nie pojmuję, dlaczego obchodzi panią Marco i jego plany małżeńskie.

- Chcesz wiedzieć, czemu śledzę losy mężczyzny należącego już dla mnie do przeszłości. Czy tak? Może to dziwne, ale niepokoję się o niego. Czuję się trochę winna. Rozstaliśmy się, ułożyłam sobie życie, a jemu się nie szczęści. Moi znajomi mówią, że jakby zapadł się w sobie, że stroni od ludzi. Być może to przeze mnie.

- Nie można się winić za zmianę decyzji w tak ważnej sprawie - zaprotestowała Harriet.

- To prawda, ale powinnam była mieć odwagę zerwać zaręczyny uczciwie. Widzisz, Marco jest bardzo wrażliwy. W głębi duszy strasznie się wszystkim przejmuję. Obcym może wydawać się zimną rybą, ale

ludzie go nie znają. - Spojrzała przenikliwie na Harriet. - Nie muszę ci tego mówić, prawda?

Harriet skinęła głową.

- Zaraz po przyjeździe do Włoch zaczęłam wyczuwać, co ukrywa. Ukrywa to nawet przed sobą.

- Bardzo niedobrze. To też moja wina. Kiedyś nie krył niczego. Przytłoczył mnie sobą i stopniowo dotarło do mnie, że ja takiego związku nie chcę, nie podołam. Zaborczość Marca znudziła mnie. Zakochałam się w kimś innym, ale nie przyznałam się do tego. Bałam się, a poza tym tamten mężczyzna był żonaty. Jego żona miała kupę forsy, nie chciał się z nią rozejść... Zaszłam w ciążę. Marco widział, że miewam mdłości, i domyślił się. Przypuszczał, że to jego dziecko.

- A mogło być jego?

- Pytasz, czy sypiałam z nimi dwoma.? Tak. Bardziej prawdopodobne wydawało mi się ojcostwo Harveya, ale Marco nic o Harveyu nie wiedział, więc przyjął za pewnik, że to on jest ojcem i natychmiast zaczął szykować się do ślubu. Prosiłam o zwłokę, ale... wiesz, jaki jest. Bardzo się cieszył. Chciałam powiedzieć mu prawdę, ale, przyznaję, bałam się go. Marco potrafi zachowywać się przerażająco. Jest w nim dużo miłości, ale i agresji. Odczuwa wszystko za mocno. Ze strachu przed zranieniem dorabia sobie wizerunek twardziela. Uważa, że gdyby w czymkolwiek okazał słabość, ludzie wykorzystaliby to przeciw niemu... Ale wróćmy do tamtej historii. Pewnego dnia Marco wrócił wcześniej z jakiegoś wyjazdu w interesach i przyszedł prosto do mnie. Otworzył drzwi swoim kluczem. Zastał mnie z Harveyem. Kochaliśmy się. Harriet zamknęła oczy.

- I wszystko się wydało. Sprawa dziecka też.

- A Marco? - spytała Harriet. - Co powiedział?

- Nic. Ani słowa. Stał i patrzył na nas. Wyglądał, jakby umierał.

Potem wyszedł i nigdy więcej go nie zobaczyłam. O zerwaniu zaręczyn powiadomił mnie listownie. Sam powiedział wszystkim, że zrezygnowaliśmy ze ślubu, bo oboje zgodnie doszliśmy do wniosku, że popełnilibyśmy błąd. Oczywiście podtrzymałam tę wersję. Tymczasem żona Harveya dowiedziała się o naszym związku. Jej bracia natychmiast wystąpili w obronie jej czci, więc uciekliśmy do Anglii. Tu urodził się

nasz syn. Dla pewności zrobiliśmy badania. To naprawdę dziecko Harveya. W Rzymie nikt nie zna dokładnej daty jego narodzin, więc nikt się nie domyśla, że zdradzałam Marca w okresie narzeczeństwa. Gdyby prawda wyszła na jaw, byłby skończony. Zresztą i tak Rzym trząsł się od plotek. Ostrzegano Marca, że jestem dwulicowa, ale nie chciał słuchać. Jest z natury lojalny i wierny i tylko tak potrafi kochać.

- Chyba już nie - uśmiechnęła się smutno Harriet. - Jest wypalony.

- Nie - zaproponowała Alessandra. - Człowiek zdolny do tak wielkiej miłości nigdy się nie wypala. Ukrywa się z potrzebą uczucia, usiłuje z nią walczyć, ale to pragnienie w nim tkwi. Przyszedł dzień, że znów musiał się zakochać. Cieszę się, że w tobie.

- Mylisz się. Marco mnie nie kocha.

- Bzdura! Gdyby tak nie było, nie siedziałby tutaj, zamiast walczyć w Rzymie o wejście do zarządu banku.

- Jak to? Przecież to już załatwione. - Poczowała się nieswojo, widząc minę Alessandry.

- Nie. Tak twierdzi mój kuzyn, który tam pracuje. Jego miejsce zajął ktoś inny. To pewne.

Harriet, która od pewnego czasu niespokojnie kręciła się po sklepie, usiadła gwałtownie.

- Dlaczego tu przyszedłeś?

- Żeby mieć czyste sumienie i naprawić krzywdę, jaką mi wyrządziłam. Jestem mu to winna. Nie porzucaj go, Harriet. Po raz drugi czegoś takiego by nie zniósł.

Marco nie pokazał się przez dwa dni. W tym czasie Harriet przeżyła całe piekło uczuć - od radości i nadziei po niewiarę i rozpacz. Czuła, że musi się z nim zobaczyć, i dowiedzieć, czy to prawda, że ją pokochał.

Kiedy wreszcie usłyszała na schodkach jego kroki, rozpromieniona rzuciła się ku drzwiom. Ale radość natychmiast w niej zgasła. Marco, oficjalny jak rzadko, szykował się do wyjazdu.

- Dokąd się wybierasz? - spytała.

- Do Rzymu.

- Na parę dni?

- Nie. Wracam na dobre.

Harriet poczuła uderzenie serca, bolesne jak cios ostrym nożem.

- Rozumiem.
- Przed wyjazdem muszę ci to dać.

Wyjął z nesesera kopertę. Otworzyła ją i rozłożyła arkusik, ale nie mogła czytać. Litery tańczyły jej przed oczami, w głowie kołatało tylko jedno słowo: koniec.

- Przeczytaj - poprosił cicho.

Spróbowała się skupić. Jakies cyfry... Kwota, na jaką opiewał jej dług wobec Marca.

- Tu jest napisane, że sklep jest moją własnością. Jak to możliwe? Marco uśmiechnął się smutno.

- Mógłbym ci odpowiedzieć, że spłaciłaś wszystko, co mi byłaś winna, gdybym nie uważał za obraźliwe dla mnie samego, by mówić o tym, co mi dałaś, językiem finansów. Dałaś mi dużo więcej, niż się domyślasz, więcej, niż na to zasługuję. Kiedy myślę o tym, jak przyjechałem tu po raz pierwszy, taki zarozumiały, pewny, że potrafię załatwić wszystko zgodnie z moją wolą, chciałbym potrząsnąć tym człowiekiem, jakim wtedy byłem. Dzięki tobie tamtego kogoś już nie ma.

- Ale... - zająknęła się, gorączkowo szukając słów. - Nie możesz tak po prostu zostawić mi sklepu. Znów zrobię z niego śmietnik.

- Już nie. Tyle cię nauczyłem. - Odgarnął kosmyk z jej czoła.

- Nie byłam zbyt dobrą uczennicą.

- Najlepszą. Taką, która nauczyła swego nauczyciela więcej niż on ją. Zapamiętam twoje lekcje na całe życie.

- A ja - krzyknęła z rozpaczą - zapomnę wszystko! Zbankrutuję! A w ogóle takie prezenty to nie dla mnie! Takie prezenty daje się chyba tylko żonie.

Patrzył na nią, aż wreszcie powiedział powoli:

- Niestety, kobieta, którą kocham, nie wyjdzie za mnie. Tak mi powiedziała i doszedłem do wniosku, że może ma rację. Nie zasługuję na szczęście.

Harriet oddychała z trudem.

- Mogłam zmienić zdanie... choćby po to, żeby nie płacić odsetek. Bo odsetki zawsze należy płacić. Tak mi mówiłeś. Że trzeba o nich pamiętać.

Pokręcił głową.

- Daj spokój. To nie jest powód.

- Żartowałam.

- Wiem, ale są sprawy, z których nie powinno się żartować. Za wiele znaczą.

- Biznes?

- Miłość. Kocham cię, Harriet, a skoro nie możesz powiedzieć mi tego samego, pozwól mi po prostu odejść.

- Mogę ci to powtórzyć milion razy! - Dotknęła jego policzka, a on przytrzymał jej dłoń i pocałował.

- Powiedz, że mnie kochasz - wyszeptał. - Chcę, muszę to usłyszeć.

Ujęła jego twarz w dłonie.

- Kocham cię z całego serca. Od dawna... Znalazła się w jego ramionach prędeej, niż skończyła mówić.

- Myślałem, że cię straciłem - powiedział nieswoim głosem. - Przez cały czas, we Włoszech, widziałem, jak z dnia na dzień oddalasz się ode mnie. Nie umiałem się w tym odnaleźć. Chciałem ci powiedzieć prawdę, ale traciłem głowę. Nie miałem odwagi. Jestem tchórzem...

- Marco, kochany, proszę...

- Nie, nie powstrzymuj mnie. Kiedyś...

- Wiem. - Delikatnie dotknęła jego ust. - Alessandra. Przyszła się ze mną zobaczyć.

- Była tutaj? Kiedy?

- Parę dni temu. Powiedziała, że nie wszedłeś do zarządu banku.

Opowiedziała mi wszystko o was, o Harveyu, o dziecku. Czy to źle, że wiem?

Marco pokręcił głową.

- Nie opuszczaj mnie. Nie odchodź - mówiła z uniesieniem, wtulając się w niego.

- Nie wiesz, co robisz. - Obsypał jej twarz pocałunkami. - Będiesz tego żałowała.

- Nigdy!

- Nie umiem być letni. Będę zawsze zaborczy. Będę chciał mieć cię całą, caluteńką...

- Caluteńką - powtórzyła z radością.

- Walcz ze mną. Obiecuj, że się nie zmienisz. Inaczej zaczniesz mnie nienawidzić, a tego bym nie przeżył.

- Będę walczyć, kłócić się o swoje...

- A ja będę się od ciebie uczył. Bądź moim przewodnikiem w tym trudnym życiu, daj mi poczucie bezpieczeństwa. - Opuścił głowę, wtulając wargi w jej dłoń.

- Będziesz bezpieczny w moim sercu - wyszeptała - Jest twoje, mój ukochany. Na zawsze.

Scandalous



Lee Wilkinson

Pałac w Wenecji



ROZDZIAŁ PIERWSZY

- Proszę wejść i usiąść, pani Whitney.

Nicola, wysoka i smukła w granatowym kostiumie, ze złocistymi włosami upiętymi w gładki kok, została wprowadzona do staroświeckiego pomieszczenia. Puszyste dywany, ciężkie, pluszowe zasłony, a nad pustym kominkiem drewniany gzyms z tykającym zegarem.

Pan Harthill zaproponował jej kawę, złożył kondolencje, po czym przeszedł do interesów.

- Kiedy mój klient po raz ostatni odwiedził Londyn, poprosił mnie o spisanie nowego testamentu. Jako egzekutor jego ostatniej woli mogę oznajmić, że jest pani jedyną dziedziczką.

Nicola wpatrywała się w prawnika, siedzącego nieruchomo w brązowym skórzanym fotelu.

- S-słucham? - zdołała tylko wykrztusić.

- Jest pani jedyną dziedziczką - powtórzył cierpliwie pan Harthill Senior. - Po zakończeniu wszystkich formalności będzie pani zamożną kobietą.

W uprzejmym liście wzywającym Nicole do biura firmy Harthill, Harthill i Berry napisano tylko, że pan John Turner zmarł trzy tygodnie wcześniej i że jeżeli pojawi się w firmie, usłyszy „korzystną dla niej wiadomość”.

Zaskoczona i zasmucona śmiercią człowieka, którego

znała krótko, ale bardzo lubiła, przyszła na umówione spotkanie.

Wiadomość, że John Turner uczynił ją jedyną dziedziczką fortuny, o której nawet nie miała pojęcia, była prawdziwym szokiem.

- Ale dlaczego ja? - wypowiedziała swoją myśl na głos.

- Jak rozumiem, pan Turner nie miał własnych dzieci...

Nie. John nigdy nie wspominał o żadnej rodzinie.

- Oprócz zainwestowanych środków - ciągnął spokojnie pan Harthill - na majątek mojego klienta składają się zyski ze sprzedaży jego domu w Londynie oraz niewielki *palazzo* w Wenecji, znany jako Ca' Malvasia. Jak rozumiem, on i jego żona byli tam bardzo szczęśliwi.

O domu w Londynie Nicola wiedziała. John wspomniał, że zamierza wystawić go na sprzedaż, twierdząc, że jest za wielki i pusty, a poza tym rzadko w nim bywa. Ale nic nie słyszała o „małym *palazzo*” w Wenecji. Chociaż wiedziała, że zmarła żona Johna, Sofia, była Włoszką.

- Ca' Malvasia pozostaje zamknięte od śmierci jego żony, czyli od jakichś czterech lat. Mój klient doznał śmiertelnego ataku serca podczas podróży w interesach do Rzymu...

Miała nadzieję, że ktoś przy nim był. Że nie umarł samotnie.

- Nie było to całkiem nieoczekiwane - ciągnął adwokat. - I poczynił pewne kroki. W wypadku jego śmierci miałem przekazać pani tę oto kopertę. Jak sądzę, zawiera ona klucze do *palazzo*.

Podał jej niewielką, grubą kopertę zaklejoną taśmą. Wypisano na niej jej nazwisko i adres mieszkania, które dzieliła z przyjaciółką, Sandy.

- Jeśli chce pani obejrzyć *palazzo*, mogę panią skontaktować z moim weneckim kolegą, signorem Mancinim, który od wielu lat zajmuje się sprawami rodziny. Jeśli postanowi pani sprzedać pałac, zadba o prawne strony transakcji.

- Muszę zrobić jakieś plany... - powiedziała Nicola słabym głosem. - Wziąć urlop...

- Oczywiście - pan Harthill wstał, by odprowadzić ją do drzwi. - Jeżeli będę mógł w czymś jeszcze pomóc, proszę zadzwonić.

- Dziękuję. Był pan bardzo uprzejmy - uśmiechnęła się. Uśmiech dodał ciepła jej twarzy w kształcie serca i rozświetlił zielone oczy.

Piękna kobieta, pomyślał, podając jej rękę, i bardzo młoda jak na wdowę. Nawet bogata.

Kiedy Nicola wróciła do mieszkania, Sandy, drobna, rudowłosa i pełna życia, czekała na nią niecierpliwie.

- Zrobiłam herbatę. Opowiadaj natychmiast.

Były przyjaciółkami od studiów, a od trzech lat dzieliły mieszkanie. Jedna otwarta i energiczna, druga zamknięta w sobie.

Nicola zawsze była cicha i pełna rezerwy, nawet przed fatalnym wypadkiem samochodowym swojego młodego męża. Woląла raczej obserwować wszystko z dystansu. Za to Sandy, wygadana i otwarta, najlepiej się czuła wśród ludzi.

O dziwo, Sandy pracowała w domu jako konsultantka do spraw informacji, siedząc samotnie przed ekranem komputera, a Nicola nieustannie spotykała się z ludźmi, podróżując cały czas jako organizatorka konferencji dla firmy Westlake Business Solutions.

Razem przeszły do niewielkiej kuchni. Sandy naląa herhaly. Nicola wzięła kubek i oznajmiła po prostu:

- John wszystko mi zapisał. Chyba będę bogatą kobietą. Sandy gwizdnęła cicho.

- Nie licząc inwestycji i pieniędzy ze sprzedaży jego domu w Londynie, dostałam niewielki pałac w Wenecji.

- Żartujesz!

- Nie.

- Wiedziałaś, że miał dom w Wenecji?

- Nie, nigdy o tym nie mówił.

- Na pewno nic nie pokręciłaś?

- Na pewno. Nazywa się Ca' Malvasia. Dostałam nawet klucze.

Nicola wyjęła z torebki wypchaną kopertę i wysypała zawartość na stół. Oprócz pęku ozdobnych kluczy była tu ma lutka sakiewka i list.

Sandy oglądała klucze, a Nicola rozłożyła list. Był napisany drobnym, wyraźnym pismem Johna.

Nicolo, moja droga, znaliśmy się bardzo krótko, ale byłaś dla mnie jak córka, o której zawsze marzyłem. Twoje ciepło i dobroć bardzo wiele dla mnie znaczyły.

W woreczku znajdziesz pierścień Sofii. Od chwili jej śmierci nosiłem go na łańcuszku na szyi. Teraz czuję, że niewiele mi czasu zostało, więc lepiej zostawię go u pana Harthilla.

To wyjątkowy pierścień. Moja ukochana zawsze go nosiła. Miała go w dniu, gdy się poznaliśmy. Kiedyś powiedziała, że jeśli jakikolwiek pierścień ma moc przynoszenia szczęścia posiadaczowi, to na pewno ten. I dlatego chcę, żebyś go

dostała. Czują całym sercem, że Sofia zgodziłaby się ze mną.

Chociaż oboje mieliśmy za sobą wcześniejsze małżeństwa, była miłością mojego życia i wierzą, że i ja byłem tym dla niej. Byliśmy bardzo szczęśliwi razem przez pięć cudownych lat. Minęły zbyt szybko.

Wiem, że i Ty krótko byłaś ze swoim mężem. W tak młodym wieku poznałaś, co to ból i żal. Wiem aż nadto dobrze, że każdy, kto traci ukochaną osobą, musi przejść odpowiedni czas żałoby. Ale pamiętaj, moja droga, że nikt nie powinien trwać w żałobie wiecznie. Jestem przekonany, że czas już, byś zaczęła żyć na nowo. Bądź szczęśliwa.

John

Nicola zamrugła, by odpędzić łzy, i podała list Sandy. Kiedy przyjaciółka go czytała, ona wzięła skórzany woreczek. Na jej dłoń wypadł pierścień.

Obie wstrzymały oddech.

Był przepiękny - dwa owale z błyszczącego, zielonego kamienia zatopione w lśniącym złocie.

- W życiu czegoś takiego nie widziałam - odezwała się z podziwem Sandy. - Co to ma być?

- Wygląda jak złota maska z oczami ze szmaragdów - zauważyła niepewnie Nicola.

- Przymierz - zachęciła Sandy.

Nicola wsunęła pierścień na palec. Miała przy tym dziwne uczucie, że robi coś ogromnie ważnego. Pierścień był odrobinę za duży.

- Nawet jeśli jest sztuczny, i tak wygląda fantastycznie! - zachwyciła się Sandy. - Chociaż chyba za strojny na co dzień.

- Masz rację - zgodziła się Nicola. - Bardziej pasuje do Piazza San Marco.

- Zamierzasz go nosić?

- Bałabym się, że go zgubię. Ale będę go mieć przy sobie.

- Mówisz po włosku, prawda? Byłaś kiedyś w Wenecji?

- Nie.

- Nie chciałybyś pojechać?

- Owszem, chciałabym - odpowiedziała wolno Nicola. - Zastanawiałam się nad tym po drodze. Mam zaległy urlop, mogłabym zrobić sobie wakacje. Posiedzieć tam trochę.

- Chwała Bogu! - wykrzyknęła Sandy. - Nareszcie jakieś oznaki życia. A już traciłam nadzieję. Nie miałaś wakacji od śmierci Jeffa.

- Jakoś nie czułam potrzeby. To żadna przyjemność mieszkać w hotelu pełnym obcych. A poza tym wydawałoby mi się, że jestem w pracy.

- Ale nie musisz mieszkać w hotelu, skoro masz własny pałac.

- Wciąż nie mogę w to uwierzyć. - Nicola pokręciła głową.

- Ciekawe, dlaczego John Turner nigdy nie wspominał, że ma dom w Wenecji? - zapytała Sandy, marszcząc czoło.

- Może mówienie o tym sprowadzało zbyt wiele wspomnień. Uwielbiał swoją żonę i nie mógł się pogodzić z jej, śmiercią. Między innymi dlatego tak ciężko pracował i tyle podróżował...

Nicola robiła tak samo, ale odkryła tylko, że bólu i żalu nie można się pozbyć. Podróżowały razem z nią.

Nigdy nie było jej łatwo zawierać znajomości, ale przy-

padek, a potem żałoba, połączyły ją z Johnem Turnerem - zostali przyjaciółmi niemal od razu.

- Było między nami trzydzieści lat różnicy, ale mieliśmy z Johnem dużo wspólnego. Bardzo go lubiłam. Chciałabym zobaczyć dom, gdzie był tak szczęśliwy ze swoją żoną - dodała ze ściśniętym gardłem.

- No to teraz masz okazję - oznajmiła praktyczna Sandy.

- Może pojedziesz ze mną?

- Nie powiem, że nie miałabym ochoty, ale mam za dużo pracy. Poza tym Brent na pewno by nie chciał, żebym jechała do Wenecji bez niego. Po pierwsze wierzy, że dla Angielek Włosi są fascynujący, a po drugie, że Włosi mają w zwyczaju gapić się na Angielki... Gapienie się może i mu nie przeszkadza, ale jeśli dojdzie do podszczypywania...

- Mam nadzieję, że nie.

- E, tam - roześmiała się Sandy. - To jak chcesz tam jechać? Samolotem, jak zwykle?

- Mam dosyć latania i zwiedzania samych lotnisk... - Nicola nagle postanowiła pozbyć się prześladowających ją demonów. - Chyba pojedę samochodem...

Jeff, starszy od niej o jakieś sześć miesięcy, zrobił prawo jazdy i nauczył ją jeździć małym rodzinnym samochodem, kiedy miała siedemnaście lat. Ale nie siadła za kierownicą od jego śmierci.

- W początkach czerwca pogoda powinna być niezła. Zatrzymam się po drodze na noc tu i ówdzie. Chciałabym zobaczyć Innsbruck.

- Nie chcę ci psuć zabawy, ale chciałabym przypomnieć, że nie masz samochodu - zauważyła Sandy, kryjąc zaskoczenie.

- Zawsze mogę wynająć.
- I słyszałam, że parkingi w Wenecji kosztują majątek. Ale o to się chyba nie musisz martwić. Nawiasem mówiąc, teraz, kiedy masz forsy jak lodu, wolałabyś się pewnie przeprowadzić do lepszego lokalu? Nie myśl, że chcę się ciebie pozbyć - dodała, zanim Nicola zdążyła odpowiedzieć. - Ale Brent nie może się doczekać, żeby się wprowadzić. Biedaczek musi być cierpliwy, bo nie byłam pewna, co powiesz na dodatkowego współlokatora, w dodatku faceta.
- Postanowiliście zamieszkać razem?
- Na próbę. Jeśli wytrzymamy, może weźmiemy ślub. Brent chciałby.
- Cóż, dajcie znać, jeśli będziecie chcieli spędzić miesiąc miodowy w *palazzo*...
- Uwielbiam mieć bogatych przyjaciół - oznajmiła Sandy bez cienia zazdrości.

Kiedy Nicola zawiadomiła signora Manciniego o swoich zamiarach, okazał się niemal krępująco chętny do pomocy. Zapewniała wprawdzie, że nie jest to konieczne, ale doradził jej, gdzie się zatrzymać, i nalegał, żeby pozwoliła mu zająć się rezerwacją hoteli.

Sandy z niewyjaśnionych przyczyn poczuła do niego natychmiastową antypatię, chociaż nawet nie słyszała jego głosu. Nazywała go „fałszywym szczurem”. Jednak Nicola, nie chcąc ranić jego uczuć, podziękowała i przyjęła pomoc.

Ostatnim przystankiem, jaki zaplanowała przed Wenecją, był Innsbruck. Dotarła do tego uroczego miasta w Austrii wczesnym popołudniem.

Signor Mancini zorganizował jej nocleg w Bregenzerwaldzie, sympatycznym hotelu tuż obok wspaniałej Maria-Theresien-Strasse.

Nicola zaparkowała swój wynajęty samochód, zostawiła wielką walizkę w bagażniku, wzięła niewielką torbę z najpotrzebniejszymi rzeczami i pojechała windą do eleganckiego foyer. O tej porze było niemal puste, nie licząc recepcjonisty i łysawego mężczyzny o potężnym karku, który siedział przy oknie i zerknął na nią, gdy się zbliżała.

Obserwował ją przez chwilę, po czym znowu skrył się za gazetą. Nicola dokonała formalności i odebrała klucz do pokoju.

Była to jej pierwsza wizyta w stolicy Tyrolu. Spodobała jej się od pierwszego wejrzenia, więc postanowiła zwiedzić, ile się tylko da w krótkim czasie, który miała do dyspozycji. Wzięła prysznic, przebrała się i zeszła do foyer, gdzie mężczyzna siedział dalej, studiując swoją gazetę.

Nicola wzięła z recepcji plan miasta i ruszyła do wyjścia.

Łysawy mężczyzna porzucił gazetę i rozmawiał przez komórkę, patrząc przy tym na nią. Ich spojrzenia spotkały się przelotnie. Natychmiast odwrócił wzrok, może zawstydzony, że dał się przyłapać na obserwowaniu kogoś, nawet nieświadomie.

Nicola wyszła na zalaną słońcem ulicę. Konne dorożki czekały na chętnych na przejażdżkę po mieście. Zdecydowała się jednak na pieszy spacer. Na niebie nie było ani jednej chmurki, a słońce świeciło tak mocno, że musiała podwinąć rękawy lnianego żakietu. Ale na otaczających miasto górach wciąż było widać śnieg.

Popatrzyła na zielone, szybko płynące wody rzeki Inn,

po czym skierowała się w stronę starówki. Altstadt - czyli Stare Miasto - ze swoim słynnym balkonem przykrytym złotym dachem oraz pękatą kopułą Stadtturm okazało się kolorowe i pełne turystów.

Przechadzała się po wąskich, brukowanych uliczkach. Cofnęła się trochę, by podziwiać jeden z malowanych budynków, gdy cienki obcas jej buta wślizgnął się w szparę między brukiem i utknął.

Gdy próbowała się uwolnić, usłyszała zbliżający się stukot kopyt.

Kilka sekund później porwała ją para silnych ramion i uniosła w bezpieczne miejsce, a konny powóz przejechał spokojnie obok.

Wstrząśnięta, leżała kilka chwil z głową na muskularnym ramieniu. W końcu podniosła głowę i powiedziała trochę drżącym głosem:

- Dziękuję panu. Jestem naprawdę bardzo wdzięczna.
- Może było to niepotrzebnie dramatyczne... - Jego głos brzmiał sympatycznie i zdradzał dobrą edukację. Mówił po angielsku znakomicie, z leciutkim nalotem obcego akcentu. - Ale cieszę się, że byłem w pobliżu.

Jej wybawca okazał się śniady i przystojny. Spojrzała na jego twarz i straciła dech.

Był bardzo podobny do jej męża, wyłączając kolor oczu. Oczy Jeffa miały kolor ciepłego błękitu, a tego mężczyzny były szare i chłodne. Jego kędzierzawe włosy były gęste i czarne, ścięte krótko, a twarz szczupła, z prostym nosem i wyraźnie zarysowanymi wargami.

- Wrócę po pani but - odezwał się, gdy patrzyła na niego zauroczona.

Postawił ją ostrożnie, by mogła oprzeć się o ścianę, po czym wrócił na ulicę.

Był wysoki, szeroki w ramionach i poruszał się z męskim wdziękiem. Był dobrze, choć swobodnie ubrany, w szare spodnie i rozpiętą pod szyją koszulę. Może to zwykły turysta.

Ale było w nim coś nieokreślonego - pewność siebie? autorytet? - co przekonało ją, że nie jest turystą.

- Obcas trochę ucierpiał, ale poza tym nie ma żadnej szkody. - Przykucnął i wsunął but na jej szczupłą stopę, po czym wyprostował się na pełną wysokość, dobrze ponad metr osiemdziesiąt. - Nadal wygląda pani na roztrzęsioną... - zauważył.

I była. Ale nie z powodu, o którym myślał.

- Potrzebuje pani uniwersalnego lekarstwa, czyli filiżanki herbaty.

Zaprowadził ją za róg, do Stadsbiesl, maleńkiej restauracji z wielkimi okapami i białymi ścianami zdobionymi stiukiem. Weszli na malutki, zalany słońcem dziedziniec, gdzie były jeszcze trzy czy cztery niezajęte stoliki. Zaledwie usiedli, pojawił się kelner.

- Tylko herbatę? - spytał towarzysz Nicoli. - A może skusi się pani na tutejsze wyśmienite ciastka?

- Niedawno jadłam obiad, więc wystarczy mi herbata z cytryną, dziękuję.

Złożył zamówienie płynnie po niemiecku, ale była pewna, że nie jest to jego ojczysty język.

- Chyba dobrze zna pan Stadsbiesl? - zauważył, gdy kelner odszedł.

- Jadam tu od czasu do czasu. Wracają pani rumieńce - spostrzegł. - Lepiej?

- O, tak, dużo lepiej.
- Na wakacjach?
- Tak.
- To pani pierwszy raz w Innsbrucku?
- Tak. Ale zostaję tylko do jutra - dodała niechętnie. - Jestem w drodze do Wenecji.
- Z Anglii?
- Tak. Jadę samochodem. Chcę po drodze trochę pozwie-
dzać.

- Przejazd przez przełęcz Brenner jest niesamowity.

- Na pewno. Nie mogę się doczekać.

Ale nie czekała tak niecierpliwie, jak przedtem.

Pojawiła się herbata. Nalała do obu filiżanek i podała mu jedną. Potem, niezwykle skrepowana świadomością, że on ją obserwuje, wrzuciła do własnej herbaty plasterki cytryny, tak niezręcznie, że ochlapała sobie przód sukienki.

Zerwał się na nogi i wyjął nieskazitelnie białą chusteczkę. Zamoczył róg w dzbanku z wodą i podszedł, by delikatnie wytrzeć plamy. Jego dotyk był lekki i obojętny, ale i tak odczuła go każdym nerwem swego ciała. Czująca, jak rumieniec wypełza na jej policzki.

Odsunął się, przechylił głowę i popatrzył na efekty swoich starań.

- Prawie nic nie widać.

- Dziękuję - powiedziała zduszonym głosem.

- Cała przyjemność po mojej stronie - odparł z całkowitą powagą.

Niepewna, czy przypadkiem z niej nie drwi, opanowała się.

- Czy mieszka pan w Innsbrucku? - zapytała trochę bez tchu, desperacko poszukując tematu do rozmowy.

- Nie. Przyjechałem w interesach. - Wpatrywał się uważnie w jej twarz. - Mieszkam w Wenecji. - Wciąż ją obserwując, jakby spodziewał się jakiejś reakcji, dodał powoli: - Nazywam się Loredan... Dominic Irving Loredan.

- Jest pan Włochem? - tylko tyle przyszło jej do głowy.

- W połowie. Ojciec pochodził ze Stanów, ale mama była Włoszką.

Czyli stąd ten słaby, fascynujący akcent, który zauważyła, jak również sposób, w jaki gestykulował pięknymi dłońmi w czasie rozmowy.

- A pani jest, jak zakładam, Angielką?

- Tak. Nicola Whitney.

- Pani Whitney, jak widzę. - Zerknął na jej obrączkę.

- Tak... Nie... No, tak...

- Nie wydaje się pani zdecydowana - zauważył, unosząc brew.

- Ja... jestem wdową - wykrztusiła.

Dopiero po raz drugi dobrowolnie przyznała się do wdowieństwa - unikała tego, bojąc się pełnych współczucia okrzyków, a może dlatego, że wymówienie tego na głos sprawiało, że wszystko nabierało realności.

- Jest pani bardzo młoda jak na wdowę - zauważył cicho.

- Mam dwadzieścia pięć lat.

- A kiedy zmarł pani mąż?

- Trzy lata temu.

- I nadal nosi pani obrączkę?

Bo nadal czuła się mężatką.

- Czy zginął w jakimś wypadku? - pytał dalej, kiedy nic nie mówiła.

Skoro pytał tak rzeczowo i bez emocji, była w stanie odpowiedzieć spokojnie.

- Tak. W wypadku samochodowym.
- Czyli jest pani samotna?
- Wynajmuję mieszkanie z Sandy.
- Nie przyjechał z panią na wakacje?
- Nie, tu jestem sama... A Sandy to dziewczyna. Koleżanka ze studiów.

Dlaczego uznała za konieczne zawiadomić o tym nieznanym? Inni też tak interpretowali sytuację, ale nie zadawała sobie trudu, by to prostować.

- Znamy się od tak dawna - dodała, zdenerwowana. - Kiedy Jeff, mój mąż, zginął, zaproponowała, żebym się do niej wprowadziła. Chciałam, żeby przyjechała tu ze mną, ale pracuje na własną rękę jako konsultant informatyczny i ma dużo pracy.

- A pani też się tym zajmuje? - zapytał.
- Nie. Pracuję w Westlake Business Solutions, zajmuję się organizacją konferencji.
- Brzmi bardzo odpowiedzialnie. Jest pani w tym dobra?
- Tak.
- A jakie kwalifikacje są potrzebne do takiej pracy? Nie licząc wyglądu?

Kiedy wypowiadał te ostatnie słowa, w jego głosie pojawiła się jakaś dziwna nuta. A może tak jej się tylko wydawało?

- Nie ma określonych kwalifikacji - odparła krótko.
- No to co trzeba mieć?
- Wiedzę, jak działa biznes, zdolność oceny, czego trzeba każdemu klientowi, i pewną oryginalność. Przydaje się też płynna znajomość co najmniej jednego języka obcego.

- I ma ją pani? To znaczy znajomość innego języka.
- Tak. W sumie to po prostu ciężka praca. Załatwianie noclegów, sal konferencyjnych, zadbanie o właściwe jedzenie, napoje i tak dalej. I upewnianie się, czy wszyscy są zadowoleni.

- Jestem pewien, że to akurat robi pani wspaniale. Tym razem nie miała wątpliwości co do jego tonu. Zagryzła wargi i nie odezwała się.

- Gdzie pani urządza te konferencje?

- Na całym świecie... W Tokio, Sydney, Atlancie, Quebecu, Paryżu, Londynie.

- To musi się wiązać z licznymi podróżami.

- Racja.

- I okazją do poznawania ludzi? Na przykład delegatów na konferencje?

Zaniepokojona jego zachowaniem, coraz bardziej zdenerwowana, odpowiedziała niezręcznie:

- Uczestników konferencji poznaję zazwyczaj tylko wtedy, gdy coś idzie źle.

- A pani, oczywiście, stara się do tego nie dopuścić.

- Na ile to możliwe.

Najwyraźniej wyczuwając jej niepokój westchnął, usadowił się wygodniej i smutno pokręcił głową.

- Proszę mi wybaczyć. Mam nadzieję, że przyjmie pani moje przeprosiny.

- Za co?

Skrzywił się czarująco.

- Nie powinienem tak wypytywać o pani życie i pracę. Jest pani przecież na wakacjach.

Niepokój zniknął, jak ręką odjął. Zresztą może tak jej

się tylko zdawało? Na przykład z powodu jego podobieństwa do Jeffa? Albo dlatego, że przez ostatnie trzy lata unikała podobnych spotkań i straciła umiejętność rozmowy o prywatnych sprawach?

- Jakie są pani plany na resztę dnia? - jego niski, cichy głos wdarł się w jej myśli.

- Zwiedzić, ile się da.

- Ponieważ szczęśliwie załatwiłem swoje interesy i także jestem sam, może pozwoli pani, bym jej pokazał miasto?

Jej serce przyspieszyło gwałtownie, kiedy zastanawiała się, co odpowiedzieć. Uznała, że jest fascynującym, ale i niepokojącym mężczyzną. Nie tylko dlatego, że przypominał jej Jeffa.

Chociaż w jego towarzystwie nie czuła się całkiem swobodnie - może ze względu na własną reakcję - nie chciała, by znajomość się urwała.

- Dziękuję, to bardzo miło z pana strony - odpowiedziała z namysłem, by ukryć podniecenie, które sprawiło, że nagle poczuła się znowu małą dziewczynką.

Nie była pewna, czy rozbawiło go jej zachowanie, czy ucieszyła zgoda. W każdym razie równe białe zęby błysnęły w uśmiechu.

- Chodźmy zatem - oznajmił, kładąc na stole kilka szylingów.

Razem opuścili słoneczny dziedziniec. Dominic objął ją lekko w talii. Nawet ten niedbały dotyk sprawił, że jej serce biło mocno. Kochała Jeffa bardzo, ale wychowali się razem, był częścią jej życia. Dawał jej raczej poczucie ciepła i bezpieczeństwa niż szalone podniecenie.

- Innsbruck to miasto łatwe do zwiedzania - zauważył,

gdy wyszli na ulicę. - Większość rzeczy godnych uwagi znajduje się w Altstadt. Chyba że chciałyby pani zobaczyć skocznnię olimpijską albo Europabrucke, najwyższy most Europy? Ale i tak zobaczy go pani jutro, jadąc autostradą na południe.

- Mam ograniczony czas, więc poprzestanę na Starym Mieście.

- W takim razie proponuję zacząć od pałacu Hofburg i kaplicy Hofkirche... Nie widziała ich pani jeszcze?

- Nie, jeszcze nie - odpowiedziała. Zaczynało jej być wszystko jedno, co zobaczy. Przebywanie w towarzystwie tego mężczyzny wystarczało.

- Są dokładnie naprzeciwko siebie...

Uznała, że jego usta są fascynujące. Jednocześnie chłodne i surowe oraz ciepłe i zmysłowe. Wyraźnie zarysowane, sprawiały, że dreszcze przebiegały jej wzdłuż kręgosłupa...

- A potem zabiorę panią na kolację do Schloss Lienz.

- Schloss Lienz? - powtórzyła, czując, jak się czerwieni.

- Schloss pochodzi z szesnastego wieku i ma bujną historię. Najpierw był fortecą, potem królewskim domkiem myśliwskim, a teraz jest doskonałą restauracją. Z tarasu jest cudowny widok na miasto.

- To wspaniale. - Spojrzała na plamy, wciąż trochę widoczne na jej sukience. - Ale najpierw będę musiała się przebrać.

- Ja też. Gdzie pani mieszka?

- Bregenzerwald.

- Co za przypadek!

- Czy pan też?

- Pokój 54.

- Ja mieszkam w 56 - zdziwiła się.
- No proszę... Co za szczęśliwy traf.

Popołudnie minęło jak mgnienie oka. Nicola od trzech lat nie był tak szczęśliwa. Odkryła, że Dominic Loredan jest sympatycznym i interesującym towarzyszem, który ma sporą wiedzę o mieście, znakomity gust i dyskretne poczucie humoru.

Kiedy wreszcie skończyli spacerować po brakowanych uliczkach i zobaczyli większość rzeczy wartych oglądania, pojechali dorożką z powrotem do hotelu.

- Ile czasu ci trzeba? - zapytał Dominic, zostawiając ją pod drzwiami jej pokoju. - Godzina? Pół godziny?

Nie spodziewała się zaproszenia na elegancką kolację, więc nie zabrała na górę wszystkich rzeczy. Trzeba będzie zejść do samochodu po walizkę. Ale i tak...

- Muszę tylko wziąć prysznic i przebrać się - odpowiedziała, żałując, że musi spędzić nawet tak krótki czas z dala od niego.

- Dobrze. - Szare oczy uśmiechnęły się do zielonych. - Zapukam za pół godziny.

Popatrzyła na niego, a on musnął jednym palcem jej policzek. Gdy stała tak, zafascynowana, pochylił ciemną głowę i dotknął jej warg ustami. Miała wrażenie, że upadnie.

Zaskoczona uniosła dłoń do warg i patrzyła, jak on znika za drzwiami swojego pokoju. Potem, wciąż jak w transie, weszła do własnego i cicho zamknęła za sobą drzwi.

ROZDZIAŁ DRUGI

Z trudem wzięła się w garść i poszła po kluczyki.

Marszcząc czoło wpatrywała się w puste miejsce - pamiętała, że tu właśnie były. Rozejrzała się. Kluczyki, zamiast na komodzie, leżały na toaletce.

Może się pomyliła? Może tam właśnie je położyła? Albo przełożyła je pokojówka? Najważniejsze, że są. Dopóki nie ukradziono samochodu, nie ma problemu.

Ta myśl kazała Nicoli sprawdzić-torbę. Szybko stwierdziła, że paszport i pieniądze są nietknięte, tak jak odziedziczona po babci szkatułka na biżuterię, zawierająca prawie wszystkie jej skarby.

Wstrzymując oddech otworzyła zameczek. Wszystko wydawało się na swoim miejscu. Niewielki naszyjnik z pereł, który Jeff kupił jej z okazji ślubu, medalion po babci, klucze do domu Johna w Wenecji...

Z westchnieniem ulgi schowała szkatułkę.

Zjechała windą na parking. Pobiegła do swojego samochodu, otworzyła centralny zamek i spróbowała podnieść klapę bagażnika.

Ani drgnęła.

Otworzyło ją dopiero kolejne przyciśnięcie klucza. Co znaczyło, że z początku w ogóle nie była zamknięta.

Ale przecież z pewnością ją zamykała.

A może nie?

Uniosła klapę, spodziewając się, że walizki nie będzie, ale leżała dokładnie tam, gdzie ją zostawiła.

Nie, nie całkiem.

Kawałek materiału tkwił między zamkami błyskawicznymi, jakby ktoś zamykał walizkę w pośpiechu.

Otworzyła ją i zajrzała do środka. Znowu wszystko było tak, jak być powinno, nie licząc skrawka atłasu tkwiącego między zamkami.

Rano chciała wyjechać jak najszybciej, więc może niedokładnie zamknęła walizkę i sama przycięła koszulę? Ale chyba by to zauważyła?

Jedynym sensownym wyjaśnieniem było jej własne roztrzępanie.

A jednak te trzy sprawy - przełożone kluczyki, otwarty samochód, materiał zaplątany w zamku - tworzyły logiczny ciąg, który trudno było zlekceważyć.

Z drugiej strony, gdyby ktoś dostał się do jej pokoju, znalazł kluczyki do wynajętego samochodu, zadał sobie trud, by odnaleźć go i przeszukać walizkę, to chyba zabrałby wartościowe rzeczy? Z samochodem włącznie?

Tymczasem niczego nie brakowało, a walizka była na miejscu. Co dowodziło, że byt to ciąg niezwykle przypadków.

A przypadki przecież się zdarzają. Na przykład ten, że Dominic Loredan mieszka w tym samym hotelu, w sąsiednim pokoju.

Jej myśli wróciły do Dominika i czekającego ich wieczoru. Zabrała walizkę, zamknęła samochód i pobiegła do windy.

W rekordowym tempie wzięła prysznic, włożyła świeżą bieliznę i popielatą szyfonową sukienkę, na której kupno namówiła ją Sandy, przekonując - „Nie znasz dnia ani godziny...”. Była to bardzo romantyczna sukienka, z długą, powiewną spódnicą i szalem.

Zawiesiła szal na krześle razem z wieczorową torebką i stanęła przed lustrem, by ułożyć gęste, jasne włosy. Kiedy podtrzymywała węzeł na czubku głowy i zaczęła upinać go spinkami, jej wzrok przyciągnęła ślubna obrączka.

Przyjrzała się jej uważnie. Byli małżeństwem niecały rok. Była wdową znacznie dłużej niż żoną.

Jak powiedział John, każdy, kto stracił kochaną osobę, powinien ją opłakać, ale nie można płakać wiecznie. Może już czas pożegnać się z przeszłością.

Zsunęła obrączkę z palca i starannie schowała z resztą skarbów.

Po raz pierwszy od trzech lat zależało jej na prezencji. Wzięła kosmetyczkę i odwróciła się z powrotem do lustra.

Miała czystą cerę, a brwi i rzęsy nieco ciemniejsze od włosów, więc potrzebowała bardzo niewiele makijażu. Muszę pudru, by drobny, prosty nosek nie błyszczał, odrobina zielonego cienia, warstwa jasnego błyszczyka na wargach i była gotowa.

Rozległo się pukanie do drzwi. Chwyciła szal i torebkę i pobiegła otworzyć.

Czekał na nią Dominic Loredan, zabójczo przystojny w eleganckim garniturze. Przesunął wzrokiem po całej jej sylwetce, co ją dziwnie onieśmieliło.

- Jesteś najpiękniejszym stworzeniem, jakie w życiu widziałem - powiedział w końcu.

Przez jedną chwilę odniosła wrażenie, że te słowa były wymuszonym komplementem.

Może dostrzegł niepewność na jej twarzy, gdyż ujął jej dłoń i uniósł do warg. Romantyczny gest i towarzyszący mu uśmiech zatarł przykre wrażenie. Wrócił jej dobry nastrój i odwzajemniła uśmiech.

- Obawiam się, że zapomniałam ci podziękować za uroczę popołudnie.

Zarzucił na nią szal, po czym podał jej ramię.

- Wieczór powinien być jeszcze lepszy.

Jego biały sportowy samochód czekał na parkingu. Po chwili wyjeżdżali z miasta. Wkrótce droga zaczęła wznosić się równomiernie, a widok zmieniał się jak w kalejdoskopie z każdym ostrym zakretem. Las przeszedł w zielone łąki... Gdzieś błysnęła woda, gdzie indziej przydrożna kapliczka pokryta kwiatami... Drewniane domki, a wysoko nad nimi kościół ze stromym dachem... A w końcu potężny zamek na tle gór.

- Schloss Lienz - oznajmił Dominic.

- Jak w bajce - wykrzyknęła z zachwytem.

Przejechali pod sklepioną bramą na brukowany dziedzińiec. W ścianach tkwiły zapalone pochodnie w żelaznych uchwytach.

Dominic pomógł Nicoli wysiąść i podał kluczyki parkingowemu. Na tej wysokości górskie powietrze było wyraźnie chłodniejsze i ostrzejsze. Zadrżała leciutko. Dominic zauważył to i poprawił szal na jej ramionach.

- Dziękuję - uśmiechnęła się. Od dawna nie знаła uczucia, że ktoś o nią dba i jest gotów zaopiekować się nią.

Przy wejściu do zamku powitał ich potężny jasnowłosy

mężczyzna. Nicola dowiedziała się później, że był to baron von Salzach.

- Dobry wieczór, Dominiku - powiedział po angielsku z silnym obcym akcentem. - Miło cię znowu widzieć. Pani Whitney, witam w Schloss Lienz. Proszę za mną, stół na tarasie, jak było ustalone.

- Dziękuję, Franz.

Gospodarz poprowadził ich przez duży hol i pełną gości salę jadalną, wyłożoną dywanami i oświetloną kryształowymi żyrandolami, gdzie kwartet smyczkowy grał Mozarta. Dotarli do kręconych, wykutych w kamieniu schodów.

- Proszę uważać. Schody są stare i mocno zużyte - powiedział Franz.

Schody prowadziły na odkryty taras, gdzie stało tylko kilka stolików.

- Życzę smacznego - oznajmił baron, stuknął obcasami i poszedł.

Nicole zaintrygowały małe piecyki na węgiel stojące w równych odstępach wokół zewnętrznego niewysokiego muru.

- Świetnie tu wyglądają - zauważyła.

- Po zachodzie słońca są niezbędne - wyjaśnił Dominic. - Chociaż parę lat temu, zanim je zainstalowano, niektórzy byli gotowi ryzykować zapalenie płuc dla tego widoku.

Nicola spojrzała na cudowną panoramę Innsbrucku i doliny Inn.

- Moim zdaniem taki widok jest wart ryzyka.

- Jest jeszcze piękniejszy, gdy w mieście zapalą się światła.

Kiedy zjedli wspaniałą kolację, odkryła, że mówił pra-

wdę. W mroku lśniące światła zmieniały dwudziesty pierwszy wiek w bajkę. Sam zamek, oświetlony lampami i pochodniami, przypominał czasy średniowiecza.

Dominic sam pił niewiele, ale dbał, by Nicola miała kieliszek napełniony znakomitym rieslingiem. Zauroczone chwilą, której magia zawdzięczała wiele zamkowi, ale jeszcze więcej jej towarzyszowi, nie zauważyła, ile właściwie wypila.

Podczas kolacji starannie unikał osobistych tematów, więc była kompletnie zaskoczona, kiedy w końcu ujął jej dłoń i zauważył:

- Zdjęłaś obrączkę. Dlaczego?

- Ja... sama nie wiem - wykrztusiła, wytrącona z równowagi i jego dotykiem, i pytaniem. - Po prostu wydało mi się, że to właściwy moment.

- Jak długo byłaś mężatką? - spytał, puszczając jej rękę.

- Niecały rok...

Może to wino rozwiązało jej język, a może w końcu przyszła ta chwila, w której rozmowa o przeszłości miała przynieść ulgę. W każdym razie otworzyła się przed całkowicie obcym człowiekiem jak jeszcze przed nikim, z wyjątkiem Johna.

- Jeff i ja wzięliśmy ślub w moje dwudzieste pierwsze urodziny. Miałam tradycyjną, białą suknię.

- Ale przedtem mieszkaliście razem?

- Prawie całe życie... A, rozumiem, o co ci chodzi. Nie, nie mieszkaliśmy razem w tym sensie. Rodzice Jeffa byli też moimi - wyjaśniła, gdy zmarszczył czoło. - To znaczy przybranymi. Przyjaźnili się z moją babcią i zajęli się mną, kiedy była w szpitalu i potem, kiedy umarła.

- Ile miałaś wtedy lat?

- Właśnie skończyłam pięć.

- A twój mąż?
- Był parę miesięcy starszy. I był jedynakiem - rodzice nie mieli więcej własnych dzieci.
- Nie miałaś dziadka?
- Zmarł rok wcześniej.
- A twoi rodzice?
- Nigdy ich nie znałam. Kiedyś zrozumiałam, że wszystkie znajome dzieci mają mamusię i tatusia, więc zapytałam babcię, dlaczego ja nie mam. Wzięła mnie na kolana i przytuliła, a potem wytłumaczyła, że moi wyjechali. Coś mi się pomieszało i przyjęłam „wyjechali” za „poszli do nieba”. Potem przybrani rodzice pozwolili mi myśleć, że moi nie żyją, uważając, że tak będzie dla mnie najlepiej. Kiedy skończyłam szesnaście lat, uznali, że już mogę usłyszeć prawdę. Moja matka miała na imię Helen i była jedynaczką. Zrobiła się niesforna, gdy skończyła trzynaście lat, a tuż po ukończeniu szesnastu odkryła, że jest w ciąży. Chyba chciała ją usunąć, ale babcia nalegała, żeby urodziła. Nienawidziła macierzyństwa i obwiniała mnie o zmarnowanie jej życia, jeszcze zanim się urodziłam. Kiedy miałam parę tygodni, zniknęła i zostawiła mnie babci.
- Skoro mieliście tych samych rodziców, byliście z mężem wychowani jak brat i siostra? - zauważył Dominic z namysłem. Śmiałość tego pytania trochę ją speszyła.
- Zawsze byliśmy sobie bardzo bliscy. Spędzaliśmy większość czasu razem, chodziliśmy do tej samej szkoły, ale nigdy się nie kłóciliśmy... Nie pamiętam, żebym go kiedykolwiek nie kochała, a on czuł to samo. - Uśmiechnęła się.
- Przyjaciele się nie dziwili, że nigdy się nie kłócicie jak normalne rodzeństwo?

- Nie przypominam sobie, żebym miała jakichś bliskich przyjaciół oprócz Jeffa - odpowiedziała szczerze. - Dopóki nie poszłam na studia. Rodzice niezbyt nas zachęcali do kontaktów towarzyskich, a poza tym chyba nikogo innego nie potrzebowaliśmy.

- A kiedy dorośliście?

- Pytasz, czy zostaliśmy przyjaciółmi?

- Pytam, kiedy zostaliście kochankami.

- Jeff chciał, żebyśmy razem spali, gdy tylko skończyłam osiemnaście lat.

- Ale nie zgodziłaś się?

- Nie. - Pokręciła głową. - Po jego śmierci niemal tego żałowałam. Trzy stracone lata... Ale chociaż nasi rodzice byli dobrzy, byli też dość surowi i pobożni i nie uznawali seksu przed ślubem.

- No to co się stało?

- Jeff uznał, że powinniśmy się pobrać, ale właśnie mieliśmy zacząć studia i żadne z nas nie miało pieniędzy. W końcu postanowił powiedzieć rodzicom, że się kochamy i chcemy być razem. A oni powiedzieli, że jeśli poczekamy do końca studiów - żebyśmy mieli pewność, że to nie pomyłka - dadzą nam błogosławieństwo i zapłacą za ślub. Wtedy będą mogli być z nas dumni.

Zobaczyła minę Dominika.

- To musi się wydawać bardzo staroświeckie, ale wychowano nas w szacunku do rodziców, a mieszkanie pod jednym dachem zobowiązywało do uznania ich zasad. Poza tym byli dla mnie bardzo dobrzy i nie chciałam ich zawieść. Zgodziliśmy się poczekać.

- Ale chyba zapomnieliście o tej obietnicy, kiedy za-

mieszkaliście w akademikach? - zapytał Dominic, nie spuszczać z niej wzroku.

- Uniwersytet był na sąsiedniej ulicy, więc najlepszym rozwiązaniem wydawało się mieszkanie w domu.

Przelotny uśmiech Dominika powiedział wszystko. Speszona, zaczęła bronić tej decyzji.

- Twierdzili, że część studentów jest bardzo zdemoralizowana i lepiej nam będzie w domu.

- No pewnie. - Zanim Nicola zdążyła to skomentować, ciągnął dalej: - Czyli skończyliście studia i wzięliście ten ślub... I co potem?

- Wprowadziłam się do pokoju Jeffa.

- Nie uważaliście, że mieszkanie z rodzicami jest cokolwiek... ograniczające?

Ona tak, bardziej niż Jeff.

- Gdybym mogła, wyprowadziłabym się - powiedziała obronnym tonem. - Oboje ukończyliśmy studia z wyróżnieniem, Jeff inżynierię, a ja języki i biznes, ale żadne z nas nie znalazło pracy... A zresztą rodzice całe życie spędzili w wynajętych mieszkaniach i chcieli, żebyśmy zostali u nich, póki nie będzie nas stać na kupno czegoś. Jeff się zgodził... Wiem, że to musi brzmieć niezbyt interesująco...

- Brzmi jak coś, co może człowiekowi kompletnie zniszczyć duszę - odparł Dominic prawie ze złością. Nicola zarumieniła się niemal boleśnie. - Wybacz. Nie powinienem był tak się odezwać - przeprosił, widząc jej reakcję.

- Nic nie szkodzi - odpowiedziała z udaną obojętnością. - Zresztą, nie było tak źle. Przynajmniej byliśmy z Jeffem razem... Chociaż byłoby miło, gdybyśmy mieli jakiś własny kąt... - dodała smutno.

- Nigdy nie zdołaliście się wydostać? Pokręciła głową.
- Udało mi się dostać pracę w biurze, ale Jeff nie miał szczęścia. Firma, w której się zaczepił, musiała zwolnić dużo ludzi, jego też. Wciąż byliśmy na dorobku, kiedy zdarzył się ten wypadek.

- Mówiłaś wcześniej, że po wypadku zamieszkałaś ze swoją przyjaciółką Sandy? Dziwię się, że nie zostałam w domu.

- Rodzice zginęli w tym samym wypadku. Mieli mnie we trójkę odebrać z pracy, kiedy uderzyła w nich ciężarówka. Wybieraliśmy się na rodzinne wakacje.

- I tak zostałam bez nikogo bliskiego?

- Sandy była dla mnie bardzo dobra.

- Jak poradziłaś sobie z wolnością?

- Chyba nie za dobrze. - Popatrzyła na niego, zaskoczona.

- Ale nigdy nie myślałam o tym jako o wolności... Czułam się raczej osamotniona. Tak bardzo tęskniłam za Jeffem...

- Skoro większość życia spędziliście razem, to chyba nic dziwnego. Jaki był?

- Bardzo podobny do ciebie - odezwała się bez zastanowienia.

Dominic szybko zmrużył oczy, ale wydało się jej, że nie był zbyt zadowolony z tego porównania.

- Cóż, skoro najwyraźniej go kochałaś, to chyba powinienem czuć się pochlebiony... - powiedział chłodno. - Ale nie jestem przekonany, że znasz mnie na tyle dobrze, by nas porównywać.

- Cho... chodziło mi o wygląd - wykrztusiła. - Był wysoki, ciemny i przystojny... jak ty.

- Stary frazes - zauważył drwiąco. - Ale mów dalej. Gdy opisała zmarłego męża, wyobrażając go sobie przy tym i nakładając jego rysy na twarz mężczyzny siedzącego naprzeciw niej, wiedziała, że ich podobieństwo to tylko złudzenie. Mieli jedynie podobny wzrost i karnację.

Jeff miał ponad metr osiemdziesiąt, ale w porównaniu z szeroką pierśią i ramionami Dominika wydawał się... jedyne słowo, jakie przyszło jej do głowy, to „chuderławy”.

Odsunęła je od siebie, czując się nielojalna.

Obaj mieli czarne, kędzierzawe włosy, ale u Dominika były one obcięte krótko, ujarzmione, podczas gdy Jeff miał chłopięcą szopę poskręcanych loków.

Był chłopięcy na wiele sposobów. Dłonie miał wielkie i kościste, jakby jeszcze do nich nie dorósł, twarz szczupłą i wrażliwą, o delikatnych rysach i marzycielskim wyrazie.

Ten mężczyzna nie miał w sobie nic z chłopca. Jego dłonie były silne i pięknie ukształtowane, o smukłych palcach i starannie obciętych paznokciach. Twarz miał szczupłą, o arystokratycznych rysach, z wyrazem siły i władczości.

Jeff był z natury delikatny, dobry i pełen współczucia.

O naturze Dominika nie wiedziała nic.

Jednak gdy teraz na niego patrzyła, przypomniła sobie, jak poprawił jej szal, i poczuła dziwną pewność, że może być czuły i opiekuńczy.

Tęskniła za tym. Za czułością. Opiekuńczością.

Dominic zauważył jej smutek i źle go zinterpretował.

- Chyba już czas na zmianę tematu. Posmutniałaś, a rozmowa o twoim mężu na pewno jest bolesna.

- Jeszcze niedawno była w ogóle niemożliwa - przyznała.
- Ale chyba w końcu zaczęłam się godzić z jego stratą.

I była to prawda. Dzisiaj mogła rozmawiać o Jeffie niemal bez bólu, chociaż było kilka trudnych chwil. Zawsze będzie miał specjalny kącik w jej sercu. Ale nie czuła już przytłaczającego ciężaru żałoby, którą nosiła przez trzy lata. Uświadczenie sobie tego przyniosło jej ulgę.

- Witaj z powrotem w świecie - powiedział poważnie Dominic. - Jakie masz plany na najbliższą przyszłość?

- Na najbliższą? Zostanę w Wenecji jakiś miesiąc. Może te wakacje staną się początkiem czegoś nowego. Widzisz, ja...

Szare oczy patrzyły na nią wyczekująco.

Już miała powiedzieć mu o Johnie i powodzie, dla którego jechała do Wenecji, ale uznała, że starczy zwierzeń na jeden wieczór.

- Nie miałam urlopu, odkąd zaczęłam pracę w Westlake. Pomyślałam, że czas już na odpoczynek.

- Byłaś kiedyś w Wenecji? - spytał Dominic.

- Nie, ale zawsze chciałam tam pojechać. Często sobie wyobrażałam ciepło, kolory, cudowne stare budynki, wszędzie wodę, tłumy ludzi...

- To chyba wszystko - uśmiechnął się. - Chociaż tłumy pojawiają się tylko latem i w karnawale, głównie w turystycznych strefach.

- Nie przeszkadzają ci?

- Mnie osobiście nie. W niejednej części Wenecji w życiu nie uświadczysz turysty. Tam żyją normalni wenecjanie.

- Długo tam mieszkasz?

- Całe życie, nie licząc trzech lat w Oksfordzie i roku podróży. Mój ojciec pochodził ze Stanów, ale rodzina mamy mieszkała w Wenecji od czasów dożów, kiedy Włosi byli narodem wielkich żeglarzy, jednym z najbogatszych

w Europie. Tamta epoka minęła pięćset lat temu, ale Wenecja pozostaje jednym z najpiękniejszych miast świata. Usłyszała w jego głosie entuzjazm i dumę.

- Lubisz tam mieszkać - stwierdziła.

- O, tak. Nigdy nie jest nudno. Wieczorami plac Świętego Marka jest idealny dla zakochanych. Jest tam coś takiego, że pary w każdym wieku muszą chwycić się za ręce...

Myśl o siedzeniu na placu Świętego Marka i trzymaniu się za ręce z Dominikiem wywołała w niej dreszcz.

- Zimno? - Zanim zdążyła się odezwać, przywołał gestem kelnera. - Chyba już czas na nas - dodał. - Oboje mamy jutro przed sobą długą drogę, a nie chcę wyruszać za późno.

Żałowała, że ten magiczny wieczór dobiega końca. Poprosiła poprowadzić się na dziedziniec oświetlony pochodniami.

Podstawiono samochód Dominika. Chwilę później byli już za bramą, na drodze w dolinę. Dominik prowadził milczący i skupiony, pokonując w ciemności ostre zakręty.

Pełna dziwnego podniecenia zastanawiała się, czy zapyta, gdzie ona zamierza się zatrzymać w Wenecji, albo czy proponuje spotkanie rano. Byłoby cudownie, gdyby zaproponował wspólne śniadanie...

Wciąż czuła to podniecenie i oczekiwanie, gdy zajęchali na parking Bregenzerwald. Pomógł jej wysiąść i, obejmując w tali, poprowadził w stronę windy.

Kiedy dotarli do jej pokoju, niezręcznie spróbowała włożyć klucz do zamka. Zaczynało jej się trochę kręcić w głowie. Może, skoro nie była przyzwyczajona do alkoholu, nie powinna była pić brandy przy kawie.

- Może ja. - Odebrał jej klucz, otworzył drzwi, po czym podał jej go z uśmiechem.

- Dziękuję...

Zrobiła krok do wnętrza. Poczowała nagły strach, że on po prostu odejdzie, więc odwróciła się pośpiesznie, by powiedzieć:

- I dziękuję za wspaniały wieczór.

Od gwałtownego ruchu zakreśliło jej się w głowie. Zachwiała się i oparła dłonie o jego pierś. Czowała ciepło jego ciała przez cienki materiał koszuli. Zamarł całkiem bez ruchu. Cofnęła się o krok.

- Przepraszam - powiedziała ochryplym głosem.

- Nie ma za co... Miło mi, że miałaś przyjemny wieczór. Słowa padły bez trudu, jednak w jego głosie było napięcie, a w twarzy coś, co sugerowało konflikt uczuć.

Zniknęło w mgnieniu oka. Uznała, że musiało jej się wydawać.

- No to dobranoc - powiedziała trochę niezręcznie.

- Dobranoc, Nicola.

Po raz pierwszy wypowiedział jej imię.

Zafascynowana patrzyła, jak jego usta składają się do każdej sylaby, i wiedziała, że pragnie, by ją pocałował. Że on musi ją pocałować.

Jakby w odpowiedzi na to nie wymówione żądanie, jego dłonie zamknęły się na jej ramionach. Przyciągnął ją do siebie i zawładnął jej ustami. Pocałunek był lekki, niemal eksperymentalny, jakby specjalnie się hamował, by poznać jej reakcję, zanim zdecyduje, co robić dalej.

Jej kolana znowu ugięły się i musiała oprzeć się na nim, by nie upaść. Otoczył ją ramionami i pogłębił pocałunek.

Nie zaprotestowała ani razu, gdy wziął ją za rękę i poprowadził w głąb pokoju, zamykając za nimi drzwi. Była świadoma tylko jego obecności i pragnień, które w niej rozbudził.

Rozpiął sukienkę i zsunął jej z ramion, by opadła na podłogę. Jego wargi porzuciły jej usta, by zmysłowo badać linię jej obojczyków i gładką skórę ramienia.

Kiedy dotarł do wrażliwego miejsca między szyją a ramieniem, jego pocałunki zmieniły się w delikatne ukąszenia, od których zrobiło jej się gorąco.

Powrócił do jej warg, rozpinając jednocześnie stanik bez ramiączek. Ujął w dłoń jedną z drobnych, jędrnych piersi i musnął kciukiem sutkę.

Gdy wciąż jeszcze usiłowała poradzić sobie z zalewem wrażeń, pochylił głowę i delikatnie wziął jedną z naprężonych sutek do ust. Jęknęła cicho, wplotła palce w ciemne włosy i odsunęła jego głowę od piersi.

Chwilę później została porwana na ręce i zanesiona do łóżka. Jedyne światło w pokoju wpadało przez okna z ulicy, ale nawet w mroku widziała lśnienie jego oczu, gdy delikatnie ułożył ją na łóżku i usiadł obok, by zdjąć z niej resztę ubrania.

ROZDZIAŁ TRZECI

Minęło tyle czasu, odkąd ktoś tulił ją i kochał, odkąd przepełniała ją świadomość, że ktoś jej potrzebuje, iż wcale nie protestowała. Jego dłonie były jednocześnie delikatne i zręczne, i chociaż nie zwlekał, nie okazywał też ani śladu pośpiechu.

Gdy była już całkiem naga, zażądał:

- Rozpuść włosy.

Jednocześnie sam się rozbierał. Jej włosy opadły swobodnie na ramiona, a on usiadł na brzegu łóżka i zaczął ją znów całować, wsuwając palce w gęste, jedwabiste pasma.

Szepnął jej, że nigdy nie widział tak pięknego ciała.

Gładził ją, dotykał i całował, a ona zaciskała i rozluźniała dłonie, zagubiona i oszołomiona, pochłonięta przez dziwny, wszechogarniający żar i podniecenie, jakich dotąd nie zaznała.

Wszystko, co robił, wciągało ją głębiej w wir pożądania. Zanim połączyli się w jedno, była już tylko drżącym kłębkim żądy i desperacko pragnęła ulgi, którą on jeden mógł jej dać.

Nicola wypłynęła wreszcie na powierzchnię. Odkryła, że jest jasny dzień. Zasłony nie były zaciągnięte, więc przez okna wpadało poranne słońce.

Przez chwilę leżała na pół obudzona, wpatrując się w biały sufit. Była odprężona i zadowolona. Od lat tak się nie czuła.

Próbowała leniwie odpędzić resztki snu i znaleźć powód tej euforii, gdy jej głowę wypełniły myśli o Dominiku. Zalały ją wspomnienia śniadej, przystojnej twarzy oraz rozkoszy, jaką jej dał.

Odwróciła głowę.

Była sama, a jego ubranie zniknęło. Najwyraźniej wrócił do własnego pokoju. Ale wystarczył sam widok odcisku jego głowy na poduszce, wspomnienie miłości, by rozkwitła jak kwiat w słońcu.

Świat tak długo wydawał się pusty i zimny. Pozbawiony radości, ciepła i miłości. Próbowała zagłuszyć swoje naturalne potrzeby, zamrozić tęsknoty i uczucia, podczas gdy życie toczyło się wokół niej.

A teraz los zaoferował jej jeszcze jedną szansę na szczęście, jakby w zadośćuczynieniu za ciosy, jakie jej zadał. Chwyciła tę szansę w sposób, który był nie tylko do niej niepodobny, ale który, gdyby myślała rozsądnie, uznałaby za szalony i nieodpowiedzialny.

Wiedziała o Dominiku tylko tyle, ile zdołała odkryć tego jedyne go wspólnie spędzonego popołudnia i niezwykłego wieczoru. Że był uroczym towarzyszem, inteligentnym i czarującym, obdarzonym poczuciem humoru i pełnym staroświeckiej galanterii.

Nie miała pojęcia, jakim jest człowiekiem.

Poszła do łóżka z mężczyzną, którego dopiero poznała. Było to wielkie odejście od zasad - musiała przyznać, że graniczyło z szaleństwem.

Nie była w stanie żałować nawet jednej chwili, ale musiała się zastanowić, dlaczego właściwie zachowała się tak nierozsądnie.

Na pewno przyczynił się do tego alkohol. Ale powinna szczerze przyznać, że to nie alkohol był winny.

Od samego początku Dominic wydał jej się nieodparcie atrakcyjny, a cały magiczny wieczór - jazda, zamek, atmosfera, znakomite jedzenie, przepiękne widoki - wszystko miało tu znaczenie.

Idealna sceneria dla uwodziciela.

Ale jego też nie mogła obwiniać. Przecież pragnęła tego, co się zdarzyło. Przyznała sama przed sobą, że pewnie bardziej niż on sam, wspominając jego pierwszą reakcję na przypadek, który - teraz zrozumiała to z niepokojem - musiał uznać za zachętę.

Gdyby mu wyjaśniła, że rzadko pija alkohol... A może lepiej nic nie wyjaśniać? Nie chciała, żeby czuł się winny albo uznał, że próbuje zważyć na niego całą odpowiedzialność.

Ale co ma tu do rzeczy wina, odpowiedzialność? Przecież nie wywierał na nią nacisku. A ona była chętną partnerką. ..

I wszystko było cudowne. Westchnęła. Był kochankiem nie tylko doświadczonym, ale też hojnym i domyślnym. Na samo wspomnienie namiętnej miłości jej serce zaczęło bić szybciej.

Jeff był kochankiem delikatnym i czułym, pełnym ciepła i wrażliwości, poza tym była świadoma jego głębokiego uczucia, ale aż do tej ostatniej nocy nie wiedziała, że w ich związku brakowało namiętności. I doświadczenia.

Tyle ją ominęło.

Największą dla niej przyjemnością, często jedyną, było leżenie po wszystkim w jego ramionach. Była szczęśliwa, że on jest usatysfakcjonowany.

Ile było w tym jej własnej winy? Czy można to w ogóle nazwać winą? Może miała zbyt wiele zahamowań, by całkiem się zapomnieć i cieszyć się tą stroną małżeństwa, którą - była tego całkiem pewna - przybrana matka uważała w głębi serca za „niezbyt przyzwoitą”.

Może byłoby inaczej, gdyby zdołali się z Jeffem wyrwać - wyrwać... zaczynała używać słów Dominika - ale nie ma sensu rozmyślać o tym, co mogło być. Ta część jej życia jest zamknięta. Los ją zakończył.

Teraz, nareszcie, po zachęcie Johna i poznaniu Dominika, szła w stronę nowej, fascynującej i - oby - dużo szczęśliwszej jego części.

Przypomniała sobie, że Dominic wspominał o wczesnym wyjeździe. Pewnie czeka na nią w jadalni i zastanawia się, dlaczego jej nie ma.

Wstała z łóżka. Jej rozrzucone ubranie zostało pozbierane i starannie ułożone na krześle. Wzięła szybki prysznic i pośpiesznie spakowała walizkę.

Stanąła przed lustrem. Zobaczyła w nim obcą młodą kobietę z uśmiechem na ustach. Szczęśliwą i podekscytowaną kobietę o twarzy w kształcie serca i lśniących zielonych oczach.

Upięła włosy, zostawiła bagaż tam, gdzie leżał, i pobiegła do windy.

Przestronna i jasna sala śniadaniowa wychodziła na wschód. Trzy czy cztery stoliki były zajęte, a przy bufecie

para starszych ludzi rozmawiała po angielsku, zastanawiając się, czy lepiej wziąć bułeczki, czy rogaliki. Dominika nie było.

A jednak zeszła pierwsza. Postanowiła podkuczać mu z tego powodu. Nalała sobie soku, wzięła rogalik i usiadła przy dwuosobowym stoliku. Kiedy pojawił się kelner, poprosiła o kawę.

Zjadła swój rogalik, wypła dwie filiżanki kawy, a on wciąż się nie pojawiał.

Wróciła na górę i zapukała do jego drzwi.

Nikt nie odpowiedział.

Zapukała mocniej, myśląc, że może jest pod prysznicem.

Nadal cisza.

Stała tak w korytarzu, wahając się, co robić, gdy pojawiła się pokojówka ze świeżą pościelą. Zerknęła z ciekawością na Nicole, po czym otworzyła drzwi pokoju 54 służbowym kluczem.

- Mężczyzna, który tu mieszkał... - powiedziała Nicola ostrożnie - chciałam z nim porozmawiać.

- Wyjechał, *fraulein*. Pokój jest pusty.

- Ach. - Widocznie się rozminęli, może był w recepcji.

Nicola wróciła do własnego pokoju, zabrała bagaż i zjechała do foyer. Było tam kilka osób, w tym mężczyzna, którego widziała poprzedniego dnia, ale nie było Dominika. Zapłaciła i ruszyła na parking. Załadowała wszystko do bagażnika i poszła tam, gdzie stał biały samochód Dominika.

Nie było go.

Przecież nie wyjechałby bez słowa!

Szybko wróciła do recepcji i zapytała:

- Czy ktoś zostawił dla mnie wiadomość? Wręczono jej białą kopertę z logo hotelu.

- Proszę o wybaczenie, *fraulein*. Powinna ją pani dostać, gdy oddawała pani klucz, to duże niedopatrzenie.

Opadła na jeden z foteli i rozerwała ją szybko.

Na kartce hotelowej papeterii napisano wyraźnym, mocnym pismem:

Interesy kazały mi wyruszyć jak najwcześniej, a ty spałaś tak słodko, jak wychodziłem, że nie miałem serca cię budzić. Milej podróży. Czekam, aż zobaczymy się w Wenecji.

Dominic

Czekam, aż zobaczymy się w Wenecji...

Ale nigdy nie zapytał, gdzie zamierzała się zatrzymać, ani nie powiedział jej, gdzie sam mieszka.

Opowiedziała mu całe swoje życie, a on nie zdradził prawie nic na swój temat. Wiedziała tylko, że był biznesmenem mieszkającym w Wenecji.

Wenecja to duże miasto, mieszka w nim mnóstwo ludzi.

Nicola usiadła i tępo wpatrywała się w kartkę. Dotarło do niej, że odszedł. Gdyby chciał zobaczyć się z nią w Wenecji, dałby jej numer telefonu.

Zagryzła wargi, aż poczuła ciepłą, słoną krew.

Przez całe życie była ostrożna, wręcz przesadnie. W końcu odrzuciła wszelkie zahamowania i zrobiła coś, co do niej zupełnie nie pasowało.

Jak najgorsza idiotka uważała, że wspólna noc jest czymś wyjątkowym, początkiem cudownego związku. A jego zdaniem była to najwyraźniej przygoda na jedną noc.

To, że wydawał się czuły i troskliwy, nie oznaczało, że mu na niej zależy. Po prostu był dobrym kochankiem. Dla

niego była tylko kobietą, która chciała - i to bardzo - iść z nim do łóżka. Pewnie był przyzwyczajony, że kobiety rzucają się na niego.

Przypomniała sobie, jak się zawahał, zanim ją pocałował. To, co dostrzegła na jego twarzy, musiało być naganą. Poczowała gwałtowny przypływ wstydu i upokorzenia. Rzuciła się w ramiona mężczyźnie, który czuł dla niej chyba tylko pogardę.

Mógł nawet być żonaty.

Nie zapytała o to, on też nic nie wspomniał. Ale przecież jeśli zdradzał żonę, nie trąbiłby o tym na prawo i lewo.

Właściwie, jeśli się nad tym logicznie zastanowić, to skoro był pół Włochem i mieszkał we Włoszech, prawie na pewno miał żonę i rodzinę. Włosi żenią się wcześniej niż Angliki, a on musiał mieć koło trzydziestki.

Nicoli zdawało się, że jej serce zmieniło się w kamień. Już miała wyrzucić liścik do najbliższego kosza, ale w ostatniej chwili zmieniła zdanie i schowała go do torebki.

On go napisał, było to jedyne, co ich jeszcze łączyło. Wiedziała, że zachowuje się jak idiotka, ale jakoś nie potrafiła wyrzucić kartki.

Dzień był piękny, słońce świeciło mocno, niebo było błękitne. Ale cała przyjemność z podróży zniknęła. Smutna i zawstydzona swoją przygodą wyjechała z Innsbrucku i skierowała się na południe.

Ponieważ musiała skupić się na prowadzeniu samochodu, a dodatkowo podziwiała górskie widoki, udawało jej się nie myśleć o nim przez długie okresy. Trasa przez przełęcz Brenner okazała się malownicza i interesująca.

Sięgnęła po jedną z kaset, które zabrała na drogę. Wnętrze samochodu wypełniły wibrujące tony koncertu Rachmaninowa.

Zasłuchana w piękną, pełną pasji muzykę, znowu zaczęła myśleć o Dominiku i nocy, którą razem spędzili.

Obudziła się akurat w chwili, gdy wstawał świt, z głową na jego ramieniu. On leżał cicho na wznak, z otwartymi oczami.

Szczęśliwa, że jest przy niej, przytuliła się do niego. Objął ją mocniej i delikatnie ścisnął jej pierś. Dotknęła go, przesu-
wając palcami po żebrach, twardych mięśniach pod gładką, opaloną skórą, po linii obojczyka i niewielkich sutkach. Usłyszała, że gwałtownie wciągnął powietrze. Z wielką odwagą pozwoliła, by jej dłoń zsunęła się na płaski brzuch i niżej.

- Jeśli nie przestaniesz, czekają cię kłopoty - mruknął. A ona, która nigdy w życiu nie pozwalała sobie na podobne zabawy kochanków, odpowiedziała prowokująco:

- Jakie kłopoty?
- Bardzo duże kłopoty.
- Jakoś sobie poradzę.

Jej słowa zakończyły się cichym okrzykiem, gdy przekreślił ją na wznak i przycisnął do materaca.

Kiedy pomyślała o tym, co stało się później, załała ją fala gorąca. Ale nie z rozkoszy, lecz z upokorzenia.

Zatrzymała się na obiad w przydrożnej restauracji. Do Wenecji dotarła późnym popołudniem. Przejechała przez trzyipółkilometrowy Ponte delia Liberta.

Jazda wybrzeżem była niezbyt ciekawa, jak również dojazd do miasta, nie licząc samego mostu.

Nagle, całkiem nieoczekiwanie, zaczęły pojawiać się kopy i wieże, dziwnie piękne i niematerialne, niczym fatamorgana na pustyni.

Za to Piazzale Roma okazał się prozaiczny, jak każdy duży plac z pętlą autobusową. Otaczały go budki, gdzie sprzedawano hot dogi i zimne napoje, schłodzone świeże melony i cienkie białe plasterki kokosów. Było gorąco, tłoczno i brudno, hałasowały silniki i spaliny unosiły się w powietrzu wraz z zapachem smażonej cebuli.

Dalej ruch samochodowy był zabroniony. Wszystkie pojazdy zostawały w prywatnych garażach albo na publicznych parkingach.

Nicola zatrzymała się, niepewna, dokąd dalej. Mały chłopiec, może jedenasto- czy dwunastoletni, w podartej koszulce i tenisówkach, podszedł do samochodu i odezwał się do niej przez otwarte okno:

- Angielka? Na wakacjach?
- Tak - odpowiedziała ostrożnie.
- Ja popilnuję walizki, jak pani będzie parkować. A potem pokażę, gdzie złapać *vaporetto*.

Czy odważy się zostawić bagaż pod opieką śniadego łobuziaka?

- Dobrze mówisz po angielsku - zauważyła, by dać sobie chwilę na zastanowienie.

- Nauczyłem się od żony mojego kuzyna. Mieszkała w Ameryce, długo. Pani postawi walizkę tu - pokazał kamienne schodki - a ja popilnuję, aż pani wróci.

Wszystkie naprawdę cenne rzeczy miała w małej walizeczce, a w tym upale ulgę przyniosłoby zostawienie gdzieś tej większej.

Zauważył jej wahanie.

- Jest OK - zachęcił. - Ja nie kradnę.
- Jak się nazywasz?
- Carlo Foscari.

Nicola wysiadła. Wtedy dostrzegła niezbyt wysokiego, mocno zbudowanego mężczyznę o czarnych włosach, który wpatrywał się w nią uważnie. Przypomniała sobie, co Sandy mówiła na temat Włochów, więc udawała, że go nie dostrzega.

Wyciągnęła wielką walizkę z bagażnika, by postawić ją na zakurzonym chodniku. Kiedy podniosła wzrok, obserwujący ją mężczyzna zniknął.

Wyjęła z torebki dość banknotów, by - przynajmniej taką miała nadzieję - gotówka stała się bardziej atrakcyjna od walizki z ubraniami, i przedarła je na pół. Połówki dała chłopcu, drugie schowała z powrotem do torebki. Ku jej zdumieniu uśmiechnął się, wpychając połówki banknotów do kieszeni wystrzepionych szortów.

- Pani mi nie ufa.
- A ty na moim miejscu zaufałyś komuś obcemu? - zapytała z uśmiechem po włosku. Spojrzał na nią z szacunkiem.

- Pani dobrze mówi po włosku, *signorina*...
- Whitney - podsunęła.
- Whitney... - Wymówił to całkiem nieźle. - Ale ja chcę ćwiczyć mój angielski... Tam jest parking na dłużej - poinstruował, machając brudną łapką. - Ja zaczekam tutaj.

Kiedy wróciła z kwitem i mniejszą torbą, obdarzył ją dumnym uśmiechem.

- Widzi pani! Ja nie kradnę. Tędy - oznajmił bardzo ważnym tonem i złapał wielką walizę.

- Może lepiej ja to wezmę - zaprotestowała. - Dla ciebie za ciężka.

- OK... Potrzebna pomoc. - Uniósł dwa palce do warg i wydał przeraźliwy gwizd. - Mario przyjdzie.

Mario okazał się przystojnym młodzieńcem o falujących brązowych włosach i rozmarzonych ciemnych oczach. Pojawił się jakby znikąd.

- Mój brat - wyjaśnił krótko Carlo.

Nicola została poprowadzona w dół kamiennych schodów do Canal Grande i przystani, gdzie zatrzymywały się *vaporetti*.

Główny kanał Wenecji okazał się szerszy, niż oczekiwała. Na lśniącej powierzchni wody roiło się od wszelkiego rodzaju łodzi, barek, motorówek i gondoli.

- O, jest. - Wydawało się, że Carlo czuje się osobiście odpowiedzialny za przybycie zatłoczonego wodnego autobusu, który zbliżał się właśnie do przystani.

Nicola wyjęła z torebki połówkę banknotów i podała mu.

- *Grazie*, Carlo.

Mario był wyraźnie starszy - miał osiemnaście albo dziewiętnaście lat - dużo lepiej ubrany. Zastanawiała się, czy dać mu jakieś pieniądze. Chyba domyślił się jej rozterki - uśmiechnął się, błyskając białymi zębami, i oznajmił:

- Cała przyjemność po mojej stronie, *signorina*.

- *Grazie*, Mario - odpowiedziała, ciesząc się, że nie uraziła jego dumy. Ten jeden uśmiech sprawił, że całkiem zapomniał o dziewczynie, z którą był umówiony wieczorem.

- Gdzie pani mieszka? - zapytał Carlo.

- Hotel Lunga. Campo Dolini.
- Znam. Trzeba kupić *biglietto* do San Sebastian. Iść Calle Dolini.

Vaporetto przybiło do przystani. Omal ich nie zdeptał tłum wysiadających.

- Dzisiaj wieczorem potrzebuje pani przewodnika, żeby zobaczyć Wenecję? - zapytał Carlo z nadzieją.

- Nie, Carlo, dziękuję.

Kiedy poniósł ją tłum podróżnych chcących wsiąść, zawołał za nią:

- *Ciao*, signorina Whitney.

Kiedy wreszcie zdołała wsiąść na pokład i znaleźć trochę miejsca na swoje walizki, Carlo i Mario zniknęli w tłumie.

Canal Grande był malowniczy i kolorowy. Z obu stron stały marmurowe pałace, barokowe i rokokowe kościoły i piękne, stare budynki. Niektóre wyglądały na dość zaniedbane, schody sypały się, a ściany nad wodą były brudne i pokryte wodorostami. Jednak nawet w takim stanie wydawały się niezwykle piękne.

To było miasto Johna, chociaż nie był Włochem z urodzenia.

Było to też miasto Dominika...

To wspomnienie sprawiło, że nagle ścisnęło się jej gardło. Gdy dotarła do San Sebastian, wciąż jeszcze usiłowała wyrzucić z myśli wspomnienie Dominika.

Calle Dolini okazała się niewielką uliczką wiodącą w lewo. Szła zacienioną stroną, co chwila przystając z wielką walizką.

Nie znajdowała się w pobliżu najatrakcyjniejszych dla turystów miejsc, a dodatkowo był upał. W okolicy do-

strzegła jedynie mężczyznę, dosyć od niej oddalonego. Najwyraźniej mu się nie spieszyło, gdyż nie dogonił jej, chociaż przystawała.

Kiedy wreszcie wyszła na Campo Dolini, zobaczyła cichy, zakurzony plac otoczony domami z pozamykanymi okiennicami. Wejście do hotelu Lunga - najwyraźniej tylne - nie wyglądało zachęcająco. Stiuki odpadały, okna zasłaniały okiennice, a z drzwi obłaziła farba.

Wnętrze okazało się jednak wręcz luksusowe, z lśniącoymi marmurowymi podłogami i kryształowymi żyrandolami.

Dostrzegła, że główne wejście znajdowało się od strony kanału, równoległego z końcem *campo*. Schodki prowadziły w dół, do przystani dla gości przybywających wodnymi taksówkami.

Zameldowała się i wjechała na trzecie piętro. Pokój był chłodny, raczej mroczny i przestronny. Wyposażono go w niezbędną ilość lekkich, nowoczesnych mebli.

Okna były szeroko otwarte, ale okiennice zostawiono zamknięte, by zatrzymać promienie słońca. Otworzyła je kilka centymetrów i zobaczyła przed sobą *campo*, w dwóch trzecich skąpane w słońcu.

Na odległym, zacienionym końcu placu dostrzegła mężczyznę podobnego wzrostu i budowy jak ten, który przyglądał się jej na Piazzale Roma.

Pochyliła się do przodu, by lepiej go zobaczyć. Nagle drewniana okiennica zaskrzypiała i otworzyła się szeroko. Gdy odzyskała równowagę i znowu spojrzała w tamtą stronę, nikogo już na placu nie było.

Postanowiła wziąć prysznic i przebrać się. Gdy stała tak

pod strumieniem wody, rozprowadzając żel po wilgotnym cieple, przypomniała sobie, jak dłonie Dominika badały jej kształty...

Gwałtownym ruchem odkręciła kran z zimną wodą.

Wyjęła z walizki czystą bieliznę i zieloną jedwabną sukienkę z zakietem. Resztę rozpakuje później. Wiedziona impulsem włożyła do torebki klucze do Ca' Malvasia i wyruszyła na zwiedzanie miasta.

Wyszła tym razem przez główne wyjście i zatrzymała się na słonecznym chodniku, by przyjrzeć się mapie. Plac Świętego Marka, centrum miasta, leżał nad brzegiem laguny. Nie będzie trudno go znaleźć...

Nagle stanęła jej przed oczami surowa, przystojna twarz Dominika. On prawie na pewno jest tutaj, w Wenecji... Zdawało się, że żelazna obręcz ściska jej serce. Gdyby tylko sprawy potoczyły się inaczej. Z takim mężczyzną byłaby gotowa spędzić resztę życia.

Och, nie bądź taką idiotką! - napomniała się ze złością. Jak mogło w ogóle przyjść jej do głowy coś tak głupiego? Nie знаła go przecież. A jeśli słusznie zakładała, że jest żonaty, to czy naprawdę chciałaby być z mężczyzną, któremu tak łatwo przychodziła małżeńska zdrada?

Wróciła do mapy, próbując znaleźć dom, który - w co ciągle z trudnością mogła uwierzyć - należał do niej.

Signor Mancini powiedział, że Ca' Malvasia znajduje się na Campo dei Cavalli, niedaleko Canal Grande. Dodał jeszcze, że za działką przepływa Rio dei Cavalli, więc można tam dostać się także drogą wodną.

Uznała, że rzekę będzie łatwiej znaleźć niż plac, więc

ruszyła wzdłuż Canal Grande, obserwując oba brzegi... I rzeczywiście, dostrzegła ją - a zaraz dalej *campo*.

Z samego rana była umówiona z signorem Mancinim, który miał oprowadzić ją po Ca' Malvasia. Jednak niecierpliwość kazała jej uznać, że skoro odnalazła dom teraz, to równie dobrze może zajrzeć do środka.

Przeszła mocno wygiętym mostkiem z ozdobnymi balustradkami z kutego żelaza i skierowała się na zachód.

Szybko zrozumiała, jak łatwo jest zgubić się w Wenecji. Dalej od centrum znajdował się istny labirynt wąskich uliczek, których nazwy wypisano wysoko na rogach budynków. Z pewnością byłoby dużo prościej wrócić do Canal Grande i iść wzdłuż niego, ale chciała obejrzeć te części Wenecji, gdzie rzadko docierali turyści. Codzienną Wenecję, którą znał John. Wenecję, którą Dominic znał i kochał.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Ze względu na sieć kanałów nie dawało się wybrać prostej trasy. Szła więc zakolami, przechodziła przez niezliczone mostki, aż w końcu znalazła alejkę prowadzącą do jej celu.

Na pierwszy rzut oka Campo dei Cavalli wydawał się cichym, zapomnianym placykiem. Jednak piękna, marmurowa fontanna stojąca na środku, ozdobiona czterema rumakami o długich grzywach, galopującymi wśród piany, świadczyła o chlubnej przeszłości.

Plac wydawał się cichy i opuszczony. Nicola rozejrzała się wokół i zobaczyła mężczyznę z telefonem komórkowym przy uchu, znikającego w jednej z alejek. Dziwnie nie pasował do tego miejsca.

Na Rio dei Cavalli wychodziło kilka starych, pięknych *palazzi*- Signor Mancini wspomniał, że tył Ca' Malvasia przytyka do wody, ale chyba żaden z tych pałaców nie mógł być domem, którego szukała. Może źle zrozumiała i dom nie stał na samym *campo*?

Kiedy stała tam, niepewna, co robić, starsza pani z głową nakrytą koronkowym szalem wyszła z kościoła i ruszyła w jej stronę.

- *Scusi, signora* - zaczęła uprzejmie Nicola - czy może mi pani pomóc? Szukam Ca' Malvasia.

- Jest zaraz obok Palazzo dei Cavalli.

Nicola nie widziała żadnej przerwy w fasadzie pałacu, na który wskazywała pomarszczona dłoń. Starsza pani dostrzegła jej nic nie rozumiejące spojrzenie.

- Kiedyś Ca' Malvasia było częścią *palazzo*. Tam jest wejście.

Z prawej strony imponującego wejścia do *palazzo* znajdowały się wygięte schodki, prowadzące do czarnych, nabijanych metalem drzwi. Z każdej strony znajdował się rząd wąskich, wysokich okien.

- *Grazie, signora. Buona sera.*

- *Buona sera.*

Starsza pani skinęła jej przyjaźnie głową i ruszyła w swoją stronę. Nicola odchyliła głowę, by popatrzeć na dom, który należał teraz do niej.

Miał cztery piętra, a okna dwóch ostatnich zdobiły balkony. Ca' Malvasia wyglądał na dużo większy i wspanialszy, niż sobie wyobrażała. Na najniższym piętrze nie było żadnych okien - pewnie trzymano tam łodzie. Okna na wyższych piętrach były zamknięte.

Weszła na schody i spróbowała włożyć największy z kluczy do zamka. Przekreślił się bez większych trudności.

Otworzyła ciężkie drzwi i weszła do wnętrza. Panował tu przyjemny chłód i mrok - miła odmiana po upale na Campo dei Cavalli. Było też raczej duszno. Nie zdziwiłaby się słysząc, że dom był zamknięty przez całe lata.

Kiedy oczy Nicoli przywykły już do mroku, zobaczyła, że stoi w wykładanym marmurem holu z przepięknymi schodami. Przez okiennice wpadało akurat tyle światła, by mogła dostrzec kilkoro zamkniętych drzwi po każdej stronie.

Skoro dotarła już tutaj, szkoda byłoby nie rozejrzeć się trochę po domu... Chociaż nie chciała urazić signora Manciniego, uprzedzając go...

Ale jeżeli nie będzie otwierała okiennic i niczego nie ruszy, on nigdy się nie dowie, że tu była.

Przy drzwiach były elektryczne wyłączniki. Wypróbowała je bez wielkiej nadziei. Nie działały.

No cóż, przynajmniej będzie wiedziała, jak rozmieszczone są pokoje.

Zostawiła frontowe drzwi częściowo otwarte i zaczęła zaglądać do pokoi. Nawet w mroku dostrzegła malowane sufity i antyczne meble.

Na drugim końcu holu wysklepiony łuk prowadził do szerokiego kamiennego korytarza, wiodącego, jak zgadywała, do dawnych kuchni i pomieszczeń dla służby. Ledwo dostrzegła wydeptane schody, znikające w górze, w kompletnej ciemności.

Wróciła do holu i weszła na eleganckie schody prowadzące na galerię.

Stanąła właśnie na ostatnim stopniu, gdy usłyszała głośnie stuknięcie. Głuche echo wciąż jeszcze odbijało się w korytarzach, gdy odwróciła się i zobaczyła, że prostokąt światła zniknął.

Drzwi frontowe były zamknięte.

Może zatrzasnął je jeden z tych nagłych podmuchów wiatru? A może zamknęły się same? Zawahała się, zaniepokojona nagle, choć bez wyraźnego powodu. Zastanawiała się, czy zejść na dół i znów je otworzyć.

Ale przecież niewielka ilość światła, która przez nie wpadała, nic nie zmieni na piętrze, które miała teraz zamiar

zwiedzić. Zresztą może bezpieczniej, gdy drzwi są zamknięte? W tym domu musi być sporo cennych rzeczy, a ona nie ma pojęcia o złodziejach w Wenecji.

Wzięła się w garść i podeszła do najbliższych drzwi. Były to wyraźnie pokoje, w których mieszkali John i jego żona. Nawet w mroku zauważyła, że wystrój był swobodny, a meble względnie nowoczesne, chociaż drzwi miały, podobnie jak na parterze, ciężkie metalowe klamki i żelazne zamki. W niektórych tkwiły klucze.

Nicola, ciekawa, dokąd prowadzi korytarz, ruszyła nim ostrożnie. Daleko od słabego światła wpadającego przez okiennice na galerii było naprawdę ciemno. Na wszelki wypadek trzymała dłoń na najbliższej ścianie.

Nagle dosłyszała inny, cichy dźwięk.

Przeszył ją dreszcz. Zatrzymała się i odwróciła, wpatrując się w ciemność, wstrzymując oddech i nasłuchując.

Znowu - najcichsze z możliwych stąpięcie.

W ciasnej przestrzeni kamiennego korytarza nie można było dokładnie wskazać, skąd dobiegał dźwięk. Wiedziała jednak, że ktoś musiał iść za nią.

Ktoś blokował jej drogę ucieczki.

Oddech zamarł jej w płucach, serce waliło jak młotem. Zrozumiała nagle, że jedynym wyjściem jest iść do przodu. Kiedy dotrze do drzwi, może uda się je zamknąć, a potem otworzyć okno i wezwać pomocy.

Zrobiła tylko kilka pośpiesznych kroków, gdy czarny kształt oddzielił się od otaczającej ciemności i stanął przed nią. Ten ktoś wcale nie szedł za nią, ale czekał w zasadzce.

Wyrwał jej się zduszony okrzyk. W napadzie ślepej paniki odwróciła się, by uciec drogą, którą przyszła.

- Nicola, stój! - wykrzyknął ktoś gwałtownie. - W tej ciemności zrobisz sobie tylko krzywdę.

Zanim dobiegło do niej to ostrzeżenie, noga wykręciła się jej w kostce. Upadła do przodu i walnęła głową w ścianę.

Kiedy odzyskała przytomność, leżała na kanapie, bez żakietu i butów. Brodaty mężczyzna w średnim wieku starannie badał jej lewą skroń.

Wyprostował się i zwrócił po włosku do kogoś, kogo nie widziała ze swojego miejsca.

- Na szczęście uderzenie nie było zbyt mocne.

Wydobył z czarnej teczki małą latarkę i poświecił cienkim promieniem najpierw w jedno, potem w drugie oko. Zastanowił się chwilę, po czym energicznie wydał diagnozę.

- Nie ma śladów wstrząsu mózgu. Wspominał pan coś jeszcze o ewentualnie skręconej kostce...

Pochylił się, by zbadać jej lewą nogę. Kostka zaczynała puchnąć.

Skrzywiła się, gdy jego palce nacisnęły mocniej.

- Tak, lekkie skręcenie. Trochę poboli i zeszywnieje, może jeszcze spuchnie, ale to wkrótce minie.

Wydobył mały pojemnik i spryskał czymś zranione miejsce. Środek wydawał się lodowato zimny.

- Zostawię trochę środków przeciwbólowych. Pacjentka powinna zażyć dwa natychmiast, a potem zależnie od potrzeby. Jeżeli pojawią się mdłości, kłopoty z widzeniem, proszę natychmiast mnie zawiadomić.

- Oczywiście. Bardzo dziękuję za tak szybkie przybycie, doktorze. Stefano odprowadzi pana do drzwi.

Nie widziała drugiego mężczyzny i nigdy dotąd nie sły-

szala, jak mówił po włosku, ale jego głos rozpoznałaby wszędzie.

Rozpoznała go już za późno, gdy rzuciła się do ucieczki.

- Jak się czujesz? - Dominic stanął przy niej, ubrany w jasne spodnie i sportową koszulę.

- Nic mi nie jest - odpowiedziała, usiłując usiąść. Od nagłego ruchu zakreśliło jej się w głowie i musiała zamknąć oczy. Niemożliwe, pomyślała zdezorientowana, to musi być bardzo wyrazisty sen. To przecież nie mógł być Dominic.

Znowu otworzyła oczy i przekonała się, że to jednak on.

- Nie rozumiem - powiedziała słabym głosem, gdy pomógł jej usiąść i podłożył poduszkę pod plecy.

- Czego nie rozumiesz?

- Niczego... Gdzie jestem. Co ja tu robię. Co ty tu robisz...

- Jesteś w Palazzo dei Cavalli, a ja tu jestem, bo tutaj mieszkam. Jeżeli jeszcze się nie zorientowałaś - dodał ironicznie - jesteśmy sąsiadami. Przyniosłem cię tu, jak straciłaś przytomność.

Uniosła dłoń do obolałej skroni.

- Ale co robiłaś w Ca' Malvasia? I skąd w ogóle wiesz, że jesteśmy sąsiadami? - dodała nerwowo, gdy nie odpowiedział na pierwsze pytanie.

- Najlepiej byłoby zostawić resztę pytań na później - odpowiedział chłodno. - Przeżyłaś niemiły wstrząs, i jeszcze ten guz na głowie. Moja gospodyni zaraz ci przyniesie herbaty i środki przeciwbólowe od doktora Castello. A potem lepiej leż, dopóki nie skończę swoich spraw. Wtedy, jeśli będziesz się dobrze czuła, możemy poważnie porozmawiać.

Zanim zdążyła się sprzeciwić, odwrócił się do niej plecami. Po chwili rzeźbione dębowe drzwi zamknęły się za nim cicho.

Nicola rozejrzała się wreszcie wokół, mając ochotę mocno się uszczypnąć. Znajdowała się w pięknym pokoju o eleganckich proporcjach. Umeblowano go jak salon służący jednocześnie za gabinet, w eklektycznym stylu. Przy całej swej pałacowej wspaniałości wyglądał na wygodny i zamieszkały.

Ale dlaczego Dominic Loredan tu mieszkał?

No, a niby dlaczego nie? Powiedział, że mieszka w Wenecji. Fakt, że mieszkał w pałacu nie był aż tak dziwny. Wenecja była kiedyś wielkim i bogatym miastem, dużo ludzi musiało mieszkać w pałacach.

Zastanawiające było to, że w tak wielkim mieście on musiał mieszkać akurat obok domu, który kiedyś należał do Johna, a teraz do niej.

Przyszło jej do głowy jeszcze coś. W korytarzu w Ca' Malvasia było ciemno, Dominic nie mógł w żadnym wypadku dostrzec jej twarzy, a jednak wiedział, kim była. Zawołał przecież: „Nicola, stój!”

Jej rozmyślenia przerwało wejście starszej kobiety w czarnym stroju, niosącej tacę z herbatą. Postawiła ją na stoliku obok kanapy, wskazała dwie białe tabletki leżące na niewielkim talerzyku i powiedziała łamaną angielszczyzną:

- Signor Dominic mówi, że wziąć.
- Dziękuję...
- Maria - uzupełniła.
- *Grazie*, Maria.
- Pani zna włoski?

- *Si.*

Na szerokiej twarzy gospodyni pojawiła się ulga.

- Dominic kazał powiedzieć - ciągnęła już we własnym języku - że przyjdzie do pani za jakąś godzinę... - Napełniła porcelanową filiżankę ze srebrnego dzbanuszka. - Mam pani przypomnieć, że kiedy już pani wypije herbatę, powinna się pani położyć i odpoczywać.

Maria najwyraźniej uważała słowa swojego pracodawcy, chociaż sformułowane jak najuprzejmiej, za rozkaz.

- *Grazie* - powiedziała Nicola.

- Czy potrzebuje pani czegoś jeszcze, *signorina*?

- *No, grazie*, Maria.

Kiedy gospodyni wyszła, Nicola wypła herbatę i połknęła tabletki. Próbując ignorować pytania, które krążyły w jej głowie, położyła się i zamknęła oczy...

Kiedy je znowu otworzyła, Dominic siedział na brzegu kanapy i patrzył na nią. Nie mogła odczytać wyrazu jego twarzy, jednak coś w jego pozie przekonało ją, że obserwuje ją tak już od jakiegoś czasu.

Ta myśl dziwnie ją zaniepokoiła. Czuła się bezbronna.

Przebrał się w białą koszulę i znakomicie skrojoną marynarkę. Jego czarne włosy były wciąż wilgotne po prysznicu. Wyglądał wprost olśniewająco.

- Jak się teraz czujesz? - zapytał. Szare oczy studiowały jej twarz.

- Dobrze.

- Jeżeli dobrze pamiętam, to samo powiedziałaś wcześniej. Wtedy było to oczywiste kłamstwo.

- Ale teraz to prawda.

- Jesteś głodna?

- Jak wilk.
- To uspokajające. Chcesz zjeść tutaj...?

Zawahała się. Tylko tego brakowało, żeby dzielić stół z jego żoną...

- A może wolałabyś gdzieś pójść, jeżeli twoja kostka na to pozwoli?

- Jesteś żonaty? - Słowa te wymknęły się, zanim zdążyła je powstrzymać. Przerażona bezpośredniością pytania, wykrztusiła: - To znaczy... może musisz jeszcze pomyśleć o żonie i rodzinie...

Jego uśmiech był lekko drwiący.

- Nie jestem żonaty. Jedyne rodziny, jaką mam, to młodszy brat, David, który wyjechał w interesach i wróci jutro. No to jak będzie?

- Chcę gdzieś pójść - oznajmiła bez tchu. Nieważne, co się stanie, cudownie będzie zobaczyć Wenecję nocą z Dominikiem u boku.

- Jesteś pewna, że twoja głowa i kostka to wytrzymają?
- Całkowicie.

Nagle wypełniła ją nadzieja i chęć życia. Wiele pytań wciąż pozostawało bez odpowiedzi, ale żadne z nich nie miało znaczenia.

Dominic nie tylko nie był żonaty, ale w dodatku zdołał ją odnaleźć. Gorzkie rozczarowanie dzisiejszego poranka zniknęło, jakby nigdy nie istniało.

- No to zobaczmy, jak dobrze trzymasz się na nogach.

Wyciągnął rękę i pomógł jej wstać. Poczowała dreszcz, jakby poraził ją prąd. Pochyliła głowę, by nie dostrzegł, jakie wrażenie wywiera na niej jego dotyk.

- Żadnych problemów?

- Żadnych - skłamała.

- No to chyba dasz sobie radę. Tam jest łazienka. Chcesz się odświeżyć, zanim wyruszymy?

Jej zakiet, torebka i sandały leżały na krześle. Zabrała je i ruszyła za nim. Łazienka była luksusowo wyposażona. Nagle Nicola poczuła się brudna i potargana.

- Czy mogłabym wziąć szybki prysznic? - zapytała.

- Oczywiście. Jeśli będzie ci potrzebna pomoc, to śmiało krzycz - dodał z poważną miną.

Umyła się najszybciej, jak tylko możliwe. Odświeżona, nałożyła ubranie, zadowolona, że wypadek nie zostawił na nim żadnych śladów. Na rozczesanie i ponowne upięcie włosów wystarczyła niecała minuta. Była gotowa.

Gdy weszła, Dominic odłożył gazetę i wstał.

- Widzę, że dotrzymujesz słowa - pogratulował. - Lepiej?

- O wiele lepiej.

- No to w drogę. Ale na wszelki wypadek wolałbym, żebyś jak najmniej chodziła.

Poprowadził ją przez wspaniały hol, przez drzwi i w dół marmurowych schodów. Uważając na obolałą kostkę, ostrożnie weszła do hangaru na łodzie. Stało ich tu kilka, wśród nich dwie motorówki.

Pomógł jej wsiąść, a następnie ujął ster i skierował się Rio dei Cavalli w stronę Canal Grande.

Nicola miała wrażenie, że śni. Obserwowała jego profil, czarne włosy poruszane lekkim wietrzykiem, dłonie o długich palcach spoczywające na kierownicy.

Nie obchodziło jej, dokąd płyną - wystarczyło, że jest z Dominikiem.

- Dokąd płyniemy? - spytała jednak.

- W Wenecji jest mnóstwo eleganckich restauracji, ale skoro wieczór jest pogodny, pomyślałem, że może chciałabyś zjeść na powietrzu, na placu Świętego Marka.

Przypomniała sobie, co jej opowiadał o słynnym placu.

- O, tak - westchnęła.

Wysiedli przy Placu, jednak Dominic nie ujął jej dłoni, a tylko podtrzymywał ramię.

- Na pewno poznajesz Pałac Dożów - powiedział, gdy mijali cudowną, ozdobną fasadę Palazzo Ducale. - Nie możesz nie zwiedzić bazyliki Świętego Marka i kampanili, ale skoro zamierzasz spędzić tu miesiąc, zwiedzanie może poczekać.

Jego słowa i obojętny ton sprawiły, że zadrżała lekko. Ale przecież w tej wczesnej fazie ich związku nie mogła spodziewać się, że zaraz oznajmi, iż nigdy nie pozwoli jej odejść. Powinno jej wystarczyć, że znowu są razem.

Ale skąd wiedział, jak ją znaleźć? Co właściwie robił w Ca' Malvasia? Chyba że widział, jak tam wchodzi, i wszedł za nią?

Jeśli tak było, dlaczego nie odezwał się od razu? I dlaczego powiedział, że są sąsiadami, skoro nie mówiła mu o spadku po Johnie?

- Dominic... - zaczęła.

Odczytał jej myśli z przerażającą trafnością. Zatrzymał się i położył palec na jej wargach.

- Wyjaśnienia będą później, po kolacji.

Ten najlżejszy dotyk wystarczył, żeby straciła oddech, a jej serce zabiło szybciej. Natychmiast przestała pytać. Uspokoiła się.

Po co psuć wieczór niepotrzebnymi zmartwieniami? Lepiej cieszyć się tym, że są razem, w tym cudownie romantycznym miejscu. Cieszyć się szczęściem, które najwyraźniej sprowadzał pierścień Sofii.

Kawiarnia, którą wybrał Dominic, wyglądała na dość zatłoczoną, ale zaraz znalazł się dla nich stolik. Siedząc tak, popijając martini, przyglądając się cudownej fasadzie Bazyliki Świętego Marka i słuchając orkiestry grającej neapolitańskie pieśni miłosne, wykrzyknęła impulsywnie:

- Nigdy jeszcze nie byłam taka szczęśliwa.

Przez chwilę wyglądał na zaskoczonego, niemal zaniepokojonego. Potem jego twarz przybrała obojętny wyraz i powiedział lekko:

- Zaczekaj, aż spróbujesz *soglione alia Veneziana*. A teraz czy mogę cię przeprosić na chwilę? Muszę zadzwonić, a zapomniałem komórki.

Patrzyła, jak zręcznie przewija się między stołami i znika wewnątrz restauracji.

Dzień kończył się powoli, na niebie zaczynały pojawiać się fioletowe blaski wieczoru. Na placu rozblęły światła. Muzyka, głosy i śmiechy mieszały się z wonią perfum, zapachem palonej kawy i ciepłym, słonym wietrzykiem od laguny.

- *Buona sera, signorina*. - Stał przy niej obcy młodzieniec, uśmiechając się. - Pamięta mnie pani?

Poznała białe zęby i aksamitne brązowe oczy. Mario.

- Oczywiście, że poznaję - odwzajemniła uśmiech.

- Pozwoli pani?

Zanim zdążyła powiedzieć, że jest tu z kimś, usiadł naprzeciwko niej. Ani na chwilę nie spuścił płonącego wzroku z jej twarzy.

- Czy znalazła pani hotel bez problemu?
 - Tak, *grazie*.
 - Powinienem był pojechać z panią i ponieść walizkę. To wstyd zostawiać taką piękną dziewczynę, by sama sobie radziła.
 - To żaden problem - zapewniła energicznie, speszona.
 - A teraz jest tu pani całkiem sama, pierwszego wieczoru...
 - Ale ja nie jestem...
- Ciągnął, jakby w ogóle się nie odzywała:
- Zadzwoiłem do hotelu, żeby panią znaleźć, ale powiedzieli, że pani nie ma. A teraz, jakby zrzędzeniem losu, znajduję panią samą na placu Świętego Marka. - Chwyił ją za rękę i dodał: - Za chwilę się ściemni. Musi mi pani pozwolić przewieźć się gondolą. Pokażę pani, jak romantyczna może być Wenecja...
- Bez skutku usiłowała uwolnić rękę.
- Mario, proszę, posłuchaj mnie - przerwała mu. Jednak jej słowa urwały się, gdy zobaczyła, że Dominic stoi kilka kroków dalej i obserwuje ich w milczeniu.
- Aż się skrzywiła, widząc zimną wściekłość na jego twarzy.
- Mario dostrzegł grymas i powiódł wzrokiem za jej spojrzaniem. Zobaczywszy Dominika, pośpiesznie zerwał się z wyrzutem w oczach.
- Przepraszam - powiedziała. - Próbowałam ci powiedzieć, że nie jestem sama.
- Dominic zrobił krok do przodu. Mario wymamrotał „*Scusi*” i pośpiesznie zniknął.
- Mój Boże - powiedział Dominic, siadając. - Chyba wystraszyłem twoją najnowszą zdobycz.

Zabrzmiało to lekko, a z jego twarzy nie mogła nic wyczytać, ale wiedziała, że jest wściekły. A przecież nie było powodu do tak gwałtownej reakcji.

- Żadna zdobycz - zaczęła ostrożnie, żałując, że to nie-szczęśne zdarzenie w ogóle miało miejsce. - Ten młody człówek pomógł mi dzisiaj donieść walizkę do *vaporetto*.

- Wydawał się... jak by to powiedzieć... dość pewny swoich szans.

- W każdym razie ja go w żaden sposób nie zachęcałam, jeśli to właśnie sugerujesz. To tylko smarkacz - dodała.

- Nie wmówisz mi, że twoim zdaniem, wiek ma znaczenie? - W głosie Dominika brzmiał jakiś dziwny ton. - Jeśli ten młodzieniec tylko poniósł ci walizkę do przystani, to skąd wiedział, gdzie mieszkasz?

Poczuła dreszczyk podniecenia - zachowywał się jak zazdrosny mężczyzna.

- To Carlo zapytał, żeby mi wytłumaczyć, jak tam dojechać...

- Jeszcze jeden? - Dominic uniósł ciemną brew.

- Carlo jest bratem Maria, ma z jedenaście czy dwanaście lat. Kiedy zatrzymałam się na Piazzale Roma, zaproponował, że popilnuje mi walizki, kiedy będę parkować samochód...

Kiedy skończyła opowiadać całą historię, Dominic był całkiem spokojny i lekko rozbawiony. Kilka chwil później pojawiło się ich jedzenie. Nicola, odprężona, rozkoszowała się smakiem potraw, winem i tym, że była przy nim.

Kiedy pili kawę, wieczór stał się gorący i duszny. Dominic spojrział na niebo, które pokryły tymczasem ciężkie, fioletowe chmury.

- Niedługo będzie burza - zauważył. - Chyba przyszedł czas na parę pytań i odpowiedzi... Chcesz zacząć?

Zacząła od tego, co najbardziej ją zastanawiało.

- Nie rozumiem, jak mnie znalazłeś... Zakładam, że zobaczyłeś mnie na Campo dei Cavalli i poszedłeś za mną do Ca' Malvasia?

- Nie.

- Nie szedłeś za mną?

- Nie.

- No to musiałeś zauważyć, że drzwi są otwarte, a ponieważ wiedziałeś, że dom jest pusty, poszedłeś sprawdzić?

Pokręcił głową, a jego uśmiech zamieniał to wszystko w jakąś dziwną zgadywanke.

- Ale słyszałam, jak się zamknęły, kiedy weszłam na schody.

- Nie wszedłem tamtędy.

- No to jak wszedłeś?

- Kiedyś Ca' Malvasia był częścią Palazzo dei Cavalli... Oczywiście. Przecież starsza pani na *campo* mówiła coś takiego.

- Kiedy je rozdzielono, zostawiono drzwi. Przez nie wszedłem.

- Nie usiłujesz mi chyba powiedzieć, że to był przypadek? - zaprotestowała z niedowierzaniem. - Musiałeś wiedzieć, że tam jestem...

- O, tak, wiedziałem. - Jego oczy roz błysły. - A w każdym razie wiedziałem, że przyjdiesz.

- I miałeś zamiar czekać na mnie, żeby wystraszyć mnie na śmierć?

- Nie, nie miałem takiego zamiaru. Zszedłbym na dół,

ale coś mnie zatrzymało. Kiedy wyszedłem przez drzwi na końcu korytarza i zauważyłem, że jesteś tak blisko, byłem niemal tak zaskoczony, jak ty. Niewiele kobiet zdecydowałoby się na zwiedzanie obcego domu po ciemku.

- Skąd wiedziałeś, że przyjdę do Ca' Malvasia? Nic o tym nie wspominałam. - Jeszcze coś ją uderzyło. - I skąd właściwie wiedziałeś, kiedy tam będę?

- Kazałem cię pilnować.

- Co takiego? - zapytała zdumiona. - Kazałeś mnie obserwować...? - Niemal zakrztusiła się z oburzenia. - Od kiedy?

- Ostatnie kilka tygodni - przyznał bez żadnych oznak skruchy.

- Ale przecież znamy się dopiero od dwóch dni - powiedziała zaskoczona.

- Poznaliśmy się wczoraj, ale wiem o tobie od jakiegoś czasu.

- Co to znaczy, wiesz o mnie? I dlaczego kazałeś mnie śledzić?

- Skoro mamy być sąsiadami... oczywiście, jeżeli nie zdecydujesz się na sprzedaż... chciałem wiedzieć, kim jesteś i o co ci właściwie chodzi.

- A skąd wiedziałeś, że będziemy sąsiadami? Nigdy nie wspominałam, że mam dom w Wenecji.

- Myślałem, że masz zamiar... Wieczorem, w Schloss Lienz.

Przypomniała sobie Innsbruck i wszystko, co się tam wydarzyło.

- Czyli to nie przypadek, że mieszkałeś w sąsiednim pokoju? - zapytała z wysiłkiem.

- Nie, to było zaplanowane.
 - Jak ci się to udało? - Poczowała, jak krew ścina się w jej żyłach.
 - Signor Mancini wszystko zorganizował...
- To też wyjaśniało, skąd Dominic mógł wiedzieć, iż zostaną sąsiadami.... Przypomniała sobie, jak adwokat uprzejmie nalegał, by wybierać hotele i robić rezerwacje. Nicola zagryzła wargi. Sandy wcale się co do niego nie myliła.
- Nie licząc naszego poznania, oczywiście - dodał Dominic z lekkim uśmiechem.
 - A gdyby obcas mi nie utknął i nie wpadłabym na ciebie?
 - Wymyśliłbym jakiś inny sposób. Ale los tak zrządził...

ROZDZIAŁ PIĄTY

Mimo upału czuła przenikliwie zimno.

- Skoro byłeś na miejscu, musiałeś mnie śledzić - powiedziała.

- Bo tak było - potwierdził chłodno. - Wtedy chciałem nawiązać osobisty kontakt i dałem Mullerowi inne zadanie.

Muller... Zobaczyła w myślach mężczyznę siedzącego w foyer Bregenzerwaldu.

A potem innego, który patrzył na nią na Piazzale Roma i - teraz była tego pewna - obserwował hotel i szedł za nią do Ca' Malvasia. Mężczyzna z komórką - stąd Dominic wiedział, kiedy ona tam będzie - prawdopodobnie odpowiadał za zatrzęsienie się drzwi.

Zadrzała. Fakt, że Dominic kazał ją obserwować, informować się o każdym jej ruchu, stawał się oczywisty - i niepokojący.

- Najwyraźniej poświęciłeś wiele czasu i wysiłku, by mnie sprawdzić... - powiedziała najspokojniej, jak mogła.

- I chciałybyś wiedzieć, po co? Myślałem, że już zgadłaś.

- Najwyraźniej ma to coś wspólnego z domem. Ale nie rozumiem, dlaczego to, że możemy zostać sąsiadami, ma znaczyć...

- Tu chodzi o coś więcej. - Jego wargi wykrzywił po-

zbawiony radości uśmiech. - Najważniejszy jest fakt, że mogłaś zostać, w jakiś sposób, moją macochą.

- Macochą?

- Zakładam, że wyszłabyś za mąż za Johna, gdyby nadal żył.

- Za Johna...? Nie, na pewno nie. To absurdalny pomysł!

Jej reakcja była instynktowna. Przez jedną chwilę Dominic wyglądał na zaskoczonego.

- Sofia była twoją matką.

- Zgadza się.

- Ale John nie był twoim ojcem.

- Znowu prawda. Matka miała dwóch mężów.

- Wiem o tym, John mi powiedział. Ale nigdy nie wspominał o dzieciach.

- Tak myślałem. Nawet nie mrugnęłaś, kiedy powiedziałem, jak się nazywam. A poza tym „dzieci” to chyba nie najlepsze słowo. Kiedy się poznali i pobrali, David miał trzynaście lat, a ja dwadzieścia jeden. Właśnie wróciłem ze studiów i byłem tym dość zaskoczony...

Miała wrażenie, że gdyby był wtedy w domu, zrobiłby wszystko, by nie dopuścić do tego małżeństwa.

- Wiedziałem, że mama kogoś poznała, ale trwało to dopiero kilka tygodni i nie przyszło mi do głowy, że sprawa jest aż tak poważna.

- Nie przepadałaś za Johnem? - zaryzykowała.

- Nie miało znaczenia, czy go lubię, czy nie. Matka nie prosiła mnie o aprobatę.

- A gdyby poprosiła, dałbyś ją? - odważyła się Nicola.

- Nie - odpowiedział twardo. - Wszystko działa się za

szybko. Uznałem, że żeni się z nią dla pieniędzy... Była jedy-
nacczą i odziedziczyła fortunę Loredanów. Mój ojciec, Ri-
chard Irving, ciężko pracował i jeszcze ją pomnożył. Po jego
śmierci mama została jedną z najbogatszych kobiet w Wene-
cji.

- John ją uwielbiał - oznajmiła Nicola z absolutnym prze-
konaniem. - Nie wmówisz mi, że poślubił ją dla pieniędzy.

- Mogłem się mylić... Ale przez jakiś czas sytuacja była
niezręczna. Dlatego *palazzo* został podzielony i powstała Ca'
Malvasia.

- Jestem pewna, że byli tam bardzo szczęśliwi.

- Na to wyglądało - przyznał Dominic. - Wydawał się
zdruzgotany, kiedy umarła. Ale mogło tak być dlatego -dodał
cynicznie - że z całego majątku dostał tylko jedną trzecią. Pa-
łac i jedna trzecia pieniędzy przypadły mnie, reszta została
złożona w funduszu powierniczym dla Davida, póki nie
skończy trzydziestki.

- Ale ty nie miałeś trzydziestu lat w chwili śmierci twojej
matki - zaprotestowała.

- Miałem dwadzieścia sześć lat i spory własny majątek -
odparł wyniośle. - David miał dopiero osiemnaście i był do-
syć niedojrzały. Mama chciała zachować rodzinną fortunę...

Nicola nagle zrozumiała, do czego to wszystko prowadzi,
i zamilkła.

- Majątek Johna Turnera miał po jego śmierci wrócić do
rodziny.

- Rozumiem - odpowiedziała Nicola ze ściśniętym gar-
dłem. Miała ochotę ukryć twarz w dłoniach i rozplakać się.
Wyglądało na to, że dom i pieniądze, które zapisał jej John,
nie należały się jej...

Ale w takim razie dlaczego obaj adwokaci, nawet signor Mancini, który najwyraźniej pracował dla Dominika, dopuścili do tego? A może roszczenia Dominika opierały się raczej na założeniach moralnych, nie prawnych? W takim razie sprawa wyglądała trochę inaczej.

Nie walczyłyby, gdyby ktoś niemający stracił przez nią spadek, ale wyglądało na to, że ani Dominika, ani jego brata nie pozbawia istotnej części majątku. Jeżeli chciał jedynie, by udział Johna powiększył i tak imponującą fortunę...

Nicola była małomówna i bezbronna, ale nie pozbawiona charakteru. Odziedziczyła po babci wewnętrzną siłę, stalową wolę, która kazała jej walczyć w swojej obronie. Wyprostowała się na krześle.

- Twierdzisz, że majątek Johna miał wrócić do rodziny?
- Tak.
- I obwiniasz mnie o to, że nie wrócił?
- Nie do końca. Młoda wdowa musi dbać o swoją przyszłość - dodał ironicznie.

Nie była to odpowiedź, jakiej oczekiwała.

- Co to właściwie ma znaczyć?
- Wszyscy rozumieli, że powinien wrócić.
- Cały? Ale przecież John musiał mieć jakieś własne pieniądze? Mówił mi, że dom w Londynie należał do jego rodziców.

- No, może nie cały - przyznał niechętnie Dominic. - Ale na pewno pieniądze, które dostał po mamie, oraz Ca' Malvasia. Tak miało być.

- Kto tak zdecydował? Ty? Wszyscy zainteresowani?
- O ile wiem, wszyscy zainteresowani.
- O ile wiesz? Nie ustaliłeś tego z Johnem?

- Nie, nie ustaliłem - uciał.
 - A z mamą?
 - Moja matka zawsze sama się zajmowała swoimi interesami.
 - I uznałaby, że się wtrącasz w nie swoje sprawy? Zaciśnął zęby. Wiedziała, że trafiła w czuły punkt.
 - Chciała, żeby majątek Loredanów pozostał nienaruszony. To znaczyło, że część Johna, a zwłaszcza Ca' Malvasia, powinna wrócić do rodziny.
 - Czy tak napisała w testamencie?
 - Powinna była.
- Te dwa słowa starczyły Nicoli za odpowiedź.
- Gdyby twoja matka życzyła sobie, żeby część jej męża wróciła do rodziny, to chyba zaznaczyłaby to w testamencie?
 - Mogę tylko zakładać, że spodziewała się, iż on uszanuje jej wolę. - Szare oczy Dominika były zimne jak lód. - A zresztą wtedy pewnie nie wydawało się jej to konieczne. Nie miał innej rodziny, własnych dzieci. Nikt się nie spodziewał, że straci głowę dla dziewczyny, która mogłaby być jego córką.
 - Wszystko przekreślasz - poinformowała go zimno Nicola. - John wcale nie stracił dla mnie głowy. Między nami nic takiego nie było.
 - Nie kochałaś go?
 - John był wyjątkowym człowiekiem i lubiłam go. Ale nie kochałam, w każdym razie nie w ten sposób, o jaki ci chodzi. Byliśmy tylko dobrymi przyjaciółmi. - Na wargach Dominika zagościł ironiczny półuśmiech. - To prawda, uwierz mi... - rozzłościła się na siebie za to, że się tłumaczy.
 - Jak długo się znaliście?

- Jakieś pół roku - przyznała, przekonana, że i tak o tym wie.

- Mieszkaliście razem?

- Nie! - Jej zielone oczy rozbłysły. - To absurdalny pomysł! John był ode mnie ponad dwa razy starszy.

- A co wiek ma z tym wspólnego? Niektóre kobiety potrafią przyciągnąć mężczyzn od lat szesnastu do sześćdziesięciu... Co już zresztą zademonstrowałaś.

Skrzywiła się. A więc za taką kobietę ją uważał. A ten nieszczęsny epizod z Mario jeszcze go w tym utwierdził. Reakcja Dominika nie była spowodowana zazdrością, jak sądziła, lecz pogardą.

- Mogę zrozumieć, dlaczego tak myślisz. Ale wcale taka nie jestem. A jeśli chodzi o Johna, to, jak mówiłam, nic takiego między nami nie było. Oboje podróżowaliśmy, widzieliśmy się tylko trzy czy cztery razy. Czasami dzwonił albo pisał i raz poszliśmy na kolację, kiedy oboje akurat byliśmy w Londynie...

- I naprawdę mam uwierzyć, że wasza znajomość była całkiem niewinna?

- Możesz w to wierzyć albo nie, ale to jest prawda.

- Dlaczego człowiek, który nie był bynajmniej głupcem, miałby zostawić cały majątek dziewczynie, którą spotkał kilka razy? Oczywiście, jeżeli stracił głowę, a dziewczyna... powiedzmy, zachęciła go, obiecując, że za niego wyjdzie...

- On nie stracił głowy, a ja ci powtarzam, że nigdy nie było mowy o małżeństwie.

- No to co mu obiecałaś?

- Niczego mu nie obiecywałam - odparła niemal ze zmęczeniem. - John bardzo kochał swoją żonę i...

- Może to i prawda. Ale ona nie żyje od prawie czterech lat...
- Nigdy nie pogodził się z jej śmiercią.
- Nie był wcale taki stary. Dobiegał sześćdziesiątki. Mógł zacząć rozglądać się za kochanką. Uznać, że potrzebuje kobiety...

Nicola potrząsnęła głową.

- Przecież wiesz, że John miał poważne kłopoty z sercem.
- Dominic wyglądał na zaskoczonego tą wiadomością, ale ciągnęła dalej: - Potrzebował wyłącznie przyjaciela. Kogoś w podobnej sytuacji, kto zrozumie jego stratę, wie, przez co musi przechodzić...

W oddali zahuczał grzmot i załśniła błyskawica. Zaczynała ją okropnie boleć głowa. Odsunęła krzesło i chwyciła torebkę.

- Przepraszam... ale jestem dosyć zmęczona i chciałabym już iść.

Wstał natychmiast, znowu wchodząc w rolę troskliwego gospodarza.

- Zabiorę cię do domu.
- Dziękuję - odmówiła z uprzejmą rezerwą. - Wezmę wodną taksówkę.
- Nie ma mowy - zaprotestował równie uprzejmie. - Nie chcę o tym słyszeć.

Zapłacił rachunek i podał jej ramię.

Jej kostka zeszywniała i zaczęła boleć, ale udała, że nie widzi oferowanego ramienia, i ruszyła pośpiesznie w stronę piazzetty, nie zważając na ból, by wreszcie uwolnić się od niego.

Dominic bez trudu dotrzymywał jej kroku. Szli pół me-

tra od siebie, niczym dwie obce osoby, aż dotarli do jego łódki.

Wskoczył pierwszy i odwrócił się. Miała ochotę zignorować wyciągniętą dłoń, jednak nie sądziła, że uda jej się wsiąść bez pomocy. Nie była pewna, czy kostka to wytrzyma, a gdyby wpadła do wody, to on się nieźle ubawi...

Przyznała się do porażki i przyjęła jego rękę.

Nie mówiła mu, gdzie mieszka, ale najwyraźniej wiedział. Pewnie od signora Manciniego albo od człowieka, któremu kazał ją śledzić.

Dość ciche grzmoty i odległe błyskawice dowodziły, że burza jest jeszcze daleko. Dominic wybierał mniej ruchliwe kanały i wcale się nie spieszył.

- Czy na pewno płyniemy w dobrym kierunku? - zapytała.

Zobaczyła błysk jego białych zębów w ironicznym uśmiechu.

- Wybrałem spokojniejszą drogę, wychodząc z założenia, że będzie bardziej romantyczna.

Boczne kanały, oświetlone tylko kilkoma latarniami odbijającymi się w ciemnej wodzie, były do siebie bardzo podobne. Szybko straciła orientację. Rozglądała się za głównym wejściem do hotelu Lunga. Była zdumiona, gdy Dominic nagle wyłączył silnik i skręcił do dobrze oświetlonego hangaru na łódzie. Dobił do podestu i zabrał się do cumowania.

- Co ty robisz? - zawołała. - To nie jest hotel.

- Doskonale o tym wiem - zapewnił poważnie. Musiała się bardzo starać, by nie zdradzić ogarniającej ją paniki.

- Ale miałeś zabrać mnie do domu.
- To jest dom - odparł, pomagając jej wysiąść. Wyrwała mu dłoń.
- Może twój - stwierdziła z goryczą. - Ja nie chcę tu wracać.

Zignorował jej protest i poprowadził ją po schodach do *palazzo*. Kiedy dotarli do holu, zapytał uprzejmie:

- Chcesz zajść do mojego gabinetu na drinka przed snem?
- Nie, nie chcę - odparła z hamowaną złością. - Chcę natychmiast wrócić do hotelu. Jeśli mnie nie zawieszysz, to wezwę taksówkę.
- No, mogłabyś...
- I to zrobię.
- Ale nie radziłbym - ciągnął gładko. - Jest środek sezonu turystycznego, raczej nie będzie wolnych pokoi.
- Ja mam pokój.
- Już nie. Wytłumaczyłem im, że miałaś lekki wypadek oglądając Ca' Malvasia i że zaprosiłem cię do Palazzo dei Cavalli.
- Ale ja nie chcę tu mieszkać! - wykrzyknęła. - A poza tym wszystkie moje rzeczy zostały w hotelu.
- Poprosiłem, żeby je przesłali. Są w twoim pokoju.
- Nie! Nie zostanę tutaj. Zabieram swoje rzeczy i idę stąd.
- Jest prawie północ - zauważył spokojnie. - Nie możesz sama chodzić po Wenecji o tej porze, ze skreconą kostką. I nie udawaj, że wcale nie boli, bo wiem, że to nieprawda. Czy perspektywa bycia moim gościem jest aż tak przerażająca?

- Nie chcę być gościem kogoś, kto uważa mnie za intrygantkę bez sumienia. - Jej głos się załamał. - Nie rozumiem, dlaczego chcesz, żebym tu mieszkała.

Ale wiedziała aż za dobrze, o co mu chodzi. Łatwiej mu będzie jej pilnować...

- Przyjmijmy po prostu, że mnie fascynujesz... Zabrzmiało to szczerze. Zaskoczona, zapomniała na chwilę o obronie. Chwyił ją pod łokieć i poprowadził do swojego gabinetu, pomógł jej zdjąć zakiet i delikatnie popchnął na kanapę. W końcu przykucnął u jej stóp i zdjął sandaalki.

- A teraz daj mi obejrzeć tę kostkę.

Kostka była znacznie bardziej opuchnięta, sztywna i obolała. Nicola zagryzła mocno wargi, gdy jego długie palce zaczęły delikatnie badać i uciskać.

- Powinienem był mieć dość rozumu, by kazać ci zostać tutaj i odpocząć...

Widok jego pochylonej głowy wywoływał w niej dziwne połączenie podniecenia, pożądania i czułości. Gęste, czarne, kędzierzawe włosy, ich delikatne końce muskające śniady kark... Nawet jego kark był seksowny...

Spojrzał w górę i dodał:

- Trzeba przyłożyć zimny kompres.

Jego oczy zatrzymały się chwilę na jej twarzy. Zarumieniła się, jakby odczytał jej myśli.

- Zaraz wrócę - oznajmił i zniknął w drzwiach, zostawiając je otwarte.

Niespokojna i zła na siebie, pragnęła nade wszystko wstać i wyjść. Ale nawet gdyby Dominic na to pozwolił, strach było włączyć się samej po obcym mieście, nie miała dokąd pójść, a w powietrzu wisiała burza.

Ogarniała ją wściekłość na myśl, że jest tu więźniem, ale tutaj przynajmniej będzie bezpieczna.

Czy na pewno? Zależy, o jakiego rodzaju bezpieczeństwo chodzi...

Wrócił szybko, z mokrym okładem i bandażem, którymi posłużył się bardzo zręcznie. Nicola była zaskoczona. Z jej dość niewielkiego doświadczenia z mężczyznami wynikało, że większość z nich nie umie sobie poradzić nawet z przyklejeniem plastra.

- No, to powinno pomóc.

- Dziękuję. - Uświadomiła sobie, że powinna okazać wdzięczność. - Na pewno pomoże.

- A co z tym drinkiem na dobranoc?

- Nie trzeba. Właściwie... to chcę iść do łóżka.

- Nie możesz iść do łóżka taka spięta. Prędzej zaśniesz, jeśli się odprężysz przy odrobinie alkoholu.

Brzmiało to jak dobra rada, ale miała pewność, że to rozkaz. Zgodziła się z niechęcią.

- Na co masz ochotę? Brandy?

- Wystarczy coś zimnego, bez alkoholu.

Podszedł do barku, który zawierał niewielką lodówkę, i po chwili wrócił ze szklanką soku z lodem.

- Czyżby ból głowy wrócił? - spytał, marszcząc brwi.

- Owszem - przyznała.

- Lepiej weź to. - Wyjął z kieszeni małą buteleczkę i wysypał jej na dłoń dwie tabletki.

- Dziękuję. - Posłusznie włożyła je do ust i połknęła. - Twojej gospodyni nie przeszkadza, że zwalasz jej na głowę niespodziewanego gościa? - ostatnie słowo wypowiedziała z naciskiem.

- Absolutnie - odparł spokojnie. - Z jakiegoś powodu spodobałaś się jej.

- Skąd wiesz?

- Bo sama postanowiła przygotować ci pokój. Zrzucił marynarkę, rozwiązał czarny krawat i rozpiął

dwa górne guziki białej koszuli, odsłaniając śniadą szyję. Nicola zadrżała, wspominając, jak dotykała jej wargami, podczas gdy jego dłonie błędziły po jej rozpalonym ciele...

Dominic zaintrygowany obserwował, jak jej źrenice stają się coraz większe, miękkie wargi rozchylają się, a na policzki wypływa lekki rumieniec. Wywarło to na nim ogromne wrażenie. Zastanawiał się, co za mężczyzna był przyczyną tego spojrzenia. Może jej mąż. Chociaż bardzo wątpliwe.

Nagle zamrugła, oprzytomniała i zobaczyła, że ją obserwuje. Pośpiesznie spuściła wzrok.

Uznał, że wygląda czarująco. Nic dziwnego, że John był zauroczony. Gdyby tylko była choć w połowie tak niewinna, na jaką wyglądała...

A wszystko zdawało się potwierdzać, że nie jest niewinnym dziewczętakiem, lecz sprytną manipulatką, która wykorzystuje swą urodę do osiągnięcia celu.

Zrobił sobie espresso, po czym usiadł naprzeciw swego przymusowego gościa. Przez chwilę pili w milczeniu.

- A więc John miał kłopoty z sercem? - odezwał się w końcu, nawiązując do poprzedniej rozmowy. - Nie było na nie sposobu?

- Nie, to była tylko kwestia czasu. Nie wiedziałeś? Pokręcił głową.

- Ale to ciekawe, że ty wiedziałaś...

Uważał więc, że przyczepiła się do starszego mężczyzny, spodziewając się jego szybkiej śmierci.

- Zaraz po pogrzebie mamy zamknął dom i wyjechał - powiedział obojętnie po chwili. - Nie licząc jednej krótkiej rozmowy, nie utrzymywaliśmy kontaktu.

Nic dziwnego, że John nie wspominał o rodzinie. Po śmierci żony nic go już nie trzymało w Wenecji...

- Gdzie i kiedy się poznaliście? - Pytanie Dominika wdarło się w jej myśli. Wzięła się w garść i odpowiedziała:

- W Paryżu, pod koniec listopada.

- Opowiedz mi o tym. Uwielbiam szczegóły - dodał.

- Linda Atkin, jedna z moich koleżanek z Westlake, organizowała konferencję dla dyrektorów firm w Paryżu. Niestety, poważnie rozchorowała się na zapalenie płuc... nie pamiętam, do którego szpitala zawieźli ją karetką. Chyba do Saint Antoine...

Dominic przyjął jej drwinę lekkim uśmiechem.

- W każdym razie poproszono mnie, żebym jak najszybciej poleciała do Paryża i przejęła jej obowiązki. Konferencja odbywała się w hotelu Honfleur. To jeden z tych staroświeckich hoteli przy Rue Rosslare, z szarego kamienia, niedaleko Pól Elizejskich...

Podniósł ręce w geście kapitulacji.

- No dobrze, przepraszam, powinienem był uściślić, że chodzi o istotne szczegóły...

Sądząc po błysku w jego oku, najchętniej przełożyłby ją przez kolano, ale zamiast tego powiedział tylko uprzejmie:

- Mów dalej.

- Na konferencji było z pięćdziesięciu delegatów. Miała się zacząć następnego ranka, więc większość już przyjechała.

Niestety, w ostatniej chwili pojawiły się problemy i musiałam siedzieć do późna, zanim wszystko załatwiłam. Byłam zmęczona, zmarznięta, i miałam właśnie iść do pokoju, na czwartym piętrze, kiedy odkryłam, że coś się działo z elektrycznością i windy przestały działać. A to znaczyło, że muszę iść piechotą...

O tej porze cały hotel był cichy i uśpiony. Nicola doszła już prawie do czwartego piętra, kiedy zobaczyła siedzącego na schodach mężczyznę.

Był w średnim wieku i miał na sobie klasyczny szary garnitur z krawatem. Siedział na trzecim stopniu od góry, oparty o ścianę, z pochyloną głową.

- Sofia - wymamrotał. Podniósł głowę.

Wyglądał bardzo sympatycznie. Miał koło sześćdziesięciu lat, szczupłą, ascetyczną twarz, gęste, siwiejące włosy i orzechowe oczy.

Od razu zrozumiała, że nie jest pijany, raczej chory. Jego twarz była szara jak popiół, skóra mocno napięta, a wargi sine.

- Jak mogę panu pomóc? - spytała po angielsku.

- Tabletki - wymamrotał.

- W której kieszeni? Wykonał niezręczny gest.

- Górnej, w środku... -jego twarz skrzywiła się z bólu.

Oddychał chrapliwie.

Usiadła przy nim na marmurowym stopniu, wsunęła rękę do prawej wewnętrznej kieszeni marynarki i westchnęła z ulgą, gdy jej palce odnalazły niewielki plastikowy pojemniczek.

Wysypała na dłoń dwie małe tabletki i patrzyła, jak niezgrabnie je zbiera i wkłada pod język. Żałowała, że nie ma ze sobą komórki.

- Wezwę karetkę - powiedziała szybko.

Kiedy wstawiała, chwycił jej dłoń z desperacką siłą.

- Proszę zostać ze mną.

Jego palce były zimne jak lód.

- Naprawdę potrzebna jest panu pomoc - powiedziała, zastanawiając się, jak długo tam siedział.

- N-nic nie mogą zrobić - mruknął.

Bojąc się, że jeśli go opuści, on spadnie ze schodów, została na miejscu. Trzymając jego dłoń w swoich, próbowała ją ogrzać, a jednocześnie przypomnieć sobie, jak się robi masaż serca, na wszelki wypadek.

Ale tabletki najwyraźniej zadziałały. Po chwili okropny szary kolor zaczął ustępować z jego twarzy. Jednak nadal nie wyglądał dobrze.

Na schodach było zimno - prawdopodobnie centralne ogrzewanie przestało działać razem z windami. Sama Nicola poczuła się przemarznięta do szpiku kości. Niepokoiła się o niego.

- Jak się pan czuje? - zapytała.

- Już lepiej. Muszę się tylko położyć.

- Na którym piętrze pan mieszka?

- Na siódmym.

Wiedziała, że w tym stanie nie wejdzie tak wysoko.

- Może położy się pan na chwilę w moim pokoju? - zaproponowała. Potem pójdzie poszukać pomocy. - To blisko - dodała zachęcająco. - Wystarczy przejść przez te drzwi i prawie będziemy na miejscu.

Z jej pomocą niepewnie stanął na nogi. Był dość wysoki, ale szczupły. Wsparł się na jej ramieniu i jakoś dotarli do drzwi i przeszli kilka kroków korytarzem do jej pokoju.

Wszedłszy, od razu skierowała go w stronę łóżka. Usiadł, a ona zdjęła mu buty i skarpetki, pomogła zdjąć marynarkę i krawat, a w końcu rozpięła dwa górne guziki koszuli.

- Czy trzeba panu jeszcze czegoś?

- Nie, już nic.

Kiedy się położył, naciągnęła na niego kołdrę, wyłączyła górne światło i ustawiła lampkę nocną tak, by nie świeciła mu w twarz.

- Teraz może pan trochę odpocząć.

- Dziękuję, moja droga - powiedział cicho. - Jesteś dla mnie bardzo dobra.

Miała odejść, kiedy na oślep sięgnął po jej dłoń.

- Zostań ze mną - powiedział nagle. - Nie chcę być sam.

- Powinam sprowadzić jakąś pomoc... Lekarza...

- Nie ma po co... - Jego palce zacisnęły się boleśnie. -

Obiecuj, że mnie nie zostawisz.

- Obiecuję - odparła, wzruszona.

Wciąż trzymając go za rękę usiadła na fotelu przy łóżku, oparła się wygodnie i czekała, aż zaśnie...

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Kiedy Nicola otworzyła oczy i zerknęła na zegarek, odkryła, że jest piętnaście po szóstej.

Mężczyzna leżący w jej łóżku jeszcze spał. Oddychał lekko i z ulgą zobaczyła, że odzyskał normalny koloryt.

Była cała zeszywniała i obolała po spaniu w niewygodnej pozycji. Na szczęście w nocy włączono ogrzewanie i w pokoju było ciepło.

Wzięła prysznic, przebrała się, upięła włosy i wróciła do sypialni. Okazało się, że nieoczekiwany gość obudził się. Siedział na brzegu łóżka i nakładał buty.

- Dzień dobry - uśmiechnął się do niej.

- Dzień dobry - odwzajemniła uśmiech. - Jak się pan dzisiaj czuje?

- Znakomicie, dziękuję. Muszę przeprosić za wszystkie kłopoty, których pani narobiłem.

- Żaden kłopot - zaprzeczyła gorąco.

- Odstąpiła mi pani łóżko... A pani gdzie spała?

- Na fotelu. - Na widok jego zatroskanej miny uspokoiła go pośpiesznie: - I znakomicie mi się spało. Dopiero przed chwilą wstałam,

- Też mam zamiar to zrobić. - Nałożył marynarkę i wyciągnął do niej rękę. - Była pani dla mnie taka dobra, a nawet nie wiem, jak się pani nazywa.

- Nicola Whitney.
- John Turner.
- Przyjechał pan na konferencję? - zapytała.
- Tak. A pani?
- Ja jestem organizatorką. Tak się złożyło, że w ostatniej chwili musiałam zastąpić pannę Atkin, która się wczoraj rozchorowała.
- To znaczy, że musi pani wcześniej zacząć pracę?
- Nie za wcześniej. Większość spraw uporządkowałam wczoraj wieczorem.
- W takim razie może zje pani ze mną śniadanie? Mamy sobie dużo do wyjaśnienia.

Od śmierci Jeffa unikała kontaktów towarzyskich, więc zdziwiła ją własna odpowiedź.

- Dziękuję, bardzo chętnie.
 - Spokajmy się w jadalni za piętnaście minut, dobrze?
- Nicola sprawdziła jeszcze swój plan dnia, po czym zeszła do jadalni. Sala znajdowała się na tyłach budynku i wychodziła na ogród.

Było jeszcze dość wcześnie i w jadalni siedział tylko jeden gość. Nicola wybrała stolik dla dwóch osób pod oknami. Chwilę później pojawił się John Turner, świeżo ogolony i ubrany w znakomicie skrojony garnitur. Miała wrażenie, że widzi starego przyjaciela.

Usiadł naprzeciwko i uśmiechnął się do niej. Miał piękne zęby. Znowu pomyślała, że świetnie wygląda. Smarowali świeże rogaliki konfiturami i rozmawiali o konferencji i czekającym ich dniu. Przeszli nawet na ty.

Nicola zdążyła nalać im po drugiej filiżance kawy, gdy John wrócił do spraw osobistych.

- A co do ostatniej nocy... przepraszam. Mam wrażenie, że czepiałem się ciebie jak dziecko.
- Naprawdę nie masz za co przepraszać - zapewniła go.
- Dziękuję. Jesteś bardzo dobra.
- Czy jest coś...? - urwała, niepewna. Odczytał jej myśli i pokręcił głową.
- Z paru przyczyn moja choroba jest śmiertelna. Każdy atak przybliży koniec. Ale chociaż jestem gotów na śmierć, nagle zrozumiałem, że nie chcę umrzeć samotnie. Może to myśl o odejściu w nieznane... Nigdy nie byłem religijny. Mogę tylko mieć nadzieję, że żona miała rację, kiedy obiecała mi na łożu śmierci, iż będzie na mnie czekać.
- Sofia? - spytała Nicola.
- Skąd wiesz? - zapytał zaskoczony John.
- Wczoraj na schodach wymówiłeś jej imię.
- Chciałem, żeby była przy mnie... Ale zamiast tego przysłaś ty i jestem ci niewypowiedzialnie wdzięczny. -Zmienił temat. - W swojej pracy chyba wiele podróżujesz? I nigdy cię to nie męczy?
- Czasami - przyznała.
- Widzę, że jesteś mężatką. Twojemu mężowi nie przeszkadza, że tak często wyjeżdżasz?
- Mój mąż nie żyje - powiedziała cicho. - Zginął w wypadku samochodowym.
- Kiedy?
- Dwa i pół roku temu.
- Czas nie leczy ran, prawda? - John ujął jej dłoń. -Moja żona zmarła trzy i pół roku temu, a ja wciąż tęsknię za nią każdej godziny, każdego dnia, jak pewnie ty za swoim mężem...

- A więc między tobą i Johnem natychmiast nawiązało się porozumienie?

Cichy głos Dominika sprowadził Nicole z powrotem do rzeczywistości.

- Tak, można tak powiedzieć.

- I na pewno dużo sobie nawzajem opowiedzieliście?

- Niezupełnie. John niewiele opowiadał o swoim prywatnym życiu. Jak już mówiłam, ani razu nie wspomniał o pasierbach. Zresztą o życiu w Wenecji też nie.

- Ciekawe dlaczego?

- Moim zdaniem rozmowa o przeszłości wciąż sprawiała mi dużo cierpienia. Byliśmy w podobnej sytuacji, więc rozumiałam, co czuje...

- Naprawdę straciłaś męża? A może to tylko pomysłowa bajeczka, żeby zdobyć sympatię i nawiązać kontakt? - dodał.

Nawet teraz nie była pewna, czy dobrze go zrozumiała.

- Nie rozumiem, o co ci chodzi - stwierdziła.

- Pytam, czy naprawdę jesteś wdową. A może to tylko część roli?

Krew odpłynęła jej z twarzy.

- Chciałabym móc powiedzieć, że to tylko część roli, ale cóż, jestem wdową - wyjąkała zbielełymi wargami. -

Opowiedziałam ci o moim mężu...

- Ale ile z tego, co powiedziałaś, jest prawdą? Uniosła podbródek i popatrzyła mu w oczy.

- Wszystko. Każde słowo. Skoro wiem, co o mnie myślisz - dodała z goryczą - nie powinnam się spodziewać, że uwierzysz w cokolwiek, co powiem.

- Przyznaję, że w Schloss Lienz zacząłem się zastana-

wiać, czy nie mylę się co do ciebie. Wszystko, co mówiłaś, brzmiało przekonująco. Niemal uwierzyłem w tę niewinną młodą dziewczynę...

Nagle ogarnęła ją wściekłość.

- Co to ma znaczyć „niemal uwierzyłem”? Nic o mnie nie wiesz. Tylko dlatego, że John zostawił mi pieniądze, uznałeś, że muszę być naciągaczką.

Nagle załśniła błyskawica i rozległ się odległy grzmot. Burza była coraz bliżej.

- Na pewno chciałybyś, abym myślał, że jesteś tak niewinna, jak wyglądasz, ale niestety nic z tego.

- Chciwość całkiem cię zaślepiła - powiedziała z pogardą.
- Nie jesteś nawet w stanie rozpoznać niewinności.

- Ale umiem rozpoznać jej brak - odparł spokojnie. - Nie spodziewasz się chyba, że uwierzę, iż kobieta tak naiwna i niewinna, za jaką chciałybyś uchodzić, rzuciłaby się na mnie po paru godzinach znajomości?

Nicola przypomniała sobie aż nadto wyraźnie, jak upadła na niego i oparła się o jego pierś. Oblał ją gorący rumieniec.

- A może tego też chcesz się wyprzeć?

- Wiem, jak to musiało wyglądać, ale to był przypadek.

Straciłam równowagę.

- Naprawdę? - wycodził.

- Naprawdę. Ja... nie jestem przyzwyczajona do alkoholu, a wypiałam za dużo wina, i jeszcze ten koniak. Zakręciło mi się w głowie...

Jego cyniczne spojrzenie mówiło jasno, że nie wierzy w ani jedno słowo.

- Czyli to nie miała być zachęta?

- To właśnie usiłuję ci wytłumaczyć.

- Pewnie zaraz oświadczysz, że nie chciałaś iść ze mną do łóżka, i oskarżysz, że cię uwiodłem?

- Nie - odparła cicho, spuszczać głowę. - Nie mam najmniejszego zamiaru oskarżać cię o uwiedzenie mnie. - Zebrała się na odwagę, wiedząc, że jedynym wyjściem jest wyznanie prawdy. - I chociaż nie zamierzałam cię prowokować, chciałam iść z tobą do łóżka.

Drwiąco uniósł brew.

- Powiedz mi, Nicola, czy masz ochotę przespać się z każdym mężczyzną, jakiego spotykasz?

Jej twarz znowu załała się rumieńcem.

- Nie. Mój mąż był jedynym mężczyzną, z którym spałam.

- To znaczy oprócz mnie? - zapytał z błyskiem w oku.

- Oprócz ciebie - przyznała. Pragnąc przekonać go, że myli się co do niej, zapewniła cicho: - Od śmierci Jeffa nawet nie spojrzałam na innego mężczyznę.

- Wiesz, że prawie mnie przekonałaś? - powiedział z sarkazmem.

- To prawda.

- Nie mówiłaś aby, że twój mąż nie żyje od kilku lat?

- Od trzech.

- I przez cały ten czas żyłaś w celibacie?

- Tak.

- Młoda, piękna wdowa spragniona pociechy... Na pewno znalazłoby się wielu zainteresowanych.

- Nikomu nie mówiłam, że jestem wdową, nie licząc Johna. - Dominic uśmiechnął się krzywo. Przypomniała sobie ich pierwsze spotkanie i dodała pośpiesznie: - To znaczy dopóki nie spotkałam ciebie. Nie licząc mojej pracy,

unikalam kontaktów z ludźmi. Mężczyźni mnie nie interesują. Chciałam, żeby wszyscy dali mi spokój, żebym mogła się pozbierać.

- Chcesz mi powiedzieć, że młoda, zdrowa kobieta z naturalnymi potrzebami nie tęskniła za kontaktem z ludźmi?

- Jeśli chodzi ci o seks... kiedy kogoś oplakujesz, seks staje się nieważny. Tęskniłam za czymś ciepłym, bliskością.

W jej słowach brzmiała niewątpliwa prawda i przez sekundę wydawał się wstrząśnięty. Ale potem zapytał z kamienną twarzą:

- W takim razie, jeśli przez trzy lata nie miałaś kochanków, dlaczego zdecydowałaś się na przygodę z kimś zupełnie obcym?

Miała wrażenie, że żelazna obręcz ściska jej serce. Milczała. Ale jemu najwyraźniej zależało na uzyskaniu odpowiedzi, bo nie ustawał.

- A może powiesz, że uznałaś mnie za kogoś wyjątkowego, jak Johna Turnera?

- Nie, nie powiem. - Jak mogła? Przecież przed chwilą nazwał wszystko „przygodą”.

- No to dlaczego?

- Może za dużo wypiałam. Nagły impuls. A może uczucie, że moja żałoba nareszcie się skończyła i czas zacząć żyć na nowo.

- Czyli w zasadzie wystarczyłby jakikolwiek mężczyzna?

- Nie! - Po chwili pożałowała swojej stanowczości. -

Musiał to być ktoś, kto mnie naprawdę pociągał.

- Mówiłaś chyba, że jestem podobny do twojego męża?

- Z początku tak mi się wydawało, ale to nieprawda

- oznajmiła kategorycznie. - Wcale nie jesteś podobny do Jeffa. Nawet z wyglądu.

Przemyślał to sobie, zanim zadał następne pytanie.

- Ale i tak cię pociągałem?

- Tak.

Kiedy nie rozwinęła tej odpowiedzi, zauważył aksamitnym głosem:

- Myślałem, że może dostrzegłaś we mnie kolejne potencjalne źródło dochodu.

- Nie potrzebuję takiego źródła dochodu.

- Może i nie, skoro masz już zapewnioną przyszłość.

- Nigdy nie potrzebowałam takich źródeł dochodu - oznajmiła. - Jestem w stanie zadbać o własną przyszłość.

- Niektóre kobiety uważają, że znalezienie bogatego, samotnego mężczyzny to najprostszy sposób.

- Może są takie kobiety i może takie znasz, ale ja akurat do nich nie należę.

- Zaskakujące, jak pozornie trzeźwo myślący mężczyzna daje się zauroczyć ładnej buzi - ciągnął spokojnie. - Chociaż mówią też, że nie ma większego głupca niż stary głupiec.

- John nie był żadnym głupcem. Był bardzo samotny, ale jestem pewna, że zauważyłby, gdybym próbowała go „opętać”.

- Kiedy powiedział, że zostawi ci majątek?

- Nic nie powiedział. Nie miałam nawet pojęcia, że jest bogaty. Dowiedziałam się o tym dopiero wtedy, kiedy jego adwokat napisał do mnie.

Pewna, że nigdy nie zdoła go przekonać, zmęczona wypytywaniem, postawiła nogi na ziemi.

- A teraz przepraszam, ale miałam męczący dzień i naprawdę chciałabym iść już do łóżka.

- Nie sama, mam nadzieję? - Dominic rzucił jej krzywy uśmiech.

- Na pewno sama - oznajmiła twardo, zastanawiając się, dlaczego chciałby iść do łóżka z kobietą, którą najwyraźniej gardzi.

- No cóż... - Wzruszył ramionami, wstał i zauważył obojętnie: - Lepiej cię zaniosę, żebyś już nie nadwerężała tej kostki.

- Nie! - zaprotestowała w panice. - Mogę iść sama. Nie może sobie pozwolić na słabość. Gdyby poszła z nim do łóżka, straciłaby całą dumę i szacunek do siebie. Stałaby się taką kobietą, za jaką ją brał.

Mimo zimnego kompresu jej kostka była opuchnięta. Uznała, że chodzenie na obcasach jest za trudne i lepiej będzie boso. Wzięła sandały i wstała.

Zdażyła zrobić tylko parę kroków, zanim kostka ją zawiodła. Z okrzykiem bólu upuściła sandały i chwyciła oparcie najbliższego krzesła.

Dominic wydał okrzyk irytacji.

- Może nareszcie przestaniesz się zachowywać jak uparta idiotka!

Zanim zdążyła się sprzeciwić, chwycił ją na rękę. Żołądek jej się ścisnął, a bicie serca i oddech przyspieszyły gwałtownie. Z wielkim wysiłkiem starała się udawać obojętną.

- Byłoby wygodniej, gdybyś objęła mnie za szyję. Zagryzła wargi i z wahaniem zrobiła, o co prosił. Podniósł ją z taką łatwością, że była pewna, iż tylko z niej drwił.

Przeniósł ją przez hol i w górę po pięknych marmurowych schodach, przy których te w Ca' Malvasia wydawały się niepozorne. Jego oddech przyspieszył tylko nieznacznie. Była dziwnie pewna, że przyczyną jest bliskość jej ciała, a nie ciężar. Potwierdzało to, że wciąż jej pragnął, niezależnie od tego, jak źle o niej myślał.

A może wystarczyłaby mu jakakolwiek kobieta? Czują jednak instynktownie, że to nieprawda.

Skreślił w lewo i ruszył szerokim korytarzem. Krzyżowało się z nim kilka mniejszych, a z obu stron zdobiły je wspaniałe lustra i obrazy oraz misternie rzeźbione drzwi.

Stanął się przed jednymi z nich, wciąż trzymając ją na rękach.

- To twój pokój - oznajmił spokojnie.

Wydawało się, że drzwi niczym się nie różnią, i zastanawiała się, skąd właściwie wiedział, które są właściwe.

- Coś nie tak? - zapytał, jakby czytał jej w myślach.

- W zasadzie nie... Tylko przyszło mi do głowy, że jeśli będę musiała wyjść z pokoju, to trudno mi będzie do niego trafić...

- Nie ma potrzeby, żebyś wychodziła, przynajmniej do rana. Każdy pokój w tym skrzydle ma własną łazienkę.

- Ach. - Poczwała się głupio. - Ale te wszystkie drzwi wyglądają jednakowo.

- Może na pierwszy rzut oka, ale jeśli przyjrzesz się płaskorzeźbom, przekonasz się, że każda jest inna. Większość przedstawia rzymskich bogów i boginie, których było całym sporo... Może zechciałabyś przekreślić klamkę? - zapytał, nie zmieniając tonu.

Przekreśliła ciężką, metalową kulę. Otworzył drzwi ra-

mieniem i wniósł ją do dużego, pięknie umeblowanego pokoju. Ostrożnie postawił ją na ziemi. Kiedy cofał dłoń, musnął bok jej piersi.

Było to jakby przypadkowe dotknięcie, ale wystarczyło, by jej sutki stwardniały. Modliła się, by nie dostrzegł tych dowodów podniecenia.

- Żeby znaleźć swój pokój - ciągnął - wystarczy, żebyś się rozglądała za obliczem Janusa. - Wskazał na główną płaskorzeźbę na drzwiach, przedstawiającą dwie identyczne twarze, patrzące w przeciwnych kierunkach. - Jak widzisz, ma dwie twarze... - w jego głosie pojawił się dziwny ton.

- Wybrałem ten pokój specjalnie dla ciebie. Ale nie z powodów, które sobie pewnie wyobrażasz... - dodał, gdy się zarumieniła. - Janusa przedstawia się zazwyczaj z dwiema twarzami, bo jest strażnikiem drzwi, a każde drzwi wychodzą na dwie strony. Jest też bogiem nowych początków...

Kiedy zastanawiała się, czy w jego słowach jest jakieś głębsze znaczenie, dodał lekko:

- Kiedy pytałem, jakie masz plany, mówiłaś chyba, że te wakacje mają być nowym początkiem?

I tak miało być. Chociaż to, co miało być cudowną przygodą, nie okazało się dokładnie tym, co planowała.

- Tak. A teraz chcę, żebyś ty odpowiedział na pytanie - oznajmiła, bo potrzeba wyjaśnienia nie dawała jej spokoju.

- Dobrze. Co chcesz wiedzieć?

- Skoro myślisz o mnie tak źle, dlaczego poszedłeś ze mną do łóżka?

Przez chwilę wydawał się skonsternowany.

- Nie mogłem się powstrzymać - przyznał dość ponuro.

- Pragnąłem cię tak bardzo, że nie potrafiłem po prostu odejść.

- Chyba łatwo odejść od kobiety, do której czuje się wyłącznie pogardę.

- No, nie powiedziałbym, że wyłącznie... Byłaś jednocześnie niepokojąca i czarująca, i byłem zazdrosny o Johna... Chociaż byłem za to na siebie wściekły, odkryłem, że pragnę cię bardziej niż jakiegokolwiek innej kobiety...

Poczuła niemal dziką satysfakcję. Przynajmniej pożądanie było obustronne.

- Nadal tak jest - wpatrywał się intensywnie w jej twarz. - A ty czego chcesz?

Z domyślnym, pewnym siebie uśmiechem położył dłonie na jej ramionach. W ten prosty sposób wzbudził u niej gwałtowniejsze pożądanie niż Jeff przez te wszystkie miesiące małżeństwa.

Pochylił ciemną głowę, by ją pocałować. Nagle, gdy jej wargi się rozchyliły, a ciało stało się miękkie i podatne, rozjaśniło jej się w głowie.

- Chcę, żebyś uwierzył, że nie jestem taką kobietą, za jaką mnie bierzesz — zawołała, wyrrywając mu się.

Wyraźnie go to zaskoczyło, ale szybko się opanował.

- Chciałbym wierzyć, że jesteś niewinna jak nowo narodzone dziecko, ale okoliczności temu raczej przeczą... Jestem jednak gotów poczekać z ostateczną decyzją, aż się lepiej poznamy.

- Jesteś arogancką świnią - powiedziała cicho. Roześmiał się i delikatnie przesunął palcem po jej policzku.

- Ale i tak chcesz ze mną spać?

Była to pokusa niemal nie do odparcia. Zacisnęła zęby. Jeśli mu ulegnie, tylko potwierdzi jego złą opinię o niej.

- Nie, nie chcę - zaprzeczyła stanowczo.
- Jesteś pewna? To najlepszy i najprzyjemniejszy sposób, żeby się szybko nawzajem poznać.
- Absolutnie pewna.
- Szkoda.
- A teraz proszę, wyjdź.
- Jeśli naprawdę tego chcesz... Dobranoc, Nicola. Słodkich snów. A tak przy okazji - odwrócił się w drzwiach - mieszkam w sąsiednim pokoju. Jeśli przypadkiem zmienisz zdanie, to między pokojami są drzwi.

Zesztywniała, słysząc to bezczelne zaproszenie. Drzwi się za nim zamknęły. Ciekawe, czy od początku to zaplanował? Czy dlatego dał jej ten akurat pokój? Żeby sobie wszystko ułatwić?

Próbowała nie myśleć o nim, o tym, jak jest blisko, jak bardzo chce być z nim, niezależnie od wszystkiego. Rozejrzała się wokół.

Pokój miał cudowny, ozdobny sufit, ale poza tym wystrój i meble były raczej proste. Znajdowało się tu kilka krzeseł, komoda, szafa, toaletka i rzeźbione łóżko z baldachimem z niebieskiego brokatu.

Obok łóżka stał mały stolik nocny, a na nim telefon. Umieszczono tam jej zegarek podróżny, a także książkę, którą akurat czytała, i szkatułkę na klejnoty babci.

Na jednej ścianie znajdowały się dwa wąskie okna. Z niejakim zaskoczeniem usłyszała za nimi odgłosy ulewy.

Podeszła do najbliższego okna i otworzyła okiennice. Przysłoniła oczy dłonią i spojrzała na ciemny kanał. W jed-

nej sekundzie niesamowite światło oświetliło czarną wodę oraz odpadające stiuki i żelazne balkony *palazzo* naprzeciwko. Zaraz potem rozległ się przeraźliwy huk grzmotu.

Nadeszła wreszcie burza.

Z każdej strony pokoju były drzwi. Zawahała się, rozmyślając, które prowadzą do łazienki, a które do pokoju Dominika. Jeśli otworzy niewłaściwe, może nie będzie miała siły, by drugi raz mu się wyrwać.

A to tylko ugruntuje tę fatalną opinię, jaką o niej miał.

Powiedział: następny pokój, więc z pewnością prowadzą do niego drzwi po prawej stronie. Znajdował się na nich duży, staroświecki zamek, ale nie było ani klucza, ani zasuwki.

Wiedziała, że Dominic był wprawdzie mężczyzną o gorącym temperamentem, ale na pewno nie wykona następnego ruchu. Zaprosił ją, a teraz czeka, pozostawiając jej decyzję, czy przyjąć zaproszenie.

Gdyby tylko nie myślał o niej tak źle... Ale nie mogła mieć do niego wielkich pretensji - sama wiedziała, że sytuacja mogła wyglądać dwuznacznie.

Westchnęła, zastanawiając się, czy kiedykolwiek zdoła go przekonać, że jest całkowicie niewinna.

Otworzyła drugie drzwi i znalazła za nimi luksusową łazienkę, gdzie czekał jej skromny szlafrok i kosmetyczka.

Starła się zapomnieć o swoich zmartwieniach, przynajmniej na chwilę. Umyła zęby i wzięła prysznic. Wyszczotkowała włosy, włożyła nocną koszulę i, padając ze zmęczenia, wsunęła się do łóżka.

Było bardzo wygodne.

Wyłączyła nocną lampkę, zamknęła oczy, kompletnie

wyczerpana. Miała za sobą długi i męczący dzień - męczący fizycznie i psychicznie.

Podróż samochodem, pierwszy widok Wenecji, wizyta w Ca' Malvasia... A do tego wszystkiego taka emocjonalna huśtawka... Jutro będzie trzeba podjąć kilka ważnych decyzji.

Przede wszystkim: wrócić do domu czy jednak kontynuować wakacje?

Odpowiedź była prosta. Dopóki jest chociaż najmniejsza szansa na przekonanie Dominika, że źle ją osądza, nie może odejść.

Przypomniała sobie, że Sandy mówiła o zamieszkaniu z Brentem, i zrozumiała, że nie może już wrócić do dawnego mieszkania. Czyli po powrocie będzie musiała znaleźć nowe...

Najważniejsze to - co zrobić z Ca' Malvasia... Przypomniało jej się, że jest rano umówiona z signorem Mancinim. Teraz nie będzie miała najmniejszych wyrzutów sumienia, odwołując spotkanie...

Zaczynało jej się mącić w głowie, ziewnęła...

Prawie natychmiast pojawił się sen...

Wdrapywała się po schodach w Ca' Malvasia. Dom był cichy, ciemny i w jakiś sposób groźny. Chciała zawrócić, ale, jak to w snach, wiedziała, że może tylko iść naprzód.

Przeszła w stronę pustego korytarza. Było coraz ciemniej, znajdowała drogę, trzymając dłoń na najbliższej ścianie. Słyszała skrobanie swoich palców o ścianę, ale oprócz tego usłyszała jeszcze jakiś dźwięk.

Zadrżała, zatrzymała się i odwróciła, wpatrując się w ciemność, wstrzymując oddech i nasłuchując. Poczwała, jak włosy stają jej dęba.

Ktoś był bardzo blisko, skradał się w jej stronę, właśnie miał wyciągnąć rękę i dotknąć jej.

Oblała się zimnym potem, wydała zduszony okrzyk i rzucała się do ucieczki. Zdołała zrobić tylko kilka kroków, zanim wpadła na ścianę. Jej serce waliło wściekle, oddychała z trudem, gorączkowo usiłowała wymacać drzwi. Musiało być jakieś wyjście...

RS

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Nagle otworzyły się drzwi, wpuszczając strumień światła z leżącej za nimi sypialni. Chwilę później Dominic chwycił ją w ramiona.

Początkowo, wciąż ogarnięta paniką, szarpała się dziko. Trzymał ją bardzo delikatnie.

- Spokojnie, spokojnie - szeptał. - Już dobrze... To tylko sen.

Kiedy przestała się szamotać i przywarła do niego, drżąc na całym ciele, przytulił ją mocno. Chowając usta w jej włosach, mruzczał uspokajająco, aż jej ciężki oddech uspokoił się, a serce zaczęło bić normalnie.

- Już dobrze? - zapytał po chwili.

- Tak, nic mi nie jest - wyjąkała ochryple, nadal drżała.

- No to pora z powrotem do łóżka - wziął ją na ręce. Gdy położył ją na łóżku i przykrył lekką kołdrą, strach nagle powrócił. Chwyliła go za rękę.

- Proszę, nie zostawiaj mnie.

- Nie zostawię - obiecał.

Zamknął drzwi, zrzucił krótki, jedwabny szlafrok i wślizgnął się do łóżka. Potem przyciągnął ją do siebie i wsunął jej ramię pod głowę.

Kiedy Nicola się ocknęła, było jeszcze bardzo wcześnie. Wciąż na pół śpiąca, poczuła dziwne ciepło, bezpieczeństwo, szczęście.

Zaczynały do niej docierać różne fakty. Jedna z jej nóg ocierała się o inną, dużo bardziej owłosioną, na żebrach czuła ciężar czyjegoś ramienia, a jej policzek leżał na muskularnej piersi.

Po tylu latach samotności było to cudowne. Westchnęła i przytuliła się mocniej.

- Dzień dobry.

Otworzyła ciężkie powieki i zobaczyła Dominika. Obserwował ją w skupieniu. W szarych oczach było coś, co mylnie można by uznać za czułość.

Ich spojrzenia spotkały się. Uśmiechnął się do niej. Potem wsunął palec pod jej podbródek i unióś jej twarz, by móc ją pocałować.

Zareagowała gwałtownie, bezradna wobec instynktu. Mruknął dziwnie - z mieszaniną pożądania i satysfakcji - i pogłębił pocałunek.

Natychmiast chwyciła ją i poniosła fala pragnienia tak silnego, że jakikolwiek opór byłby bezcelowy.

Pragnienie, jakie czuła wobec Dominika, nigdy nie ograniczało się do seksu. Może był dumny i arogancki, uprzedzony do niej, ale w głębi duszy wiedziała, że intelektualnie, emocjonalnie i oczywiście fizycznie jest dokładnie tym, czego jej trzeba.

Pocałował ją, a jego dłoń, śmiała i zręczna, zsunęła się, by popieścić jej pierś przez cieniutki materiał koszulki.

- Wolałbym dotknąć twojej skóry.

Zaczął zdejmować z niej niepotrzebną koszulkę. Dotykał

jej, gładził i całował, aż zaczęła myśleć, że nie ma już rozkoszy, którą jeszcze mógłby jej dać. A wtedy pomógł jej odkryć nowe strony siebie samej.

Nigdy nie myślała, że istnieje taka rozkosz. Ale kiedy już było po wszystkim, odkryła, że największą radość daje jej tulenie jego ciemnej głowy na piersiach.

Kiedy Nicola obudziła się po raz drugi, przypomniała sobie wszystko i zalała ją fala mieszanych emocji.

Wypadki potoczyły się wbrew jej woli i sprowadziły Dominika do jej boku.

Odwróciła głowę, ale odkryła, że jest w wielkim łóżu sama.

Poczuła jednocześnie gwałtowne rozczarowanie i tchórzliwą ulgę. Chciała, by Dominic wciąż przy niej leżał, ale też drżała na samą myśl o spojrzeniu mu w oczy.

Leżała, wpatrując się w bogato haftowany baldachim. Poczuła niechęć do samej siebie, rozczarowanie.

Jak mogła się spodziewać, że Dominic uwierzy, iż jej zachowanie jest zaprzeczeniem jej natury? Że jej związek z Johnem był niewinny, skoro wszystko, co robiła, wskazywało na coś wręcz przeciwnego?

Westchnęła głęboko. Jeśli po prostu powie mu prawdę - że go kocha - nigdy jej nie uwierzy.

Kochała go... Jej podświadomość ujęła w słowa uczucia, jakie żywiła do Dominika.

Kochała swojego męża. Ale teraz rozumiała, że miłość do Jeffa była łagodnym, znajomym, jednowymiarowym sentymentem, który wyrósł ze stałej bliskości, zasilany potrzebą kochania kogokolwiek.

Miłość, jaką czuła do Dominika, była gwałtowna. Dziwne, potężne uczucie, które pojawiło się od razu w pełni ukształtowane i opanowało jej serce i duszę, zanim zdążyła je dostrzec.

W dodatku chyba skazane było na brak wzajemności.

Usiadła, boleśnie zraniona tą konkluzją.

Pokój był chłodny i mroczny. W powietrzu unosił się zapach lawendy.

Miała wrażenie, że jest jeszcze wcześniej, jednak gdy spojrzała na zegarek, odkryła, że już za piętnaście dwunasta. W tej samej chwili rozległo się pukanie do drzwi.

- Proszę - zawołała, odrobinę niepewnie.

Ku jej zdumieniu do pokoju wszedł Dominic. Miał na sobie płócienne spodnie i rozpiętą pod szyją koszulę. Niósł srebrną tacę.

- Mam nadzieję, że cię nie obudziłem.

- Nie - odpowiedziała, trochę zdezorientowana. - Powinnam była wstać już dawno. Byłam rano umówiona z signorem Mancinim.

- Zadzwoń do niego, jak tylko stwierdziłem, że nie zdążysz. Mam pozwolenie Marii na przyniesienie ci kawy i rogalika - oznajmił poważnie. - Pewnie myśli, że już wstałaś i ubrałaś się - dodał z uśmiechem. - Gdyby wiedziała, że jesteś jeszcze w łóżku, i to zupełnie naga, pewnie dostałaby szału...

Nicola, która w tej chwili uświadomiła sobie swoją nagość, zarumieniła się i podciągnęła narzutę, by zakryć piersi. Dominic westchnął ciężko.

- Skromność u kobiety uważana jest za cnotę, ale może facetowi strasznie zepsuć zabawę. Chociaż muszę przyznać,

że Maria by cię pochwaliła - ciągnął.- Jest bardzo przyzwolona. Rządziła domem żelazną ręką jeszcze przed moim urodzeniem. Ciągle drżymy przed nią ze strachu - dodał ze smutkiem.

Myśl o Dominiku drżącym ze strachu przed jakąkolwiek kobietą, a zwłaszcza własną gospodynią, rozbawiła Nicole.

Jej uśmiech był czarujący. Rozświetlał zielone oczy, dodając im niesamowitego ciepła i uroku. Dominic stał nieruchomo, sycąc się jej widokiem. Masa jedwabistych, złocistych loków opadających jej na ramiona, długa, smukła szyja, gładka linia obojczyka, sposób, w jaki podtrzymywała narzutę...

Onieśmielona jego obserwacją, podciągnęła narzutę jeszcze wyżej.

Rozłożył podstawkę tacy i postawił ją Nicoli na kolanach, po czym usiadł na brzegu łóżka.

Na tacy stał mały srebrny dzbanuszek na kawę, drugi ze śmietanką, cukiernica z ciemnym cukrem, filiżanka, a obok niej, na białej serwetce, leżała jedna czerwona róża bez skaży.

Przyglądała się jej, zauroczona, a potem skierowała wzrok w stronę Dominika. Szare oczy spojrzały w zielone, przekazując milczącą wiadomość, od której jej serce wezbrało radością. Jednak powiedział tylko:

- Róża jest ode mnie.
- Dziękuję. Jest piękna.

I rzeczywiście była. Kiedy uniosła ją, by powąchać, ostry kolec ukłuł ją w palec. Wykrzyknęła mimowolnie.

Zobaczył czerwoną kroplę. Wyjął różę z jej dłoni i nie dbale rzucił na nocny stolik. Potem wziął jej palec do ust. Natychmiast przypomniała sobie rozkosz ich miłości.

- Z różami trzeba uważać - szepnął, nie wypuszczając jej palca.

- Nic się nie stało, naprawdę - powiedziała zduszonym głosem.

- Może trzeba było zdecydować się na cieplarnianą... - powiedział z namysłem, puszczając jej rękę.

Pokręciła głową.

- Cieplarniane kwiaty są jakieś takie sztuczne, sterylne. Wolę róże ogrodowe, nawet z kolcami.

Rzucił jej dziwne, niemal prowokujące spojrzenie.

- A może złotą broszkę w kształcie róży?

Jej nowo odnalezione szczęście zwiędło i umarło.

- Jako rekompensatę za usługi?

- Nie ująłbym tego tak brutalnie. Ale z tobą jest tak cudownie, że gdybyś szukała łatwego zarobku, i tak byłoby warto.

Miała wrażenie, że coś zimnego i ciężkiego uciska jej żołądek.

- Wczoraj ci powtarzałam, że niczego takiego nie szukam. A teraz idź już.

- Wyrzucanie mnie z pokoju zaczyna wchodzić ci w zwyczaj - zauważył łagodnie.

- Przepraszam - odparła, rumieniąc się. - Więcej tego nie zrobię. Wyprowadzę się zaraz, jak tylko się ubiorę.

- Obawiam się, że nie mogę ci na to pozwolić.

- Nie możesz mnie tu trzymać wbrew mojej woli - zaprotestowała. Ale przypomniała sobie, jak łatwo poradził sobie wczorajszego wieczora z jej protestami, i straciła pewność.

- To nie będzie wbrew twojej woli. Jeśli zastanowisz się nad tym spokojnie, na pewno się ze mną zgodzisz. Z czy-

sto praktycznego punktu widzenia to najlepsze wyjście. Jest szczyt sezonu turystycznego, każdy hotel ma komplet. Nie zdołasz niczego znaleźć...

Nicola miała powiedzieć, że zaryzykuje, ale nie dał jej dojść do słowa.

- Ale najważniejsze to nie dopuścić do powstania plotek. W takim zamkniętym środowisku jak weneckie towarzystwo wieści szybko się rozchodzą. Wszyscy uznaliby to za dziwne, gdyby spadkobierczyni *palazzo* nie mieszkała tutaj. Możesz to nazwać dumą rodową albo jak chcesz, ale nazwisko Loredanów jest stare i nadal bardzo szanowane. Kilku Loredanów było dożami. Najmniejsza plotka, że mąż Sofii Loredan był na tyle głupi, by zostawić wszystko dziewczynie, której rodzina nie chce zaakceptować, wywołałaby skandal, a do tego nie dopuszczę.

- No to przeniosę się do Ca' Malvasia - odparowała. - To chyba nikomu nie będzie przeszkadzało.

- Owszem, mnie - zaprotestował cicho. - Widzisz, budynku nigdy oficjalnie nie podzielono. Można powiedzieć, że prawnie Ca' Malvasia nadal jest częścią pałacu.

- Co to znaczy „prawnie”?

- Mógłbym powiedzieć, że jest. Gdyby sprawa wylądowała w sądzie, ciągnęłaby się dość długo. Nie wiem, kto by w końcu wygrał - dodał z lekkim uśmiechem - ale do tego czasu z pewnością mógłbym nie dopuścić, żebyś tam zamieszkała. - Dał jej chwilę na przemyślenie. - No, a teraz przyznaj, czy nie będzie lepiej po prostu zostać tutaj, dopóki nie zdecydujesz, co robić z domem?

Znała już odpowiedź, ale i tak zapytała:

- A co chciałbyś, żebym z nim zrobiła?

- Odsprzedaj mi go.
- Za grosze?
- Za cenę rynkową.
- A jeśli nie chcę go sprzedawać?
- To będę miał bardzo piękną sąsiadkę.
- Nie chciałeś raczej powiedzieć - cierń w boku? Rzucił jej przelotne spojrzenie.

- Na pewno mogłabyś nim być, gdybyś zechciała. Ale mam nadzieję, że nie zdecydujesz się na to. Dużo przyjemniej jest być przyjaciółmi... - I dodał, z leciutką groźbą w głosie: -I muszę cię ostrzec dla twojego własnego dobra: we mnie naprawdę nie warto mieć wroga.

Tak, nie miała wątpliwości, że potrafił być bezlitosny. Uśmiechnął się ponuro.

- Teraz, kiedy już się rozumiemy, może zapomnimy o drobnych nieporozumieniach i znowu będziemy przyjaciółmi? Ciesząc się swoimi wakacjami i planując przyszłość, będziesz mile widzianym gościem w moim domu.

- Chcesz pewnie powiedzieć: „więźniem”? - spytała z gorącością.

- Po co zaraz tak melodramatycznie - zadrwił. - Po prostu myśl o pałacu jak o hotelu.

- Obawiam się, że mogę o nim myśleć tylko jako o więzieniu.

- Przynajmniej jest bardzo wygodnym więzieniem.

I oczywiście otwartym. Kiedyś mieliśmy lochy. Zresztą ciągle tu są, chociaż teraz trzymamy w nich raczej wino. Możesz więc robić, co chcesz.

- Ale na pewno ktoś mnie będzie nieustannie pilnował?

- Nigdy nie robię niczego, co według mnie nie jest konieczne.

Ruszył do drzwi, pozwalając jej zinterpretować te słowa, jak jej się podobało.

- Pozałatwiałem najpilniejsze sprawy i postanowiłem zrobić sobie wolne popołudnie - powiedział jeszcze. - Mam nadzieję, że zjesz ze mną obiad na tarasie o pierwszej...

Wiedziała, o co mu chodzi - było to rzucone wyzwanie. Ale zanim zdecyduje, czy podjąć rękawicę, musi spokojnie pomyśleć...

Drżącą dłonią naląła sobie kawy. Dodała śmietanki i piła z roztargnieniem, szukając wyjścia z sytuacji. Nie miała wiele możliwości. Najwyżej trzy.

Mogła się poddać i od razu wrócić do domu.

Ale to było wykluczone. Nie miała już nadziei, że Dominic zmieni opinię o niej, nie mogła jednak pozwolić, by po prostu ją stąd przepędził.

Mogła też podjąć wyzwanie i spróbować znaleźć inne lokum - ani przez chwilę nie wątpiła, że gdyby podjął kroki prawne, mógłby uniemożliwić jej zamieszkanie w Ca' Malvasia. Chociaż chyba zależało mu na uniknięciu plotek? Sprzeciwienie się mu oznaczałoby poważną konfrontację.

Jeśli nie blefował, wszystko mogło się skończyć ogromnym skandalem, a ona zostałaby z niczym. Z Dominikiem jako wrogiem. A zresztą po co wplątywać się w długą wojnę? Na pewno skończyłaby się jej porażką, przy wielkich wpływach, jakie miał Dominic.

Czyli pozostawało jej trzecie wyjście. Będzie musiała

poddać się i zostać w pałacu. To przynajmniej umożliwi zachowanie cywilizowanych stosunków i da jej czas na zdecydowanie, co robić dalej.

Wiedziała już, że nie chce rozstawać się z Ca' Malvasia. Gdyby nie Dominic, w ogóle nie rozważałaby takiej kwestii. Ale patrząc na sprawy z jego punktu widzenia, potrafiła to zrozumieć...

Zerknęła na zegarek. Wpół do pierwszej. Nie chciała spóźnić się na obiad. Jeśli miała pozostać jego „gościem”, lepiej unikać zatargów.

Odstawiła tacę, wstała i z zadowoleniem stwierdziła, że kostka wygląda niemal normalnie. Właśnie miała ruszyć do łazienki, gdy dostrzegła różę leżącą na nocnym stoliku. Nie mogła pozwolić jej umrzeć, chociaż prezent był tylko drwiną. Zniosła ją do łazienki i wstawiła do kubka z wodą.

Umyła się i wyszczotkowała włosy. Skrzywiła się z bólu, dotykając siniaka na skroni. Ale i tak miała szczęście, przygoda mogła się skończyć dużo gorzej.

Zeszła po wielkich schodach i stanęła na dole, niepewna, które z licznych drzwi prowadzą na zewnątrz. Pojawił się siwowłosy służący. Skłonił się godnie i powiedział znakomitą angielszczyzną:

- Pan prosił, bym zaczekał i wskazał pani drogę na taras...
Proszę za mną.

- Dziękuję.

Idąc za nim odkryła, że *palazzo* jest jeszcze większy i bardziej imponujący, niż początkowo myślała. Miał formę wielkiego prostokąta wokół centralnego dziedzińca i ogrodu.

Na zewnątrz nie było ani śladu po wczorajszej burzy. Ziemia była sucha, powietrze ciepłe i nieruchome, pachnące

różami. Na schodach prowadzących z tarasu do ogrodu wygrzewało się kilka małych, zielonych jaszczurek.

Na środku dziedzińca stała marmurowa fontanna. Woda tryskała ze stosu kamieni, a wśród piany galopowały trzy białe konie o długich grzywach. Uznała, że tę fontannę oraz tę stojącą na *campo* zaprojektował chyba ten sam rzeźbiarz. Szum wody działał na nią kojąco.

Dominic, w ciemnych okularach, siedział na ogrodowym krześle. Przeglądał coś, co wyglądało na plik służbowych papierów.

Nicola miała ochotę uciec, ale zdołała zachować spokój i opanowanie. Ruszyła w jego stronę.

Kiedy podeszła, odłożył papiery i okulary, i - jak przystało na dobrze wychowanego gospodarza - wstał z uśmiechem. Gdy nie odwzajemniła go, dość ostentacyjnie ujął jej dłoń.

Jego dotyk jak zwykle ją poruszył, ale była zdecydowana, by zachować ostrożność i traktować go z uprzejmością i na dystans. Po chwili cofnęła rękę.

Przyjrzał się jej jedwabistej sukience w delikatnych szarozielonych odcieniach.

- Wyglądasz uroczo i świeżo... W tym upale to wielkie osiągnięcie.

Nie wiedząc, jak zareagować na nieoczekiwany komplement, powiedziała z rezerwą:

- Przy fontannie wszystko wydaje się świeższe.
- Kiedy byłem mały, włożyłem na nią, kompletnie ubrany, i siadałem na koniach, chociaż wiedziałem, że nie wolno. Ku wielkiemu przerażeniu Marii zresztą. Któregoś dnia nie chciałem zejść i musiała wejść do wody po mnie...

Nicola uśmiechnęła się, rozbawiona i zaintrygowana wzięciem Dominika jako małego, nieposłusznego dziecka. Po chwili zrozumiała, że właśnie po to opowiedział jej tę historyjkę.

W cieniu czekał stół. Pośrodku stał wazon z kwiatami, dookoła leżały wykrochmalone serwetki, srebra rodowe i stały kryształowe szklanki. Dominic posadził ją na krześle, a sam usiadł naprzeciwko. Uśmiechnął się.

- Powiedziałem Marii, że posiłek ma być skromny, ale zdaje się, że ona tak sobie wyobraża piknik. Mogę ci nalać wina?

- Nie, dziękuję. W tym upale wolałabym wodę.

- Bardzo rozsądnie. - Nalał z dzbanka wodę do dwóch pięknych szklanek.

- Nie jadłaś śniadania, więc musisz być głodna. Od czego chciałabyś zacząć? Może owoce morza?

Przez cały obiad, by rozbroić ją i wywabić zza murów, za którymi się schowała, poruszał różne tematy. Postanowiła iść za jego przykładem i odpowiadała w tym samym stylu. W końcu odprężyła się i przyjęła rolę mile widzianego gościa, którą jej najwyraźniej przeznaczył.

Przy kawie, po uwadze Nicoli na temat urody szklanek, rozmowa zeszła na szkło.

- Od ponad tysiąca lat w Wenecji wytwarza się szkło - powiedział Dominic. - Kiedyś huty były w centrum miasta, ale pod koniec trzynastego wieku przeniesiono je na wyspę Murano, z powodu groźby pożarów. Jest tam jeszcze sporo wytwórni. Chciałabyś zobaczyć, jak wydmuchuje się szkło?

- O, tak - odpowiedziała z entuzjazmem.

- W takim razie, o ile kostka już cię nie boli, możemy wybrać się na Murano dzisiaj po południu. Oczywiście część

hut produkuje teraz tanie, kiczowate drobiazgi dla turystów. Jednak jest paru prawdziwych artystów, którzy wciąż tworzą wspaniałe rzeczy... Jak na przykład to.

Wskazał przejrzysty wazon, w którym stał bukiet. Wazon miał kształt muszli, tak cienkiej, że niemal niewidocznej. Było to prawdziwe arcydzieło.

- Cudowny - oznajmiła Nicola szczerze. - Jest nowy?

- Tak. Kupiłem go jako prezent ślubny dla mamy i Johna. Po jej śmierci zapytał, czy chciałbym dostać go z powrotem.

- Nie rozumiem, dlaczego John go nie lubił. Znał się na pięknych rzeczach.

- Najwyraźniej.

Nicola zagryzła wargi, zła, że pozwoliła sobie na nieprzemyślaną uwagę i dała mu okazję do takiej odpowiedzi.

- Chciałem cię o coś zapytać - odezwał się spokojnie po chwili. - Skoro byliście takimi przyjaciółmi, dlaczego nie przyjechałaś na pogrzeb?

- Dopiero trzy tygodnie po jego śmierci dowiedziałam się, że nie żyje. Pracowałam poza domem.

Dominic usłyszał w jej głosie szczerzy żal i smutek.

- Skoro jesteś w Wenecji, chciałabyś może odwiedzić jego grób?

- Ale on, zdaje się, zmarł w Rzymie?

- Owszem. Ale mama życzyła sobie, by pochowano ich razem. Przywieziono go do rodzinnego mauzoleum na San Michele.

- Tak się cieszę - wykrzyknęła Nicola. - On też by sobie tego życzył... - Głos ją zawiódł, a oczy wypełniły się łzami.

- Jego śmierć naprawdę tobą wstrząsnęła? - spytał Dominic, marszcząc brwi.

Zamrugnęła, by ukryć łzy, i wzięła głęboki oddech.

- Tak. Jak ci już mówiłam, bardzo go polubiłam.

- Jednak fakt, że zostawił ci wszystko, musiał to wynagrodzić?

- Nie to, że straciłam jednego z niewielu przyjaciół, jakich mam.

- Ale przecież to, że zapisał ci swój majątek, musiało być... jak by to powiedzieć... lepszą rekompensatą niż prezenty.

- Nie rozumiem, o co ci chodzi - oznajmiła lodowato.

- John nigdy nie dawał mi prezentów.

- Jesteś tego pewna? - spytał, a jego oczy były twarde jak granit.

- Całkiem pewna. Nigdy bym od niego nic nie przyjęła - dodała desperacko.

- To dziwne, bo mam wszelkie powody, by przypuszczać, że podarował ci złoty pierścień. Pierścień Maschera.

- Ale on nie dał... - Nicola zaczerwieniła się.

- Nie próbuj zaprzeczać. Muller nie mógł go znaleźć, kiedy przeszukiwał twoje walizki, ale jestem pewien...

- Jak śmiałeś kazać komuś przeszukać moje rzeczy?

- krzyknęła z wściekłością. - Nie miałeś do tego żadnego prawa...

- Mam wszelkie prawo, jeśli uważam, że masz coś, co do ciebie nie należy.

- Nie wystarczy ci, że nazwałeś mnie naciągaczką, teraz jeszcze dokładasz złodziejkę!

Zacisnął wargi.

- Ten pierścień jest bardzo cenny. Powinienem był go schować...
- No to dlaczego nie schowałeś?
- Na pogrzebie mamy zauważyłem, że John ma go na łańcuszku na szyi. Powinienem był zażądać, żeby go natychmiast oddał, ale wydawał się naprawdę zrozpaczony i zrezygnowałem. Na drugi dzień wyjechał z Wenecji. Kiedy go wreszcie znalazłem i poprosiłem o zwrot, nie chciał się z nim rozstać. Przysięgał, że mama dała mu go na łożu śmierci.
- Jeśli tak powiedział, to na pewno...
- Ale albo kłamał, albo się mylił - oznajmił z przekonaniem. - Wiem, że nigdy nie zrobiłaby czegoś takiego.
- A skąd ta pewność?
- Bo ten pierścień to rodzinny skarb. Po śmierci Johna szukaliśmy przede wszystkim tego, ale wśród jego rzeczy nigdzie go nie było.
- I natychmiast doszedłeś do wniosku, że ja muszę go mieć?
- I mam rację, prawda? Chociaż ciągle próbujesz się tego wyprzeć.
- Wcale nie. Mówię tylko tyle, że John mi go nie dał...
- Czyli przyznajesz, że go ukradłaś?
- Oczywiście, że nie. Posłuchasz mnie wreszcie? Nie dał mi pierścienia w sposób, o jakim myślisz. Znalazłam go w kopercie, którą przechowywał dla mnie adwokat Johna, razem z kluczami do Ca' Malvasia.
- Wiedziałaś, że należał do mojej matki?
- Wiedziałam, że należał do żony Johna.
- Nie miał prawa go oddawać - oznajmił Dominic z cichą furją. - Pomijając wszystko inne, jest to jeden z nielicznych zachowanych pierścieni tego rodzaju. Jest wręcz bezcenny.

ROZDZIAŁ ÓSMY

- Mogłam się domyślić, że chodzi o pieniądze - stwierdziła Nicola z goryczą.
 - Nie wmówisz mi, że nie wiedziałas, ile jest wart.
 - Niczego ci nie wmawiam. Stwierdzam fakt. Dla mnie mógł być równie dobrze sztuczny. Do tej chwili nie miałam pojęcia.
 - Tu nie chodzi o samą wartość pieniężną. Był w rodzinie Loredanów od początku osiemnastego wieku. Od pokoleń przekazywano go żonie najstarszego syna. A jeśli nie było synów, najstarszej córce.
 - Rozumiem - powiedziała z namysłem.
 - Ale uważasz, że jesteś w porządku?
 - A dlaczego mam nie być? Nie wiedziałam o tym. Wiedziałałam tylko, że pierścień należał do żony Johna i że on chciał, żebym ja go dostała...
- Urwała gwałtownie. Kilka metrów dalej, w cieniu gęstej winorośli, stał wysoki, przystojny młodzieniec o czarnych, kręconych włosach i najwyraźniej podsłuchiwał.
- Początkowo myślała, że Dominic wygląda jak Jeff, ale ten mężczyzna był do niego jeszcze bardziej podobny. Dominic zauważył, że wpatruje się w coś nad jego ramieniem, i odwrócił głowę.
- Co ty tu robisz, u diabła? - zapytał ostro.

Młodszy mężczyzna rzucił mu drwiące spojrzenie i wyszedł na słońce.

- Zapomniałeś, że tu mieszkam?
- A ty nie zapomniałeś, że o drugiej masz ważne spotkanie w Mestre?
- Nie zapomniałem. Nie chciało mi się iść. - Zobaczył, że szczęki Dominika zaciskają się groźnie, i pośpiesznie dodał: - Brzuch mnie boli. Od paru dni. Odkąd zjadłem tego homara...
- Daruj sobie wykręty.
- Poprosiłem jedną z sekretarek, żeby poszła i robiła notatki...

Dominic zerwał się ze złością.

- Spotkanie zwołano, żeby przedyskutować nowy projekt Zitellego. Wysłanie sekretarki, żeby robiła notatki, na pewno nie wystarczy!
- Rosa jest bystra i dokładna. Spisze wszystkie najważniejsze punkty i da mi wydruk.
- Rosa jest sekretarką Pietra i na pewno ma dość roboty.
- Mnie nie zawiedzie. Jest na mnie napalona. Dominic spojrzał na niego z obrzydzeniem.
- Kiedy powierzyłem ci tę sprawę, powiedziałem chyba dość jasno, że potrzebna jest twoja obecność.
- Ale ja prawie nic nie wiem o nowym projekcie Zitellego...
- Wiedziałbyś dużo więcej, gdybyś raczył się pofatygować na spotkanie.
- Jest za gorąco, żeby siedzieć na spotkaniu, zwłaszcza kiedy nie czuję się najlepiej. A poza tym ty chyba też nie pracujesz - dodał przebiegle.

- Pracuję z domu.

Nowo przybyły przesunął wzrokiem po Nicoli, z wyraźną aprobatą.

- Każdy chciałby taką pracę.

- Zachowuj się - rozkazał ostro Dominic. Odwrócił się do Nicoli i oznajmił sztywno: - Mam nadzieję, że przyjmiesz moje przeprosiny. Kłótnia przy gościu to szczyt złego wychowania.

- Nie nazwałbym tego kłótnią - sprzeciwił się beztrąsko młodzieniec. - Raczej demonstracją braterskiej dysharmonii...

A więc to był David. Domyśliła się tego zresztą.

- I nic dziwnego, że występują małe tarcia, zauważywszy, jak bardzo głowa domu kocha ustalać zasady... -dodał, popisując się jak mały chłopiec.

Trudno było nie zauważyć, że David robi wszystko, by zirytować brata. Nicola miała wrażenie, że jej obecność sprawia, iż jest dużo śmielszy niż byłby w innych okolicznościach.

Dominic zdążył odzyskać panowanie nad sobą.

- Nicolo, czy mogę ci przedstawić mojego brata, Davida? Davidzie, to pani Whitney.

David spojrział w jej oczy i ujął dłoń.

- To prawdziwa przyjemność poznać panią, pani Whitney...

Czarujący, pomyślała. I dobrze o tym wie.

- ...czy mógłbym mówić: Nicolo?

- Proszę - powiedziała ostrożnie.

- Rozumiem, że twój mąż nie żyje?

- To prawda - odpowiedziała spokojnie.

- Jesteś o wiele za młoda na wdowę. I o wiele za pięk-

na... - Nie wypuszczał jej dłoni. - Rozumiem, dlaczego Dom zaprosił cię do nas. Chociaż muszę przyznać, że dziwi mnie twoja zgoda, z uwagi na okoliczności...

- Zamierzasz zjeść obiad? - przerwał mu brutalnie Dominic.

- Nie. Jadłem u Leonarda.

Nicola, świadoma, że Dominic ich obserwuje, próbowała uwolnić rękę. David w końcu wypuścił ją niechętnie.

- Jednak cieszę się, że tu jesteś. Na pewno trochę rozweselisz to zakurzone zamczysko.

- Nie sądzę, żebym została długo - powiedziała trochę niezręcznie.

- A jak długo jest długo?

- Dopóki nie zadecyduję, co robić... z różnymi sprawami - odpowiedziała szczerze.

- Chodzi o sprzedaż Ca' Malvasia? Ależ nie wolno ci tego robić. Lepiej się tam wprowadź. Zostań naszą sąsiadką. Nie masz pojęcia, jak nudne może być mieszkanie w...

Dominic rzucił mu spojrzenie, które skutecznie powstrzymało potok słów. Potem zwrócił się oficjalnym tonem do Nicoli:

- Wybacz, ale muszę cię opuścić. Muszę przeprosić Bruna Zitellego i znaleźć kogoś, kto pojedzie na spotkanie. - Zwrócił się do Davida i dodał ponuro: - Ale najpierw chciałbym zamienić słówko z tobą.

Odciągnął brata na stronę. Ani razu nie podniósł głosu, jednak było jasne, że jego słowa aż nadto osadziły młodzieńca.

Obaj mieli dobrze ponad metr osiemdziesiąt, ale Dominic był silniejszej budowy, a jego ramiona były znacznie szersze

niż młodszego brata. Czarne włosy Dominika były ostrzyżone krótko, David zaś miał na głowie niesforną masę kruczych loków. Miał także mniej ostre rysy, a oczy niebieskie, nie szare. Na pierwszy rzut oka wydawał się przystojniejszy od starszego brata.

Jednak wystarczyło spojrzeć po raz drugi, by dostrzec miękkie usta rozpieszczzonego dziecka i słabo zarysowany podbródek, co odejmowało mu trochę urody.

Rozmowa dobiegła końca. Dominic rzucił Nicoli krótkie spojrzenie i wszedł do domu, a David wrócił do niej, lekko zarumieniony. Niedbale rzucił marynarkę na najbliższy leżak i padł na krzesło.

- Uuuf!

- Ustalanie zasad?

- O, tak. Właśnie kazał mi się trzymać od ciebie z daleka tak stanowczo, że zdaje się, sam ma jakieś zamiary... Nie, właściwie to jestem tego pewien.

Poczula, że się rumieni, i pokręciła głową.

- Na pewno się mylisz. On mnie nawet nie lubi.

- No to dlaczego zaprosił cię, żebyś mieszkała w *palazzo*?

- Chyba chciał mnie mieć pod ręką, żeby... mnie pilnować.

- I pewnie namawiać, żebyś sprzedała Ca' Malvasia? Jemu naprawdę bardzo zależy na jego odzyskaniu.

- To zrozumiałe, skoro uważa go za część *palazzo* - przyznała.

- Rozstaniesz się z nim? - zaciekał się David.

- Nie chcę, ale...

- To się nie rozstawaj. Nie daj mu się zmusić do zro-

bienia czegoś, na co nie masz ochoty. Jeśli będzie trzeba, walcz z nim.

Gdyby nie jej uczucia wobec niego, nawet by się nie zawahała. Ale teraz nie miała serca do walki. Po co? Gdyby wygrała, Dominic by ją znienawidził... Nie mogłaby mieszkać obok niego ze świadomością, że on sobie tego nie życzy.

- Boisz się, że nie wygrasz? - zaryzykował David, obserwując jej żalną minę.

- Boję się, że zwycięstwo nie dałoby mi nic dobrego.

- Starszy braciszek jest mistrzem w zastraszaniu ludzi - uśmiechnął się. - Kiedy Dom naprawdę się wścieknie, trzęsę się ze strachu... - przyznał. - A dzisiaj mało go szlag nie trafił. Najpierw kazał mi zostawić cię w spokoju, a potem dostało mi się za niepójście na to spotkanie i za tak zwaną impertynencję.

- Nie uważasz, że na to zasłużyłeś? - spytała sucho.

- Nie sądziłem, że będziesz po jego stronie - jęknął.

- Nie jestem po niczyjej stronie. Ale naprawdę robiłeś wszystko, żeby go rozwścieczyć.

- Nic na to nie mogę poradzić - przyznał David z rozbijającą szczerością. - Tak się rządzi, jest taki arogancki i ciągle krytykuje wszystko, co robię. Upokarza mnie i zaczynam się buntować...

Nicola poczuła przyływ współczucia. Ona też poczuła jego tyranie, arogancję i upodobanie do upokarzania jej---

- Szkoda, że muszę dla niego pracować - wyrwało się Davidowi.

- Jesteś zmuszony pracować dla niego? - spytała.

- Jeśli nie będę pracować, nie da mi pieniędzy - oznajmił ponuro, nalewając sobie wina. - Widzisz, on trzyma kasę. Mam prawo do tych pieniędzy, ale nic nie dostanę, dopóki nie skończę trzydziestki. Koszmar. Nienawidzę mieszkania w takim muzeum jak Wenecja. Jak tylko będzie okazja, zabieram się do Stanów... - w jego głosie brzmiała gorycz. - Ale na razie tkwię tutaj bez grosza przy duszy, bo braciszek przekonał mamusię, że wszystko wydam, jeśli dostanę pieniądze za wcześnie...

- Naprawdę ją przekonał? Odniosłam wrażenie, że wasza mama lubiła sama o wszystkim decydować.

- No dobra, przekonał ją albo sama postanowiła, na jedno wychodzi. Do trzydziestki muszę żyć jak żebrak,..

Z rozbawieniem pomyślała, że trudno nazwać go żebrakiem. Ani znakomicie skrojony garnitur i jedwabna koszula, ani ręcznie szyte buty nie były tanie.

- Wspomniałeś coś o pieniądzach, które dostajesz...

- Marne grosze. A kiedy zrobiłem sobie wakacje, na które Dom nie wyraził zgody, postraszył, że przestanie mi je wypłacać.

- Nie mógłbyś pracować dla kogoś innego?

- Raz próbowałem, ale pensja była śmiechu warta i spodziewali się, że będę tam siedział pięć dni w tygodniu.

- Niemożliwe!

Uśmiechnął się, słysząc jej sarkazm.

- W każdym razie dopóki pracuję dla DIL Holdings, a szefem jest mój brat, mam kilka dodatkowych korzyści. Poza tym jak Dorna nie ma, mogę robić, co mi się podoba.

Nicola nie była pewna, który z braci zasługuje na jej

sympatię. Miała zasugerować, że właściwie David nie ma tak źle, kiedy zapytał:

- Co robisz przez resztę dnia?
- Właściwie to jeszcze się nie zastanawiałam...
- Zwiedzałaś Wenecję?
- Nie, przyjechałam dopiero wczoraj. Twój brat proponował wycieczkę na Murano, ale...
- Dzisiaj na pewno nie zobaczymy go przed kolacją - zapewnił David z całym przekonaniem. - Praca to jego bóstwo. Pewnie sam pojedzie do Mestre, żeby Zitelle się nie obraził... - Zobaczył minę Nicoli i dodał szybko: - To wszystko prawda. Mam bóle brzucha... Chociaż Dom, który ma serce z kamienia, najwyraźniej mi nie uwierzył.
- Nie jestem pewna, czy można mieć do niego pretensję
- odpowiedziała Nicola, która też mu nie uwierzyła.
- Naprawdę nie rozumiem, jak taka piękna kobieta może być tak nieczuła - poskarżył się David.
- Cóż, twoje usprawiedliwienie nie zabrzmiało przekonująco.
- Wiesz co? - oznajmił wspaniałomyślnie. - Wybaczę, że we mnie zwątpiłaś, jeśli wyjdiesz ze mną dzisiaj po południu.
- Przypomniała sobie, że miała nie prowokować kłopotów.
- Nie, lepiej nie.
- Uważasz, że Domowi by się nie spodobało? No to co? Tak się go boisz?
- Oczywiście, że nie - zaprzeczyła, odrobinę za szybko.
- Ale myślałam, że ty tak.
- Tylko jak jest w pobliżu.

- Wiesz równie dobrze jak ja, że z tego mogą być kłopoty... - zauważyła, rozbrojona.
- Jesteśmy wolni. Może się wypchać. Zresztą, skąd ma się dowiedzieć?
- Jeśli wróci i nas nie zastanie...
- Nie wróci. Jak już się bierze do pracy, reszta świata przestaje istnieć... Nie chcesz chyba siedzieć tutaj cały dzień?
- Nie chciała, skoro miała całą Wenecję na wyciągnięcie ręki. Chciała gdzieś wyjść. Gdyby Dominic wspomniał chociaż słowem o powrocie, poprosił, by na niego zaczekała... Ale nic nie powiedział.
- No, chodź... Nie jesteś więźniem. Wrócimy, zanim cokolwiek zauważy.
- No, może na godzinę czy dwie.
- Tak trzymać! - zawołał triumfalnie.
- Ale nie boli cię przypadkiem brzuch? - przypomniała sobie.
- Już mi lepiej...
- Jak to dobrze się składa...
- Naprawdę mnie bolał, więc nie rób takiej oskarżycielskiej miny. Musisz coś załatwić przed wyjściem?
- Tylko wziąć torebkę. Może przydałby się krem do opalania.
- Mieszkaś pewnie we wschodnim skrzydle? Założę się, że Dom dał ci pokój obok swojego - zgadł z przebiegłym uśmiechem. Zauważył jej zmieszanie i dodał złośliwie: - Przyznaję, że mu się nie dziwię. Te drzwi między pokojami to bardzo wygodna rzecz. Nie złość się - dodał pospiesznie. - Żartuję... Jeśli pójdziesz tylnymi schodami, będzie szybciej i pewnie na nikogo nie wpadniesz. Chodź, pokażę ci.

Złapał marynarkę, wziął ją za rękę i pociągnął przez dziedziniec do małych drzwi w tyle domu. Prowadziły do części dla służby, z kuchniami, składzikami i prawdziwym labiryntem przejść. Kolejne drzwi wychodziły na kamienne schody.

- Jeśli przejdiesz przez ten łuk i skręcisz w lewo, zobaczysz korytarz prowadzący prosto do wschodniego skrzydła. Zaczekam tutaj...

Żeby nikt nas razem nie zobaczył - nie wypowiedział tych słów, ale wisiały w powietrzu. Nicola, speszona, poszła zgodnie z jego wskazówkami i wyszła niemal na drzwi swojego pokoju.

Dominic kazał co prawda bratu trzymać się od niej z daleka, ale w końcu oboje byli dorośli. Jeżeli on miał dość wykonywania rozkazów brata i był gotów zaryzykować wyjście z nią na godzinę czy dwie...

Zignorowała głos rozsądku. Wrzuciła do torebki krem do opalania i paczkę chusteczek. Kiedy zamykała ją, dotarło do niej, co Dominic powiedział o pierścieniu Sofii.

Z kieszonki w torebce wyjęła sakiewkę z miękkiej skóry i schowała w szkatułce po babci. Tutaj powinien być bezpieczny.

Cicho zamknęła drzwi i pobiegła z powrotem tą samą drogą. David czekał tam, gdzie go zostawiła.

- Widziałaś kogoś? - zapytał.
- Nikogo.
- To dobrze. Łódka już czeka. Tędy.
- Wczoraj z Dominikiem wychodziliśmy inną drogą - zauważyła.

- Pewnie przez główne wejście. To wejście dla dostawców - wyszczerzył zęby.

Wąskie boczne wyjście prowadziło do wąskiej przystań, gdzie, ku jej zaskoczeniu, czekała czarna gondola. Gondolier w koszulce w czerwone paski i słomianym kapeluszu z czerwoną wstążką pomógł Nicoli wsiąść. David wskoczył za nią.

- Jak cudownie - powiedziała, obserwując, jak z niebywałą precyzją manewruje długim wiosłem. - Muszę przyznać, że nie spodziewałam się gondoli.

- Nie odważyłem się wziąć motorówki, Dominic mógłby zauważyć - wyjaśnił David. - A Giorgio jest dużo bardziej cichy od wodnej taksówki. Przy odrobinie szczęścia nikt nawet nie zauważy, że nas nie ma.

- Często stosowałeś tę metodę ucieczki?

- Owszem - odparł beztrąsko. - Oszczędza człowiekowi dużo kłopotów i męczących wyjaśnień. To straszne być młodszym synem... Ale mamy się przecież rozerwać, więc zapomnijmy na chwilę o problemach...

Było wczesne popołudnie, słońce stało wysoko na niebie. Miasto wyglądało na wyludnione, nie licząc kilku czerwonych, spoconych turystów. Wenecjanie zamknęli się w domach, by uciec przed nieznośnym upałem.

Opuścili Rio dei Cavalli i wpłynęli w labirynt kanałów. Po chwili do Nicoli zaczęły docierać różnorodne zapachy miasta: owoców, kwiatów, mielonej kawy, świeżo pieczonego chleba, słodka, ciężka woń wina i korzeni...

Nagle posmutniała. Gdyby mogła odkrywać tę najbardziej malowniczą i romantyczną stronę miasta z Dominikiem u boku...

- Stąd pójdziemy pieszo, Giorgio - głos Davida przebił się przez jej myśli.

Chwilę później znaleźli się na przystani. Gondolierzy rozkoszowali się sjestą, z naciągniętymi na twarze słomianymi kapeluszami.

Wysiedli. Kamienie, na których stali, były rozgrzane jak piec. David trzymał marynarkę na ręku, a na jego czole lśniły krople potu.

- Jest o wiele za gorąco na zwiedzanie... - oznajmił. - Może zamiast tego się wykapiemy? Na Lido możemy odpocząć pod plażowym parasolem i popływać.

- Byłoby cudownie... Ale nie mamy kostiumów ani ręczników, ani gdzie się przebrać...

- I tu się mylisz. Wynajmuję na stałe pokój w Trans Luxor. Wielki brat nic o tym nie wie. Chodź.

Poprowadził ją na postój taksówek. Po chwili jechali już w stronę Lido. Kiedy znaleźli się na wyspie, Nicola ze zdziwieniem odkryła, że w odróżnieniu od Wenecji, tutaj ruch na drogach jest wielki.

Podjechali pod hotel. Wewnątrz było mroczno i chłodno oraz całkowicie pusto, nie licząc ładnej blondynki w recepcji.

- Jedna z moich dziewczyn zostawiła ostatnio kostium w pokoju... - rzucił od niechcienia David, gdy szli po wykładanej marmurem podłodze.

Nicola zaczęła się zastanawiać, czy przyjazd tutaj był dobrym pomysłem. Ale skoro zaszła tak daleko, nie mogła się nagle rozmyślić.

- Macie z Giną mniej więcej tę samą budowę. Możesz go pożyczyć, jak chcesz.

Nicoli ten pomysł wcale się nie podobał i już miała uprzejmie odmówić, gdy pokazał jej mały butik obok głównego holu.

- A jeśli wolisz mieć własny, to wybierz jakiś, a ja wezmę klucz.

Zanim odebrał klucz, co wiązało się z dłuższym flirtem i chichotem jasnowłosej recepcjonistki, Nicola wybrała skromny, czarny kostium i zapłaciła za niego.

Znajdujący się na parterze pokój był duży i ładnie umeblowany. Balkonowe drzwi prowadziły do zielonych ogrodów. Za nimi znajdowała się zamknięta plaża z leżakami i parasolami. Nicola pomyślała, że wynajęcie takiego pokoju na stałe musi sporo kosztować. Suma, którą David dostawał co miesiąc, nie była chyba tak skromna, jak twierdził.

Rzucił marynarkę na oparcie krzesła, zaciągnął muslinowe firanki i zaczął rozpinać koszulę.

- Może ja się przebiorę w łazience? - zaproponowała spokojnie.

Wskazał jej drzwi po prawej i uśmiechnął się drwiąco.

- Ależ proszę, skoro się wstydzisz. Nie zareagowała na zaczepkę.

Kostium leżał idealnie i nie był wcale tak skromny, na jaki wyglądał - był wysoko wycięty na biodrach i z głębokim dekoltem. Przez kilka chwil próbowała go podciągnąć, ale w końcu dała spokój.

Wzięła parę ręczników plażowych i wyszła. Powitało ją pełne uznanie gwizdnięcie.

David, w czerwonych kąpielówkach, opalony najwyraźniej na całym ciele, wyglądał bardzo seksownie. Mogła zrozumieć, co kobiety w nim widzą. Ale dla niej nie mógł się równać z potężną sylwetką Dominika.

- Nie miałabyś najpierw ochoty na małą sjęstę? - zapytał, zerkając znacząco na łóżko.

- Nie, dziękuję.
- Dlaczego nie? - wydawał się ogromnie zdziwiony. -
Wiele kobiet uważa, że nie można mi się oprzeć.
- Wierzę. Ale ja niestety do nich nie należę. Szczerze mówiąc, mogę ci się oprzeć bez żadnego problemu.
- Wiesz, jak zranić faceta - poskarżył się z żartobliwym, zabawnym oburzeniem. Podobało jej się, że tak dobrze przyjął odmowę.
- Ale uważam, że jesteś bardzo miły - zapewniła.
- Może ci pokazać, jak miły potrafię... - ożywił się natychmiast.
- Nie, dziękuję.
- Nie musimy od razu iść na plażę - nalegał. - Za jakąś godzinę będzie chłodniej i luźniej.
- Za jakąś godzinę chcę być z powrotem w *palazzo* - oświadczyła stanowczo.
- No to lepiej chodźmy - westchnął.

Adriatyk był jasnozielony i cudownie chłodny, piaszczysta plaża zaś - miękka i złocista.

Zdołali znaleźć dwa wolne leżaki obok siebie. Na zmianę pływali i wygrzewali się. ciesząc się spokojem, słońcem, morzem i piaskiem, czasami milcząc, czasami rozmawiając o niczym.

Nicola obudziła się z drzemki, rozejrzała wokół i stwierdziła, że sporo leżaków jest już pustych.

- Która godzina?
- Nie mam pojęcia - odparł obojętnie David, nie otwierając oczu.
- Na pewno późno. Powinniśmy wracać. - Wstała, za-

bierając ręcznik i krem do opalania. David niechętnie zrobił to samo i poprowadził ją przez zacienione ogrody.

- Możesz pierwsza iść do łazienki - powiedział. - Chyba że masz ochotę na wspólny prysznic?

- Jesteś niepoprawny - westchnęła.

- To część mojego uroku - zapewnił, szczerząc zęby.

Szybko umyła się, wysuszyła, ubrała i wróciła do pokoju, nie upinając włosów.

- Łazienka twoja. - Wtedy zobaczyła minę Davida i spytała ostro: - Co się stało?

- Sprawdziłaś, która godzina?

- Nie, zostawiłam zegarek w torebce.

- No to zobacz.

Z fatalnym przeczuciem sięgnęła po torebkę i wymacała zegarek.

- Nie może być wpół do siódmej - jęknęła bezradnie.

- Niestety, jest. Nawaliliśmy. Nie ma siły, żeby wrócić przed Domem. Musielibyśmy mieć dużo szczęścia, żeby zdążyć na kolację.

- O, nie - wykrzyknęła z rozpaczą.

- Posłuchaj, wezmę prysznic i spróbuję coś wymyślić. -

David pozbierał ubranie.

- A co możemy zrobić?

- Powiem ci, jak będę mógł chwilę pomyśleć. - Zniknął w łazience.

Nicola znalazła swoją szczotkę i chciała upiąć włosy, gdy odkryła, że zostawiła spinki w łazience.

David wrócił szybko, w pełni ubrany. Wilgotne włosy przylegały do czaszki w poskręcanych, czarnych lokach.

- No? - spytała, bez większej nadziei.

- Widzę tylko dwie możliwości. Albo wracamy zaraz i próbujemy to jakoś załagodzić... od razu mówię, że średnio mi się podoba ten pomysł, będę w niełasce przez tygodnie... albo zachowujemy zimną krew.

- Co to znaczy?

- Dom na pewno już wie, że nas nie ma. Ale nie może być pewien, czy jesteśmy razem. Mogliśmy wyjść każde osobno... Moja propozycja jest taka. Nie śpieszmy się z powrotem. Zaczekamy, aż wszyscy pójdą spać...

- Ale...

- Możemy coś zjeść na mieście, zobaczyć Wenecję w nocy, a potem wrócić gondolą i pojedynczo dostać się do domu. Jeśli każde pójdzie prosto do siebie, nikt się nie dowie, że byliśmy razem. A rano przywitamy się, jakbyśmy się prawie nie znali...

- Naprawdę musimy tyle nakłamać?

- Dlaczego? Jeśli Dom mnie spyta, powiem szczerze, że pojechałem na Lido... Jeśli spyta ciebie, powiedz, że poszłaś pozwiedzać.

- A jeśli to nie wypali? Wzruszył ramionami.

- Jeśli nie, chociaż jest spora szansa, że tak, staniemy przed plutonem egzekucyjnym... Co ty na to?

Zawahała się. Nie podobała jej się konieczność kłamstwa, nawet przez niedopowiedzenie. Była głupia, że dała się namówić Davidowi na całą tę eskapadę.

- No dobrze - zgodziła się niechętnie.

- I o to chodzi!

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Powrót do Wenecji wodną taksówką okazał się jednak przeżyciem, którego Nicola za nic nie chciałaby się pozba-
wić. Powietrze nabrało złocistej barwy, a promienie słońca
lśniły i tańczyły na wodach laguny. Za namową Davida zo-
stawiała włosy rozpuszczone i ciepły wietrzyk zdmuchiwał
lekkie kosmyki na jej twarz.

W oddali widać było stare miasto, z mostami i dzwon-
nicami, świątyniami i pałacami, tajemnicze i dostojne na tle
lazurowego nieba.

- Cudowne, prawda? - zapytała, przekrzykując silnik.

- Większość ludzi tak uważa - odpowiedział obojętnie.

Zobaczyła, że to piękno nie robi na nim wrażenia. - Pewnie
się przyzwyczaiłem, skoro mieszkam tu całe życie - dodał.

Dominic też był przyzwyczajony, jednak dla niego We-
necja nie straciła nic ze swojej urody i nadal go fascynowała.

- Jedno trzeba Wenecji przyznać - odezwał się David po
chwili. - Ma pierwszorzędne restauracje. Myślałem, żeby
zjeść w „Il Faraone”, to jedna z najlepszych. Znają mnie, bez
problemu dostaniemy stolik. Jeśli wysiadziemy przy Akade-
mii, będziemy mieli całkiem blisko.

Kostka Nicoli znowu zaczęła puchnąć i sztywnieć. Była
zadowolona, że nie musi daleko iść.

Wysiedli przy moście Akademii i skręcili w wąziutką *calk*. Przeszli ją do połowy, kiedy mężczyzna idący w ich stronę zatrzymał się w cieniu, żeby zapalić papierosa. Płomień zapalki oświetlił na chwilę szczupłą, smagłą twarz z orlim nosem.

David chwycił jej ramię z siłą stalowych obcęgow, zawrócił i ruszył w stronę, z której przyszli.

Nicola poczuła niepokój, wyczuła w tym zdarzeniu coś bardzo groźnego. A może po prostu poniosła ją wyobraźnia? Może skręcili w niewłaściwą ulicę i tyle? Chociaż nie wydawało się to zbyt prawdopodobne, skoro najwyraźniej często bywał w „II Faraone”.

Rzuciła ukradkowe spojrzenie na jego twarz i utwierdziła się w przekonaniu, że stało się coś złego.

- Davidzie... - zaczęła.

- Wszystko w porządku - zapewnił. - Po prostu zobaczyłem kogoś, kogo nie chciałem spotkać. Tędy dojdziemy równie szybko.

Widziała jednak, że jest zdenerwowany. Uznała w końcu, że to nie jej sprawa, i już się nie odzywała.

Zgodnie z jej oczekiwaniami, „II Faraone” była restauracją bardzo elegancką, urządzonej w stylu staroegipskim i wypełnioną wytwornym towarzystwem. David został powitany po imieniu i natychmiast zaprowadzono ich do stolika.

Zamówił szampana i wypił pierwszy kieliszek duszkiem, jakby to była lemoniada. Dopiero w połowie posiłku zdołał zapomnieć o tym, co go dręczyło, opanować się i poświęcić jej całą uwagę.

- Prawie nic o tobie nie wiem, oprócz tego, że jesteś piękna - powiedział, obserwując ją. - Opowiedz mi coś

o sobie. Co właściwie robisz? Albo raczej co robiłaś, zanim zostałam bogatą kobietą?

Zignorowała złośliwość i odpowiedziała obojętnie:

- Organizuję konferencje dla Westlake Business Solutions.

- Tak poznałaś Johna?

- Tak.

- Mieszkałaś z nim?

- Nie. I nie namówiłam go, żeby mi zostawił cały majątek.

- Tak też myślałam. Nie wyglądasz mi na naciągaczkę. Zabrzmiało to szczerze.

- Dziękuję.

- Kochał cię?

- Nie. Wciąż kochał twoją matkę. Byliśmy tylko przyjaciółmi. Nie znaliśmy się aż tak długo.

- To dlaczego zostawił ci wszystko, co miał?

- Wciąż nie jestem pewna. Może dlatego, że nie dogadywał się z... - urwała gwałtownie.

- Z resztą rodziny? - podsunął David. - Osobiście nie mam do niego pretensji. Nikt go nie akceptował, oprócz mamy. Chociaż oddanie ci pierścienia to była niezła zemsta. .. A tak z ciekawości, zamierzasz go oddać Domowi?

- Nie miałam czasu o tym pomyśleć... Wolałabym, żeby nie był tyle wart - wyrwało jej się.

- Naprawdę nie wiedziałaś, ile to jest? - spytał z ciekawością.

- Gdybym wiedziała, nie nosiłabym go ze sobą.

- To dlaczego detektyw Doma go nie znalazł? Zakładam, że przeszukał twoje rzeczy.

- Miałam go w torebce - przyznała. David zagwizdał cicho.
- Czyli dosłownie nosiłaś go ze sobą. Może i lepiej, że braciszek o tym nie wie. Padłby na zawał... Chociaż, oczywiście, mama zawsze go nosiła. I nikt się nie zastanawiał, czy to bezpieczne. - Spojrzał na torebkę Nicoli i uniósł brew. - Ale chyba go teraz...?
- Nie - zapewniła pośpiesznie. - Jest w pokoju. Włożyłam go do kasetki na biżuterię mojej babci.
- Muszę przyznać, że ostatnio Domowi nie wszystko wychodziło - zauważył z pewną satysfakcją. - Pozbawiono go pierścienia i Ca' Malvasia...
- Nie mówiąc o pieniądzach. - Nie mogła ukryć rozgoryczenia.
- Myślę, że pieniądze najmniej go obchodzą. Piekielny szczęściarz i tak ma więcej, niż mu trzeba. Ale dwa pozostałe są mu bardzo potrzebne. Kobieta, z którą się chce ożenić...
- On się żeni? - sama usłyszała w swoim głosie szok.
- Ach! - wykrzyknął David. - Dziwisz się, bo wcześniej mówiłem, że jest tobą zainteresowany?
- Cóż, to tylko dowodzi, że się mylisz - powiedziała tak lekko, jak mogła.
- Ależ skąd. Do czasu ślubu z Carlą wolno mu mieć małe przygody, jeżeli zachowuje się dyskretnie i Ferrini o niczym nie słyszą.
- Kiedy...? - Głos jej się załamał. - Kiedy biorą ślub?
- O ile wiem, nie ustalili jeszcze daty.
- A od jak dawna się znają? - Wiedziała, że niepotrzebnie się dręczy, ale nie mogła przestać.

- Prawie całe życie. Chociaż Carla jest od Doma sporo młodsza - prawie w moim wieku. Od roku są nieoficjalnie zaręczeni. Z jakichś powodów Dom się nie spieszy, chociaż sam przyznał, że najwyższy czas ustatkować się i spłodzić potomka. Nie rozumiem. Ja bym nie czekał. Carla jest piękna, a Ferrini byli bliskimi przyjaciółmi mamy i są jedną z najbogatszych rodzin w Wenecji. Mają gałąź w Nowym Jorku, tamtym też kasy nie brakuje... - Westchnął. - Jeśli postanowisz oddać Domowi pierścień, pewnie go to zmobilizuje. ..

- Nie bardzo widzę inne rozwiązanie - powiedziała Nicola z ciężkim sercem. - Czułabym się okropnie, wiedząc, ile jest wart, nie mówiąc o tych tradycjach rodzinnych.

- Ja tam nie widzę powodu do przestrzegania starych tradycji. - David wydawał się znudzony. - Chociaż Domowi strasznie na nich zależy. A Carla jest nowoczesną dziewczyną i pewnie ma w nosie cały ten pierścień. Ale odzyskanie Ca' Malvasia na pewno zrobi różnicę.

- Chcesz powiedzieć, że będą tam mieszkać?

- Nie, matka Carli. To zostało już omówione. Signora Ferrini niedawno owdowiała. Chciałaby sprzedać dom rodzinny, wielki, sypiący się pałac na Giudecca, i zamieszkać blisko jedynej córki. Dom zgodził się, żeby mieszkała z nimi w *palazzo*, ale ona woli zachować niezależność. Gdyby mogła zamieszkać w Ca' Malvasia, byłoby idealnie.

- Nic dziwnego, że tak mu na nim zależy - zauważyła Nicola, pogrążona w rozpacz.

- Moim zdaniem będziesz głupia, jeśli mu je oddasz. - Chyba wyczuł jej nastrój. - Ale zapomnijmy o Dornie i wybierzmy się na miasto... Chcesz potańczyć?

- Byłoby cudownie - odpowiedziała z udawanym entuzjazmem. - Ale chyba nic z tego. Wczoraj skręciłam kostkę i zaczyna znowu puchnąć.

- Czyli chodzenie też odpada?

- W każdym razie nie za dużo.

- No to znam idealne miejsce na spędzenie reszty wieczoru. Pójdziemy do Club Nove. Możemy posiedzieć, wypić szampana, popatrzeć na występy... A, jeszcze słówko ostrzeżenia. Nie mów o tym Domowi.

Wodna taksówka przewiozła ich przez labirynt czarnych kanałów i wysadziła przy niskich schodach prowadzących do wąskiej alejki między murami.

Alejka wychodziła na Campo Mandolo, wielki plac, który wydawał się ośrodkiem nocnego życia Wenecji. Było tu wiele barów i restauracji. Z prawej strony znajdowała się restauracja ze sporym ogródkiem. Obok były czarne drzwi z metalową kratką. Nie widniała na nich żadna nazwa, nic nie wskazywało, że mogą prowadzić do klubu.

David pociągnął za staroświecką rączkę od dzwonka. Za kratką pojawiła się twarz. Po chwili milczącej obserwacji potężnie zbudowany mężczyzna w wieczorowym stroju otworzył im drzwi.

David pochylił się w jego stronę i powiedział coś, czego Nicola nie dosłyszała.

- A ona? - zapytał mężczyzna.

- To signora Whitney. Jest w porządku. Ręczę za nią. Zostali wpuszczeni, drzwi zamknęły się za nimi. Nicola znalazła się w pustym foyer z marmurowymi schodami. Mężczyzna zniknął w małej komórce.

- Tędy - powiedział David i poprowadził ją w górę schodów.

Na szczycie znajdowały się kolejne drzwi z kratką. Zapukał energicznie i znowu poddano ich milczącej obserwacji. Nie padło ani jedno słowo, ale drzwi otworzyły się. Weszli do luksusowo urządzonej sali w barwach złota i kości słoniowej, oświetlonej kryształowymi żyrandolami. W odległym końcu znajdowało się podium z wielkim, czarnym fortepianem.

Obok Davida pojawiła się elegancka hostessa, która z uśmiechem zaprowadziła ich do stolika. Zaraz za nią pojawił się kelner z butelką zimnego szampana, lodem i dwoma kieliszkami. Zręcznie otworzył butelkę i nalał, po czym zniknął bezszelestnie. Nicola odniosła wrażenie, że tutaj traktuje się w ten sposób wszystkich gości.

Rozglądając się ciekawie wokół, zauważyła, że wszyscy klienci mają jedno wspólne - pieniądze.

- Przyszliśmy akurat w porę - szepnął jej David do ucha. - Zaraz zaczniesz występ.

Popijając szampana, obejrzeli znakomite występy, w których uczestniczył między innymi rewelacyjny iluzjonista oraz sobowtór Franka Sinatry.

Po godzinie, kiedy pianista akompaniował bluesowej śpiewaczce o ochrypłym głosie, David zrobił się niespokojny.

- Przejdźmy, gdzie coś się dzieje.

- Coś się dzieje? - powtórzyła niepewnie Nicola, kiedy pomagał jej wstać.

- Nie rób takiej przerażonej miny - uśmiechnął się. - Chodziło mi o parę rzutów kośćmi.

A więc to klub dla hazardzistów. To wyjaśniało dziwaczny sposób wpuszczania gości. Przypomniała sobie jego prośbę, by nic nie mówić Dominikowi, i poczuła się zdecydowanie nieswojo.

- To chyba nie jest najlepszy pomysł - stwierdziła. - Moim zdaniem powinniśmy już iść.

- Przecież to tylko zabawa, na litość boską. Posłuchaj, obiecuję, że nie zostaniemy długo...

Nie wyglądała na przekonaną, więc wyciągnął z kieszeni komórkę.

- Jeśli to cię uspokoi, zadzwonię do Giorgia i poproszę, żeby po nas przyjechał za jakieś pół godziny.

Nie chciała niepotrzebnie się z nim kłócić, więc czekała w milczeniu, gdy rozmawiał z gondolierem, po czym 7. ociąganiem pozwoliła się zaprowadzić do bocznej salki.

Nie miała okien, a oświetlały ją jaskrawe neonowe lampy. Była równie duża, jak poprzednia, ale surowa i bez ozdób. Nic nie odciągało uwagi graczy od gry.

Stało tu sporo stołów, niektóre do bakarata, inne do gry w kości, do ruletki. Większość otaczał tłum ludzi.

Gdy podeszli do jednego ze stołów, zwolniło się akurat miejsce. David wepchnął ją na nie, po czym odbył cichą rozmowę z bankierem. Otrzymał stos różowych, plastikowych żetonów w zamian za coś, co wyglądało na weksel.

Niespokojna i zdenerwowana Nicola obserwowała, jak bierze kości.

- Muszę koniecznie wygrać, więc trzymaj kciuki. Zafascynowana, wbrew sobie patrzyła, jak rzuca kości

z nonszalancją, która nie pasowała do powagi większości graczy. Niemal od razu mu się poszczęściło.

- Przyniosłaś mi szczęście - oznajmił radośnie.
- Cieszę się. Ale zrobiło się bardzo późno. Możemy już iść? - dodała ponagląco.
- Teraz, kiedy wygrywam? - zapytał zdumiony.
- To chyba najlepszy moment, żeby przestać. Davidzie, proszę. Robi się bardzo późno.
- Jeszcze tylko kilka rzutów i kończę - obiecał, widząc jej niepokój.

Jednak szczęście przestało mu dopisywać. Następny rzut przegrał. Po jeszcze jednej wygranej zaczął konsekwentnie przegrywać.

Nicola nie mogła patrzeć. Siedziała, zaciskając dłonie, póki bankier nie zarządził przerwy.

David wyjął długopis i zażądał szansy na odegranie się. Jednak, ku wielkiej uldze Nicoli, bankier pozostał niewzruszony. Nie było więcej kredytu.

David odwrócił się z zaciętą miną i w milczeniu opuścili klub.

Wszędzie panowały ciemności - bary i restauracje były zamknięte. Przeszli przez opuszczone *campo* i właśnie mieli skręcić w nieoświetloną alejkę, gdy na drodze stanęli im dwaj potężni mężczyźni.

- Słoweczko, zanim pójdziesz.

Nicola nie mogła dostrzec w mroku ich twarzy, ale poczuła dreszcz niepokoju.

- Nie można innym razem? - zapytał David z udawaną odwagą. - Jak widzicie, jestem z damą.

- Na pewno chętnie zaczeka chwilkę - powiedział wyższy. Pociągnęli Davida w głąb alejki.

Nicola pomyślała, że jeśli spróbują mu zrobić krzywdę,

będzie musiała krzyczeć. Ale słyszała tylko ciche głosy. Do-
leciało do niej kilka słów.

- Dlaczego nie mogłeś porozmawiać ze mną w klubie...?
- ...przeszkadzać innym klientom. No to jak będzie?
- Jak tylko będę mógł...
- Nie powinni ci pozwolić wkopać się jeszcze głębiej.

Angelo jest niezadowolony...

- ...zapłacę, obiecuję... Jeszcze kilka dni... opłaci mu się...
- Powiedział jutro. Do trzeciej.
- Spróbuję, ale...
- Żadnego próbowania. Angelowi kończy się cierpliwość.

Pamiętaj, co się stało z ostatnim facetem, do którego Ange-
lowi zabrakło cierpliwości.

- A co mu to da? - David wydawał się przestraszony.
- Dobry przykład dla innych, którzy robią długi, a nie ma-
ją forsy.

- Ale ja mam pieniądze - powiedział z desperacją. -
Angelo o tym wie. Po prostu w tej chwili nie mam ich w rę-
ku.

- No to znajdź jakiś sposób... i to do jutra do trzeciej.

Mężczyźni wyszli z alejki i wtopili się w ciemność, zo-
stawiając Davida samego. Nicola poczuła ulgę, że nic mu się
nie stało, a jednocześnie prawdziwy niepokój. Nie miała wąt-
pliwości, że tkwi w kłopotach po uszy.

- Wybacz - powiedział z nonszalancją, która wprawiła ją
w podziw. - Dwóch dość niecierpliwych przyjaciół.

Nie nazwałaby ich „przyjaciółmi”, ale wydawało się, że
mniej boi się ich niż człowieka, którego unikał wcześniej.

Kiedy dotarli do końca alejki, David westchnął z ulgą na widok Giorgia z gondolą. Po chwili płynęli już mrocznymi kanałami.

Zbliżyli się do *palazzo* równie cicho, jak go opuścili. Ich obecność zdradzał tylko cichy skrzyp wiosła i chlupot wody. Na przystani David odbył szeptem rozmowę z gondolierem.

- Pójdę pierwszy, sprawdzę, czy teren czysty - szepnął Nicoli do ucha. - Na wszelki wypadek odczekaj dziesięć minut. Giorgio ci powie, kiedy ruszyć. Pamiętaj, żeby zamknąć drzwi na zasuwę i wejść tylnymi schodami. Kiedy będziemy w swoich pokojach, nikt nie dojdzie, że byliśmy razem. - Uścisnął jej dłoń. - Jak dobrze pójdzie, upiecze nam się.

Każda sekunda wydawała się jej wiekiem. Gondolier stał nieruchomo jak posąg. Wreszcie odwrócił głowę i kiwnął jej krótko.

- *Grazie* - szepnęła.

Odbił, zanim jeszcze otworzyła drzwi.

Cicho zamknęła je za sobą i z trudem zasunęła potężne zasuwę. Zaskrzypiały, mimo jej starań. Stała przez chwilę nieruchomo, przerażona.

W końcu wdrapała się po mrocznych schodach i na palcach przeszła korytarzem. Wydawało się, że wszyscy śpią, ale nie odważyła się odetchnąć, póki nie znalazła się we własnym pokoju.

Usiłowała cicho zamknąć ciężkie drzwi, ale w ciemności źle oceniła odległość i zatrzasnęły się z dość głośnym stuknięciem.

Kiedy zamarła bez ruchu, drzwi między pokojami otwo-

rzyły się gwałtownie. Stanął w nich Dominic ubrany w szlafrok z ciemnego jedwabiu. Jego czarne włosy były co prawda trochę zmierzwione, ale miała wrażenie, że jeszcze się nie kładł.

- Gdzie ty byłaś? - zapytał.

Światło miał za plecami, więc nie widziała wyraźnie jego twarzy, ale nie miała najmniejszych wątpliwości, że jest wściekły.

- Wychodziłam. - Mimo starań jej głos lekko drżał. Ogarnął wzrokiem sukienkę, sandaalki, torebkę i rozpuszczone włosy.

- To oczywiste. Jak również to, że dopiero co wróciłaś. Chodź tutaj - rozkazał szorstko. - Chcę z tobą porozmawiać.

- Dominic, proszę, nie możemy z tym poczekać do jutra?

- Nie, nie możemy.

- Ale ja jestem zmęczona i boli mnie kostka - nalegała, byle tylko odsunąć konfrontację.

- W to wierzę - odparł ponuro. - Ale masz mi parę rzeczy do wyjaśnienia, a ja nie zamierzam słuchać z drugiego końca pokoju, więc chodź.

Wiedziała, że był zdolny do wzięcia jej na ręce i zanieśienia tam, więc rzuciła torebkę na krzesło i niechętnie podeszła do niego. Ociągała się, gdyż zobaczyła jego twarz i nagle śmiertelnie się przeraziła jego gniewu. Złapał ją za nadgarstek, wciągnął do pokoju i zamknął drzwi.

Spodziewała się, że jego pokój będzie bogaty i imponujący. Mimo zdenerwowania zaskoczyła ją nagość kremowych ścian, surowość mebli. Tylko jedna rzecz świadczyła

o bogactwie i władzy głowy rodziny - wspaniałe łoże ze szkarłatno-złotym baldachimem.

- Usiądź.

- Wolę postać.

- Przystaniesz się zachowywać jak uparta idiotka i zrobisz, co ci mówię? - Nie podniósł głosu, ale zabrzmiało to jak trzaśnięcie bata. Opadła na najbliższe krzesło.

- Kiedy tylko znalazłem kogoś, kto pojechał zamiast Davida na spotkanie, i przeprosiłem Brana Zitellego, wróciłem, żeby zabrać cię na Murano. Ale okazało się, że zniknęłaś.

- Przepraszam - wykrztusiła. - Ale nie powiedziałaś, że wrócisz, a David mówił... - urwała gwałtownie, zdając sobie sprawę, że niemądrze jest wciągać w to Davida.

- Co David mówił?

- Tylko tyle, że jak już weźmiesz się do pracy, to szybko nie wrócisz - powiedziała ostrożnie. - I pewnie sam pojedziesz do Mestre, więc uznałam, że wolę wyjść na trochę, niż siedzieć sama...

- Ale to nie było na trochę. Nie było cię całe godziny. Kiedy nie wróciłaś na kolację, zacząłem myśleć, że może...

Nie dokończył, ale wiedziała, co chciał powiedzieć.

- Że wyjechałam z Wenecji?

- Przyszło mi to do głowy - przyznał.

Jego słowa były niemal obojętne, ale nagle poczuła pewność, że obawiał się, iż wyjechała, że miało to dla niego jakieś znaczenie.

Przez chwilę poczuła nadzieję.

Potem przypomniała sobie, że to przecież nie o nią mu chodziło, tylko o pierścień z maską.

- No to skąd wiedziałaś, że nie wyjechałam na dobre?

- Poszedłem do twojego pokoju. Twoje rzeczy były. To mnie uspokoiło, ale kiedy nie wracałaś, zacząłem się o ciebie poważnie martwić.

- Cóż, przykro mi, że się martwiłeś. - Postanowiła nie dać się zastraszyć. - Ale skoro sam powiedziałeś, że to nie więzienie, uznałam, że wolno mi trochę pozwiedzać miasto.

- Pozwiedzać? Czy ty w ogóle masz pojęcie, która jest godzina?

- Wiem, że jest późno, ale...

- Jest prawie wpół do trzeciej.

- Och...

- Mogło cię spotkać coś złego! Chyba kompletnie zgłupiałaś, żeby włóczyć się po Wenecji w środku nocy!

- Ale ja nie... - Była z natury szczerą i nie umiała kłamać. Zrozumiała, że omal nie wydała Davida, i urwała, zdezorientowana.

- Byłam sama? - Dominic zmrużył oczy.

- Włóczyłam się. Dość długo musiałam siedzieć, kostka mnie bolała.

- A gdzie siedziałaś do drugiej w nocy?

- Nie pamiętam nazwy... Wypiłam tam drinka i obejrzałam występy - dodała z nadzieją, że nie zdradza za dużo.

- A jak wydostałaś się z *palazzo*? - Zmienił temat tak błyskawicznie, że się pogubiła.

- Ja... nie wiem, o co ci chodzi.

- To bardzo proste pytanie. Głównym wejściem? Domyśliła się, że główne wejście na pewno było zamknięte, gdy służba spała.

- N-nie.

- No to którym?

- Popłynęłam i wróciłam łodzią.
 - Rozumiem... Ale nie tą drogą, którą wczoraj ze mną.
- Znowu milczała, bojąc się, że coś popłacze.
- Kto ci pokazał wejście dla dostawców?
 - Mam dość twoich pytań! - wykrzyknęła, zapędzona w kozi róg. - Jestem tu gościem i mam prawo wchodzić i wychodzić, jak chcę, nie narażając się na przesłuchania.
 - Przesłuchania? - uniósł brew.
 - A jak inaczej byś to nazwał?
 - Może gdybyś powiedziała mi prawdę...
 - Wcale nie skłamałam.
 - Wierzę, że powiedziałaś mi część prawdy. Ale nie jestem kompletnym idiotą. Wiem, że wyszłaś z Davidem. - Potem ją zaskoczył: - Pamiętam, jak opisałaś mi swojego męża. David jest chyba bardzo do niego podobny?
 - Tak - przyznała.
 - Cóż, pamiętaj tylko, że w przeciwieństwie do niego David to kobieciarz.
 - Jak miło, że mnie ostrzegasz.
 - To gdzie cię zabrał? - Pytanie pojawiło się nagle, jak pułapka.
 - Już ci powiedziałam, że mam dosyć pytań.
 - W zasadzie nawet nie musisz odpowiadać. Sam się domyślam. Doskonale wiem, że David ma pokój w Trans Luxor... A skoro masz rozpuszczone włosy, musiałaś pływać albo oddawać się... powiedzmy... innego rodzaju rozrywkom. Widzę, że zgadłem - powiedział, widząc jak spuszcza oczy. - No to jakie to były rozrywki?
 - Nie zamierzam ci wyjaśniać, skoro to nie ma nic wspólnego z tobą.

- Nie muszę nawet pytać. David znakomicie potrafi ściągać kobiety do łóżka.

- Jego brat też - odparowała. - Przynajmniej David nie jest zaręczony...

Kiedy wyrwały jej się te słowa, pożałowała gorzko.

- Co on ci właściwie naopowiadał? - spytał Dominic, mrużąc oczy.

- Tylko tyle, że zamierzasz się ożenić - odpowiedziała, starając się udąć brak zainteresowania tematem. Jednak ból i gorycz przeważyły. - Rozumiem, dlaczego tak ci zależy na odzyskaniu pierścienia i Ca' Malvasia. - Oślepią łzami, zerwała się i ruszyła w stronę drzwi.

Dotarł tam przed nią i zablokował jej drogę.

- Proszę, daj mi wyjść - powiedziała, nie podnosząc głowy i usiłując powstrzymać łzy.

- Nie, dopóki mi nie powiesz, czy poszłaś do łóżka z Davidem.

Podniosła głowę. Łzy spływały jej po policzkach.

- Oczywiście, że poszłam! Przecież wiesz, jaką kobietą jestem. Czego się spodziewałeś?

- Właśnie, że nie wiem. Ciągle próbuję to ustalić.

- A jakie to ma znaczenie? Grunt, żebyś odzyskał wszystko, co uważasz za swoje!

Szlochając, próbowała otworzyć drzwi. Nagle chwycił ją w ramiona. Przez chwilę walczyła i bezskutecznie próbowała się uwolnić. W końcu zrezygnowała, ukryła twarz na jego piersi i rozplakała się, podczas gdy on ją tulił i gładził po włosach.

- Nie przejmuj się - powiedział cicho. - Wszystko będzie dobrze, obiecuję...

Ale on miał zamiar poślubić kobietę o imieniu Carla i nic już nigdy nie będzie dobrze.

- Przepraszam. - Odsunęła się trochę, usiłując się opamiętać.

- Nie ma za co. - Uniósł jej twarz i kciukiem otarł łzy. Ten czuły gest przeważył szalę. Świeże łzy popłynęły po policzkach. - *Cara mia* - szepnął. Przytulił ją znowu i zaczął ją scałowywać.

Pragnienie, które czuła głęboko w sercu, zaczęło rosnać. Nie miała już siły z nim walczyć. Była stracona na długo przedtem, zanim pocałunki zmieniły się z uspokajających w namiętne i pełne pożądania.

Kiedy Nicola otworzyła oczy, pokój wydał jej się obcy - dopóki nie przypomniała sobie, że jest u Dominika i leży w jego łóżku, chociaż sama.

Nazwał ją „*cara mia*”...

Ale był zaręczony.

Jęknęła cicho z bólu i rozpacz. Wiedziała o tym, a jednak znowu poszła z nim do łóżka. Czy ona nigdy się nie nauczy?

Była w nim zakochana, ale jemu wcale na niej nie zależało. Po prostu zaspokajał potrzeby seksualne, czekając na ślub z inną kobietą.

Nie, to nie tak. Zabrzmiało to, jakby ją zwyczajnie wykorzystywał. A przecież był czułym i namiętным kochankiem, dał jej dużo więcej, niż żądał w zamian.

A jednak, chociaż fizyczny związek dawał jej wiele rozkoszy, to miłość do niego rozświetlała jej życie, to ona naprawdę się liczyła.

Nie było nadziei na to, że Dominic ją pokocha. Zależało mu na odzyskaniu pierścienia i Ca' Malvasia, by przyśpieszyć swoje małżeństwo.

Zostanie tutaj byłoby niepotrzebną torturą. Im prędzej wyjedzie, tym lepiej. Ale najpierw zobaczy się z signorem Mancinim i podejmie kroki, by zwrócić to, czego - teraz to rozumiała - John nie powinien był jej zostawiać. Wtedy będzie mogła opuścić Wenecję z czystym sumieniem.

RS

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Kiedy już podjęła decyzję, poczuła się trochę spokojniejsza, chociaż serce bolało na samą myśl, że już nigdy nie zobaczy Dominika.

Zerknęła na zegarek - było prawie wpół do dwunastej. Jeśli zdoła zobaczyć się z adwokatem jeszcze tego ranka, wczesnym popołudniem wyjedzie z Wenecji.

Wstała i odkryła, że wyczyzynek znakomicie zrobił jej kostce. Pozbierała ubranie i pobiegła do własnego pokoju.

Zadzwoiła do adwokata. Kiedy podała swoje nazwisko i powiedziała, że sprawa jest pilna, sekretarka zawiadomiła ją, iż signor Mancini niedługo wychodzi, ale zdąży się z nią spotkać, jeżeli przyjedzie natychmiast.

Umyła się i ubrała najszybciej, jak mogła, wspominając przy tym wydarzenia poprzedniej nocy.

Zawstydzona przypomniała sobie, jak na pytanie Dominika, czy spała z jego bratem, skłamała i odpowiedziała twierdząco. Teraz gorzko żałowała swojej głupoty. Dla Davida byłoby lepiej, gdyby zaprzeczyła, że w ogóle byli razem.

Kiedy już była gotowa, z obawą zeszła głównymi schodami. Nie chciała wpaść na Dominika. Ku swojej wielkiej uldze zdołała dotrzeć do głównych drzwi i zamknąć je za sobą, nie napotykając żywej duszy.

Doszła do Canal Grande i złapała wodną taksówkę do Calle Pino, gdzie miał biuro signor Mancini. Kierowca był rozmowny i wesoły. Powiedziała mu, że będzie w środku tylko kilka minut, i poprosiła, żeby poczekał.

Signor Mancini był niewysokim, eleganckim mężczyzną o srebrzystych włosach. Czekał przy drzwiach, by ją powitać uściskiem dłoni i poprowadzić do biura przy wtórze komplementów.

- *Buon giorno* - rzuciła chłodno.

- W czym mogę pani pomóc? - zapytał, gdy usiadła. Powiedziała mu dokładnie, co postanowiła.

- Wszystko? - wydawał się zaskoczony.

- Wszystko - potwierdziła stanowczo.

- Oczywiście, jeśli takie jest pani życzenie... W takim razie rozpocznę kroki, by wprowadzić je w życie. Czy zostanie pani w Wenecji?

- Nie, wyjeżdżam dzisiaj po południu.

- Jak mogę się z panią skontaktować?

- Nie jestem pewna. Dam panu znać.

Nie tracąc więcej czasu, wstała, podała mu rękę i skierowała się do drzwi.

Kiedy wrócili do pałacu, wskazała taksówkarzowi drogę do wejścia dla dostawców i poprosiła, żeby zaczekał.

Znowu miała szczęście i nie spotkała nikogo, kiedy biegła po schodach na górę. Wydobyła walizki z ogromnej szafy, położyła na łóżku i zaczęła się pakować.

Właśnie miała schować do mniejszej szkatułki na biżuterię, kiedy przypomniała sobie o pierścieniu. Postanowiła zostawić go z liścikiem dla Dominika.

Otworzyła szkatułkę i odnalazła woreczek, ale od razu

dostrzegła, że jest pusty. Szybko przeszukała szkatułkę, ale pierścienia nie znalazła.

Dominic musiał go zabrać. Albo wczoraj, kiedy przyszedł sprawdzić, czy rzeczy nadal są, albo dzisiaj rano, kiedy spała w jego łóżku.

Była bardzo rozczarowana. Po tym, jak zwyczajnie zabrał pierścień za jej plecami, straciła do niego dużo szacunku. Tak nie postępował człowiek honoru.

Drżącymi rękami pakowała rzeczy, gdy ktoś zapukał do drzwi. Stała bez ruchu, nawet nie oddychając, w nadziei, że ktokolwiek to był, uzna, że wyszła i pójdzie sobie.

- Nicola... - Głos Davida. - Jesteś tam? Jeśli jesteś, to, na litość boską, otwórz drzwi!

Pobiegła i otworzyła. David, spocony i poszarzały na twarzy, opierał się o framugę.

- Co się dzieje? - spytała, wstrząśnięta.

- Słuchaj - powiedział gorączkowo. - Musisz coś dla mnie zrobić...

- Może lepiej wejdz i usiądź?

- Nie ma czasu. Muszę wracać, zanim zauważą. Lekarz rozpoznał ostre zapalenie wyrostka...

Czyli nie kłamał o bólach brzucha.

- Zaraz przyjedzie karetka. Bardzo potrzebuję twojej pomocy. Chcę, żebyś zaraz pojechała do Club Nove. Dzwon, dopóki ktoś nie otworzy. Powiedz, jak się nazywasz i że koniecznie musisz osobiście rozmawiać z Angelo. - Wcisnął jej do ręki brązową kopertę. - Daj mu to i powiedz, że ode mnie.

- Ale ja właśnie...

- Nie prosiłbym o to, gdybym miał inne wyjście. An-

gelo nie będzie tracić czasu. Jeśli nic nie dostanie do trzeciej, wyśle do mnie zbirów i wyląduję w kostnicy, a nie na sali operacyjnej. Nicola, proszę... Jesteś moją jedyną nadzieją.

- No dobrze - zgodziła się, słysząc panikę w jego głosie.

Skinął głową i, zgięty z bólu, zaczął powoli iść korytarzem. Patrzyła, póki nie doszedł do końca, bojąc się, że upadnie. Potem włożyła kopertę do torebki i zbiegła ze schodów. Po drodze minęła pokojówkę, która rzuciła jej zaciekawione spojrzenie.

Wyjaśniła taksówkarzowi, dokąd jechać. Na Canale Grande minęła ich wodna karetka, pędząca w stronę *pałazzo*.

Nicola obiecała sobie, że kiedy wydostanie się z Wenecji, zadzwoni do szpitala i dowie się, jak się czuje David.

Kiedy dotarli do wylotu uliczki prowadzącej na Campo Mandolo, dała kierowcy znaczny napiwek.

- Gdyby mógł pan poczekać jeszcze raz... to będzie tylko kilka minut. Potem zabierzemy moje bagaże z *pałazzo* i popłyniemy na Piazzale Roma.

- Oczywiście, *signorina*.

Minęła restaurację, gdzie panował ożywiony ruch, i podeszła do czarnych, nabijanych metalem drzwi klubu. Zadzwo- niła. Poczekała może z pół minuty i spróbowała jeszcze raz, bez skutku.

Co zrobić, jeśli nikt nie przyjdzie? Czy życie Davida będzie naprawdę zagrożone, jeśli nie dostarczy przesyłki do trzeciej? A może przesadzał?

Przypomniała sobie mężczyzn, którzy zatrzymali ich w alejce, i uznała, że nie może ryzykować. Zadzwo- niła po

raz trzeci, z detenninacją. Gdzieś w środku trzasnęły drzwi, a po kilku chwilach za kratką pojawiła się groźnie wyglądająca twarz. Był to ten sam mężczyzna, który wpuścił ich poprzedniej nocy.

- Muszę porozmawiać z Angelo - powiedziała spokojnie.

- Zawsze śpi po obiedzie - poinformował mężczyzna, wyraźnie niezadowolony.

- Muszę koniecznie z nim porozmawiać - nalegała. -

Nazywam się Nicola Whitney. Mam dla niego ważną wiadomość.

Ciemne oczy obserwowały ją nieufnie. Już myślała, że odmówi.

- *Molto importante* - podkreśliła.

- No dobrze - warknął. - Ale on nie lubi, jak mu się przeszkadza.

Otworzył drzwi, po czym poprowadził ją przez pusty hol i po schodach.

- Proszę tu poczekać. - Wprowadził ją do małego, pozabawionego okien biura. Chwilę później wyszedł i zamknął drzwi na klucz.

Nicola wyjęła kopertę z torebki i rozglądała się wokół. Stało tu kilka metalowych szafek na dokumenty, zabałagane biurko i wysiedziany skórzany fotel, przepełniony kosz na papiery i potężny sejf. Powietrze było zatęchłe i śmierdziało papierosami.

Gdy mijały sekundy, coraz mocniej ścisnęła kopertę, a jej niepokój wzrastał.

Koperta była dość gruba jak na list...

Przypomniała sobie scenkę w alejce. David mówił: „Ale

ja mam pieniądze... Po prostu w tej chwili nie mam ich w ręku".

A ten drugi nalegał: „No to lepiej znajdź jakiś inny sposób...”

A jeśli to David zabrał pierścień?

Nie, nie, nie mogła uwierzyć, by zabrał bezcenny pierścień na spłacenie długów hazardowych...

A może jednak? Był zdesperowany. A po ich rozmowie w „Il Faraone” wiedział dokładnie, gdzie szukać.

Czy odważy się zajrzeć do koperty i sprawdzić?

Jeśli tego nie zrobi, Dominic może stracić jedną z najcenniejszych dla niego rzeczy, i to z jej winy.

Rozerwała kopertę. Wewnątrz znajdował się liścik nabazgrany na kartce papieru i złoty pierścień.

Gdy patrzyła na niego z przerażeniem, usłyszała zbliżające się kroki, a chwilę później klucz obracający się w zamku.

Jeśli Angelo nie wiedział, co David mu przysłała, może uda jej się jakoś z tego wybrnąć. Działając błyskawicznie, wepchnęła kopertę za kosz na śmieci i wyprostowała się akurat w chwili, gdy otworzyły się drzwi.

Wszedł mężczyzna średniego wzrostu, o szczupłej, śniadej twarzy i zakrzywionym nosie. Niewątpliwie ten sam, na którego widok David zawrócił. Nicola od razu zrozumiała dlaczego.

Angelo wydawał się niemal chuderławy, ale było w nim coś odrażającego, bezwzględność, od której przeszyły ją dreszcze.

- *Buona sera* - powiedział uprzejmie, wpatrując się w nią lśniącymi czarnymi oczami.

- *Buona sera, signor.*

- *Signorina* Whitney, jak rozumiem.
- *Signora* - oznajmiła stanowczo.
- Ma pani dla mnie wiadomość?
- *Si, signor*, od Davida Loredana. Niestety, wylądował w szpitalu z ostrym zapaleniem wyrostka.
- Myślałem, że David ma dla mnie dość szacunku, by nie karmić mnie słabymi wymówkami.
- To nie wymówka, *signor*.
- Dlaczego przysłał panią z tą wiadomością? - Zmrużył głęboko osadzone oczy.
- Bał się, że jeśli nie zostanie pan w porę poinformowany o jego sytuacji, może pan zadziałać... powiedzmy... pochopnie - odparła lekkim tonem. - Potrzeba mu tylko trochę czasu.
- Mówi to od tygodni.
- David jest wprawdzie zamożnym człowiekiem, ale z powodu warunków testamentu matki ma problemy ze zdobyciem gotówki.
- Rozumiałem, że miał znaleźć inną metodę. - Nicoli zrobiło się zimno. - No to co to za inny sposób?
- Niestety, nie wiem - odpowiedziała spokojnie. - Zachorował tak gwałtownie, że nie mieliśmy czasu na rozmowę. Może zamierzał poprosić brata o pomoc.
- Z tego, co słyszałem, Dominic Loredan nie jest zadowolony ze stylu życia Davida i tym razem może odmówić.
- A więc Dominic musiał pomagać Davidowi w przeszłości.
- Krew jest gęstsza od wody, *signor* - powiedziała, usiłując udawać pewność siebie. - Jestem pewna, że Dominic nie chciałby, by jego bratu stała się krzywda.

- Mówi pani po włosku płynnie i czarująco, ale nie jest pani Włoszką - zauważył Angelo aksamitnym tonem.
- Prawda?
- Nie, jestem Angielką.
- A co pani ma z tym wszystkim wspólnego? Który z nich dwóch jest pani kochankiem?
- Żaden - oznajmiła twardo. - Jestem po prostu gościem w *palazzo*.
- Jak na gościa sporo pani wie.
- Wiem, że pieniędzy tam nie brakuje, więc może się panu opłacić danie Davidowi trochę czasu. Na pewno znajdzie sposób, żeby spłacić dług, jak tylko wyjdzie ze szpitala. A teraz - dodała z pewnością siebie, której wcale nie czuła - proszę mi wybaczyć, ale muszę wracać. *Buona sera, signor*.
- Angelo pokręcił głową i uśmiechnął się lekko.
- Wolałbym, żeby pani została. Nawet nalegam. Jestem przekonany, że myśl o tym, iż pani tu jest, przyspieszy rekonwalescencję Davida.
- A więc jej nie uwierzył.
- Enrico - zawołał.
- Drzwi otworzyły się natychmiast. Najwyraźniej potężny mężczyzna czeka! zaraz za nimi.
- Signora Whitney spędzi u nas trochę czasu. Zaprowadź ją do pokoju. Ale najpierw... - Wyciągnął rękę w stronę Nicolii i zapytał uprzejmie: - Mogę?
- Dopiero po chwili zrozumiała, że chodzi mu o jej torebkę. Podała mu ją bez słowa.
- Położył torebkę na biurku i przeszukał szybko i sprawnie, najwyraźniej spodziewając się znaleźć pierścień. Spraw-

dził jeszcze jej paszport i prawo jazdy, po czym skinął głową drugiemu mężczyźnie, który chwycił ją za ramię i zaczął popychać w stronę drzwi.

- Nie ma powodu używać siły, Enrico - zauważył łagodnie Angelo. - Jestem pewien, że signora Whitney nie sprawi żadnych kłopotów.

Nicola poszła posłusznie za Enrico do małego składziku. Wepchnął ją do środka i zamknął drzwi. Po chwili klucz obrócił się w zamku.

Zwalczyła panikę, powtarzając sobie stanowczo, że nikt nie zamierza zrobić jej krzywdy. Po prostu jest zakładniczką i niedługo zostanie wypuszczona.

Kiedy już się uspokoiła, rozejrzała się wokół. Jej więzienie było niewielkie i ponure, a śmieci zajmowały prawie całą podłogę. Światło padało przez ozdobną kratę wysoko w ścianie. Sądząc po zapachu, wychodziła na kanał.

Rozejrzała się za czymś, na czym dałoby się stanąć. Zobaczyła kilka drewnianych skrzyń, ale wyglądały na zbyt ciężkie, żeby je przesunąć. Był też stolik na długich i koślawych nogach - wydawał się najodpowiedniejszy. Postawiła go z niejakim trudem jak najbliżej ściany i wdrapała się na niego, by zbadać kratę.

Szybko odkryła, że metal, chociaż pokryty rdzą, jest mocny i porządnie osadzony w murowanej ścianie.

Najwyraźniej była skazana na siedzenie tutaj, dopóki David nie dojdzie do siebie na tyle, by zauważyć, że jej nie ma.

Miała rację co do kanału, ale był to najwyraźniej jeden z mniej używanych, a budynki naprzeciwko wyglądały na opuszczone magazyny.

Gdy pochyliła się naprzód, by zobaczyć więcej, jedna z nóg stołka złamała się. Upadła, ocierając twarz o szorstkie cegły i lądując na stosie wyjątkowo twardych śmieci.

W policzku czuła palący ból. Dotknęła go ostrożnie i poczuła ciepłą krew. Cóż, powinna była bardziej uważać.

Czas włókł się powoli. Zaczęła się zastanawiać, co robi Dominic. Czy już zauważył, że jej nie ma?

Wczoraj się o nią martwił. Ale dzisiaj pewnie będzie zbyt zajęty martwieniem się o brata. Była pewna, że będzie się martwił o Davida, niezależnie od tego, ile mu sprawiał kłopotów...

Nagle usłyszała zgrzyt klucza w zamku. W drzwiach stał Enrico. Ruchem głowy dał do zrozumienia, że ma za nim pójść. Usłuchała, obolała i zeszywniała.

Kiedy zbliżali się do biura, usłyszała głos Angela:

- ...jest mi winien bardzo dużo pieniędzy. Odpowiedział mu cichy, melodyjny głos:

- Kiedy zobaczę, że signora Whitney jest tutaj i że nic jej się nie stało, możemy porozmawiać na ten temat.

Enrico otworzył drzwi i popchnął ją do środka. Zobaczyła siedzącego za biurkiem Angela, a przed nim bardzo ponurego Dominika.

Zastanawiała się właśnie, jak zdołał znaleźć ją tak szybko, gdy zauważył jej ranę.

- Wszystko w porządku - zapewniła pośpiesznie. - To był wypadek. Wdrapałam się na stół, żeby wyrzeć przez kratę. Noga się złamała i podrapałam się o ścianę...

- Nic ci nie zrobili? Bo jeśli tak...

- Nie... nic - zapewniła. - Nic mi nie jest. - Jednak na widok Dominika odczuła tak wielką ulgę, że chociaż

starala się zachować opanowanie, zaczęła drzeć. Objął ją ramieniem.

- Zabieram signorę Whitney do domu - oznajmił stanowczo. - Zobaczymy się jutro rano o dziesiątej.

Angelo spojrzał na niego, próbując ocenić.

- Nie radzę zmieniać zdania - ostrzegł.

- Nie mam zwyczaju zmieniać zdania - poinformował go krótko Dominic.

- Chciałabym dostać swoją torebkę. - Nicola była zaskoczona, że mówi tak spokojnie.

Angelo natychmiast ją podał.

Nie mówiąc nic więcej, Dominic wyprowadził ją z budynku. Przeszli alejką do schodów, przy których zacumowana była jego motorówka.

Dopiero wtedy przypomniała sobie, jak tu dotarła.

- Przyjechałam wodną taksówką i poprosiłam, żeby czekała. ..

- Tak. Kiedy się nie pojawiłaś, taksówkarz wykazał się rozsądkiem i popłynął z powrotem do *palazzo*. Dzięki Bogu, że właśnie wróciłem ze szpitala. Kiedy wspomniał o Campo Mandolo, od razu wiedziałem, gdzie poszłaś i na czyją prośbę.

Na jego twarzy widać było zimną wściekłość. Nicola zagryzła wargi i zamilkła. Reszta podróży upłynęła im w ciszy.

Kiedy dotarli do Palazzo dei Cavalli, poprowadził ją do swojego gabinetu i posadził na kanapie. Sam zniknął w łazience, by po chwili wrócić z małą miseczką i apteczką. Zaczął czyścić jej policzki. Twarz miał zaciętą, ale ręce delikatne. Skrzywiła się, czując szczypanie środka dezynfekującego.

- Bardzo boli? - zapytał.
- Nie, wcale - wymamrotała.

Zanim zdążył posprzątać i usiąść naprzeciwko niej, prawie przestało boleć.

Spodziewała się, że zacznie ją wypytywać, i przygotowała się na odpowiedzi, ale on siedział tylko z zaciśniętymi ustami, dziwnie blady pod opalenizną, i patrzył w podłogę.

Zbita z tropu jego zachowaniem poczuła, że musi zostać sama, więc wstała niepewnie.

- Chyba pójde się na trochę położyć... - Podniósł wzrok. - Ja... przepraszam, że jesteś na mnie taki wściekły - wykrztusiła.

- Nie jestem wściekły na ciebie, tylko na mojego brata kretyna. Za to, że tak cię naraził.

Zerwał się na nogi. Po chwili znajdowała się w jego ramionach. Była zdumiona czując, że Dominic - silny, niewzruszony Dominic - drży.

- Dobry Boże, gdyby cokolwiek ci się stało... - szepnął, przyciskając policzek do jej włosów. - Nie wiem, co bym zrobił...

Jego ramiona zacisnęły się konwulsyjnie. Jęknęła cicho.

- Wybacz, zabolalo?
- Nie... wcale...

Ale on już się odsunął.

- Dominic, ja... - Była bardzo szczęśliwa w jego ramionach, ale nagle przypomniała sobie o Carli. Nie wiedziała, jak mu o tym powiedzieć, więc urwała, zagubiona.

Zdołał się już opanować i powiedział spokojnie:

- Zanim pójdziesz, chciałem o coś spytać. Dlaczego po-

stanowiłaś wyjechać nic mi nie mówiąc? Przez to, co stało się w nocy?

- Częściowo - przyznała.

- A dlaczego poszłaś do adwokata?

- Skąd...

- Zadzwoił, jak wychodziłem, żeby cię szukać, i powiedział, co zamierzasz zrobić. Chcę wiedzieć dlaczego.

- Uznałam, iż nie mam prawa do rzeczy, które moralnie należą się Loredanom.

- Przyznaję, że na początku też tak myślałem. Ale zrozumiałem, że to nieprawda. Dlatego poprosiłem signora Manciniego, żeby zignorował twoje polecenie.

- Ale przecież chcesz odzyskać Ca' Malvasia? - zaprotestowała, opadając z powrotem na kanapę.

- I z największą chęcią odkupię go od ciebie po cenie rynkowej, jeśli zdecydujesz się sprzedać.

- A pierścień?

- Może to brzmi głupio - uśmiechnął się - ale zawsze sobie wyobrażałem, że dam go kobiecie, z którą będę chciał się ożenić... David ciągle gadał, zanim go uspili. Powtarzał, że powinienem cię zatrzymać, zanim zabierzesz pierścień...

Wstrzymała oddech. To brzmiało, jakby się rozmyślił... : - Czyli pewnie mu powiedziałaś, że wyjeżdżasz? Zawahała się, niepewna, co odpowiedzieć.

- Posłuchaj, wiem, że był u ciebie... Przyszło mi do głowy, że może się w nim zakochałaś?

- Nie, nie zakochałam się w nim. Usłyszała, że Dominic westchnął z ulgą.

- Ale powiedziałaś, że jest podobny do Jeffa. Przyznałaś, że z nim spałaś...

- Jest podobny do Jeffa, w każdym razie z wyglądu. Ale nie spałam z nim.

- Dzięki Bogu!

- Powiedziałam tak tylko, bo się rozzłościłam.

- A co cię tak rozzłościło?

- Myśl, że przez dwie noce kochałam się z cudzym narzeczonym.

- Ale zrobiłaś to jeszcze raz - zauważył cicho. Zarumieniła się.

- Dlatego wyjeżdżam.

- Rozumiem. Czy zmieniłabyś decyzję, gdybym powiedział, że nie mam najmniejszego zamiaru żenić się z Carlą?

Czekała, nie wążąc się na nadzieję.

- Chciałem się ustatkować, mieć żonę i rodzinę, ale jakoś nie mogłem znaleźć swojej wymarzonej. Carla jest śliczną dziewczyną i bardzo ją lubię, więc jakoś się w końcu zaręczyliśmy. Może nawet bym się z nią ożenił, gdybym przypadkiem nie odkrył, że jest zakochana w Davidzie. Jest dumna i błagała mnie, żebym na jakiś czas dochował tajemnicy... Zgodziłem się, chociaż z przypadkowych uwag Davida zacząłem wierzyć, że uczucie może być odwzajemnione...

- Na pewno masz rację - powiedziała Nicola, wspominając rozmowę w restauracji.

- Poza tym są prawie w jednym wieku - ciągnął Dominic.

- Chociaż jeżeli Carla uzna, że naprawdę chce tego młodego idiotę, będzie musiała go trzymać mocno w garści...

- A jej matka nie będzie miała nic przeciw temu?

- Moim zdaniem signora Ferrini, która ma słabość do

David, chętnie zamieni jednego Loredana na drugiego - powiedział z odrobiną cynizmu. - Może nawet zdoła ją namówić na przeprowadzkę do Stanów. Co nie byłoby tak źle. Byłby daleko od takich typów, jak Angelo Galio... A skoro o nim mowa, to możesz mi powiedzieć, co się właściwie stało? Dlaczego David wysłał ciebie?

- Chciał, żebym przekazała... wiadomość.

- Nie mógł zadzwonić? Czyli nie była to ustna wiadomość?

- Nie. Koperta.

- Dlaczego zadał sobie trud pisania listu? Dlaczego nie e-mail albo SMS? Chyba że w kopercie było coś jeszcze...

Uznała, że jest zdecydowanie za sprytny, jednak starała się zachować spokój - co jej się w ogóle nie udało. Od razu zauważył jej zmieszanie.

- A ty pewnie wiesz, co to było?

- Tak - odpowiedziała niechętnie.

- No?

- Czy nie możesz spytać Davida?

- Pytam ciebie. I chcę odpowiedzi.

- To był pierścień Maschera - przyznała, nienawidząc samej siebie.

- Dałaś mu go? - spytał Dominic, patrząc na nią z niedowierzaniem.

- Nie. Wiedział, gdzie był, i musiał go zabrać. Kiedy się pakowałam, zobaczyłam, że go nie ma. Chciałam ci go zostawić.

- Nic dziwnego, że Galio wypuścił nas tak łatwo - jęknął Dominic. - Chętnie bym mu zapłacił, ale teraz, kiedy ma pierścień...

- Nie ma. - Nicola pokręciła głową. - Ta koperta od Davida była bardzo gruba, co byłoby dziwne, gdyby chodziło o list. Kiedy czekałam w biurze Angela, zaczęłam podejrzewać...

Opowiedziała mu, jak otworzyła kopertę i pozbyła się jej, gdy usłyszała kroki, i co powiedziała Angelo.

- Czyli dlatego cię zatrzymał, żeby przycisnąć Davida... A jeśli przypadkiem nie znalazł pierścienia, to ciągle jest za jego koszem na śmieci...

- Nie. Pozbyłam się listu i koperty, a pierścień zatrzymałam.

- Zatrzymałaś pierścień? - powtórzył Dominic z niedowierzaniem. - Jak zdołałaś go schować?

- Włożyłam na palec - wyjaśniła i wyciągnęła rękę. Pierścień był obrócony maską w stronę dłoni, tak że na wierzchu widać było tylko niewinną złotą obrączkę.

Uniósł jej dłoń do ust i ucałował.

- Jesteś nie tylko piękna i odważna, ale też bardzo mądra. Zachwycona, zdjęła pierścień i podała mu.

- Nie podoba ci się? - zapytał, nie odrywając oczu od jej twarzy. - Nie wolałabyś go zatrzymać?

- Nie mogę - pokręciła głową. - Jest piękny, szalenie mi się podoba, ale nie mam prawa go zatrzymać. John nie powinien był mi go dawać.

- A gdybym ja ci go dał?

- Powinieneś go dać swojej narzeczonej.

- Czyli mam się najpierw oświadczyć?

- Proszę, nie żartuj sobie.

- Nie mam wcale nastroju do żartów. Wyjdiesz za mnie, Nicola?

Wpatrywała się w niego, nie wierząc własnym uszom.

- Wiem, że to dość nagle, ale wiem też, że to na ciebie całe życie czekałem. Myślałem o tobie najgorsze rzeczy, a i tak zakochałem się od razu, kiedy cię zobaczyłem... -Szczęście nie pozwalało jej znaleźć słów, więc dalej tylko na niego patrzyła. - Miałem nadzieję, że wybaczysz mi to, jak cię potraktowałem... A nawet ośmieliłem się mieć nadzieję, że może czujesz do mnie coś więcej niż zwykle zainteresowanie... Ale chyba się myliłem.

Odzyskała głos.

- Nie, wcale się nie myliłeś. Od początku wiedziałam, że cię kocham, że jesteś kimś wyjątkowym.

- *Cara mia* - szepnął. Usiadł obok niej i z powrotem włożył pierścień na jej palec.

Potem chwycił ją w ramiona i zaczął całować z pełną czułości namiętnością, która wynagrodziła jej wszystkie urazy, jakich od niego doznała.

- Kiedy spytałem, dlaczego poszłaś ze mną do łóżka, nic nie mówiłaś, że jestem wyjątkowy - poskarżył się po jakimś czasie.

- Nie mogłam.

- Przez to, co mówiłem o Johnie?

- Tak. Widzisz, John też był wyjątkowy, ale w zupełnie, inny sposób. Był moim przyjacielem, nie kochankiem.

- A jak myślisz, dlaczego zostawił ci wszystko, razem z pierścieniem? Na złość Loredanom?

- Nie jestem pewna - przyznała szczerze. - Mam nadzieję, że po prostu mnie lubił. W liście powiedział tylko, że chce, żebym to ja wszystko dostała.

- Zachowałaś ten list?

- Tak. - Wyjęła go z torebki i podała mu. Patrzyła na niego, gdy czytał słowa ojczyma.

Nicolo, moja droga, znaliśmy się bardzo krótko, ale byłaś dla mnie jak córka, o której zawsze marzyłem. Twoje ciepło i dobroć bardzo wiele dla mnie znaczyły.

W woreczku znajdziesz pierścień Sofii. Od chwili jej śmierci nosiłem go na łańcuszku na szyi Teraz czuję, że niewiele mi czasu zostało, więc lepiej zostawię go u pana Harthilla.

To wyjątkowy pierścień. Moja ukochana zawsze go nosiła. Miała go w dniu, gdy się poznaliśmy. Kiedyś powiedziała, że jeśli jakikolwiek pierścień ma moc przynoszenia szczęścia posiadaczowi, to na pewno ten. I dlatego chcę, żebyś go dostała. Czuję całym sercem, że Sofia zgodziłaby się ze mną.

Chociaż oboje mieliśmy za sobą wcześniejsze małżeństwa, była miłością mojego życia i wierzę, że i ja byłem tym dla niej. Byliśmy bardzo szczęśliwi razem przez pięć cudownych lat. Minęły zbyt szybko.

Wiem, że i Ty krótko byłaś ze swoim mężem. Poznałaś, co to ból i żal, w tak młodym wieku. Wiem aż nadto dobrze, że każdy, kto traci ukochaną osobę, musi przejść odpowiedni czas żałoby. Ale pamiętaj, moja droga, że nikt nie powinien trwać w żałobie wiecznie. Czas już, byś zaczęła żyć na nowo. Bądź szczęśliwa.

John

Dominic skończył czytać i podał jej list.

- Należą ci się najgorętsze przeprosiny - powiedział po-

woli. - Kiedy tylko poznałem cię bliżej, wiedziałem, że musiałem się mylić co do ciebie. Ale chciałem mieć pewność... - Westchnął. - Niezłe ci dałem w kość. Chciałbym ci to jakoś wynagrodzić.

- Jest jedna rzecz... - powiedziała z wielką odwagą.

- Co takiego, *cara mia*?

- Jutro rano chciałabym się obudzić z tobą w jednym łóżku.

- Załatwione. Chociaż może to znaczyć, że Galio będzie musiał poczekać do popołudnia... Z drugiej strony, jeśli pójde do niego rano, mogłabyś zostać w łóżku i poczekać na mnie. Jak się czujesz?

- Dobrze, a co?

- Myślałem, że jeśli nadal chcesz się położyć, mógłbym pójść z tobą.

Udała, że się zastanawia.

- Cóż, jestem trochę posiniaczona, więc na leżąco byłoby mi na pewno wygodniej.

- No to na co czekamy?

- A jak Maria nas złapie?

- Jeśli tak, to pozwolę ci ją uspokoić.

- A jak niby mam to zrobić?

- Możesz zaprosić ją na swoją druhnę - odpowiedział z kamienną twarzą.